



DEBORAH
MOGGACH
◆
Hotel
Złamanych Serc



DEBORAH
MOGGACH

*Hotel
Złamanych Serc*

Przełożyła
ALEKSANDRA GÓRSKA



DOM WYDAWNICZY REBIS

Dla Marka i jego miasta

Wytnijcie i trzymajcie na podorędziu:

Russel „Buffy” Buffery był trzykrotnie żonaty.

Najpierw z Popsi (świętej pamięci), z którą ma syna Quentina.

Następnie z Jacquetą (obecnie żoną swego psychoanalityka, Leona), z którą ma dwóch synów, Tobiasa i Brunona. Jacquetta ma też córkę z wcześniejszego związku, Indię.

Jego trzecią żoną była Penny, która uciekła z fotografem. Nie mieli dzieci.

Buffy ma jeszcze córkę Celeste, z aktorką imieniem Lorna.

I jeszcze jedną, Nyange, z tancerką imieniem Carmella.

Nie pogubcie się.

Albo dowiedzcie się więcej o nich wszystkich z lektury *Ex-żon*.

Buffy

Wszystko nagle wróciło. Buffy odłożył list na stół i ciężko opadł na krzesło. Śmiech Bridie, jej chropawy kaszel palaczki. Zupełnie jakby krzątała się dokoła niego w swoim poplamionym kimonie. Przypomniawsobie jej oplecione żyłami kostki nóg w sypialnianych papciach, jej kochaną, zwalistą postać, gdy smażyła bekon. Nozdrza miał pełne przeszłości, czuł woń linoleum i kotów, przyprawiające o mdłości wyziewy z bojlera zawieszzonego nad wanną. To były czasy kołder z pierza, trzaskających piecyków gazowych, pończoch Bridie suszących się na ich obudowie.

Bridie prowadziła dom noclegowy dla aktorów w Edgbaston. Buffy często występował w teatrze w Birmingham i zatrzymywał się u niej przez całe lata, podczas których ząb czasu przeobrażał go stopniowo z gibkiego Hotspura w korpulentnego Falstaffa, nie był w stanie jednak nadwyreżyć Bridie. Jak większość grubych osób, nie zmieniała się ani na jotę, rok za rokiem. W jej ufarbowanych henną włosach pojawiły się siwe odrosty, dostała dwa nowe kolana, ale nadal przypominała tę dziewczynę, którą Buffy znał, gdy jeszcze prezentował się znośnie w trykotach.

Kiedyś, po pijaku, jej się oświadczył.

– Skarbie, ty już jesteś żonaty, a ja mam tu swoją rodzinę, dziękuję bardzo. – Chlusnęła więcej whisky do jego kubka. – Lokatorzy, nawet aktorzy, to jednak znacznie mniejszy kłopot niż dzieci, a poza tym płacą.

– Ale stały związek ma wiele plusów. Głęboki spokój małżeńskiego łoża itepe, po harmidrze kawalerskiego wyrka.

– Głęboki spokój, takiego. Zaczęlibyśmy się kłócić o rynny.

– À propos, skoro o tym wspominasz, powinnaś sprawdzić...

– Zamknij się, głupi gnojku.

Miała rację, oczywiście. Dobrze było, jak było. Bóg jeden wie, co tam wyczyniała pod jego nieobecność. Przypomniawsobie saszetkę

z krokodylej skóry, w której trzymała wkładkę antykoncepcyjną, prezent od jakiegoś wielbiciela. Była gorącokrwistą, otwartą kobietą, a aktorzy na tournée umieli się zakrzętnąć koło dymanka. W końcu, gdy się już obejrzało wypchanego borsuka w miejscowym muzeum, co innego było tam do roboty?

A teraz Bridie nie żyła. Buffy pragnął się rozpłakać. Był aktorem, potrafił to zrobić na zawołanie. I Bóg jeden wie, że miał co opłakiwać. Jednak żal doskwiera najbardziej, gdy skażony jest sprzecznymi uczuciami: poczuciem winy, pretensją, urazą. Bridie tymczasem była jedną z nielicznych kobiet, która nie przyprawiała Buffy'ego o moralnego kaca. W rzeczywistości, mówiąc zupełnie szczerze, odkąd wyprowadziła się do Walii, na dobrą sprawę stracili kontakt. Fakt, że o nim nie zapomniała – czego dowodem był list od jakiegoś notariusza z Builth Wells, pewnie zostawiła mu coś w testamencie – wywołał u niego pierwszy i ostatni wyrzut sumienia odnośnie do jej osoby. Oraz wdzięczność. Z uwagi na zaawansowany wiek stracił już wielu przyjaciół i jedną była żoną. Te odejścia dobitnie mu pokazały, jakby trzeba było dowodu, że umieranie jest bardzo egocentrycznym, skupionym na sobie zajęciem. Ostatnim, co zaprzętało ludzi w takiej chwili, byli ci, którzy zostawali. Jakikolwiek dowód pamięci byłby zatem mile widziany, choćby maleńki. Nawet coś ohydneho, jakiś fikuśny kufel.

Buffy dźwignął się na nogi i poczłapał do kuchni. Jak ostatni idiota zostawił otwarte okno i powietrze zrobiło się ciężkie od kurzu. Dom obok kupił dwa lata temu rosyjski oligarcha. Od tego czasu ogrodzono go plastikiem, za którym budynek trząsał się i dudnił, gdy go rozkopywano, by stworzyć siłownię, basen i kino, żeby magnat miał gdzie oglądać sobie pornosy.

Podobne historie działy się w całej dzielnicy. Buffy mieszkał w Blomfield Mansions, bloku na Edgware Road. Dalej rozciągała się Mała Wenecja, aż do St. John's Wood. Obie okolice zamieszkiwali superbogaci i wiecznie nieobecni. Pływali sobie na jachtach albo wiercili w Arktyce, czy czymkolwiek tam akurat byli zajęci, skazując sąsiadów na znoszenie niekończących się remontów, którym poddawali swoje inwestycje mieszkaniowe. Buffy wyprowadzał psa w zgiełk

wschodnioeuropejskich głosów, w walenie młotów i huk maszyn, spacerując obok betoniarek, które blokowały wyjazd, i tablic ostrzegających: „Załóż kask ochronny!”. Po dawnej dzielnicy nie został ślad i nawet lokalna knajpa, do której wcześniej uczęszczał, choć sama jeszcze stosunkowo nietknięta, serwowała teraz cholerne tajskie żarcie, przygotowywane w fabryce w Park Royal i gotowane w torebce. Jajka po szkocku przeszły do lamusa. Niektórzy oczywiście by powiedzieli, że najwyższa pora.

Buffy otworzył paczkę herbatników. Jego córka Nyange miała wpaść na herbatę. Na pewno się spóźni. Złapała to od swojej matki, ghańskiej tancerki, z którą Buffy pozwolił sobie na krótkie szaleństwo, gdy jeszcze mógł się wcisnąć – i wycisnąć z nich później – w spodnie mierzące w pasie 82. Zawsze się pojawiała, gdy już tracił nadzieję, i tłumaczyła swoje spóźnienie AMT, afrykańskim czasem uniwersalnym. Coś w dezynwolturze i bezceremonialności, z jaką to mówiła, sugerowało, że to jego problem, że punktualność jest reliktem okresu kolonialnej opresji i grabieży. Wprawdzie to jego godzinę ukradła, ale Buffy nie miał serca jej tego mówić.

Nyange istotnie przybyła z godzinnym spóźnieniem, ale tym razem miała wymówkę.

– Nie mogę znaleźć cholernego miejsca parkingowego! – zatrzeszczał w domofonie jej głos. Odwróciła się, by wrzasnąć na parkingowego. – Odwal się! Już idę!

W końcu Buffy się poddał i wyniósł herbatę do samochodu córki. Siedzieli tam z tacą na jego kolanach i talerzykiem na desce rozdzielczej. Nie po raz pierwszy musiał porzucić mieszkanie i zabawić gościa w lodowatej hondzie civic na ulicy.

– Przykro mi, że tak wyszło – powiedział. – Wyobraź sobie, że posprzątałem na twoją cześć. Nawet nakryłem do stołu. Cholerne parkingowe sępy.

– Londyn jest do dupy – powiedziała Nyange. – W zeszłym tygodniu postrzelono jakiegoś dzieciaka w monopolowym niedaleko mnie.

Stali na podwójnej żółtej, wciśnięci między ciężarówkę dostawczą a dużego SUV-a z przyciemnianymi oknami. Jedna z szyb zjechała w dół

i jakaś ręka wyrzuciła pustą butelkę po wodzie mineralnej.

Buffy westchnął.

– Kiedyś były tu normalne sklepy. Rzeźnik, warzywniak. – Wskazał na sieciówkę fotograficzną Snappy Snaps i biuro nieruchomości Foxton (cha, cha, wyrugowane z klientów). – O, stare dobre czasy. Poczęstuj się herbatniczką.

Pojawił się strażnik miejski. Nyange zakląła. Rozlewając herbatę, wrzuciła szarpnięciem bieg i ruszyła dokoła kwartału, obok ciężarówek stojących na luzie i kontenerów z gruzem.

– Mimo to – odezwał się Buffy – „Gdy człowiek ma dość Londynu”. – Urwał. Nyange pewno nawet nie słyszała o Samuelu Johnsonie. Poza tym nie był już wcale pewny zasadności tego twierdzenia. Cóż złego jest w zmęczeniu Londynem? Wszystko w tym mieście jakby się sprzysięgło, by działać mu na nerwy. Oczyma wyobraźni widział siebie w ogródku wiejskiego domu jako siwowłosego patriarchy w panamie, któremu wnuki przynoszą słoiki z ropuchami.

Nyange zatrzymała się gwałtownie na przystanku autobusowym, jedynym kawałku wolnej przestrzeni. Herbatniki ześlizgnęły się z deski.

– To zakrawa na kpinę! – warknęła. Była energiczną, młodą kobietą. Nie tak znowu młodą po prawdzie, prawie w średnim wieku. Miał dzieci w średnim wieku. Ta myśl zawsze przyprawiała go o szok. A dzisiaj Nyange wyglądała jeszcze nietypowo oficjalnie jak na siebie. Ostatnim razem, gdy się widzieli, miała włosy zaplecione w warkoczyki z małąkami paciorkami. Teraz były obcięte w boba à la Louise Brooks i lśniły od lakieru. Może to była peruka. Musiał powściągnąć chęć, by ich dotknąć, niczym podstarzały perwert.

Z drugiej strony, w końcu był jej ojcem. Tyle że w przeszłości mieli raczej sporadyczne kontakty. Przypomniawszy sobie skromne Boże Narodzenie, które spędził z Nyange i jej matką, dwiema nadobnymi niemal-nieznajomymi w udrapowanym szalami pokoju w Deptford. Niechętnie przyrządziły mu porcję bazanta – obie były wegetariankami – i złamał sobie ząb na śrucinie.

– No to co u ciebie? – spytała. – Wieki się nie widzieliśmy.

– Cóż, prawdę mówiąc, właśnie zmarła moja bliska przyjaciółka – powiedział.

– No, chyba one wszystkie teraz to robią.

– Chwilka, mam tylko siedemdziesiątkę. To nowa czterdziestka.

Autobus za nimi zatrąbił. Ludzie przedzierający się obok, by do niego wsiąść, rzucali im gniewne spojrzenia. Nyange ruszyła, objechała róg i stanęła na drugiego przy furgonetce Tesco.

– Któraś z twoich znajomych aktorek?

– Właścicielka hotelu dla aktorów – wyjaśnił. – Zatrzymałem się u niej w złotym okresie teatru w Birmingham. Kilka lat temu przeniósła się do Walii i tam otworzyła nowy pensjonat.

Brzmiało to wszystko tak sucho. Ale niby dlaczego w ogóle miało ciekawić Nyange? Poczul się nagle przytłaczająco samotny w ciasnym, zagraconym aucie, w świetle, w którym nie było już Bridie. Żadnych listów więcej w skrzynce. I nikogo, kto by wiedział, o kim mówi, oprócz kilku wypacykowanych, umęczonych komediantów, którzy być może przyczłapią na jej pogrzeb.

– Moja najstarsza przyjaciółka – dodał i nagle wreszcie oczy zaszczyły mu łzami. – Taka na dobre i na złe. – Wbił wzrok w tacę, teraz zalaną herbatą.

– Biedny tata. – Pogłaskała go po dłoni. – Musisz być zadowolony. Ożeż, kurwa!

Furgonetka Tesco odjechała, ukazując kolejnego strażnika.

Wpatrywał się w ich numer rejestracyjny.

Nyange wychyliła się przez okno.

– Odwal się! – wrzasnęła. – Ten staruszek to kaleka. Ma atak!

Strażnik puścił to mimo uszu i wyjął notes. Nyange prychnęła i uruchomiła silnik. Ruszyła ulicą, wcisnęła gaz na żółtym i skręciła w prawo prosto w Edgware Road, zakorkowaną niemal na amen w godzinie szczytu. Stanęła na zakazie.

– To beznadziejne, lepiej cię tu wypuszczę. – Postawiła talerzyk z herbatnikami na tacy. – Przyjechałam, tylko żeby ci powiedzieć, że zdałam egzamin. Teraz jestem biegłą księgową z wszystkimi uprawnieniami.

Buffy, objuczony tacą, nie mógł jej uściskać. Niezgrabnie się odwrócił i trafił ustami w szorstki hełm jej włosów. Pachniały piżmem: proustowską magdalenką woni lat sześćdziesiątych.

– Moja zdolna dziewczynka... kobieta!

Nyange już wyglądała stosownie do stanowiska. Fryzura z warkoczyków i legginsy poszły w ką, dzisiaj miała na sobie czarne spodnium i buty niegdyś zwane czółenkami. Buffy patrzył na nią z mieszaniną podziwu i respektu. Jeszcze bardziej zaskakujące od spłodzenia czarnej córki było spłodzenie księgowej. Wszystkie inne znane mu kobiety, zmieniając zawód, zajmowały się jakiegoś sortu terapią, Bóg jeden wie, kto do nich potem chodził, skoro wszystkie były terapeutkami.

– Księgowa w rodzinie to użyteczna rzecz – powiedział, zupełnie nieświadom, jak prawdziwe okażą się te słowa.

To nie był fikuśny kubek. Ani oprawiona reprodukcja krów na śniegu, która wisiała obok automatu telefonicznego i z którą Buffy swego czasu był sentymentalnie związany. Bridie zostawiła mu swój dom: pensjonat w Walii.

Nadal jeszcze nie otrząsnął się z szoku, jaki wywołała ta wieść. Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, chodził po mieszkaniu, podnosząc kolejne przedmioty i potem je odkładając. Zawieruszył gdzieś portfel i znalazł go w lodówce. Nocą śniła mu się wędrówka: przedzierał się przez deszcz, goły jak święty turecki, a po powrocie się okazało, że zburzone Blomfield Mansions zastąpił Ogród Pamięci. Obudził się zlany potem, z walącym sercem.

Naturalnie był wdzięczny Bridie, bardzo wdzięczny. Ów dowód łączącego ich wieloletniego uczucia, niczym wyznanie z za grobu, głęboko go poruszył. Odczuwał fizyczny ból, że nie może już objąć jej ramionami i uściskać w podzięcie.

– A niby czemu nie, ty stary capie? – zachichotałaby. – Wszystko bym dała, żeby zobaczyć jego minę. – Jego, czyli jej brata, bardziej oczywistego beneficjenta, który mieszkał w Irlandii. Był ponoć zagorzałym katolikiem, potępiającym swobodny styl życia siostry. Jednak on nie potrzebował tych pieniędzy. Dorobił się na spekulacjach podczas ożywienia na rynku nieruchomości: pokrył wtedy hrabstwo Limerick obrzydliwymi rezydencjami z kolumnowymi gankami i przyległymi marmurowymi łazienkami, po których teraz hulał wiatr i uschnięte chwasty, ale on miał to gdzieś, wycofał się, zanim doszło do

krachu.

To, że Bridie nie miała innej rodziny, żadnych bliskich bliższych niż on sam, wzbudziło w Buffym dziwne poczucie uwikłania w sprawy rodzinne. I nagle mocno uwypukliło ich odmienną sytuację. Jednak Bridie sama wybrała taki los, była wolnym duchem od nikogo niezależnym.

– Nawet nie wiedziałem, że jest chora – powiedział synowi, Quentinowi. – Ani słowem się nie zająknęła w listach.

– Ja nie wiedziałem, że istnieje.

– Nie mam pojęcia, co zrobić. – Jedli lunch w restauracji na Frith Street.

– No, na pewno skończyły się twoje problemy finansowe – stwierdził Quentin.

– Chcesz powiedzieć, że powinienem to sprzedać?

Quentin się uśmiechnął.

– Już cię widzę, uziemionego gdzieś w ulewnym deszczu, dwieście mil od Soho.

To nie był uśmiech, tylko protekcyjny uśmieszek.

– A niby czemu, u licha, nie? – rzucił zirytowany Buffy.

– Tato.

To przesądziło sprawę. Później Buffy upatrywał w tym punktu zwrotnego. Już ja mu pokażę. Mężczyźni wszczynali wojny o mniejsze sprawy. Naturalnie nawykł do czułej pogardy swoich dzieci. No, do ich pogardy. Będzie miał frajdę nie z tej ziemi, patrząc, jak im opadają szczęki.

– Mam dość Londynu – oznajmił. – Dość moich potwornych sąsiadów i permanentnego braku miejsc parkingowych. W zeszłym tygodniu musieliśmy z Nyange pić herbatę w jej aucie. Dość rowerzystów potrącających mnie na chodniku.

– My nie jeździmy po chodniku – zaprotestował Quentin.

On i James, jego partner, byli praworządными obywatelami, pedałowymi na rowerach na ekologiczny rynek z jutowymi siatkami na zakupy.

– Mam dość tego, że wszyscy dokoła są tacy niegrzeczni, z wyjątkiem cudzoziemców. – Buffy się rozkręcał. – Mam dość swojego

ciągłego poirytowania, sprawia, że czuję się stary. Jestem stary. Ale nie czuję tego, dopóki to miasto mnie nie zirytuje. Jest zbyt pełne wspomnień i zbyt wielu moich przyjaciół nie żyje.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę tam zamieszkaż? – Quentin uniósł brwi.

Wyskubane? Był gejem, Buffy by się nie zdziwił.

– Potrzebuję odmiany. – Gdy tylko to powiedział, uświadomił sobie, że to prawda.

Podano im lunch. Quentin usunął kawałki selera ze swojej sałatki i odsunął je na skraj talerza. Dawno temu obaj doszli do wniosku, że seler jest warzywem zupełnie zbędnym. To była jedna ze spraw, która, jak odkryli, ich łączy.

– No to gdzie to jest? – spytał Quentin.

– W Knockton. Ponoć gdzieś w Marchiach Walijskich – powiedział Buffy i dodał defensywnie: – Prawie w Anglii. – Jakby przeprowadzka tam nie była niczym szczególnym. Już zaczynał czuć lojalność wobec tego nieznanego miasteczka.

– Czyli nawet jeszcze nie widziałeś pensjonatu?

Buffy pokręcił głową.

– Zamierzam tam pojechać w przyszłym tygodniu.

Quentin ponownie uniósł brwi. Sardela zwisała z jego widelca niczym skrawek skóry. Odkąd zamieszkał z Jamesem, nabrał ciała. Szczęście to sprawiło. Poznali się podczas dekorowania wystaw w Harrodsie, ale musiały minąć całe lata burzy i naporu, zanim znaleźli spokój domowego ogniska w Crouch End.

Tyle się wydarzyło w życiu każdego z nich, ale oto siedzieli teraz razem, Buffy i jego czterdziestopięcioletni syn, pałaszując mało znaną i pieprzną sałatkę przyrządzoną przez bardzo znanego szefa kuchni. Siwiejące (siwiejące!) włosy Quentina były przycięte na języka, tak chętnie noszonego przez gejów z Old Compton Street.

Buffy przypomniał sobie jedno z rzadkich rodzinnych spotkań. Nyange i Quentin siedzieli obok siebie, ramię przy ramieniu, czarna dziewczyna i homoseksualista. Jego ówczesna małżonka, Penny, mierzyła ich wzrokiem.

– Bardzo w duchu Channel 4 – zawyrokowała. – Teraz jeszcze

trzeba nam tylko jakiegoś kaleki do kompletu. – Zerknęła na Buffy'ego, który nadwyrężył sobie kręgosłup i leżał na podłodze podparty poduszkami. – O, tutaj jest.

– Może odmiana dobrze by ci zrobiła – przyznał Quentin.

Buffy spojrzał ostro na syna. Chce się go pozbyć! Co z oczu, to z głowy. Może zaczyna się stawać ciężarem dla swoich dzieci, odwiedzany tylko z obowiązku, i wszyscy odetchnęliby z ulgą, gdyby oddelegował się na wygnanie do innego kraju, którym na dobrą sprawę jest Walia. Zrobił się z niego kwękający, zramolały król Lear – była to rola, do której od lat przygotowywał się w sekrecie, ale której nigdy nie dostał. I nie dziwota, skoro nie miał już agenta. Ani, po prawdzie, zajęcia.

Ale oto czeka go zupełnie nowa kariera. Gospodarza pensjonatu! Rozkosznie brodaty, z policzkami rumianymi od bordo, znowu znajdzie się w centrum uwagi, witając gości swojego uroczego hoteliku położonego w malowniczym Knockton, gdziekolwiek to jest. Płonące polana, przyjazna atmosfera, mosiężne łóżka stworzone do zdrowego dymanka – cudzołożnicy mile widziani! Jego angielskie śniadanie, w całości ekologiczne naturalnie, stanie się legendą. Może nawet zacznie hodować świnię.

Nie dla niego wymuskane, pruderyjne pensjonaty, jakie widywał w przeszłości – nylonowe prześcieradła, pastelowa tapeta, oprawione szkice dam w krynolinach. Graniczące z niemożliwością prawdopodobieństwo jakiegokolwiek formy seksualnego kontaktu w pokoju z dwoma łóżkami śmierdzącymi odświeżaczem. Stoliki z „Reader's Digest” zdobione koronkowymi serwetkami z papieru. Nobliwa sala śniadaniowa, podzwanianie sztucców, pieprzniczka – pieprzniczka! – i małe pudełeczka dżemu, który najmniej lubił, truskawkowego.

– Ty w roli właściciela pensjonatu? – Quentin przycisnął serwetkę do ust, ukrywając kolejny uśmiezek.

– Napatrzyłem się na nie w swoim czasie. Na tournée i tak dalej. Po prawdzie, o ile się nie mylę, to w jednym z nich zostałeś poczęty. W Kettering.

Quentin się wzdrygnął.

– Zbytek informacji, tato.

– Graliśmy z twoją matką Sybil i Elyota w *Życiu prywatnym*.

Pierwsza żona Buffy’ego – teraz niestety już nieżyjąca, niech jej ziemia lekką będzie, była pełną wigoru, gorącą dziewczyną, której nie krępowały takie pospolite ograniczenia jak cienkie niczym papier ściany. Przypomniawszy sobie spuszczone wzroki innych gości, gdy oboje, pospiesznie umyjni i odświeżeni, pojawili się rano na śniadaniu. A Quentin, mały cud wewnątrz niej, właśnie się kształtował.

Nic dziwnego zatem, że dom noclegowy Bridie w Edgbaston był swego czasu jak wybawienie. W swoich najlepszych latach drżał w posadach i trzeszczał od seksu. Buffy pamiętał, jak kiedyś mignął mu Digby Montague, teraz z tytułem szlacheckim, śmigający po podeście w samych skarpetach. Była też Hillers, drapieżna lesbijka i niezapomniana lady Bracknell zarazem, siedząca przy stoliku śniadaniowym w kłębach papierosowego dymu i pieszcząca kolano jakiejś blond aktoreczki. Nawet koty grzały się ile wlezie, jedna z kocic okociła się na jego kołdrze. Piękne czasy.

Buffy, nagle zmęczony, pojechał do domu taksówką. Stać go było teraz na taką rozrzutność. W głowie mu się kręciło. Czy aby powiedział Quentinowi prawdę? Rzeczywiście jest w stanie spakować manatki i ulotnić się w nieznaną czy może chciał tylko udowodnić synowi, że w starym piecu jeszcze tli się ogień? Miał wrażenie, podobnie jak na rauszu, że wydarzenia gładko układają się w logiczną całość. Dzieci dawno dorosły i już go nie potrzebowały, jeśli w ogóle kiedykolwiek tak było. Jego czynsz miał niedługo wzrosnąć dwukrotnie. Poza tym, tak jak powiedział Quentinowi, dzielnica dawno zmieniła charakter. Czerstwe, kryjące się za firankami, cokolwiek żydowskie mieszkanki – tragiczne wdowy odmierzające życie łyżeczkami kawy – powymierały. Niektóre bywały potwornie upierdliwe, ale brakowało mu ich. Zastąpili je bananowi potomkowie bliskowschodnich biznesmenów, którzy kupili te mieszkania w charakterze mety na wypadek, gdyby ich kraje stanęły w ogniu, i imprezowali całe noce oraz palili gumy swoich sportowych bryk pod jego oknem. Nawet portiera, Teda, zastąpił bukiet plastikowych kwiatów.

Małżonki Buffy’ego albo nie żyły, albo dawno poukładały sobie

życie na nowo. Tak czy siak, był wolny, czy tego chciał czy nie. Potrzebował go jedynie jego terrier, a pies mógł żyć gdziekolwiek. Po prawdzie, uznał Buffy po zastanowieniu, Fig pewnie wolałby wieść.

Gdy zapadł wieczór, wybrał się z nim na spacer dokoła bloku. Poprzedniego psa, George'a, trzeba było ciągnąć na smyczy. Przypominał treskę, cały jakoś tak rozplaszczony i zmierzwiony. Penny mówiła, że wygląda, jakby kiedyś przejechał go samochód. Wszyscy uważali zgodnie, że to najleniwszy czworonóg pod słońcem.

Jego następcą okazał się zupełnym przeciwieństwem: hiperaktywny Jack Russell, który podskakiwał niczym piłeczka tenisowa i czekał na mijające go auta, na wszystko, co go mijало. Ta rasa była stworzona do polowań na króliki, żadną miarą nie były to londyńskie psy.

Buffy pomyślał: Jeśli się przeprowadzę, to tylko ze względu na Figa. Wydawało się to równie dobrym powodem jak każdy inny.

Monica

Monica nie popierała piątkowych dni bez krawata. Współpracownicy w biurze byli od niej o połowę młodszy. Wszyscy w City byli od niej o połowę młodszy. Wyglądali dobrze w dżinsach i trampkach, ale ona miała kruche ego – pracowała nad tym ze swoim terapeutą – i kostium dodawał jej pewności siebie. To poczucie autorytetu, tak drogo okupione, zostałyby podkopane przez denim. Zatem koledzy uważali ją za konserwę. Pech.

Acme Motivation organizowało imprezy korporacyjne – bankiety, wycieczki, pobyty integracyjne w hotelach w Cotswold, gdzie bankierzy baraszkowali jak szczeniaki i upijali się jak mopsy. Monica ze swoim asystentem Rupertem przygotowywała właśnie obiad w Hiltonie dla Maklera Roku. Rupert, pogodny, pucułowaty młody etończyk, rozmawiał przez telefon z klientem. Miał na sobie koszulkę z napisem „To nie jest brzuch piwosza, to bak maszyny do seksu”. Oczywiście klient go nie widział, ale przecież ubranie wpływa na sposób zachowania noszącej je osoby – na tym zasadza się sens istnienia branży modowej. Monica sama zresztą inaczej patrzyła na mężczyzn, gdy miała na sobie figi od Janet Reger.

Pomyślała: pod tym biznesowym kostiumem nadal jestem maszyną do seksu. Problem polegał na tym, że mężczyźni już nie chcieli tego odkrywać. Miała sześćdziesiąt cztery lata – fakt, z którym nie obnosiła się w pracy – ale zawsze bardzo o sobie dbała i dzisiaj jej czoło było sztywne od botoksu, po prawdzie tak sztywne, że nie mogła nawet unieść brwi w reakcji na koszulkę Ruperta, na jej komiczną niestosowność w odniesieniu do akurat jego osoby.

Sęk w tym, że im starsza się robiła, tym więcej czasu zajmowało jej przygotowanie się do publicznego oglądu i tym kruchsze okazywały się rezultaty tych wysiłków. Byłe podmuch wiatru potrafił w jednej chwili przeobrazić ją z eleganckiej bizneswoman w skudloną,

rozchełstaną staruchę, w której z trudem rozpoznawała samą siebie. W pewnym sensie zresztą nie miało to znaczenia, jako że i tak stała się całkowicie niewidzialna. Z jednej strony oznaczało to swoiste wyzwolenie, z drugiej było dołujące. Mężczyźni już się za nią nie oglądali na ulicy, nawet przelotnie. Czasami miała wrażenie, że w ogóle przestała istnieć. Siedziała teraz przy biurku, ustalając menu – żadnych wegetariańskich pozycji dla chłopców z City, oni lubią rozszarpywać zwierzęta. Zastanawiała się: Czy będę jeszcze kiedyś uprawiała seks? Czy ostatni raz był ostatni?

Skończyła pracę i szła Threadneedle Street. Pijani wylewali się z pubów na ulicę. Choć Monica nie odżegnywała się od drinka czy dwóch, zdumiewała ją ilość, jaką obalali młodzi. Kto by dał wiarę, że kraj tkwi w samym środku kryzysu? Upadek gospodarczy nie odbijał się w ogóle na ich błyszczących różowych twarzach – ani, jak się zdawało, wysokości premii. Na ścianie HSBC, gdzie ktoś wcześniej napisał sprejem POMIOT SZATANA, pozostała już tylko niewyraźna plama. Świat bankowości wydawał się nieporuszony chaosem, który wywołał – i całe szczęście dla niej, bo inaczej wyleciałaby z pracy. A w jej wieku, czy udałoby się jej jeszcze dostać nową?

Myśl była egoistyczna, wiedziała. Ale świat się nie patyczkuje: ciężko się naharowała, by znaleźć się tam, gdzie teraz była. Czasami, gdy czuła się roztrzęsiona, musiała skupiać się z całych sił, by utrzymać równowagę. Miała wrażenie, że jest cienka jak papier, utrzymywana w całości przez maleńkie zszywki.

O, czemu spacerujesz po łące w rękawiczkach, tłusta biała kobieto, której nikt nie kocha?*

Jutro miała istotnie wylądować na łące, w sposób dość haniebny, ale dziś wieczorem jechała na stojąco Northern Line. Przyjrzała się badawczo plamom wątrobowym na dłoniach. Wydawało się, że pojawiają się z dnia na dzień, tajemniczo niczym grzyby po deszczu. Wyobraziła sobie, jak mnie prześcieradło starymi artretycznymi rękoma na łożu śmierci, widziała taką scenę w niezliczonych czarno-białych filmach. Kto znajdzie jej zwłoki? Nie miała już nawet kota, który w takiej sytuacji stąpałby po łóżku, domagając się miaukliwie jedzenia, i ocierał się mordką o jej lodowaty policzek.

Wysiadła na Clapham South. Dzień był piękny i słoneczny. Dopiero teraz to do niej dotarło. Gdzieś śpiewał kos, melodyjne tony rozlewały się, oczyszczając świat. W drodze do domu zatrzymała się w Marks & Spencer, gdzie było zimno jak w grobie. Jej przyjaciółka Rachel poderwała tam kiedyś faceta w dziale z jednoporcjowymi daniami.

– Piątkowe wieczory są najlepsze – powiedziała jej. – Jeśli gość je wtedy sam, to musi być singlem. No i, rzecz jasna, z wyższej klasy średniej.

Romans Rachel nie przetrwał, ale przynajmniej zaróżowił jej policzki. Potem zakochała się w młodym Chorwacie, który przyszedł naprawić jej bojler. I teraz spędzała wieczory w swego rodzaju noclegowni, wypełnionej jego krajanami, gdzieś niedaleko Heathrow, zajadając się zimnym makaronem z plastikowej miseczki.

– Musisz tylko naprawdę być zainteresowana – powiedziała Monice. – Oni to wyczuwają, no, wiesz: feromony. – Zaczęła znowu nosić dzinsy i paradowała z kaskiem motocyklowym pod pachą, trofeum jej chłoptasia-kochanka. – Sześćdziesiątka to wiosna życia.

Jakże Monica nie cierpiała tego wyrażenia, zawadiackiego motta dzieci powojennego wyżu demograficznego, było w nim coś drobnomieszczańskiego. Poza tym sprawa wcale nie była taka prosta. Jej wiek się zmieniał, wymykał z rąk. Czasami czuła się jak zasuszona emerytka – była emerytką. Innym razem wydawało jej się, że znowu ma dziewiętnaście lat, gdy można było jeszcze palić w kinie, parkować gdzie popadnie i wynająć pokój za trzy funty tygodniowo. Gdy w autobusach jeździli konduktorzy i żył John Lennon. Gdy jedynymi mrożonkami były paluszki rybne i groszek.

Wpatrywała się w regały z jednoporcjowymi daniami. Jakiś mężczyzna stanął obok. Pod sześćdziesiątkę, bujny włos, płaski brzuch – rzadkość w ich przedziale wiekowym. Sięgnął po Wołowy kociołek – śladu obrączki – i obrócił go w dłoniach, jakby szukał podpowiedzi.

Dlaczego nie? To mogło się tak właśnie wydarzyć, właśnie tak przydarzyło się jej przyjaciółce Rachel. Zakochają się w sobie po uszy, ot, taki uroczy jesienny romans, i przeprowadzą do King's Lynn, miasteczka, w którym nigdy nie była i dlatego pełnego możliwości. Będą

się ekscytować tym późnym rozkwitem uczuć, stukając się kieliszkami w zalanym słońcem salonie, i zachwycać tamtą chwilą w M&S, gdy ich przyszłość zakręciła się wokół sześciopensówki.

Monica wskazała na półki, próbowała też unieść brwi, ale jej czoło było jak z betonu.

– Tyle tego, że kręci się w głowie – powiedziała. Chciała dodać: taki wybór, a tylko jedno słowo na miłość. Ale uznała, że to zabrzmia głupio.

– Oj tak, wiem coś o tym. – Mężczyzna włożył paczkę do koszyka i posłał jej uśmiech.

– Podobnie jak z kanałami w telewizorze – ciągnęła Monica. – Albo z aplikacjami w telefonie.

– W tym cała bieda – westchnął. – Moja żona jest wegetarianką, ale ja nie trawię paszy dla królików. – Sięgnął po kolejną paczkę. – Może zapiekanka z brokułów jej zasmakuje.

Zawsze pozostawał jeszcze Graham. Graham z Norbury, gdziekolwiek to jest. Monica mgliście kojarzyła nazwę miasteczka z rozkładu jazdy pociągów. Jeśli go spyta, z pewnością poda jej dokładną lokalizację, gdy spotkają się na kawę jutro rano. To może rozkręcić rozmowę.

Jednak szczerze mówiąc, nie wiązała wielkich nadziei z Grahamem. Na swoim profilu informował, że ma poczucie humoru – nieomylny znak, że za grosz go nie posiada. Jak oni wszyscy, lubił zarówno domowe pielesze, jak i dalekie spacerzy. Opisywał siebie jako wrażliwego i zarazem asertywnego, to ostatnie słowo lekko ją zaniepokoiło – czyżby lubił wiązać kobiety? Ale nie wyglądał źle, sądząc po jego fotce w krótkich rękawkach na patio. Kolejna przedstawiała go w stroju do nurkowania.

I to naprawdę dodawało pieprzyku weekendowi, takie spotkanie z nieznaną mężczyzną – swego rodzaju randka z kimś, kto jest zainteresowany. Monica niemal mogła znowu poczuć się jak dziewiętnastolatka. Była głęboko wdzięczna tym mężczyznom z portalu za to, że po prostu są dostępni. Miała dość samotnie spożywanych jednoporcjowych dań. Miała dość tego, że ilekroć gawędziła z jakimś facetem na przyjęciu i wszystko szło jak po maśle, nagle jak spod ziemi

wyrastała młoda Azjatka w roli żony, splatając palce z jego palcami i wpychając mu do ust tartinkę. Prawie wszyscy mężczyźni w jej wieku byli żonaci – wielu po raz drugi z młodszym modelem, ale żonaci. Nawet notoryczni zdrajcy zawieszali w końcu na kołku swoje namiętności, przechodzili w stan spoczynku i wracali do cierpiących w milczeniu żon. To było takie niesprawiedliwe. Też mieli zmarszczki – po prawdzie o wiele więcej niż ona – ale bez względu na to, jak zniedołężniali, wiarołomni, zapijaczeni, próżni czy pochłonięci sobą byli – wiecznie gładzący o swojej pracy, o swoich problemach z prostatą, o swoim, uchowaj Boże, handicapie w golfie – bez względu na to, jak bardzo się ślinili i przynudzali, zawsze znajdowała się gdzieś kobieta, która chciała uprawiać z nimi seks. A także kochać ich, dbać o nich i pić na przyjęciach sok pomarańczowy, by móc potem odwieźć ich do domu.

Monica naląła sobie kolejną lampkę wina. Pomyślała: Chcę mieć kogoś, komu mogłabym gotować. Chcę kogoś, kto wyrzywałby mi z dłoni bilet parkingowy ze słowami: nie zawracaj sobie tym pięknej główki. Chcę kogoś, z kim mogłabym się śmiać podczas *The News Quiz*. Kogoś, kto by mnie chronił przed tymi zdziercami, hydraulikami. Kogoś, kto leżałby ze mną w łóżku, nagi, i obejmował mnie ramionami.

Zadzwoił telefon. To był Graham.

– Czy mówię z, eee, Monicą? – spytał. – Wybacz, ale nie dam rady dotrzeć na nasze spotkanie. Wyleciały mi zęby i muszę iść do dentysty.

Następnego ranka Monica obudziła się z zaschniętym gardłem i bólem głowy. Wyglądało na to, że osuszyła sama butelkę wina.

– Imprezka, co? – spytał ją sąsiad, gdy wynosiła kubek ze śmieciami.

Postawiła go z brzękiem na ziemi. Oczywiście, że nie piła dużo. Po prostu miała stresującą pracę i musiała się zrelaksować po powrocie do domu. To było tylko pinot grigio, na miłość boską, w zasadzie bezalkoholowe. Poza tym robiła w branży eventowej, a ta funkcjonuje na procentach.

Tej właśnie soboty, po teraz już nieaktualnej kawie z Grahamem, miała pojechać do Burford, by sprawdzić nowy hotel. Wiedziała, że kierownictwo niewątpliwie ją suto podejmie. Ta perspektywa napawała ją przerażeniem.

Bo to był ten sam hotel, Pod Cisem. Wprawdzie wyremontowany, ale ten sam. „Ze wszystkich hoteli na świecie...”

Nagle pojawił się obok Malcolm, czuła niemal jego oddech na twarzy. Towarzyszył jej dzień i noc, nie oddalał się ani na krok, a teraz przybrał swój bogartowski ton i uniósł jedną brew. Zawsze był podłym naśladowcą, ale ona miała to gdzieś... Malcolm, miłość jej życia. Malcolm, żonaty mężczyzna.

Burford, u wlotu Cotswold, dogodnie położone godzinę jazdy od Londynu (jeszcze dogodniej dla Malcolma, który mieszkał w Ealing). Burford, ze swoją sławną główną ulicą pełną staromodnych herbaciarni (Malcolm z czułością ścierający dżem z jej brody). Rynek staroci pełen niezwykłych podarków i kolekcjonerskich trofeów (Malcolm podszczypujący ją po tyłku, gdy wspinała się po schodkach na piętro – „Więcej stoisk na górze”). Malownicze trasy spacerowe (Malcolm puszczający jej dłoń, gdy pojawiali się inni spacerowicze. Na miłość boską, prawdopodobieństwo, że spotkają tam kogoś znajomego, graniczyło z zerem!). Olśniewający ratusz wzniesiony z kamienia barwy miodu (Malcolm w budce telefonicznej na zewnątrz – to ukradkowe skulenie ramion niewiernego męża. Nie znano wtedy jeszcze czegoś takiego jak telefon komórkowy, sprzymierzeniec i – czasami – wróg zdradzających małżonków).

Spędzili w Burford cztery weekendy. Za pierwszym razem była podróżą w interesach do Rouen. Potem konferencją w Scarborough. Była także wizytą u starego kumpla ze szkoły. A ostatnim razem... nie pamiętała już, wiedziała tylko, że to był ostatni raz.

Zaparkowała przed hotelem, obok rzędu SUV-ów i jednego porsche. Znajomą fasadę okalały drzewa laurowe w cebrzykach. Wyłączyła silnik. Dni spędzone z Malcolmem, tu i wszędzie indziej, każdy tak krótki, każdy tak intensywny, pozostawały zapieczętowane w szkatułkach jej pamięci jak przedmioty wotywnie w grobowcu. Wielokrotnie z różnych okazji zdarzało się jej zdejmować wieczka i badać je ponownie, ale przez cały ten czas pozostały nienaruszone niczym zakonserwowane w formaldehydzie. Jak to możliwe, że ten stary hotel zachował się w jej głowie niezmienny ani na jotę, podczas gdy przeszedł gruntowny remont i przeróbkę za milion funtów?

W złotej erze związku jej i Malcolma hotel Pod Cisem był zapyziałym, śmierdzącym brukselką zajazdem z dywanami w jaskrawe wzory i barometrem w holu – miejscem, do którego żaden z ich znajomych by nie zajrzał – i o to chodziło. Karta dań była komicznie archaiczna, nawet jak na tamte czasy: koktajl z krewetek, tort szwarcwaldzki. To było ostatnie miejsce na świecie, gdzie nadal serwowano jeszcze cienkie tosty melba.

– To niemal obiekt wartości archeologicznej – powiedział Malcolm, odgryzając kęs.

– Podobnie jak kelner – wyszeptała Monica.

Uśmiechnęli się do siebie z nogami splecionymi pod stołem. Jakże statecznie wyglądali inni goście, panowie w marynarkach i ich małżonki! Jakże beznamiętnie małżeńscy. Mimo to Monica darzyła ich sympatią, włączeni w miłość jej i Malcolma nabierali cieplejszych rysów w jej orbicie. Byli nieświadomymi współkonspiratorami ich uczucia.

– Żałuję, że cię nie znałem... – Malcolm urwał. Oderwał kawałek tostów, posmarował go pastą z makreli i wsadził do ust. – Pogadajmy o nich. – Wskazał jednego z gości. – Myślisz, że jest rosyjskim szpiegiem?

Wielki Boże, naprawdę go kochała.

A teraz była tu znowu. Joe, kierownik, zaprosił ją do środka.

– Miejsce było potwornie zapuszczone. Nora, mówiąc bez ogródek, przeżarta suchym murszem. Ludzie musieli mieć nie po kolei w głowie, żeby decydować się tu na nocleg.

Oprowadził ją po holu. Szare ściany, podświetlone bukiety lilii, powiększone zdjęcia amerykańskich kabrioletów rdzewiejących na pustyni. Personel, młody i miły dla oka, poruszał się z gracją gazeli.

– Jeśli chce pani przed lunchem obejrzeć pokój, mamy akurat jeden wolny – oznajmił Joe.

Okazało się, że to jeden z ich dawnych pokoi. Po prostu musiało tak być. Numer 12, z widokiem na kościół.

– Supernowoczesne centrum rozrywki. – Joe wskazał rząd mrugających światełek. – Bang and Olufsen. Oczywiście Wi-Fi, kino domowe.

Wystrój był ciemny – grafitowe ściany, rdzawoczerwona narzuta

na łóżku zarzuconym stosem poduszek z czarnej satyny. Na ścianie wisiało zdjęcie zrujnowanej fabryki.

– Zależy nam na stylowym, zmysłowym charakterze z charakterystyczną paletą kolorów. – Wskazał zdjęcie. – Szczególnie chlubimy się amerykańską sztuką z regionu Pasa Rdzy. Goście bardzo ją chwalą.

Monica próbowała sobie przypomnieć, jak to było. Malcolm nagi w rozrzuconej pościeli, tapeta z wypukłym wzorem, brązowa plama na suficie od starego przecieku, gaśnica, na wypadek gdyby się zapalili. Dzwony kościelne wzywające cnotliwych na modły. Pamiętała, że pili wino z przeschmuglowanej butelki. Malcolm miał węża w kieszeni, nie chciał korzystać z minibarku, ale jej to nie przeszkadzało, jego wady były zmartwieniem żony, a poza tym, kto by zwracał uwagę na takie drobiazgi, gdy przyciągał ją do siebie i otwierał wargi na jej wargach, a wino zalewało jej usta?

– Napatrzyła się pani? – spytał Joe.

Zabrał ją do łazienki. Wanna z niegładzonego wapienia, kosmetyki naturalne Cowshed, drugi płaski telewizor.

– Oferujemy kameralność hotelu butikowego z powierzchnią, jakiej wymaga pani firma.

Czekał na jej komentarz. Monica dopiero teraz mu się przyjrzała – z wyglądu model, z orientacji przypuszczalnie gej, pocił się w czarnym golfie. Dzień był upalny. Traktował ją z aroganckim brakiem zainteresowania. Na bank widział w niej zasuszoną starą pannę, jedną z tych karierowiczek w średnim wieku, które mieszkają z kotem, są na diecie bezglutenowej i piją tylko herbatki ziołowe. Jeśli w ogóle ją widział, naturalnie.

Bąknęła coś w odpowiedzi. Oprowadził ją potem po spa, salach masażu, centrum konferencyjnym. Zjedli lunch na tarasie i omówili różne pakiety oraz stawki. Kelner napełnił ponownie jej kieliszek. Po raz tysięczny zadała sobie pytanie: Czy Malcolm w ogóle kiedykolwiek miał zamiar odejść od żony?

Tak się jakoś składało, że zawsze pora była nieodpowiednia. Przez lata po jednym kryzysie następował kolejny. U Hilary, jego żony, podejrzewano raka piersi. Córka wyleciała z uniwerku za handel

prochami. U syna zdiagnozowano chorobę dwubiegunową. Potem Malcolm wylądował przelotnie na bezrobociu i musiała go wspierać. Wreszcie, gdy obiecał, że teraz definitywnie się uwolni, jego matka dostała alzheimera i cała rodzina wiła się w poczuciu winy, nie wiedząc, czy umieścić ją w domu opieki czy nie.

Monica rok za rokiem żyła tak ich życiem, sama w nim nie uczestnicząc. Oni pławili się w słońcu, podczas gdy ona tkwiła w cieniu przez kolejne lata pospiesznych dymanek w pokojach hotelowych w całej Anglii i Europie, krótkich lunchów w nadrzecznych pubach, gdzie pieścili swoje dłonie, zakochani zamknięci w swoim świecie, kolacji przy świecach w jej mieszkaniu, gdy wkładała wymyślną bieliznę i udawała, że nie widzi, jak on ukradkowo zerka na zegarek. Ich romans tkwił w stagnacji, podczas gdy jego rodzina szła do przodu, córka wychodziła za męża, jakże mógł wtedy odejść. Miała wrażenie, że ogląda operę mydlaną – przez dziewięć lat zebrała jej się kolekcja wszystkich sezonów *Malcolma i jego rodziny*. A jej życie nie zmieniało się ani na jotę, ona nie zmieniała się dla niego ani na jotę przez te wszystkie lata, raz po raz wciskając się w swój paraliżujący ruchy gorset, świadoma jedynej władzy, jaką nad nim ma, władzy kochanki. Nie były im pisane udręki domowego życia, zamartwianie się ubezpieczeniem samochodu i domowymi naprawami. Śniadania, krzyżówki.

Życie rodzinne z Malcolmem. Chryste, jak tego pragnęła. Czasami tak bardzo, że myślała, że eksploduje.

Kelner ponownie napełnił jej kieliszek. Nie należała do osób, które płaczą publicznie. Poza tym była tu w interesach. Założyła okulary, by przyjrzeć się karcie deserów. Przypomniała sobie tamten ostatni weekend i nagłą świadomość, jaka wtedy na nią spłynęła. On chce zjeść ciastko i je mieć. Siedzieli w tym samym miejscu co ona teraz, na tarasie, i gdy popatrzył na menu, podrapał się po głowie. Wtedy już przerzedzały mu się włosy. Pomyślała z ogromną jasnością: Ja jestem jego kąskiem na boku.

Jakże zabolęła ją to stwierdzenie. Przecież ich związek różnił się od innych, w końcu była miłością jego życia, więc chyba takie banały nie miały w ich przypadku zastosowania? Ale słowa wryły się, niczym szrapnel, głęboko w jej ciało, pod skórę, i lata minęły, zanim wy dostały

się na powierzchnię.

To wszystko było tak dawno temu. Po przejściu na emeryturę Malcolm ponoć osiedlił się z Hilary w Dordogne – posunięcie siedemdziesięciolatka, niemal tak trąące myszką jak tosty melba. Monica wyobrażała sobie jedną z tych francuskich miścin, jakich wiele: domy z okiennicami i amputowane platany. Punktem dnia Malcolm i Hilary jest pewnie pchanie wózka po miejscowym Carrefourze, na przedmieściach, otoczonym przez pola słoneczników. Wieczorami upijają się regionalnym winem, czytają książki w miękkich okładkach, wymieniane z innymi Brytolami, i fejsują ze starymi znajomymi, których z desperacji zapraszają do siebie dla zabicia nudy.

Czy jeszcze czasem myśli o mnie? – zachodziła w głowę Monica. O tym, jak ukradł dziewięć lat mojego życia. O tamtym ostatnim dniu w Burford, gdy doszło do ostatecznej konfrontacji przed sklepem z upominkami. Tabliczka przed wejściem ostrzegęła: „Za towar uszkodzony płaci klient”. On nie zapłacił, prawda?

– Jest pani pewna, że może prowadzić? – spytał Joe.

Monica zerwała się na nogi.

– Oczywiście – warknęła, starannie zasuważąc krzesło.

Pożegnała się z nim w holu. Ale czuła jego wzrok na plecach, gdy szła do auta. Proszę bardzo, patrz sobie! Wszystko z nią w porządku. Otwiera drzwi, uruchamia silnik.

Słynna główna ulica Burford była zakorkowana przez autokary. Wypluwały z siebie hordy zombi – starszych pań w pastelowych kardiganach i beżowym obuwiu. Wszędzie tutaj się od nich roiło: świeży fryz na siwych głowach, niektóre z laskami, inne na elektrycznych wózkach. Wlokły się dokoła antycznych arkad, blokując przejście, zaględały przez okna wykuszowe wystaw do Country Casuals, bez końca deliberując, ale nigdy nie wchodząc do środka, paraliżowały pocztę, obracając w artretycznych dłoniach pocztówki ze zdjęciami owiec hasających wśród żonkili, i zawsze, ale to zawsze gromadziły się gęsiego w szaletach miejskich czy kawiarnianych toaletach w kolejce do sikania. Śmiali się z nich z Malcolmem.

– Wyobraź je sobie, jak komuś obciążają – szeptał.

Oboje, nasyceni seksem, mieli ubaw ze starowinek – było wśród

nich kilku dziadków o pałakowatych nogach i w płowych anorakach, ale większość stanowiły babuleńki. Monica myślała wtedy: Za skarby świata tak nie skończę.

Nagle poczuła, że musi się stąd natychmiast wydostać. Otrąbiła furgonetkę z przodu. Wjechała na wzniesienie, okrążyła rondo i zjechała na A40. Dodała gazu, ominęła jakiegoś guzdrałę i wyprzedziła furgonetkę Sky Broadband. Jej kierowca wcisnął klakson, ale Monica miała to gdzieś. Była jeszcze młoda, zaledwie sześćdziesięcioletnia, jeszcze nie wszystko za nią. Samochód z przodu, podrasowane mini, miał na tylnej szybie naklejkę: Wsiądź, usiądź, zamknij się i trzymaj.

Gość w jej stylu! Monica przyspieszyła. Pieprzyć kalafiorowe głowy, pieprzyć Malcolma, pieprzyć ich wszystkich.

Mini zwolniło. To ją trochę zaskoczyło. Zmieniła pas i je wyprzedziła. Wtedy, zerkając w lusterko, zrozumiała dlaczego.

Połykując kogutem, zbliżał się policyjny radiowóz.

Dopiero wtedy sama przed sobą przyznała, że jest pijana. W jednej sekundzie przed oczyma zobaczyła swoją przyszłość. Każą jej zjechać na bok i dmuchać w balonik. Potem nastąpi publiczne upokorzenie. Straci prawo jazdy, straci pracę. Jest starzejącą się kobietą, której zajęcie wymaga częstych podróży, będzie skończona. Co wtedy ją czeka, oprócz samotności i śmierci?

Z tyłu rozległ się dźwięk policyjnej syreny. Monicę zarzuciło na skraj drogi, auto podskoczyło na trawie i się zatrzymało.

Policja pojechała dalej.

Wyłączyła silnik. Radiowóz zniknął, odgłos syreny cichł powoli. Obok przejeżdżały ze świstem samochody. Siedziała tak, zgarbiona nad kierownicą, i zaczęła się trząść ze śmiechu.

Po chwili wysiadła z auta i zanurkowała pod ogrodzeniem z drutu kolczastego. Uznała, że powinna położyć się na chwilkę i wytrzeźwieć. Znajdowała się na łące, odgłosy pojazdów zamieniły się w odległy szum. *O, czemu spacerujesz po łące w rękawiczkach?* Musiała wyglądać osobliwie w biznesowym kostiumie, ale dokoła nie widać było żywej duszy. A od strony drogi zasłaniał ją żywopłot.

Gdzieś śpiewał ptak. Bóg jeden wie jaki. Ptasiarstwo, podobnie jak

czytanie biografii, uważała za rozrywkę emerytów. Przypomniała sobie pewne popołudnie, upalne jak to dzisiaj, gdy kochali się z Malcolmem na polu. Gdy wrócili do hotelu, zagadnęła ich para ornitologów hobbystów. „Monica też miała dziś spotkanie z ptakiem”, poinformował ich Malcolm.

Choć wówczas uznała odzywkę za zabawną, z perspektywy czasu uderzyła ją jej wulgarność. Malcolm miał w sobie coś z handlarza używanych samochodów, to jedna z jego cech, która wtedy ją pociągała. Ale czy kupiłaby od niego starego grata?

Położyła się na trawie i zamknęła oczy. Tłusta biała kobieta, której nikt nie kocha. Pomyślała: Nie zamierzam umrzeć w samotności. Jutro ponownie zaloguję się na portalu. Chyba stać mnie na kogoś lepszego niż bezzębny rzeczoznawca?

Nie miała pojęcia, jak długo spała. Sny pojawiały się jeden za drugim. W jednym z nich wybrała się na wycieczkę rowerową z Harrisonem Fordem. Spędzili noc w pensjonacie, a teraz on całował ją po czole, po oczach. „Pysiu”, wymruczał, czuła wilgoć jego języka na skórze.

Ocknęła się gwałtownie. Coś lizało ją po twarzy.

– Pysiu! – zawołał jakiś mężczyzna.

Przed oczyma zafalowała jej jego twarz. Patrzył na nią.

Półprzytomna, usiłowała zebrać myśli.

– Pysia, ty niegrzeczna dziewczynko!

To pies lizał ją po twarzy. Mężczyzna chwycił go za obroże i odciągnął.

– Bardzo przepraszam – powiedział. – To jeszcze szczeniak.

Mówił zdyszany, pewnie biegł przez łąkę. Monica usiadła i starła ślinę z policzka. Bolały ją ręce i nogi, w powietrzu czuć było ziąb.

– Wszystko w porządku? Dobrze się pani czuje? – indagował nieznajomy.

– Taki piękny dzień – wymruczała.

Wstała i otrzepała spódnicę z trawy. Unikając wzroku mężczyzny, pogłaskała labradora. Machał ogonem i wpatrywał się w nią wilgotnymi brązowymi oczyma. Z fافلi u pyska zwisały mu pasma śliny.

Mężczyzna zapiął smycz. Dołączyła do niego kobieta,

przypuszczalnie żona, i dwójka małych dzieci.

– Myśleliśmy, że coś się pani stało – powiedziała nieznajoma.

Splotła palce z palcami męża.

Dzieci wpatrywały się w Monicę bezpośrednim szczerym spojrzeniem. Jedno z nich spytało:

– Dlaczego ta pani leżała na łące?

* Frances Cornford, *To a Fat Lady Seen from the Train, Poems*, 1910.

Buffy

Walijskie miasteczko Bridie istotnie znajdowało się kawał drogi od Soho – 176 mil gwoli ścisłości. Z drugiej strony, samemu Soho daleko było teraz do Soho. Dawny teren wypadów alkoholowych Buffy’ego zmienił się nie do poznania, roilo się w nim od młodych ludzi wydzierających się jeden na drugiego i wymiotujących na ulicy. Buffy już tam nie przynależał. Przypomniało mu się, jak kiedyś wykopywał ziemniaki – jędrne, białe młode bulwy, a wśród nich jeden sadzeniak: brązowy, pomarszczony, nadmiarowy.

Ten jeden raz jednak Buffy nie użalał się nad sobą. Los dawał mu szansę na nowe życie i tylko od niego zależało, czy ją wykorzysta. I teraz przybył na rekonesans. Zameldował się w Knockton Arms, w centrum miasteczka. Choć chylący się ku upadkowi i opustoszały – najwyraźniej Buffy był jedynym gościem – hotel przyjmował psy, a w barze się okazało, że jajko po szkocku jednak nie wyginęło tak całkowicie.

Przybył późno, gdy dostępne były już tylko kanapki, i wdał się w pogawędkę z kierownikiem, Dafyddem, który polerował kieliszki na tle odległego szumu odkurzacza. Buffy zapytał o Bridie.

– Ognista stara – powiedział Dafydd. – Mogła obalić baileysa. Zdaje się, że miała jakieś powiązania ze środowiskiem aktorskim.

Buffy powiedział mu, że sam też je miał.

– Tak mi się zdawało, że rozpoznaję głos. – Dafydd przestał polerować. – Pan jest wujkiem Buffym! Moje szkraby słuchały pana w radiu.

Buffy skromnie skinął głową.

– Wujek Buffy i jego gadający chomik. Jakże on się wabił?

– Chomi – powiedział Buffy. – Tylko proszę mnie nie winić, nie ja to wymyśliłem.

– Był też Voley z takim skrzekliwym głosem. – Dafydd podniósł

głos. – „Ty tutaj, mój futerkowy przyjacielu?”
– Ja go nie robiłem – wyjaśnił Buffy. – To ten drugi.
– „A niech to, chodźmy trochę pofiglować!”
– Voley się nie utrzymał, skreślili go potem ze scenariusza.
Pojawiła się chuda dziewczyna z odkurzaczem.
– Edona, skarbie, gościmy sławnego aktora – zawołał Dafydd.
Dziewczyna włączyła hoovera.
– Niech się pan nią nie przejmuje – wrzasnął menedżer,
przekrzykując szum maszyny. – To Albanka.

Buffy czuł się połączony i pokrzepiony. Miło było być pamiętanym. Mimo tego, co powiedział Dafydd, to zawsze był program Chomiego, inne role stanowiły tylko dodatek. Ale swego czasu zapewniał mu niezły dochód. Melodyjny głos Buffy’ego usypiał całe pokolenia dzieci. Pewnie i ich rodziców.

Następny dzień wstał cudownie słoneczny, co ponoć nieczęsto się zdarzało w tych stronach. Po tłustym i w dużej mierze niejadalnym śniadaniu – na tym polu nie groziła mu zatem konkurencja – Buffy ruszył z Figiem na przechadzkę główną ulicą miasteczka.

Teraz, za dnia, widział, że Knockton otaczają wzgórza. Prospekt turystyczny głosił, że dziewicza okolica jest „idealna na piesze wędrówki i obfituje w dziko żyjące gatunki fauny i flory”. Samo Knockton było kwitnącym miasteczkiem targowym z mnóstwem prywatnych sklepików, które chlubiło się „kilkoma wartymi uwagi budowlami i pięknym piętnastowiecznym kościołem”. Buffy jednakże nie był zwykłym turystą. Jego zainteresowanie miało głębszy, bardziej osobisty podtekst: czy może tu zamieszkać? Czuł się bardziej jak na wystawie sztuki komercyjnej niż na wystawie w National Gallery, mógł wejść w posiadanie jednego z płócien.

Był sobotni ranek i wszędzie kręcili się ludzie. Jak uroczym oglądali w promieniach słońca! Pozdrawiali się przez ulicę. Jakiś pryszczaty młodzieniec – uśmiechnięty pryszczaty młodzieniec – niósł do auta zakupy starszej pani. Buffy zauważył mięsny, warzywniak i – wielkie nieba – sklep z konfekcją męską. Nie miał pojęcia, że jeszcze istnieją takie przybytki. Jakiś chłopiec oparł swój rower o ścianę, zamiast po prostu porzucić go w przejściu, z obracającymi się wciąż kołami, by

ludzie się o niego potykali. Nie było też śladu psów-morderców o pałkowatych nogach i sterczących mosznach. Tylko border collie, który kurtuazyjnie obwąchał Figa, witając go w mieście i jego zapachach, po czym poczłapał dalej. A listonosz pogwizdywał.

Buffy pomyślał: Nie miałem pojęcia, że ludzie gdzieś tak żyją. Zatrzymał się przed piekarnią. Fig chleptał wodę z miski troskliwie wystawionej przed drzwiami. Szybę wystawową oklejały reklamy Green Man Festival i występów amatorskich teatryków. Czy to możliwe, że znalazł społeczność, za którą tęsknił przez te wszystkie lata? Miejsce, gdzie mógłby znaleźć swoje miejsce? Czy jedna z tych podstarzałych hippisek z ekologiczną siatką na zakupy („Dbaj o zielone Knockton”) może zostać kolejną miłością jego życia?

Nie, z tym już skończył. Poza tym kto by go chciał? Był jak używany samochód mający zbyt wielu właścicieli, z których każdy zgłaszał własne zastrzeżenia co do jego części i osiągow. Nie, to zostawił już za sobą, ale na złomowisko jeszcze nie był gotowy. Miasteczko spodobało mu się na tyle, żeby się tu przeprowadzić. Żałował, że nie pamięta więcej z tego, co opisywała mu w listach Bridie.

Jeszcze nie widział jej domu. Swojego domu. Myrtle House przy Church Street. Za godzinę miał się tam spotkać z notariuszem.

Serce waliło mu w piersi. Żałował, że nie ma przy sobie kogoś, kto służyłby mu moralnym wsparciem. Było za wcześnie, by szukać pokrzepienia w obiecująco wyglądającym pubie King's Head. „Wieczorem: Jetro i Marzyciele”. Wyobraził sobie jowialnych wieśniaków brzdąkających na bandžo. Już widział własny kufel wiszący na belce. Żadnych top szefów z bożej łaski. Ani bankierów. Jedyne land rover w zasięgu wzroku miał karoserię upačkaną błotem i owcę na tylnym siedzeniu.

Buffy

Minęło kilka miesięcy. Kwestie prawne zostały załatwione i dom należał już do Buffy'ego. Pakowanie przeszłości wywołało w nim jednak nie lada wstrząs; zakładał wcześniej, że już nigdy nie będzie musiał tego robić. Od czasu ostatniego rozvodu stan jego lokum bardzo się pogorszył – po prawdzie tak bardzo, teraz mógł to przyznać, że mieszkanie upodobniło się do chlewu. Stało się tak po części wskutek jego lenistwa, a po części niechęci do wyrzucania czegokolwiek.

W przeszłości bywało to powodem tarć.

– Zbieractwo jest takie centusiowskie, skarbie – mawiała Penny, jego ostatnia żona. – Przecież nie jesteś imigrantem ani jakimś Żydem.

Każdą szafkę i szufladę w jego mieszkaniu zapychały reklamówki i kartonowe pudła, pokój gościnny był tak zagracony, że drzwi się nie otwierały.

Tyle wspomnień przy okazji pakowania zostało ekshumowanych. Taboret pochlapany farbą z czasów jego i Popsi młodzieńczych prób prowadzenia domu, maszynka do mięsa, która należała do jego matki – kiedy ostatni raz ktoś jadł prawdziwy kotlet mielony? Gry planszowe z obowiązkowo brakującymi pionkami, o które kłóciły się jego dzieci. Para wrotek – Bruno chwiejący się i czepiający starszego brata...

Proces likwidacji mieszkania okazał się bolesny jednak nie tylko dlatego, że ożywiał przeszłość. W bezlitosnym świetle dnia te wszystkie latami składowane rzeczy zamieniły się w rupiecie. Były rupieciami. Czemu, na Boga, w ogóle zawracał sobie głowę ich przechowywaniem, tych zakurzonych pamiątek wydarzeń, które ledwo pamiętał? Miałby problem ze zbyciem ich na giełdzie rzeczy używanych.

Problem polegał na tym, że najwartościowsze okazy zniknęły. Jacquetta, jego druga żona, je zwędziła. Podczas ich małżeństwa przejawiała nonszalancki brak poważania dla rzeczy materialnych – była malarką, kobietą księżycową, twórczym duchem, który żył na wyższej

plaszczyźnie bytu niż większość ludzkości spędzająca soboty w centrach handlowych. Buffy podejrzewał, że i jego zaliczała do tych konsumpcyjnych hord, ale to było nie fair, był tak samo jak ona wyzuty ze zmysłu praktycznego, jeśli szło o ziemskie dobra – na przykład nigdy nie odkrył, jak obsługiwać mikrofalówkę, którą teraz znalazł wepchniętą pod łóżko.

Choć naturalnie ją kupił. Fakt, że utrzymywał Jacquettę latami, gdy płodziła jeden niesprzedawalny obraz po drugim, ona sama uważała za oczywistość, która bezkolizyjnie koegzystowała w jej głowie z poglądami feministycznymi. Logika nigdy nie była jej mocną stroną. Sugerowała nawet, że w kwestii finansów jest coś brudnego. Mimo to, gdy ich małżeństwo się rozpadło, nagle rzuciła się do działania i wynajęła krwiożerczą bestię pod postacią adwokata z City, a ten ją obdzierał Buffy'ego z jego aktywów, w tym z obrazu Ivona Hitchensa, który, zdaniem Jacquetty, tylko ona ze swą wrażliwością potrafiła docenić.

Takie chwile paraliżowały Buffy'ego. Nic dziwnego, że pakowanie zajęło mu tyle czasu. Oczywiście nie wszystkie wspomnienia wywoływały gorycz, ale te szczęśliwe były tak samo czasochłonne. No i pozostawała cała masa decyzji do podjęcia. Co z prezentami, które dostał od dzieci, dawno zepsutymi przedmiotami wykonanymi z rolek papieru toaletowego i wieszaków? Jak mógłby je wyrzucić? Co z pudłami pełnymi zakurzonych kaset, nagranych przez jego różne ukochane, opisanych spłowiałym już do sepii pismem z zawijasami i na zawsze skazanych na milczenie z powodu jego nowego sprzętu odtwarzającego tylko płyty CD?

– Rany, tato, jest kurewsko wielki – oznajmił Bruno, schodząc na dół. – Sześć sypialni, ja pierdolę.

– I we wszystkich są umywalki, widziałeś? – spytał Tobias.

– Jeśli pensjonat nie wypali, zawsze możesz otworzyć burdel – zasugerował Bruno.

– W dechę pomysł – zgodził się Tobias. – Miejscowi byliby zachwyceni. Wreszcie jakaś odmiana od dymania owiec.

Tobias i Bruno zachichotali. Chociaż obaj byli po trzydziestce, w swojej obecności cofali się w rozwoju, trącając się łokciami

i przerzucając infantylnymi żarcikami. Przyjechali, żeby pomóc Buffy'emu się urządzać. Usiedli w kuchni w otoczeniu skrzyń i walizek i otworzyli butelkę whisky.

– Ty na serio z tym domem noclegowym? – spytał Tobias. – Wiesz, masz siedemdziesiątkę na karku.

– Tak jak moja przyjaciółka, Bridie.

– No taaak, ale twoje serce, plecy...

– Twoja prostata – dorzucił Bruno.

– O to się nie martw – uspokoił go Tobias. – Tu są trzy kible.

Buffy napełnił kieliszki, patrząc z czułością na synów. Mieli razem spędzić noc, od lat się to nie zdarzyło. Podczas zamieszania ostatnich kilku tygodni jego dzieci przybyły z pomocą. Nawet Celeste przyjechała z Francji, żeby pakować rzeczy w worki foliowe. Cokolwiek nimi kierowało, okazali się zaskakująco pomocni. Przypomniawszy sobie, że kiedyś, gdy podejrzewano u niego zawał, też się tak zbiegli. Było to warte tego całego bólu i grozy.

– Najpiękniejsze w domu noclegowym jest to, że wyrzucasz gości po śniadaniu i masz cały dzień dla siebie.

– Ale kto będzie przygotowywał to śniadanie?

– Ja, oczywiście.

Jego synowie zachichotali. Tymczasem Buffy był specjalistą od angielskiego śniadania. Przygotowując je, próbował, jak wielu rozwiedzionych ojców, przypodobać się dzieciom, gdy u niego nocowały.

– A co z praniem i całą resztą? – spytał Tobias.

– Jest tu dziewczyna, która pracowała dla Bridie – powiedział Buffy. – Na pewno uda mi się ją przejąć.

Tak naprawdę w zderzeniu z rzeczywistością determinacja Buffy'ego trochę osłabła. Był jednak zdecydowany brnąć dalej. Prowadzenie domu noclegowego oznaczało towarzystwo i dochody. Obie te kwestie bardzo się liczyły u schyłku życia. Nyange zaproponowała, że zajmie się księgowością, zrobiła rekonesans w sieci i odkryła, że ceny w bardziej ekskluzywnych pensjonatach i domach noclegowych w okolicy niewiele odbiegają od tych hotelowych.

– Ekskluzywnych? – Tobias uniósł brwi.

Gapili się we trójkę na sufit zażółcony od nikotyny, świetlówkę upstrzoną muchami i monumentalny, zbijający z tropu piec Reaburn. Wieczór był chłodny, ale nie napalili, włączyli tylko elektryczną dmuchawę, która ledwo ogrzewała im kostki u nóg.

– Nie będą zaglądali do kuchni – powiedział Buffy.

– Taaa, ale co z resztą?

Buffy musiał przyznać, że dom najlepsze lata ma za sobą. Choć z zewnątrz robił imponujące wrażenie – z oknami po obu stronach umieszczonego centralnie wejścia i z kolumnowym gankiem – wewnątrz istotnie stanowiło wyzwanie.

– Odrobina farby załatwi sprawę – rzucił. Ale ten pogodny ton nie zwiódł nawet jego. Rzeczy osobiste Bridie usunięto, a był to proces jeszcze bardziej przygnębiający niż porządkowanie jego własnych. Meble pozostały, niektóre kojarzył jeszcze z okresu Edgbaston. Ale prowadzenie domu tej wielkości, zupełnie samemu, w obcym mieście, nagle wydało mu się zadaniem tak przytłaczającym, że teraz, gdy usiadł, nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek będzie w stanie podnieść się z krzesła.

Było przedwiośnie. Buffy mieszkał w nowym domu od dwóch tygodni. Gdy wybrał się na zdrowotny spacer, zauważył bazie na drzewach, choć nazwy samych drzew nie kojarzył, a na polach owce chodziły chybotliwie na nogach przypominających wyciory do fajki.

Teraz, z siedemdziesiątką na karku, nazywał to spacerem zdrowotnym. Przeprowadzka na wieś wybiła go ze starego rytmu i dodała kapkę lat. W Blomfield Mansions całymi latami pozostawał sześćdziesięciolatkiem, ale w nowym otoczeniu dopadła go metryka. O dziwo, podziałało to na niego zaskakująco ożywczo. Mógł zacząć zupełnie od nowa, bez zobowiązań wobec nikogo, bez bagażu przeszłości. Ludzie lubili siedemdziesięciolatków. Kupi sobie tweedowy garnitur i stanie się wiejskim dżentelmenem, seksualnie niegroźnym, machającym jowialnie laską do przechodniów i głaszczącym dzieci pod brodą.

Już czuł się jak u siebie. Jego pierwsze wrażenia okazały się trafne – Knockton było przyjaznym miejscem. Nawet cokolwiek gamoniowata kasjerka w markecie, korpulentna młoda kobieta w kaftanie, zwracała się

do niego per „złotko”. Miejscowi wiedzieli, że wprowadził się do dawnego domu Bridie, a ona cieszyła się sympatią mieszkańców, zwłaszcza właścicieli pubów i karczmarzy, i ta życzliwość najwyraźniej rozciągnęła się i na niego. Nikt się nie dziwił, że zapisała mu w spadku swój pensjonat. Buffy miał się przekonać, że w gródku działy się dziwniejsze rzeczy – gródek był kolejnym słowem, którego zamierzał używać.

Wbrew temu, co powiedział synom, postanowił w ogóle nic nie robić z domem. Był straszną ofertą w majsterkowaniu i tym podobnych. Jeśli dom był dość dobry dla Bridie, będzie dobry i dla niego. Jej klientom bardzo się w nim podobało, czytał ich wpisy w Księdze gości. Doug i Jenny z Potters Bar opisywali pensjonat jako „nasze ulubione schronienie, azyl od wrzawy miasta”. Heine i Gudrun z Salzburga pisali, że „pomimo niepogody ciepłe powitanie i ogromna gościnność, jak zwykle czynią Myrtle House główną atrakcją wakacji w Anglii”.

Ludzie wydawali masę pieniędzy, by wyczarować we wnętrzu taki shabby chic, który Bridie bez wysiłku osiągnęła, nie robiąc zgoła nic. Obecnie oczywiście wszyscy rwali się do przeróbek i remontów, ale za czasów młodości Buffy’ego ludzie po prostu wprowadzali się do danego domu i oszczędzali sobie tego całego zawracania głowy. Czas można spędzić dużo przyjemniej niż na wyklócaniu się o paletę barw na ścianie i włączaniu się po tym kręgu piekielnym, Ikei. Poza tym nie miał pieniędzy na remont. Jeśli się czegoś w życiu nauczył, to tego, że gdy człowiek zaczyna za bardzo szukać w całym, czy to w związkach, czy w domach, prędzej czy później znajdzie dziurę i wyląduje z rujnującym rachunkiem do zapłacenia.

Dom był uroczy taki, jaki był. Duży, pełen przeciągów, ale uroczy. Szeroki hol z kamienną posadzką, przyjemne półkoliste okienko nad drzwiami frontowymi. Jadalnia miała fantazyjne gzymsy i okno wykuszowe wychodzące na ulicę. Salon z tyłu otwierał się na werandę ozdobioną kolorowymi szybami. W obu pokojach znajdowały się masywne marmurowe kominki zabite listwami z płyty pilśniowej. Gdy Buffy je usunął, uderzył go podmuch lodowatego wiatru, więc czym prędzej na powrót je zainstalował. Mężczyzna, który zajmował się opróżnianiem domu, pokazał mu, jak obsługiwać reaburna, i teraz

grzejniki były, z przerwami, prawie letnie. W obliczu takiego nadmiaru przestrzeni Buffy wybrał najmniejszą sypialnię, gdzie za pomocą dwóch dmuchaw pracujących pełną parą i elektrycznego kominka udało mu się wygenerować lekki zaduch. Okna wychodziły na płataninę roślin w ogródku – badylarstwo nigdy nie było konikiem Buffy’ego – i szopę przynależną do domu obok, gdzie sąsiad, Simon, naprawiał lutnie. On także sprawił, że Buffy poczuł się mile widziany, a w dniu przeprowadzki podał mu przez płot talerz wegańskich ciasteczek.

– Słyszałem, że był pan aktorem – powiedział – ale, niestety nie mamy tu telewizji.

Siwiejące włosy miał związane w kucyk, nie był to styl, który Buffy aprobował, ale był gotów dać biedakowi przywilej wątpliwości.

Pojawiła się partnerka Simona. Owinięta w męski płaszcz, kuliła się dla osłony przed wiatrem.

– Kiedyś też mieszkaliśmy w Londynie – oznajmiła. – Omal nie oszaleliśmy.

Okazało się, że to ona jest tytułową Jill ze sklepiku „Jill oferuje” przy głównej ulicy, który sprzedawał sukienki vintage i kaczidółka. Buffy był przekonany, że kaczidółka, podobnie jak jajka po szkocku, stały się już tylko eksponatami muzealnymi, ale najwyraźniej to miasteczko istniało w jakimś zakrzywieniu czasoprzestrzeni.

Ku swojemu ubolewaniu Buffy był za stary, by załapać się na lata sześćdziesiąte. Urodził się za wcześnie i razem z Popsi, swoją pierwszą żoną, oczekiwał już narodzin dziecka, gdy ludzie zaczęli palić trawkę i zrzucać z siebie ubrania. Jako nastolatek chodził wprawdzie w golfie i słuchał Juliette Gréco, ale w porównaniu z flower power wydawało się to łagodną wersją młodzieńczego buntu w świecie nadal szarym i wyczerpanym wojną. Jednakże czas wszystko wyrównuje i niegdyś kwitnące dzieci kwiaty z Knockton teraz wyglądały niemal równie staro jak on sam, ze skórą pooraną przez żywioły.

Jak ludzie na wsi utrzymywali ciepło w domu? I co robili, gdy zapadł zmierzch i pojawiało się widmo niekończącej się nocy? O dziewiątej wieczorem miasteczko zapadało w sen. Jedynymi oznakami życia były oświetlone okna frytkarni i pubów.

Buffy uważał się już za stałego bywalca w swoim miejscowym

King's Head. Barry, gość od opróżniania domów, poszedł tam z nim za pierwszym razem, niczym uprzejmy gospodarz klasy z nowym uczniem, i przedstawił go różnym kompanom od kielicha, którzy tłoczyli się przy kominku.

– Czy ja przypadkiem gdzieś już pana nie spotkałem? – spytał brodacz, którego imię umknęło Buffy'emu.

– Występował w telewizji – odpowiedział Barry.

– W tym, no... z tą, jak jej tam... grała też w tym o weterynarzu...

– Jaki to miało tytuł? Tamten gość też tam grał...

– Kojarzę. Ten, który wcielał się w doktora Who.

– Nie, nie ten. Ty myślisz o tym, jak mu tam. Z takimi małymi świńskimi oczkami.

– Nie, to ten przed nim.

– Jakże ona się zwała? – zachodził w głowę brodacz. – Mam na końcu języka. Wielkie cyce. Grała w tym o kucharzu.

– Fanny Cradock.

– Nie. Ta druga.

– Aha, ta gwiazda oper mydlanych, która mieszka w Llandrindod Wells?

– Spokój, spokój! – powiedział Barry. – Rzecz w tym, że mamy wśród nas prawdziwego celebrytę.

Brodacz odwrócił się do Buffy'ego.

– Jeszcze raz, jak się pan nazywasz?

– Russell Buffery – odpowiedział Buffy.

Patrzyli na niego w milczeniu.

– Tak czy siak, wprowadził się do starego domu Bridie – dopowiedział Barry.

Rozmowa potoczyła się dalej. Nie był to może Algonkiński Okrągły Stół, ale Buffy'emu podobały się docinki i szermierka słowna. Od tego czasu spędził w pubie już kilka miłych wieczorów i dołączył do drużyny na cotygodniowy kwiz. Ze świecą szukać takiego ducha wspólnoty w Londynie! Barman, pogodny alkoholik zwany Regiem, teraz, gdy tylko Buffy przekraczał próg, już zaczynał nalewać mu piwo.

– Gospodarzu – powiedział Buffy, wyciągając portfel. – Jednego dla pana?

To było kilka dni później. Buffy przyszedł spytać o zamiary na Vodę, młodą kobietę, która sprzątała u Bridie. Była ponoć podporą drużyny darta, ale jeszcze jej w pubie nie widział.

Pojawił się bowiem pewien problem: dom powoli zarastał brudem. Buffy jeszcze nie skończył się rozpakowywać, a miejsce już było pokryte kurzem. Progu niektórych pomieszczeń nie zdążył nawet przestąpić. Ot, choćby piwnicy – zajrzał tam raz, w otchłań czarną jak smoła i śmierdzącą śmiercią, i zatrzasnął drzwi z dreszczem na plecach. Perspektywa doprowadzenia tego wszystkiego do porządku, nie mówiąc już o otwarciu pensjonatu, wydawała się coraz bardziej odległa. Gdzie on wcześniej miał głowę? W niektóre dni, zwłaszcza gdy padało, zaczynał poważnie wątpić w sens całego przedsięwzięcia. Ludzie tak go dopingowali, radzili, żeby się nie zniechęcał, ale im łatwo było gadać. On sam nieraz namawiał przyjaciół na różne szaleństwa, bez rozważenia konsekwencji. Przyszłość zawsze rysuje się w słonecznych barwach i wydaje pełna możliwości, dopóki człowiek w nią nie wdepnie.

Buffy spytał o Vodę.

– Masz pan szczęście – powiedział Reg. – Siedzi tam z Aledem. To jej brat. – Ściszył głos. – Niech pan nie przejmuje się zezem. To bruceloza, ma to od krów.

Buffy podszedł do stolika i się przedstawił. Rodzeństwo miało kręłą budowę, rumiane policzki i dredy. Okazało się, że pomimo zez Aled także jest mistrzem w darta. Wyszedł na zewnątrz zapalić cygaro, zostawiając Buffy'ego i Vodę samych, żeby mogli swobodnie porozmawiać o interesach. Voda wyglądała na kompetentną młodą osobkę, ponoć mieszkała w odległej chacie i przez cały tydzień doglądała kocących się owiec. Miała podwinięte rękawy. Buffy spojrział na jej zwaliste przedramiona spoczywające na stole i pomyślał: Ona doprowadzi mi dom do ładu. Piła też piwo – kolejny dobry znak.

– Do tego domu trzeba siły – uprzedził Buffy.

– *No problemo* – odpowiedziała. – Mogę się też zająć papierami, jeśli pan chce. Robiłam to dla Bridie. Mam założyć stronę pensjonatu w necie?

Buffy'ego już przestała dziwić ta wszechobecna tutaj wielozadaniowość. Barry, Mężczyzna z Furgonetką, sprzedawał także

ekologiczną psią karmę i grał na bębnach w lokalnej kapeli. Buffy, nadal na etapie miesiąca miodowego, uważał taką przedsiębiorczość za godną podziwu. Jakże się to różniło od postawy przeciętnego londyńczyka wałkoniącego się całymi dniami w dresach i wystawiającego nos z domu tylko po to, by odebrać zasiłek i wieszać psy na muzułmanach!

Voda zjawiała się następnego dnia i ustawiła swój komputer w pomieszczeniu gospodarczym obok pralki. Powiedziała, że nie może pracować w domu, bo jej chłopak zainstalował panel solarny do produkcji prądu.

– Prądu, takiego! Mówiłam głupkowi, że to poroniony pomysł. – Podłączyła laptop do gniazdka. – Słońca tu, cholera, jak na lekarstwo, rozumiesz pan. Siedzę sobie przy robocie i nagle prąd znika, a ja się gapię w cholerny pusty ekran. – Westchnęła. – Cały Connor. Mimo to tęsknię za nim.

– A gdzie się podziewa?

– W więzieniu w Shrewsbury.

– Wielkie nieba. Co takiego znalazł?

– Wziął i posiał trawę.

– Ale przecież w tym nie ma nic nielegalnego... – Buffy urwał.

Voda popatrzyła na niego. – Tylko żartowałem – dodał szybko.

– Wielgaśny foliowy tunel – westchnęła Voda. – Widać go było z Llanelly. Mówiłam głupkowi, żeby umieścił go za szopą, ale czy on mnie kiedyś posłuchał? – Oczy jej zwilgotniały. – Matka go rozpuściła, rozumiesz pan. Myślała, że słońce świeci mu z dupy.

– Fajnie, że w ogóle świeci. Znaczy się tutaj.

– Ma się za królewicza z bajki, wszystko po nim spływa. –

Wzruszyła ramionami. – Tak czy siak, właśnie dlatego chwytam się ostatnio każdej roboty, jaka się nawinie, teraz owce mają młode, moje kochane.

Amy

Amy poznała Neville'a, kiedy zadzwonił do jej drzwi, agitując za Liberalnymi Demokratami. Była zmęczona po długiej podróży samolotem i ciągle jeszcze w piżamie.

– Co za lokalne wybory?

Popatrzył na stos nieotwartej korespondencji zalegający na podłodze.

– Gdzieś tutaj jest pewnie karta do głosowania. – To nie był wyrzut, mężczyzna sprawiał wrażenie poczciwego, po prostu uwaga.

– Nie było mnie – zaczęła się tłumaczyć Amy. – Ciągle jestem w rozjazdach. – Kiedy wyjeżdżała, był środek zimy, a teraz drzewa uginały się pod kwiatami.

Pracowała w branży filmowej, była charakterizatorką. Dopiero co skończyli kręcić w Indiach, w najróżniejszych miejscowościach o niewymawialnych nazwach. Nie sprawdziła nawet ich położenia na mapie. Typowe dla członka ekipy filmowej. Podczas zdjęć w odległych plenerach człowiek wyzbywa się tego typu ciekawości. Zrywany ze snu o świcie, przysypiający w autobusie, zamknięty potem cały dzień w przyczepie, mógł równie dobrze być w Mongolii Zewnętrznej. A nawet w Anglii nikt na planie nie czyta gazet. W rzeczywistości minęła dobra chwila, zanim przypomniała sobie nazwisko premiera.

– Proszę w takim razie po prostu zagłosować na Liberalnych Demokratów – powiedział Neville.

– Nie ma sprawy.

Roześmiał się.

– Szkoda, że wszyscy nie mają takiego podejścia.

Zmęczony, oparł się o framugę drzwi. Żółta kokarda sprawiała, że jego twarz wydawała się bezkryście blada. Amy nie widziała mężczyzny w sztruksach Bóg wie od jak dawna. Powiedział, że ma na imię Neville.

– Chyba powinienem jeszcze zajrzeć do lokatorów wyżej –
oznajmił.

– Niech się pan nie fatyguje. Pierwsze piętro jest puste, a na górze
mieszkają nielegalni imigranci.

– Jak fajnie. – Nadal stał uczepiony framugi.

Amy żałowała, że nie może go niczym poczęstować, ale nie zrobiła
jeszcze zakupów. Poza tym jej mieszkanie przedstawiało obraz nędzy
i rozpacz.

Neville się wyprostował, wsadzając pod pachę podkładkę do
pisania z klipsem.

– No to w drogę. – Odwrócił się, żeby odejść, i nagle przystanął. –
Pozwoli pani, że urwę sobie trochę mięty?

– Co proszę?

– Tam rośnie. – Wskazał kłębowisko chwastów obok pojemnika na
śmieci. – Tylko jedną gałązkę. Gotuję dziś ziemniaki.

Popatrzyła na niego z zainteresowaniem. Sama czuła się w kuchni
jak słoń w składzie porcelany i była oczarowana wizją mężczyzny
w fartuchu.

– Śmiało – powiedziała.

W Indiach dopadła ją biegunka podróżnych, wszystkich prędzej
czy później dopadała. Jedzenie i wypróżnienia były głównym tematem
konwersacji. Stracili dwa dni zdjęciowe, gdy jedna z gwiazd umarła na
skutek zakażenia jakimś rzadkim pasożytem jelitowym. Właśnie
o talerzu gotowanych ziemniaków wszyscy marzyli podczas
przewlekłych posiedzeń w toaletach turystycznych.

Poczuła głód.

– Z czym pan je poda?

– Ze strzępielem w ziołowej panierce.

Głos Neville'a brzmiał nabożnie. Zastanawiała się, czy jest gejem.
Wyglądał na wrażliwca z tymi delikatnymi piaskowymi włosami.

Większość mężczyzn zajmujących się charakterystyczną i kostiumami była
gejami. Wymieniali się przepisami z aktorami, mówiąc z ustami pełnymi
szpilek.

– Po dniu takiej harówki potrzebuję porządnego obiadu.

– To musi być dołujące: chodzić od drzwi do drzwi i dobijać się do

ludzi, gdy nikt nie jest zainteresowany.

Wyglądał na zaskoczzonego.

– Niektórzy są. – Urwał. – Ale zwykle to wariaci.

Powiedział, że strzępiela kupił na lokalnym ryneczku. Amy nie miała pojęcia, że taki przybytek w ogóle w okolicy istnieje, ale nic dziwnego. Acton było tylko miejscem, w którym odpoczywała w przelocie między kolejnymi zleceniami, podłogę mieszkania zaścielały nierozpakowane ubrania, lodówka świeciła pustkami, jeśli nie liczyć spleśniałego jogurtu. Nad głową latały samoloty, wprawiając w drżenie szyby w oknach, prędzej czy później któryś z nich znowu ją zabierze Bóg raczy wiedzieć dokąd.

Gdy Neville odwrócił się przy bramie, by pomachać jej na do widzenia, dodał, że bywa na ryneczku w każdą sobotę, bo pomaga przyjacielowi, który ma tam stoisko z pieczywem.

Później, w kąpiele, Amy dumiała nad swoim życiem miłosnym, tą strefą katastrofy. W Indiach miała przygodę z pracownikiem obsługi planu imieniem Craig. Już teraz jego twarz niemal całkiem się jej zatarła. Bez wątpienia ona także dawno była tylko odległym wspomnieniem – a raczej, ściśle mówiąc, z kretezem zapomnianym, gdy tylko wrócił na łono rodziny. Jeśli takową posiadał – tego nie wiedziała. Ekipy filmowe są bardzo zmaskulinizowanymi grupami, nie rozmawia się tam o związkach. Poza tym kręcenie filmu toczy się zawsze jakby w alternatywnym świecie. Plenery odrywają człowieka od jego normalnego drugiego życia, tego, które wie dzie w domu. Seks jest przypadkowy i dziki, człowiek korzysta z rozkoszy, gdzie może, niczym dachowiec.

Uwielbiała atmosferę koleżeństwa panującą na planie. Był zapieprz, ale przynajmniej czuła się wśród swoich. Jednak po imprezie wieńczącej koniec zdjęć jej tymczasowa rodzina rozjeżdżała się, rozplywała w powietrzu niczym sen złoty i teraz oto Amy znowu tu wylądowała, wycierając się ręcznikiem w swoim pustym mieszkaniu, z trzydziestoma jeden latami na karku i nikim u boku, z wyjątkiem kilku kumpli, którzy nigdy nie dzwonili, bo nigdy nie było jej w domu.

Uświadomiła sobie, że płacze. To ją tak zszokowało, że zaczęła jeszcze bardziej się mazać, szloch wstrząsał całym jej ciałem. Ukryła

twarz w ręczniku i pomyślała: Jestem sama i nie mam nikogo do kochania.

W następną sobotę udała się na ryneček kupić bochenek chleba i tak to się zaczęło.

Neville mieszkał z nią już od trzech lat. Rzeczywiście przyniósł ze sobą fartuch i kuchenne rękawice. Chwilę trwało, zanim zdołał doprowadzić jej mieszkanie do ładu, ale Amy po prostu w tej kwestii zdała się zupełnie na niego, obowiązki domowe w ogóle jej nie pociągały. Przez cała lata żyła na walizkach. W plenerach, na planie, oczywiście wszystko miała na zawołanie. Chciała obciąć włosy? Naprawić auto? Zrobić porządek z komputerem? Nie ma sprawy. Zawsze znalazł się na podorędziu ktoś odpowiedni na każdą ewentualność.

W domu zatem była bezradna jak dziecko, ale Neville'owi to nie przeszkadzało. A nawet najwyraźniej go pociągało, tak to już jest w miłości. Czasami żartował, że to on w tym związku robi za żonę. Gotował, sprzątał. Był zagorzałym orędownikiem recyklingu i zamartwiał się stanem planety. Śmiała się, gdy widziała, że ponownie napełnia plastikową butelkę wodą z kranu, ale on traktował te sprawy bardzo serio i uważał rozrzutność typową dla branży filmowej za barbarzyństwo. Takie marnotrawstwo! Tyle odpadów! Emisja tlenu węgla! Szaleństwo pokrywania terenu sztucznym śniegiem na potrzeby sceny, która lądowała potem na podłodze montażowni!

- Ale to film o globalnym ociepleniu – broniła swego świata Amy.
- I nie wydaje ci się to ani trochę ironiczne?

Przemilczała zatem fakt, że codziennie wysyłano do Londynu terenówkę po lunch dla jednej z gwiazd obsady, jakieś bezglutenowe wegańskie fiu-bździu przygotowywane przez mistrza kucharskiego z hotelu Meridian, 120 kilometrów w obie strony. Albo że jednemu z aktorów zafundowano przelot z LA i z powrotem tylko po to, by wygłosił linijkę tekstu. Teraz już prawie w ogóle nie opowiadała o swojej pracy. Poza tym Neville nie znał jej kolegów, a plotki o celebrytach go nie interesowały.

A wielka szkoda. Bo jej gorąca, duszna przyczepa robiła za konfesjonał. Wszystkim aktorom zbywało na pewności siebie, a pod

nielitościwym obstrzałem oświetlenia luster czuli się zupełnie obnażeni. Godzinami pozostawała zamknięta z nimi w atmosferze wonnej intymności, pudrując ich i malując, upiększając i odmładzając. Na planie była ich sojusznikiem. Między ujęciami wkraczała do akcji, zbrojna w pas z pędzlami, śmigając dokoła ich twarzy niczym koliberek, maźnięcie tu, muśnięcie tam. Nikt z pozostałych pracowników ekipy filmowej nie rozmawiał z aktorami, oświetlali ich i kręcili, owszem, ale mieli pełne ręce roboty i byli facetami. To Amy i jej koleżanki wysłuchiwały opowieści o problemach małżeńskich, awanturach na planie któregoś z poprzednich filmów i który gwiazdor filmowy jest ukrytym gejem i ma doprawianą brodę.

– Kiedyś ściągnęli mnie do pomocy – powiedziała Amy przy kolacji. Opowiadała Neville’owi o jednym z hollywoodzkich gwiazdorów. – Zaczęły krążyć plotki, które zrujnowałyby jego karierę. Miał romans z jednym z młodzików z ekipy i ktoś się wywiedziało. Młody milczał jak grób, świadom, że jeśli piśnie słówko, nie dostanie więcej roboty. Więc piarowiec bierze mnie na bok, każe wyskoczyć z dzinsów i się wysztafirować. A potem ląduję w jakimś eleganckim nocnym klubie, gwiazdor się do mnie dobiera, wpycha mi jęzor do przełyku, obrzydliwy niczym ślimak, Bóg jeden wie, gdzie wpychał go wcześniej, ktoś wyciąga lampę błyskową i nazajutrz scena ląduje we wszystkich gazetach. Moje pięć minut sławy.

Neville podał jej brokoły.

– Sądzisz, że powinniśmy pomyśleć o dziecku?

Czasami Amy miała wrażenie, że w ogóle go nie zna. Zupełnie jakby znajdowali się w skleconej byle jak łodzi, łupince rzucanej po morzu. Od czasu do czasu wyciągali ręce i ich dłonie się stykały, a potem fale zalewały pokład i znowu tracili kontakt.

– Co, że niby teraz? – spytała.

– Co masz na myśli, mówiąc „że niby teraz”? – Odstawił naczynie.

– Nie robimy się coraz młodszy. No, ty się nie robisz. Biologicznie rzecz ujmując. – Popatrzył na nią przez stół. – Kochamy się. Jesteśmy razem, to chyba się kochamy? – Zaczerwienił się. – Przepraszam. Nie tak to chciałem powiedzieć.

– To mnie jest przykro.

Nie miała pojęcia, co chciała przez to powiedzieć. Siedzieli oboje ze wzrokiem wbitym w obrus.

– A ty już nie chcesz się zająć polityką? – wyrwało się jej.

– A co to ma do rzeczy?

– Nie wiem.

Nic nie wiedziała. Jej życie było w rozsypce i wcześniej myślała, że Neville je naprawi. Wiedziała, że jemu także długo doskwierała samotność, wyczuła to wtedy na progu mieszkania. Nagle zapragnęła spakować walizki i prysnąć stąd do jakiejś bazy ekipy filmowej, cholera wie gdzie, z jej atmosferą podśmiechowania i żarcików, kanapek z bekonem i morderczym tempem pracy, które nie pozwalało myśleć. Czy naprawdę mogłaby założyć rodzinę z tym człowiekiem?

– Mój tata kiedyś uderzył mnie patelnią – oznajmiła. – Mówiłam ci już o tym?

Neville ściągnął brwi.

– A co to ma do rzeczy?

– Nie wiem.

– Popatrz na mnie, Amy. Skup się, choć ten jeden raz.

– Mówisz jak belfer.

– Na miłość boską, to ważne! – Neville nachylił się i dotknął jej palców. – Chcesz, żebyśmy się pobrali? O to ci chodzi?

Urażona wyrwała dłoń.

– W ogóle mnie nie znasz!

Nie tak powinny wyglądać oświadczyzny. W dzieciństwie marzyła o świetle księżycy i różach – nawet ona, chłopczyca.

– Możemy pójść na całego, odwalić całe te hocki, jeśli ci zależy – brnął dalej Neville. – Miło byłoby dla odmiany zobaczyć cię w sukience. – Uśmiechnął się, usiłując obrócić wszystko w żart.

Skonfundowana Amy odwróciła wzrok. Wbiła oczy w ścianę. Neville pomalował pokój na żółto, gdy była w trasie, kręcąc *Pocałuj mnie raz jeszcze*. Komedie romantyczną o niedobranej parze, która, uwaga, uwaga, naprawdę się kochała.

– Oszalałabym zamknięta tu z wrzeszczącym bachorem – powiedziała.

– To nie byłby bachor, gdybyśmy się pobrali. Poza tym

pomagałbym.

– Taaa, już to widzę. Wszyscy faceci tak mówią. – Dlaczego jest wobec niego taka ostra? Nie miała pojęcia. – A co z moją pracą? Nie zabiorę przecież niemowlaka na plan.

Neville wstał i zebrał talerze.

– Zapomnij o tym – wymruczał.

Tej nocy w łóżku odwrócił się od niej i zwinął w kłębek. Objęła się rękoma, plecami dotykając jego kręgosłupa. Wiedziała, że go zdenerwowała, ale on zdenerwował ją. Ostatnio wszystkie ich rozmowy przebiegały nie tak. Wyciągnęła rękę i objęła jego zwinięty, zgnębiony penis. Wypełnił jej dłoń miękki niczym żelek. Neville nie zareagował.

Minęła chwila. Jej dłoń czuła się niezręcznie, więc ją zabrała. Ciało Neville'a wydało się jej nagle obce, pełne tajemnic. Z ulicy dobiegały pokrzykiwania, trzasnęły gdzieś drzwi samochodu.

Chwilę później oddech Neville'a zrobił się głębszy. Myślała, że zasnął. Tymczasem on tylko zaczerpnął tchu, by się odezwać.

– Zwolnili mnie – wypalił.

– Co?

Rzucił w poduszkę:

– Straciłem pracę.

Amy próbowała odwrócić go twarzą do siebie, ale się nie poruszył.

– Och, Nev.

– Rada miasta obcięła budżet na biblioteki i cała moja kariera wzięła w łeb.

Położyła mu dłoń na biodrze. Wydawało się to bardziej przyjacielskim gestem niż ściskanie wacka. Był chudy: wyrostki jego kręgosłupa wbijały jej się w piersi.

– Ten kraj jest na skraju cholernego krachu – powiedział. – Wiesz, na co tnie wydatki rada? Domy tymczasowej opieki dla niepełnosprawnych, kluby młodzieżowe, wizyty domowe. Wiesz, ile zainkasował w zeszłym roku dyrektor Barclays? Chcesz zgadnąć? – Rzucił się na plecy i wbił wzrok w sufit.

Amy nie miała pojęcia. Całe to ekonomiczne zamieszanie raczej jej nie dotykało.

– Kiedy upływa okres wypowiedzenia?

Milczenie.

– Upłynął w zeszłym miesiącu – odpowiedział w końcu.

Usiadła. Neville skulił się, wzdrygając.

– W zeszłym miesiącu? Co to znaczy?

– Przestałem pracować w zeszłym miesiącu.

Włączyła światło.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie było cię.

– Ale wróciłam tydzień temu.

– Nigdy nie było odpowiedniego momentu.

– Ale przecież co rano wychodziłeś do biblioteki.

– Tak... cóż.

– Cóż co?

– Nie chodziłem do biblioteki.

– To co robiłeś?

– Wałęsałem się – powiedział. – Wpadałem gdzieś na kawę.

Pomagałem w bengalskim ośrodku pomocy.

Amy miała mętlik w głowie. Naturalnie była wstrząśnięta.

I urażona, że to przed nią ukrywał. No i współczuła mu z powodu utraty pracy. A na dokładkę nie dawała jej spokoju myśl, że zachował się dziwnie, zupełnie nie jak mężczyzna, którego, jak sądziła, zna. Tyle że tak naprawdę go nie znała. Byli obcymi sobie ludźmi, dzielącymi łóżko w duszną noc. I, rzecz absurdalna, poczuła nagle przyptyw pożądania. Neville – drogi, poczciwy Neville – wiódł podwójne życie i nagle wydał jej się interesujący.

Musnęła go nosem w kark.

– Daj buziaka.

Odepchnął ją i wygramolił się z łóżka.

– Nic nie rozumiesz! Moje życie jest w rozsypce. Wiązałem tyle nadziei z tobą. Z sobą. Z partią. – Przeciągnął dłońmi po włosach. – Wparadowałaś do mojego życia...

– Wparadowałam? Byłam w piżamie.

– Taka zadziorna i niezależna, panosząca się w tych swoich dżinsach i popijająca dietetyczną colę. Pomyślałem: To jest dziewczyna dla mnie. Nie uwierzyłabyś, jakie nudne było moje życie, dopóki cię nie

poznałem. – Stał tam, nagi w świetle lampy, z rękoma zwieszonymi po bokach. – Bez ciebie i tej twojej szpanerskiej pracy.

– A co w niej jest szpanerskiego? Wstawanie o piątej rano?

Charakteryzatorki są pierwsze na planie, wiedziałeś o tym?

– Te wszystkie gwiazdy.

– Ja tylko przypudrowuję im krosty. Nie przyjaźnię się z nimi. Nie znam ich.

– Ja też ich nie znam. Ale najwyraźniej interesują cię bardziej ode mnie. – Urwał. – Nawet gdy jesteś tu ciałem, myślami cię nie ma.

Czy to prawda? Nie wiedziała.

– Nie oszukujmy się – ciągnął. – Moja biblioteka tak cię nie fascynowała. – Usiadł na łóżku. – Nawet nie masz książek.

– Mam!

– No, tak... jedną czy dwie. Ale to nie są tak naprawdę...

– Tak naprawdę co?

Westchnął.

– Nieważne. – Przechylił się przez nią i wyłączył lampkę. – Chodźmy spać. Jutro wielki dzień.

– Wielki dzień?

– Moja matka tak mówiła przed urodzinami czy jakimś świętem. – Postukał ją w nos. – Ironizowałem, kotku.

Traf chciał, że w następnym miesiącu dostała kolejne zlecenie – przy adaptacji *Mansfield Park*. Kryzys dotknął też branżę filmową i z pracą było krucho, ale stara dobra Austen przysłała na ratunek i Amy wyjechała kręcić plenery w najróżniejszych dworzech Anglii.

– Haddon Hall, Burghley House, Wilton Place, powiadam ci, złotko, to jak jakaś cholerna objazdówka dla miłośników zabytków. – Eldon James, starszy aktor wcielający się w sir Thomasa Bertrama, siedział na stopniach przyczepy, paląc papierosa. – I we wszystkich tych dworzyskach już wcześniej grałem. Ze trzy razy byłem właścicielem Haddon Hall. – Wskazał na jednego z asystentów produkcji. – Kim jest ten miły młodzieniec?

– Synem reżysera – odpowiedziała Amy. – Nawet niech pan nie próbuje.

Odezwała się jej komórka. Neville.

– Pralka wylała – powiedział jego głos. – Siedzę tu, czekam na machera od Boscha. Kiedy twoim zdaniem mija „przedpołudnie”? O dwunastej czy o pierwszej?

Było gorąco. Amy patrzyła na grupkę statystów pocących się w kostiumach. Siedzieli przed przyczepą z cateringiem, grając w karty i gadając przez komórki. Kobiety machały spódnicami, wachlując krocza. Statyści znajdowali się na samym dole filmowej hierarchii społecznej, ale Amy miała do nich słabość. Zawsze któryś przechodził załamanie nerwowe, emocjonalny kryzys albo miał krewnego z bliżej nieokreśloną, acz śmiertelną chorobą. A ile żarcia potrafili pochłoniąć! Budzili jej sympatię, nawet gdy się przepychali i tręcali łokciami, byle znaleźć się w kadrze.

– Poza tym nic nowego – ciągnął głos Neville’a. – Drukarka znowu się zacięła i najwyraźniej zapomniała, jak się skanuje. Bardzo za tobą tęsknię.

Amy nie mogła powiedzieć tego samego o sobie. Po prawdzie przez cały ranek ani razu o nim nie pomyślała. „Nawet gdy jesteś tu ciałem, tak naprawdę cię nie ma”.

Trzeci asystent reżysera zaczął zwoływać statystów. Wstali i otrzepali się z kurzu. Amy poczuła ogromny przyływ miłości do nich wszystkich – obsady, ekipy, komparsów, którzy teraz, powłócząc nogami, podążali do swoich pięciu sekund sławy. Uwielbiała tę wspólnotę działania, fakt, że wszyscy razem i każdy z osobna stanowią jeden zespół. Uwielbiała poczucie lojalności, które się między nimi nawiązywało, własny mały świat, jaki tworzyli, czasami ledwie kilka kroków od przechodniów, ale odgradzeni od nich rafą krótkofalówek, i to, że wszyscy razem wypruwali sobie flaki, żeby zrobić film, który może się okazać nic niewart, ale, halo, nigdy nic nie wiadomo. Poza tym większość z nich i tak go nigdy nie obejrzy.

Nie mogła powiedzieć tego wszystkiego Neville’owi. Na pewno odebrałby to jako przytyk, że sam nie pracuje, no i chociaż niby lubił filmy, nigdy nie pamiętał nazwisk aktorów. „Nie mogłabyś zaprosić kilku znajomych z pracy na obiad?”, zapytał kiedyś. Jednak życie w światku filmowym toczyło się innym torem, jedynym spędem towarzyskim, na którym pojawiali się jej koledzy, była impreza na

zakończenie zdjęć, a już następnego dnia wszyscy rozpierzchali się na cztery strony świata.

Poza tym podświadomie, w głębi duszy podejrzewała, że Neville uważa jej pracę za trywialną. Sam był poważnym, serio myślącym facetem o dużej wrażliwości społecznej. Prowadził kampanie przeciwko zamknięciu miejscowego hospicjum i otwarciu Tesco. Całymi dniami siedział kamieniem przy laptopie, wysyłając tony mejli. Twierdził, że jest tak samo zajęty jak zwykle. Bóg jeden wie, jak wcześniej znajdował czas na pracę.

Próbował obrócić swoje bezrobocie w żart, ale Amy wiedziała, że jest dla niego upokorzeniem – tak wielkim, że przez kilka tygodni w ogóle jej o tym nie wspomniał.

– Wyrzucono mnie, bo okazałem się zbędny – powiedział. – Wszyscy mężczyźni są zbędni. Już nawet nie potrzebujecie naszej spermy.

Nie żeby chciał ją nią zalewać, wydawało się, że jego libido zniknęło razem z etatem. Amy rumieniła się ze wstydu na myśl o swoich próbach podniecenia go. Teraz, gdy się kładła, często zostawał przy biurku i czuła przez ścianę, jak się modli się, żeby już zasnęła. Albo ziewał ostentacyjnie i mówił, że jest skonany.

– I jeszcze ta soczewica, ciebie nie wzdęło? – pytał, gdy się rozbierali. – Mamy jakieś proszki czy węgiel?

Amy zgasiła papierosa i wróciła do pracy. Ostatnio zaś zaczął sypiać w podkoszulku i majtkach, swoim osobistym kordonie sanitarnym. Stał się jej kurem domowym, zgorzkniałym i odartym z seksapilu, a wszystko to była wina kryzysu. „Ci pierdoleni bankierzy” – mówił. „Szatański pomiot”. Był tak zły, że wybrał się nawet na jakąś demonstrację i pomazał budynek graffiti, dając wyraz swojemu gniewowi. Jego furia odbijała się także na owadach. W początkach ich znajomości ujął Amy tym, że przy użyciu myjki pomógł wyjść z wanny pająkowi. Teraz psikał sprejem owadobójczym gdzie popadnie, jakby gazował menedżerów funduszy inwestycyjnych, czy kto tam wpakował ich w tę kabałę.

Wtarła podkład w skórę Eldona, spustoszoną dekadami palenia. Bardziej odpowiednia byłaby szpachlówka wypełniająca.

– Pamiętasz mojego starego kumpla Russella Buffery’ego? – spytał. – Pracowałaś z nami przy *Pannie Marple* jeszcze jako siusiumajtka. Wielki tłusty gość z brodą. Grał łowczego. Małeńka rólka. Oczywiście jego zdaniem gwiazdorski epizod.

Amy myślała chwilkę.

– A, tak, a potem wyszło na jaw, że nie umie jeździć konno.

Eldon zachichotał.

– Ani słówkiem się wcześniej nie zdradził, stary łajdak.

– Pamiętam. Trzeba było zatrudnić dublera do scen akcji, producent wkurzył się jak cholera.

– No, tak czy siak, wpadłem na niego w zeszłym tygodniu.

Okazuje się, że prowadzi dom noclegowy czy pensjonat gdzieś na walijskim zadupiu. Wiele bym dał, żeby to zobaczyć. Gość nie potrafi otworzyć puszki. – Urwał. – Zrezygnował z aktorstwa, czy raczej aktorstwo zrezygnowało z niego. Ciut za bardzo lubił starego dobrego caberneta. – Nachylił się do lustra, przyglądając się badawczo swojej twarzy. – Taaa, przyganiał kocioł... Mam cholernego farta, że dostałem tę rolę, nikt z nas nie robi się coraz młodszy. I, prawdę rzekłszy, tęsknię za starym palantem.

Ale Amy słuchała już piąte przez dziesiąte. Myślała znowu o Neville’u. Nie. Poprawka: myślała o jednym ze statystów.

Kręcili w Stamford, miasteczku niedaleko Peterborough. Amy opuściła bazę i udała się na plan, za który robiła główna uliczka. Jezdnie przysypano warstwą ziemi i końskim łajnem, miejscowe sklepy udawały sklepiki z galanterią, pasmanterie i Bóg wie co jeszcze. Kręcili dużą, skomplikowaną scenę i plan jak zwykle stanowił mieszaninę porządku i chaosu, dokoła kręciły się świny rzadkiej rasy, dudnił megafon. Od razu wypatrzyła tego statystę. Świetnie się prezentował w bryczesach: wysoki, chudy, z szopą brązowych kręconych włosów. Niewątpliwie dlatego właśnie wcielał się w przechadzającego się panicza.

„Chcesz się pobrać? O to chodzi?” Jane Austen w życiu nie przyszłyby do głowy takie oświadczyzny, pomyślała Amy. Nic dziwnego, że ludzie tłumnie walili na adaptacje jej powieści. W tych filmach mężczyźni padali na kolano. „Czy uczyni mi pani zaszczyt i zgodzi się zostać moją żoną?”

Przypomniała sobie ten wieczór w łazience, gdy zalała się łzami. Czy naprawdę chce umrzeć bezdzietna i w samotności? Może Neville by się jednak nadał?

– Idziesz wieczorem do knajpy czy wracasz do domu? – spytał jeden z dekoratorów.

Nazajutrz mieli wolne i Amy planowała wrócić do Londynu.

W tym samym momencie statysta w bryczesach, opierający się o ścianę, zauważył jej spojrzenie. Uśmiechnął się szeroko.

– Zostaję tutaj – powiedziała Amy.

WPSNL. W plenerach się nie liczy.

Statysta miał na imię Keith. Prowadził sklepik muzyczny przy głównej uliczce, którego fronton udawał teraz rzeźnię, na wystawie wisiały króliki. Kiedy jednak wieczorem Amy wślizgnęła się do środka, okazało się, że wewnątrz pozostało niezmienione. Keith miał na sobie dżinsy rurki i wyglądał młodziej, na podbródku widniała garstka pryszczki.

– Zawsze tu filmują – powiedział. – Poprzednim razem byłem wieśniakiem z krową. Nie wiem, jak dajesz radę znosić to wieczne czekanie, ja mało nie dostaję kręćka. Później poszedłem na jednego z asystentem operatora.

Rozpoznała małomiasteczkową butę, sama dorastała w Leamington Spa. Spodobał jej się głównie dlatego, że nie był Neville'em i humor jej się nie zwarzył na jego widok. Jak szybko to się psuło!

Najpierw śmiech, zniknął dawno temu. Przypomniała sobie, jak kiedyś, w początkach znajomości, przejeżdżali obok jakiejś prywatnej kliniki ortopedycznej. Na wielkiej tablicy reklamowej stało wołami:

„Krzywe nogi od małego?”. „Nie, od kolan”, rzucił wtedy Neville.

W zeszłym miesiącu jechała koło tego miejsca ponownie i łzy napłynęły jej do oczu, teraz nigdy by tak nie zażartował. Ostatnimi czasy siedział w aucie podminowany i nieobecny myślami, otwierał usta tylko po to, by jęknąć, gdy w radiu padało nazwisko któregoś z torysowskich ministrów.

Dlaczego słucha tej stacji, skoro go irytuje? – zastanawiała się Amy. Dlaczego nie wydziera się do melodii, które lecą na jedyńce, tak jak ja to robię, gdy jestem sama? Dlaczego nie chce się trochę powyglupiać?

Keith przyniósł kilka piw. Otworzył puszkę.

– Niektórych nawet kojarzę – powiedział. – Na przykład tę aktorkę, wiesz, grała w tym serialu w telewizji. Gadasz czasami z nimi?

Amy opowiedziała mu o swojej pracy, o tym, które gwiazdy przeszły operacje plastyczne, o zakulisowych dramatach.

– Ale to tylko między nami – zastrzegła. – Nie waż się wrzucać na Tweetera.

Zainteresowanie Keitha sprawiało jej przyjemność, wieki minęły, odkąd opowiadała komuś o tajnikach swego zawodu. Jego zdaniem był cudowny, nie widział w nim nic trywialnego. Pragnęła go dotknąć, poczuć napięcie nieznanego ciała.

Osuszył piwo.

– Jaką muzykę lubisz?

– To twój sklep, sam coś wybierz.

Podskoczył i umieścił płytę w gramofonie. *Wild thing, you make my heart sing.*

– Chodź tutaj. – Podniósł ją z podłogi. – Potańczmy.

– Ale myślałem, że masz wolne – skarżył się głos Neville'a w telefonie. – Kupiłem perliczkę.

– Przepraszam, Nev, to strasznie wkurzające. Mieliliśmy całą masę dubli, aż było po świetle, więc musimy dokończyć tę scenę jutro, cały plan zdjęć diabli wzięli. – Amy czuła, jak oblewa się pąsem.

– Biedactwo – powiedział. – Cóż, przynajmniej dobrze się wyśpij.

Amy wyspała się, z Keithem w ramionach, w swoim pokoju w Peterborough Heritage Lodge. Kwatery znajdowały się kilka jardów od obwodnicy, ale przez wiecznie zamknięte, szczelne okna nie przedostawał się żaden dźwięk. Leżała w beczasowej, bezwietrznej kapsule, wśród rozrzuconych na podłodze ubrań, odcięta od świata zewnętrznego, odcięta nawet od pozostałych członków ekipy, którzy spali w pokojach obok. WPSNL.

Keith jęczał przez sen. Słuchanie takich odgłosów bez wiedzy wydającej je osoby wydawało się osobliwie intymne. Intymniejsze od seksu. Keith okazał się energicznym, rzetelnym kochankiem, dwukrotnie doprowadził ją do szczytowania, a potem obrócił, tak że leżała z twarzą zagrzebaną w poduszce, i sam doszedł. Czuła erotyczną wdzięczność,

gdy tak leżała, wachając jego pot. Wieki minęły, odkąd ostatni raz pieprzyła się z zupełnie obcym mężczyzną, którego nawet nazwiska nie знаła. Zapomniała już, jak pełne tkliwości może być spotkanie dwóch ciał, odciętych od teraźniejszości i niemających wobec siebie żadnych zobowiązań. Dlaczego to zawsze nie może wyglądać tak prosto?

Nazajutrz Keith przyniósł jej kask i wsadził ją na motor. Był mglisty wrześnieowy poranek, parking skąpany był w słońcu.

– Widziałaś kiedyś takie чудо? – Poglądził bok maszyny. – Pewnie nie. To Triumph Speed Triple. Wyprodukowano tylko kilkaset modeli. Lekki, fantastyczne obroty i przyczepność, o jakiej marzy każdy metalowiec. No i oczywiście czarny.

Pojechali w teren pustymi drogami prowadzącymi donikąd, prostymi jak linijka, bezkres jezdni przed nimi rozpływał się w miraż. Amy krzyknęła do kasku Keitha:

– Mój chłopak ma rower! – Ale wiatr rozwiął jej słowa.

Zatrzymał się przy kanale. Amy rzuciła się na trawę, gdy on skręcał jointa.

– Niebo tutaj jest takie przepaściste – powiedziała.

– Taaa, wszyscy to mówią.

– Uwielbiam tę porę roku. – Nagle usiadła. – Cholera. Dopiero teraz do mnie dotarło, którego dzisiaj mamy.

– Którego?

– Jedenastego września.

Wyglądał na zbitego z tropu.

– No i?

– Jedenasty września – powtórzyła. – Twin Towers.

– A, rzeczywiście. – Zapalił skręta i jej podał. – To była makabra. – Wskazał na drogę. – Przyskrzynili mnie wtedy tutaj. Zapieprzałem sto dwadzieścia mil na godzinę. Na hondzie CB 900. Szybka jak cholera, ale bez duszy. No i alternator się przegrzewał.

Amy zrzędnęła mina. Powinni byli rozstać się po śniadaniu. Nagle zatęskniła za Neville'em, zupełnie samym z perliczką i zniweczonymi nadziejami. Zalało ją poczucie winy. Jak może tak jeździć sobie po okolicy, pomijając już inne sprawy, gdy Neville jest nieszczęśliwy i bezrobotny?

Keith tymczasem opowiadał o swoim sklepie:

– W winylach nie ma już kasy, internet wykończył biznes. A ja płacę za wynajem jak za mokre zboże, dwanaście koła rocznie, dasz wiarę?

Neville przynajmniej interesował się tym, co się dzieje na świecie. Ją wprawdzie większość tego przerastała, ale przynajmniej nie przynudzał.

– Szczerze mówiąc, myślę o zwinięciu interesu – oznajmił Keith.

Amy zaciągnęła się po raz ostatni i wstała.

– Jedziemy?

Przejechali jeszcze kilka mil. Zjedli po burgerze w jakiejś knajpce i odbyli szybki numerek w lesie, ale potem się zachmurzyło, co dało pretekst do powrotu do hotelu. Amy ściągnęła kask, roztrzepując włosy. Była taka zadowolona, że się rozstają, że czule pocałowała Keitha.

– Świetnie się wczoraj bawiłam. Myślę, że ludzie powinni codziennie sobie tak potańczyć. Nie chodziłyby im wtedy po głowie brzydkie rzeczy.

Uśmiechnął się.

– Nie w twoim przypadku.

Na moment znowu poczuła do niego miętę, ale zaraz odjechał. Słuchając niknącego w oddali warkotu motoru, pomyślała: Założę się, że jemu też ulżyło.

Rozstali się z Neville'em tej jesieni. Od początku wiązała ich bardzo cienka nić – pociąg seksualny, samotność. W głębi duszy wiedziała, że niewiele mają ze sobą wspólnego. Podczas jej długich nieobecności każde z nich wracało do dawnych nawyków i po jej powrocie musieli na nowo się do siebie przyzwyczajać. Tym razem jednak nawet ta cienka nić pękła. Neville zamknął się w sobie, nie podejmował wysiłku omawiania z nią czegokolwiek, z wyjątkiem potrzeby zakupu worków do odkurzacza. Przygnębienie sprawiało, że zrobił się rozdrażniony i zrzędlivy jak staruszek i teraz pałał nienawiścią już do wszystkich prezenterów *Today* zamiast, tak jak wcześniej, tylko do dwóch.

Wcześniej seks by ich na nowo do siebie zbliżył, ale seksu już nie było. Zniknęły jej wyrzuty sumienia w związku z Keithem – czy Neville

w ogóle by się przejął? – i przestała depilować nogi. Czy to zawsze tak właśnie się kończy, wcześniej czy później? Nie miała pojęcia, żaden z jej poprzednich związków nie przetrwał tak długo.

Ostateczne zerwanie rozegrało się szybko. Przyniosła do domu zakupy z Tesco, sklepu, którego Neville nie cierpiał.

– Spieszyłam się – wyjaśniła, rzucając okiem na jego laptop otwarty na stole w kuchni.

Grał w szachy. Szachy. A mówił jej wcześniej, że wysyła aplikacje w sprawie pracy.

– Co to jest? – Podniósł plastikowe opakowanie.

– Rozmaryn. Mówiłeś, że przygotowujesz jagnięcinę z rozmarynem.

Podsunał jej opakowanie pod nos.

– Przeczytaj.

– Co?

– Cenę.

Popatrzyła.

– Funt dwadzieścia pięć.

Chwycił ją za rękę.

– Chodź.

Serce jej zabiło. Zaciągnie ją do łóżka? Ale obrócił się w drugą stronę, otworzył drzwi kuchenne i wypchnął ją do ogrodu. Wskazał jakiś krzak.

– Co to jest? – spytał.

– A skąd mam wiedzieć?

– To popatrz, kobieto! – Oderwał gałązkę. – Rozmaryn! Rośnie tu, kurwa, w twoim ogrodzie! Cały, kurwa, krzak!

– Nie wiedziałam – powiedziała. – A jakie to ma znaczenie?

– Nie masz pojęcia, co? – Patrzył na nią dzikim wzrokiem. Wiatr rozwiewał mu włosy i smagał go nimi po twarzy. – Ożeż, poddaję się, mam dość. Jaki to ma sens? To tylko cholerna strata czasu, już po nas, jesteśmy udupieni.

– Co masz na myśli?

– Skoro nawet taka rozgarnięta kobieta jak ty po tym wszystkim, co ci mówiłem, skoro nawet ty idziesz do Tesco, do Tesco, i wydajesz

funt dwadzieścia pięć na coś, co rośnie ci pod nosem...

– To moje pieniądze. Nie mogę ich wydać tak, jak mi się podoba?

– Dzięki za wypomnienie.

– Chcę powiedzieć, że...

– Jak ci się wydaje, że jak ja się czuję, żerując na tobie?

– Nie żerujesz. Poza tym zostałeś zwolniony...

– Jestem do bani. No, śmiało, przyznaj to! – Gapił się na nią

roztrzęsiony, gałązka rozmarynu drżała mu w dłoni. – Jestem do niczego, już mi nawet nie staje, nic dziwnego, że nie chcesz mieć ze mną dziecka. Bezużyteczny, beznadziejny, mazgajowaty nieudacznik, trujący w kółko o sprawach, które wszyscy mają w nosie, i wcale się nie dziwię, że mnie nie chcesz, bo nikomu nie jestem potrzebny!

Cisnął gałązkę przez mur i wparował do domu.

Zaczęło padać. Amy stała nadal w ogrodzie, zszokowana. Wściekł się nie na żarty. Jednak cała ta scena od dawna była nieunikniona.

Wiedziała już, że to koniec.

Następnego dnia Neville wyprowadził się do mieszkania swojej siostry. Zabrał ze sobą wszystkie swoje rzeczy. Została tylko na wpół opróżniona butelka płynu do płukania ust i DVD z *Brokeback Mountain*, dodatkiem do „Mail on Sunday”, gazety, której nie akceptował.

Tego wieczoru zepsuł się bojler. Amy siedziała skulona w kuchni, jedząc pizzę na wynos. Zapaliła palniki gazowe, ale w mieszkaniu nadal było lodowato. Przysunęła krzesło bliżej kuchenki, która w przeszłości nigdy nie była tak czysta i już nigdy tak czysta nie będzie. W gardle, przyprowadzając ją o mdłości, narastała gula smutku. Pomyślała: Ziolo nas połączyło i ziolo nas rozdzieliło.

Minęły dwa miesiące. Amy stała przy taśmociągu bagażowym na Heathrow, czekając na swoją walizkę. Wróciła z Johannesburga, gdzie pracowała przy reklamie Bacardi. Reszta ekipy już zabrała bagaże i się ulotniła. Pozostał tylko operator kamery, który rozmawiał przez komórkę.

– Taki mądry chłopiec z ciebie! Zupełnie sam potrafisz to zrobić?

A co powiedziała mamusia?

Pojawiło się kilka toreb. Jakaś czarnoskóra para załadowała wielką walizę na wózek i się oddaliła.

– Ile szczeniactków? – dopytywał się kamerzysta. – Mogłeś je pogłaskać? Hm, zobaczymy. Może jeśli będziesz naprawdę grzeczny. O, jest moja torba. – Jedną ręką podniósł ją z taśmy. Potem, nadal z telefonem przy uchu, odszedł, pochłonięty przez swoje drugie życie.

Amy stała sama, dobiegał do niej poszum odległych głosów. Zrobiło się późno i większość taśm już stała nieruchomo. Podrapała ślad po ukąszeniu komara na nadgarstku. Z jakiegoś powodu pomyślała o swoim bracie, który zmarł w szóstym miesiącu życia i nigdy nie był wspominany. Miałyby teraz trzydzieści lat i pewnie własne dzieci. Wyobraziła sobie siebie w roli rozpuszczającej je ciotuni – starej panny. Może kupiłaby im szczeniaka. Jego żona, kobieta, której nigdy nie poznał, która teraz miała inną rodzinę, protestowałaby na widok takiego prezentu, ale ostatecznie cieszyłaby się kudłatym dodatkiem do rodziny.

Megafon zaryczał: „Uprasza się o niepozostawianie bagażu bez opieki”. W końcu walizka Amy wyłoniła się zza klapy, sunąc w jej stronę taśmociągiem. Wyglądała tak samotnie. Czerwona i dzielna, bywała w świetle, ale zupełnie w nim sama.

O północy Amy wytaszczyła bagaż z metra. Był styczeń i przejmujący ziąb. Pochylona dla osłony przed wiatrem, maszerowała mozolnie obok zamkniętej biblioteki, obok oślepiającego światła budki z kebabem. W domu jak zwykle zastała na wycieracze stos korespondencji – awiza na nieodebrane paczki, ulotki Partii Konserwatywnej. Kuchnia była w takim samym stanie chaosu, w jakim ją zostawiła, choć smród był teraz silniejszy, wcześniej nie była w stanie zlokalizować jego źródła i miała nadzieję, że zniknie do jej powrotu. Niby dlaczego miałyby zniknąć? Nie wiedziała.

Usiadła i zapaliła papierosa. Cóż za ulga, że nie ma Neville’a. Przynajmniej nie musi trząść się z zimna w ogrodzie. Mogła robić, co się jej żywnie podoba: zarwać noc, cały dzień nie wstawać z wyrka, oglądając filmiki na YouTube, zamienić mieszkanie w chlew, nie przejmując się, że ktoś będzie na nią fukał, czytać plotki o celebrytach, zaprosić starą kumpelę Josie, która tak drażniła Neville’a...

Dochodziła druga w nocy. Długo już tak siedziała. Podniosła się ciężko z krzesła. Perspektywa kąpieli wydała jej się zbyt męcząca, położyła się zatem na łóżku w ubraniu i naciągnęła na siebie kołdrę.

Teraz mogła też do woli pierdzieć w pościeli, co było kolejnym z wielu plusów mieszkania samej.

Następnego dnia rano miała już tego dosyć. Oczy bolały ją od płaczu. Ochlapała twarz wodą i spróbowała wziąć się w garść. O dziewiątej w końcu zebrała się na odwagę i wykręciła numer siostry Neville'a.

Po krótkiej towarzyskiej pogawędce spytała:

– Eee, jest tam gdzieś obok ciebie Neville?

– To nie słyszałaś? Pojechali na Teneryfę.

– Że co? Kto?

– Tylko na tydzień. – Urwała. – O, szlag, palnęłam głupstwo, tak?

– Nie, skądże... jasne, że nie.

– Myślałam, że wiesz.

Miała na imię Alice. Poznali się z Neville'em, oczyszczając z gnoju chlewnię na gminnej farmie. Teraz, jak się okazało, oszczędzali już na wkład mieszkaniowy.

Buffy

– Nadal leje. – Frieda stanęła przy oknie.

– Jak z cebra – zgodziła się Iris.

Buffy jeszcze miał na sobie fartuch, choć już dawno było po śniadaniu. Stał obok swoich gości i patrzył na ulicę. Deszcz zaczął grubymi strugami. Jakaś schylona postać podbiegła do samochodu i wskoczyła do środka, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. W Coffee Cup naprzeciwko widać było przez zaparowane okna okapturzone postaci w skafandrach, zabijające czas.

– Nie zanosi się na to, żeby przestało – powiedział.

Frieda i Iris były emerytowanymi nauczycielkami. Buffy przypuszczał, że także lesbijkami. Wynajęły jeden pokój, choć może przez zwykłą oszczędność. Obie miały przysadziste figury i proste, niewymyślne fryzury. Ich pionierki czekały przy drzwiach.

– Planowałyśmy zaliczyć dziś Hergest Ridge – powiedziała Iris.

– A potem lunch w pubie – dorzuciła Frieda.

– Takie już nasze szczęście.

Zapadła cisza.

– Nie możecie wyjść w taką pogodę – oznajmił Buffy.

– Ale... – Słowo zawisło w powietrzu.

Było wpół do jedenastej, dawno powinny opuścić pensjonat.

– No już – powiedział Buffy. – Zaparzę nam kawę.

Po kilku mało przekonujących protestach przeszły do pokoju na tyłach, do salonu, który niby stanowił królestwo gospodarza, choć Buffy nigdy nie wyznaczył jasnych granic. Gdzie kończyło się jego życie, a zaczynało życie gości? Od miesiąca dzielił dom z najróżniejszymi przybyszami, ale jeszcze nie zabrał się do oznaczenia swojego terytorium. Głównie z lenistwa. Bridie była ponoć bardziej zasadnicza w kwestii swojej przestrzeni, ale ona zajmowała się tym zawodowo.

Poza tym Buffy należał do stworzeń towarzyskich. Teraz zaś mieli

rekordowo deszczowy maj i wielokrotnie się zdarzało, że goście zostawali w domu przez cały ranek, bo nie miał serca wyrzucić ich na pluchę. To zaowocowało kilkoma zaskakująco odkrywczymi pogawędkami z przypadkową zbieraniną nieznajomych, którym świadomość, że już nigdy więcej się nie spotkają, znosiła zahamowania i rozwiązywała język. Buffy'emu przypominało to trochę występy na tournée, tyle że obsada ciągle się zmieniała. A jeśli potrzebował chwili spokoju, zawsze miał kuchnię, najcieplejsze pomieszczenie w całym domu, gdzie zainstalował drugi telewizor i stojak z masą butelczyn zakupionych po okazyjnej cenie w Costcutter, jego dostawcy win.

Nastawił imbryk. Voda rozmawiała przez telefon w pomieszczeniu gospodarczym.

– Tak, proszę pana, mamy jeszcze wolne miejsca, ale to się szybko zmienia. Radziłabym od razu zrobić rezerwację.

To było kłamstwo oczywiście, jednak często działało. Voda okazała się skarbem, on zaś zaczął niemal we wszystkim się na nią zdawać. Po prawdzie, gdyby nie ona, cały interes pewnie w ogóle by nie wypalił. Wysprzątała gruntownie dom i sprowadziła brata, żeby naprawił instalację elektryczną. Rozesłała mejle do poprzednich gości z informacją, że Myrtle House wznawia działalność pod nowym kierownictwem, a psy są mile widziane. Założyła stronę internetową pensjonatu z odnośnikami do stron izby turystycznej oraz różnych czasopism poświęconych kolarstwu i pieszym wędrownikom. A teraz, gdy zaczęli pojawiać się goście – z rzadka i niewielu, ale ciągle był to jeszcze okres rozruchu – prała prześcieradła i przygotowywała śniadania. Początkowo wprawdzie to Buffy objął rządy w kuchni, ale gdy reaburn zaczął pluć czarnym dymem, Voda odepchnęła go i przejęła stery.

– To nie to samo co pichcenie dla dzieci – oznajmiła. – Nasi klienci za to płacą.

Zatem sam objął mniej wymagającą rolę posługacza. W końcu był przyzwyczajony do przyjmowania poleceń od reżyserów i dopóki udawało mu się wykonywać jej poruczenia, pracowali jak zgrany zespół. Pozostał przy tym gospodarzem, witając i pozdrawiając gości, podając do stołu i ogólnie udając, że zarządza. Podobał mu się dom pełen ludzi, przypominał mu stare dzieje, gdy był żonaty.

Wreszcie mógł to przyznać: kawalerskie lata spędzone w Blomfield Mansions były cholernie samotne. Teraz, gdy zamykał drzwi na noc, niemal czuł oddechy śpiących na górze gości, bezpiecznych na czas nocy. I choć zdarzały się okazjonalne skargi, na przykład na okresowy brak ciepłej wody w łazience, jak dotąd przedstawiane mu były w łagodnej formie, nieco przepraszającym tonem, jakby to była wina gości. Jakże łatwe do zniesienia były takie narzekania w porównaniu ze złożonym poczuciem winy, w jakie wpędzały go kolejne małżonki, albo ostrymi oskarżeniami jego dzieci!

– Właśnie mówiłam Iris, czy przypadkiem nie grał pan w tej sztuce?

– Której? – spytał Buffy, nalewając kawę.

– Tej, która rozgrywa się w domu starców.

– Nie, głupia – powiedziała Iris. – To był Michael Gambon.

Okazało się, że obie są zapalonymi teatromankami. Spędziły przyjemną godzinkę na wysłuchiwanie wspomnień Buffy'ego. Jak jego dobry kumpel Eldon James, mając już zdrowo w czubie, wybrał się kiedyś do teatru na przedstawienie i dopiero gdy kurtyna poszła w górę, zorientował się, że w nim występuje. Jak on sam, Buffy, w ramach swojej ostatniej roli wcielał się w przykutego do łóżka patriarchę rodu i podczas jednego z przedstawień zasnął na scenie.

– Nie żeby robiło to wielką różnicę – powiedział. – To i tak była scena śmierci. Na tym polega problem ze starością: człowiek dostaje tylko role umrzyków. Johnny Gielgud odwał kité chyba z pięćdziesiąt razy, zanim przyszło mu ostatecznie opuścić ten padół. Przynajmniej miał już wtedy jakąś wprawę.

Deszcz nadal bębnił o dach werandy. W oddali kościelny zegar wybił dwunastą.

– No, pora strzelić kielicha. – Buffy wstał. – Któraś z dam ma ochotę na lampkę pinot grigio?

– Och, nie, nie możemy nadużywać pańskiej...

– O, dotrzymajcie mi towarzystwa, moje drogie.

Popatrzyły na siebie.

– Zwykle nie pijemy w środku dnia.

– Wszyscy tak mówią – rzucił Buffy. Oprócz: „zwykle nie jadam

tak obfitych śniadań”. Zawsze twierdzili tak goście, którzy wcinali, aż im się uszy trzęsły: kielbaski, kaszanke, wszystko, co podleci, do czysta.

– Ale czy przypadkiem nie odrywamy pana od pracy? – spytała Frieda.

– Uchowaj Boże – zapewnił Buffy.

– To bardzo miło z pana strony – powiedziała Iris. – I, no cóż, w końcu jesteśmy na wakacjach.

To też wszyscy mówili. Buffy wrócił z kieliszkami i butelką. Dawno już zauważył, że ci, którzy najbardziej się wzdragali, zawsze najszybciej ją osuszają. W trakcie pogawędki przy winie wyszło na jaw, że Iris ma brata, który przechodzi kryzys wieku średniego.

– Kolczyk w uchu, kucyk, te wszystkie objawy – powiedziała. – A teraz dołączył do zespołu swojego syna, gra na gitarze... paraduje w króciutkich kamizelkach, no i ten jego bandzioch... Och, młodzi są tacy wyrozumiali.

– Pierwsze słyszę – zdziwił się Buffy. Z drugiej strony nie bardzo mógł winić swoje dzieci. Po prawdzie z czasem stosunki między nim a nimi się poprawiały, w miarę jak one popełniały te same błędy, które sam wcześniej zrobił. Frieda i Iris umiały słuchać, lesbijki często umieją, wiedział z doświadczenia. I nagle ani się obejrzał, a opowiedział im o Celeste, córce, która niespodziewanie pojawiła się w jego życiu, zupełnie znikąd, w wieku lat dwudziestu trzech.

– Niemożliwe, że znikąd – zauważyła Iris. – Kim jest jej matka? Z kim się pan wtedy zadawał?

– Cóż, spotykałem się niezobowiązująco z Lorną.

– Najwyraźniej nie tak znowu niezobowiązująco – powiedziała Iris, rozzuchwalona winem.

– Widywaliśmy się od przypadku do przypadku, nigdy nawet się nie zająknęła, że jest w ciąży, potem dostała pracę w jakimś programie i już nigdy jej nie widziałem.

Słuchały z okrągłymi oczami, gdy im opowiadał, jak Celeste go wytropiła, a następnie znalazła sobie pracę w miejscowej aptece i w końcu mu wyjawiała, że jest jego córką. Oczy Friedy zaszyły łzami. Wielkie nieba, ależ dobrze się bawił! Kieliszeczek wina, grono zachwyconych słuchaczy, nadstawiająca ucha widownia – czegóż więcej

może sobie życzyć stary aktor?

W drzwiach pojawiła się głowa Vody.

– Wskoczę na chwilę. – To był dzień odwiedzin w Shrewsbury. Zerknęła na butelkę, potem na dwie kobiety, które najwyraźniej rozgościły się na dłużej, i przeniosła oczy na Buffy'ego. „Ty stary mięczaku” – mówiły.

Zdarzały się też małżeństwa. Lance i Janet Pritchardowie okupowali któregoś ranka jedyną łazienkę do wpół do dziesiątej. Chichoty i odgłosy chlapania słyszeć było aż na korytarzu, gdzie inny gość, nieśmiały geolog, pojawiał się w regularnych odstępach czasu z ręcznikiem w dłoni. Wprawdzie w domu były jeszcze dwa prysznice, ale jeden nie działał, a drugi znajdował się w prywatnej łazience w sypialni Buffy'ego, który w końcu musiał zgarnąć swoje ubrania z podłogi i zaprosić geologa do własnego sanktuarium. O jedenastej, bitą godzinę po oficjalnym czasie zdawania pokoi, Pritchardowie pojawili się jak gdyby nigdy nic w jadalni, różowiutcy i zadowoleni. Najwyraźniej w jakiś tajemniczy sposób rozeszła się wieść, że w Myrtle House nikt specjalnie nie przejmuje się regulaminem, może ludzie sprawdzali na fejsie czy coś takiego. Buffy nie miał serca robić z igły widły, tęsknił tylko za przeszłością, za skrzypiącymi łózkami i uniesionymi brwiami właścicieli mniej tolerancyjnych niż on sam.

Poza tym znowu padało. A nawet szalała wichura. Chociaż Knockton leżało tylko milę od angielskiej granicy, klimat był bez wątplenia walijski. Buffy wyrzucił Figa do ogrodu i zatrzaskał drzwi z dreszczem. Tego ranka spacerek dla zdrowia nie wchodził w grę, a choć bardzo lubił miasteczko, niewiele miało ono rozrywek do zaproponowania, nawet w sobotę. Perspektywa zakupów i ploteczek w lejącym deszczu nie przedstawiała się szczególnie pociągająco, również wieczorek muzyczny w domu weterana nie był wabikiem dość mocnym, by wyciągnąć go z domu w taką psią pogodę.

Za to geolog, zupełnie nią niezrażony, wybył gdzieś w teren. Pritchardowie jednakże stali ramię przy ramieniu przy oknie w jadalni, stanowisku aż za dobrze Buffy'emu znanym.

– Możemy się wybrać na zwiedzanie tych ekologicznych domów – powiedziała Janet.

– W tej pompie? – Lance nie odrywał wzroku od deszczu.
– Albo do muzeum modeli kolejek – powiedziała. – W tym miejscu, którego nazwy nie potrafię wymówić. – Popatrzyła na niego. – Zawsze lubiłeś modele kolejek, prawda?

– Taaa, jak miałem sześć lat.

Zerknęła na broszurę.

– W Klubie Towarzyskim jest targ rękodzieła.

Lance nie odpowiedział.

– Spójrz! – Wskazała na stronę. – „Shiatsu dla ludzi, psów i koni!”

Czyż to nie zabawne?

– Bardzo.

Zapadło milczenie.

– Moglibyśmy wyskoczyć do Aberystwyth – zaproponowała znowu.

– Po kiego licha mielibyśmy tam wyskakiwać?

– Leży nad morzem.

– Może lepiej wróćmy do domu – powiedział Lance.

Zesztywniała.

– Co?

Buffy właśnie czyścił stół, ale też zamarł.

– To nie działa, prawda? – rzucił Lance. – Spakuję się. Idziesz? – Ruszył gwałtownie przez pokój, wpadając na stół, i zerknął przelotnie na Buffy’ego. – Przepraszam, szefie, zapłacę za dzisiejszy nocleg. – I zniknął.

Janet usiadła na krześle i wybuchła płaczem.

Godzinkę później siedzieli we trójkę w bawialni i dopijali drugą butelkę riojy.

– Całe dnie sterczy na drabinie i coś tam dłubie – skarżyła się Janet. – W ogóle ze mną nie rozmawia.

– To ty chciałaś mieć dwupoziomowe mieszkanie – bronił się Lance. – Ostrzegałem, że będzie przy tym masa roboty.

– Kiedyś tyle się śmialiśmy, żartowaliśmy razem.

– Dziś rano sprawiała pani wrażenie całkiem rozbawionej – zauważył Buffy. Chciał dodać „w kąpielni”, ale ugryzł się w język.

– Ja nadal sypię dowcipami jak z rękawa. Tyle że ciebie one już nie

bawią.

– Ten weekend miał być naszym drugim miesiącem miodowym – Janet poinformowała Buffy’ego. – Lance miał okropne dzieciństwo. Ojczym zamykał go w bagażniku auta, gdy szedł grać w golfa.

– O, cholercia – rzucił Buffy.

– Dzięki, Jan – wycedził Lance. – Masz jeszcze w zanadrzu kilka dykteryjek na mój temat, którymi chciałabyś się podzielić ze światem?

– Próbuję tylko wyjaśnić, na czym polega nasz problem.

– Nie mamy żadnego problemu.

– W tym właśnie problem – powiedziała. – Trafiłeś w sedno.

– Co ty pleciesz?

– Dlaczego nie porozmawiamy? – Wskazała Buffy’ego. – On rozumie, sam ma masę problemów, słyszałeś, co mówił o swoich żonach...

– Byłych żonach – sprostował Buffy.

– Przeszedł przez wszystko, z czym my się teraz zmagamy. To widać, wystarczy spojrzeć na jego twarz.

– Co jest nie tak z moją twarzą? – warknął Buffy.

– Zna pan życie – powiedziała. – Ma pan to na niej wypisane. I lubi pan o nim opowiadać. Te historyjki, którymi się pan z nami podzielił, są fascynujące. Kumple Lance’a w ogóle nie rozmawiają. Chodzą do pubu, na mecze, grają w nogę. Ale nie umieją rozmawiać.

– Ja rozmawiam – zachnął się Lance. – Problem w tym, że ciebie nie interesuje, co mam do powiedzenia.

– Ale nie rozmawiasz o uczuciach. Nadal siedzisz zamknięty w tym bagażniku.

– Rany, kobieto, odpuść. – Lance wyciągnął paczkę papierosów.

– Tu nie wolno palić – zaprotestowała Janet.

– Nie ma sprawy. – Machnął ręką Buffy. – I tak wszyscy palą.

– Dlatego się zaciągnął – powiedziała, jak się okazało, nie à propos papierosów. – Bo w wojsku nie grozi mu gadanie z kobietami.

– Nie – zgodził się Lance. – Tylko rozpieprzenie w Afganistanie. – Popatrzył na wilgotną plamę na ścianie i odwrócił się do Buffy’ego. – Trzeba się tym zająć, szefie, bo zrobi się problem. Idę o zakład, że rynna przecieka. – Wstał. – Ma pan drabinę? Mogę od razu sprawdzić.

Janet wybuchła śmiechem. Słońce wychynęło zza chmur i wpadając przez witrażowe okno, obsypało pokój cekinami światła.

Z jakiegoś nieznanego Buffy'emu powodu między małżonkami zapanowała nagle zgoda. Czy to on się do tego przyczynił? A może alkohol? Tak czy siak, Pritchardowie zniknęli na górze, a on pomyślał: Traktują to miejsce jak hotel. Ale nie protestował: gość ryzykował życie dla kraju. Wyczerpany, położył się na sofie i schował twarz w poduszce. Pachniała kotami Bridie, chyba że to wyobraźnia płatała mu figle.

Po południu małżonkowie udali się na spacer. Buffy patrzył, jak przechadzają się Church Street, przystając przed sklepikami. Kałuże migotały w promieniach słońca, ludzie wychynęli z domów i gawędzili na gankach. Miasteczko miało coś z niewinności i beztroski filmów Franka Capry, atmosferę, dzięki której od razu zakochał się w tym miejscu kilka miesięcy temu.

Dumał nad pretensjami Janet. Sam miał wiele problemów z kobietami, ale na pewno nie komunikacyjne. Potrafił rozmawiać z nimi godzinami. Po prawdzie mógłby nawet poprowadzić cały kurs na ten temat. Zajrzał do broszurki *Dzieje się w Marchiach* porzuconej przez Pritchardów w salonie. Na dwustronicowej liście warsztatów i zajęć znajdowały się typowe propozycje – takie jak joga czy akupunktura – ale także „szamańskie odrodzenie duszy” prowadzone przez jakąś Clare oraz quigong, co najwyraźniej było jakąś sztuką walki wewnętrznej, cokolwiek to znaczyło, pod wodzą Nigela w Hereford. Zważywszy na zatrzęsienie brodatych bitników w okolicy, tego typu oferta wcale go nie dziwiła. Zakładał jednak, że wszystkie te zajęcia odbywają się w ciszy. I rzeczywiście, jak przeczytał, w trakcie terapii metamorficznej „uwalniane są niepożądane wzory zachowania z okresu narodzin i wcześniejszego bez konieczności wypowiedzania ani jednego słowa”. Tak czy siak, żaden z tych kursów nie uczył z pewnością sztuki konwersacji. A przecież kobiety zawsze narzekają na brak umiejętności komunikacyjnych u mężczyzn.

Oczyma wyobraźni już widział ogłoszenia. Wywieszane w tych bastionach samczości, miejscowych pubach. „Jak rozmawiać z kobietami. Prowadzenie: Russell Buffery”. Może wpadnie mu kilka funciaków, interes z domem noclegowym nie okazał się kurą znoszącą

złote jajka.

Niezupełnie tak się to potoczyło, ale ziarno zostało zasiane.

Harold

– O czym dokładnie jest twoja powieść? – Pia oparła się o framugę drzwi, patrząc na siedzącego przy biurku Harolda.

– Powieściopisarze nie mogą tego zdradzać – odpowiedział. – Żeby nie psuć przyjemności lektury.

Pia uniosła brwi. Cóż za piękność z niej była! Wysoka i smukła, kobieta pełnej krwi, wystające kości policzkowe, napięta, sucha skóra, teraz opalona od pracy w ogródku. Płaski brzuch tancerki. Po tylu latach jej uroda nadal go zachwycała.

Pia wzruszyła ramionami i minęła Harolda, by podlać swoje sadzonki. Całe ich rzędy były ustawione na parapecie okna. Pochylił się nad komputerem, niczym dziecko zasłaniające swoją pracę podczas klasówki. Tymczasem ona za jego plecami spryskała roślinki wodą z dyfuzora. Wilgotna mgiełka poszybowała na jego otwarty notes, który leżał na krześle obok. Wprost na stronę z zapiskami na temat jednej z postaci. Patrzył, jak jego pismo się rozplywa, a razem z nim bohater, ale nie zaprotestował. Pia z pewnością obstawałaby, że to jego wina, choćby dlatego, że zostawił tam zeszyt.

– Myślę, że udajesz – oznajmiła. – Moim zdaniem siedzisz tu i ściągasz pornosy.

– Dobra, powiem ci. – Wziął głęboki oddech. – To komedia napisana przez kota Mary Pickford.

– Że jak?

– Filmy i koty, murowany bestseller.

– Ale koty nie potrafią mówić – zauważyła Pia.

– Podobnie jak aktorzy niemych filmów.

– Ależ oczywiście, że oni mówią – westchnęła. – Po prostu ich nie słyszymy. A tak w ogóle czy Mary Pickford miała kota?

– Każdy ma kota na pewnym etapie życia.

– Dobrze, już dobrze – rzuciła, nagle znudzona. Potarła palcem

nos, zostawiając na nim smugę ziemi. Rozejrzała się po pokoju. – Naprawdę powinieneś tu wpuścić sprzątaczkę.

– Nie, dopóki nie skończę książki.

W powietrzu zawisły niewypowiedziane słowa: „A kiedyż to będzie?”.

Harold podejrzewał, że w gruncie rzeczy jego powieść interesuje Pię tyle co zeszłoroczny śnieg. Chociaż prowadziła dom kultury, nie była intelektualistką, jej konikiem były taniec i teatr, im bardziej egzotyczne, tym lepiej. Po prostu ją ciekawiło, ile potrwa ta jego pisanina.

Jego też. Wyobrażał sobie wcześniej, że po latach wykładania literatury zgłębił podstawy jej tworzenia – w końcu jego *Wprowadzenie do literatury amerykańskiej* było najpopularniejszym modułem w Holloway College. Potrafił zacytować z pamięci całe strony z *Daru Humboldta*, z pewnością jakaś część tej wiedzy musiała przecież wniknąć do jego podświadomości, czy gdzie tam kryła się jego kreatywność. Ale od czego dokładnie powinno się zacząć? Czuł się jak świeżo wyszkolony pilot za sterami ogromnego pustego odrzutowca, który zna przycisk na panelu kontrolnym, a mimo to nie ma pojęcia, jak wystartować. *Strach przed lataniem*, pomyślał, kolejna książka na jego liście studenckich lektur.

Po prawdzie wielokroć już zaczynał swoją powieść. Ale po napisaniu ustępu czy dwóch natychmiast do głosu dochodził jego wewnętrzny krytyk i Harold zaczynał tak bezwzględnie przerabiać własne słowa, że całość brała w łeb. No i od czego dokładnie powinien zacząć? Od przyścia na świat kota? Pierwszego filmu Mary Pickford? I jak ten pieprzony kot w ogóle miał mówić, przy kilku miauknięciach tu i tam? Całymi miesiącami siedział kamieniem za biurkiem, sparaliżowany przyziemną paniką, pod obstrzałem spojrzeń Ulubienicy Ameryki, która uśmiechała się z wyższością ze zdjęć poprzyklejanych do ściany taśmą klejącą. „Naprawdę ci się wydaje, że możesz ze mną zadzierać, ty pozbawiony talentu pokurczu?”

– Wychodzę – oznajmiła Pia.

– Co, teraz?

– A dlaczego nie?

– Myślałem, że zjemy razem lunch.

Pia się zaczerwieniła.

– Nie, skarbie, mówiłam ci przecież. Muszę iść na zebranie w sprawie cięć dotacji na kulturę.

– W niedzielę?

– Tylko w ten dzień możemy wszyscy się spotkać.

Chciał powiedzieć: „Przecież spotykacie się przez cały tydzień”, ale ugryzł się w język. Dlaczego powiedziała do niego „skarbie”? Stała tam, pocierając kciukiem brew i rozglądając się po jego gabinecie roztargnionym wzrokiem. Widział, że pali się do wyjścia, ale nie chce sprawiać wrażenia zniecierpliwionej. W promieniach słońca, których snop właśnie na nią padł, z tymi jasnymi, delikatnymi włosami i uciekającym niebieskim spojrzeniem wyglądała jak nordycka bogini.

– To nie potrwa długo. – Cmoknęła go w czubek głowy i wyszła.

Usłyszał trzask drzwi frontowych na dole. Nie wiedząc czemu zerwał się i pobiegł do sypialni. Zobaczył przez okno, jak idzie ścieżką, zapinając zamek skórzanej kurtki. Silnik zakaszłał i zniknęła, walkiria w kasku na skuterze Piaggio.

Ostatnio rzeczywiście zrobiła się trochę nieobecna duchem. Przypuszczał, że niepokoi się nadciągającymi cięciami. Kryzys bankowy uderzył też w kulturę i przyszłość Hackney Fudge Factory, gdzie Pia pracowała, rysowała się coraz bardziej niepewnie. Harold miał swoje zdanie na temat tego miejsca, ostatni *Sezon na menopauzę* miał małe szanse przemówić do miejscowych, ale zachowywał je dla siebie przez męzkowską lojalność. Nie, tak naprawdę to ze strachu. W ciągu dwunastu lat małżeństwa zdążył się już przekonać, że najmniejsze słowo krytyki, choćby nie wiadomo jak delikatnie wypowiedziane, zawsze skutkuje pogardliwym odrzuceniem włosów tylko z tego powodu, że padło z ust mężczyzny – a przecież to właśnie jego męskość ją pociągała. Nie warto było kruszyć kopii.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Harold zwłókł się z łóżka, na które wcześniej zwałił się otępiały, i zbiegł na dół.

Jakaś kobieta stała na progu z pudłem kartonowym u stóp.

– Zastałam panią Cohen?

Harold wyjaśnił, że żona wyszła. Na ulicy stał samochód z pracującym silnikiem.

– W takim razie niech pan lepiej je weźmie – powiedziała. – Już i tak jesteście spóźnieni. – Miała na sobie kwiecistą sukienkę i rozpinany sweterek. Nie wiedzieć czemu przywodziła mu na myśl nauczycielkę geografii. W Hackney nieczęsto widuje się tego typu kobiety. Popatrzyła na niego zmrużonymi oczyma. – Ma pan chyba świadomość, że te kury przeszły poważny uraz?

– O, mój Boże. – Harold wbił wzrok w pudło. – Myślałem, że mają przyjechać w środę.

– Dzisiaj było nam bardziej na rękę, akurat wtedy przejeżdżaliśmy – wyjaśniła. – Jedziemy właśnie na ślub do Sandwich. – Rozległ się klakson auta z ulicy. – Zostały odrobaczone i odwszawione, ale proszę nie zapominać, że to pokrzywy.

– Co proszę?

– Pokrzywdzone. Ofiary przemocy. Maltretowano je – tłumaczyła cierpliwie. – Zatem niech pana nie zszokuje ich wygląd. Pióra powinny odrosnąć za kilka miesięcy. Ale zapewniam kubraczki z włóczki, bardzo milusie. Mam nawet kilka w samochodzie, po dziesięć funtów jeden.

– Jestem pewien, że poradzą sobie bez kubraczków.

– Jeszcze ich pan nie widział – ostrzegła.

Pudło się poruszyło i dobyło się z niego ciche gdakanie.

– Muszę lojalnie uprzedzić, że niektóre z nich być może nigdy nie wydobreją, były trzymane w potwornych warunkach. Jednak przy odrobinie szczęścia ani się obejrzycie, a cipeczki zaczną sobie dziobać w najlepsze. – Uklękła i zwróciła się do pudła: – Pa, pa, maleńkie. – Wstała i otrzepała sukienkę z kurzu. – Jak najlepiej dojechać do Blackwall Tunnel?

Harold zaniósł pudło do ogrodu na tyłach domu. Okazało się zaskakująco ciężkie i ruszało mu się w rękach. Rzecz jasna, cała ta kurza afery była pomysłem Pii, on osobiście wolał kurczaki nadziewane koprem, czerwoną cebulą i pancettą, jego ulubiony przepis z książki kucharskiej River Café. Klatka była już gotowa, zmajstrował ją jeden z maszynistów teatralnych z Fudge Factory. W jej środku znajdował się kurnik kryty dachówkami ze sztucznego piernika, pozostałymi z zeszłorocznej pantomimy.

Kiedy stawał pudło na ziemi, z wnętrza dobyło się gdaknięcie. Ta

apodyktyczna paniusia z przedmieścia najwyraźniej uważała, że to ona wyświadcza jemu przysługę. Co, do licha, ma teraz zrobić? Czemu nie ma tu Pii?

W pokrywie pojawił się dziób. Harold przypomniał sobie rosół z knedlami, jaki gotowała jego matka, poczuł ten zapach. Rodzina zbierała się dokoła stołu, ojciec unosił przykrywkę wazy... i ta para, ta woń. „Co wy na to? Dziękuję, mamó”. Jego rodzice urabiali sobie ręce po łokcie, harując dzień i noc, by wydostać się z tej dzielnicy i przenieść do Golders Green, a teraz on znowu się tu znalazł, zatoczywszy koło, zaledwie pół mili od miejsca, gdzie się urodził. Pia naciskała, by kupić dom w Hackney, bo miała stąd blisko do pracy. Podobała jej się także tutejsza różnorodność etniczna, choć status okolicy szybko się podnosił – jak stwierdzili ludzie, od których kupili dom: „Dokoła robi się coraz bardziej ekskluzywnie. Jesteśmy jedyną czarną rodziną w okolicy i się wyprowadzamy”.

Harold dźwignął pudło, wsadził je do zagrody i otworzył. Trzy kury wygramoliły się na zewnątrz, wspinając po sobie nawzajem. Potem, zataczając się jak pijane, pobiegły i skuliły się w rogu zagrody. Wielkie nieba, były kompletnie łyse! Nie, gorzej: były łyse z wyjątkiem głowy i szyi, które porastały rachityczne kępki piórek. W miejscu ogona tkwiły mięsiste kikuty. Nigdy jeszcze nie widział czegoś równie ohydneho.

Zamknął drzwi zagrody z dreszczem obrzydzenia. Kury przechyliły głowy i przyglądały mu się złowrogo maleńkimi żółtymi oczkami. Oczywiście ani krzty wdzięczności. Czy w ogóle mają świadomość, jak głupio wyglądają? Naszło go podejrzenie, że Pia, podobnie jak tamta okropna baba, może nazywać je cipeczkami. Niezbita przesłanka do rozwodu jego zdaniem.

Wiedział, że powinien okazywać więcej zrozumienia i wsparcia dla najnowszej fanaberii żony. Pytanie tylko brzmiało, jak długo ona potrwa. Jej poprzedni szal na fitness skończył się tym, że po domu walał się porozrzucany sprzęt do ćwiczeń, w tym rower, który dźgał go w kostkę, ilekroć Harold próbował dostać się do ubikacji na dole. Zabawa w gospodarstwo rolne okazała się jednak gorsza, zwłaszcza teraz, w okresie wegetacji. Wszystkie parapety w domu były zapchane sadzonkami. Zwieszały się z małych doniczek, suche i złaknione,

i wydawało się, że przez noc się rozmnażają – ilekroć zerkał, przybywało cholerstw – i wszystkie domagały się jego uwagi, ponieważ, oczywiście, Pia całe dni siedziała w pracy. To przypominało prowadzenie cholernej ochronki.

– Dlaczego nie lubisz ogrodnictwa? – spytała go kiedyś.

– Jestem Żydem – przypomniał jej. – To lud pustynny.

– To hoduj kaktusy.

– Uprawiaj.

– Nie bądź pedantem. – Westchnęła i zaczęła znowu: – Czyż to nie frajda jeść własne warzywa?

Harold zasznurował usta. Nie chciał wypominać jej ziemniaków pełnych ślimaków, pomidorów pokrytych naroślami oraz faktu, że gdy ich marne plony w końcu dojrzewały, półki sklepowe uginały się od dokładnie takich samych warzyw, tylko znacznie smaczniejszych i nieporównanie tańszych, jeśli brało się pod uwagę, ile zachodu wymagała własna uprawa. Poza tym w ogródku nie było już gdzie posiedzieć, bo roiło się w nim od gnijących kapust. A teraz jeszcze ten wybieg dla kur.

– Przestałbyś już biadolić – zżymała się Pia. – Dlaczego zawsze jesteś do wszystkiego tak negatywnie nastawiony? Ratujemy je z rąk oprawców i potwornych warunków. No i pomyśl o jajkach.

Kury nadal wpatrywały się w niego badawczo z kąta. Harold pomyślał: Czemu by nie zaoszczędzić sobie zachodu i ich nie zjeść? W końcu były już oskubane, gotowe do garnka. Podniósł upstrzone odchodami pudło, wepchnął je do torby na odpady i zgniótł stopą. Pia oskarżała go o biadolenie, ale przyganiał kocioł garnkowi. Nadciągające cięcia dotacji zagrażały poważnie Fudge Factory i już kosztowały dwa etaty. Pracowała po godzinach, organizowała zebrania w niedziele, pilne narady, nic dziwnego, że była zestresowana i nieobecna myślami, mamrocząc coś przez komórkę i wysiadując do późna w nocy przed komputerem. Harold bardzo jej współczuł, ale ona przynajmniej miała personel, podczas gdy jemu został dom pełen sadzonek, a teraz jeszcze trzy wrogo nastawione kury.

Nagle go olśniło: nic dziwnego, że tak na niego patrzą. Nie dostały nic do jedzenia. Pia zamówiła przez Internet jakieś kurze żarcie, ale

miano je dostarczyć dopiero nazajutrz.

Ruszył wściekły do kuchni. Co, do diabła, ma zrobić? Przystanął w drzwiach. Po podłodze walała się ziemia, najwyraźniej kot wziął jedną z donic wysiewnych za kuwetę. Harold to zignorował i otworzył spiżarnię. Co jedzą kury? Bulgur? Makaron? Czy wcześniej powinien to ugotować? Stał tam i przeklinał dom kultury. Nie, przeklinał bankierów. Gdyby nie okazali się takimi chciwymi draniami, jego żona by teraz tu była i zajmowała się drobiem. On miał zmarnowaną niedzielę, cały kraj się rozpadał i schodził na kury, to znaczy psy, a ich to gówno obchodziło.

Chwytał portfel i wybiegł z domu. Dzisiaj już i tak mógł zapomnieć o pracy. Będzie musiał kupić ptasią karmę – orzeszki ziemne, coś w ten deseń. Niedaleko Dalston Lane znajdowało się centrum ogrodnicze.

Mimo to humor mu się poprawił. Zawsze się poprawiał, ilekroć uciekał od komputera. Był bajecznie słoneczny dzień, sam początek maja. Skręcił na rogu, mijając rząd sklepów – jamajskie paszteciki na wynos, zakład fryzjerski afro z perukami na wystawie, Elitarne Przewozy Osobowe o fatalnie nieadekwatnej nazwie. Niedługo wszystkie miały zniknąć, kwartał przeznaczono pod nowe osiedle. Od czasów olimpiady ceny nieruchomości poszybowały w górę i ściągnęły chłopców z City. Harold patrzył z czułością na odrapane, skazane na niebyt zakłady. Choć nigdy nie odczuwał potrzeby przedłużenia włosów, będzie mu brakowało tej możliwości, gdy ta zniknie. Cała dzielnica przechodziła rewitalizację – precz z pasztecikami, witamy pesto. Chodziły nawet słuchy o hipermarkecie Waitrose.

Chwilę później okazało się, że Waitrose istotnie powstaje, i to na miejscu centrum ogrodniczego. Harold przystanął i zaklął. Od miesięcy nie był na Dalston Lane i okolica zmieniła się nie do poznania. Samochody przejeżdżały obok z hukiem, gdy tak stał i gapił się na szkielet marketu. Za nim wznosił się nowiutki luksusowy apartamentowiec, na którym powiewał baner z napisem: „Jeszcze tylko sześć apartamentów na sprzedaż”. Po drugiej stronie ulicy wyrósł nowy hotel.

I przez jego obrotowe drzwi wyszła właśnie Pia. Trzymała w ręku

kask. Towarzyszyła jej jakaś Japonka. Obie były tak zajęte rozmową, że wpadły na grupkę biznesmenów wchodzących do środka. Harold pomachał żonie, ale go nie zauważyła. Zszedł na jezdnię, jednak zaraz uskoczył z powrotem na chodnik, otrąbiony przez kierowcę ciężarówki.

Przez sznur przejeżdżających aut widział, jak Pia się schyla, by odpiąć skuter. Japonka otworzyła siedzenie i wyjęła drugi kask. Była drobniutka i ubrana na czarno. Przerzuciła nogę przez siodełko i ruszyła, podskakując na progach zwalniających na parkingu. Potem skręciły gwałtownie, omijając świeżo zasadzone drzewa, i zniknęły na odległej drodze wyjazdowej.

Pia wróciła do domu dopiero o dwudziestej pierwszej. Padła na sofę i przesunęła dłonią po włosach, potrząsając nimi jak pies. Nos miała spalony od słońca.

– Chryste, co za dzień – jęknęła. – Strasznie cię przepraszam, kochanie. Możesz winić ten gówniany torysowski rząd filistrów. Powinno się zastrzelić ministra kultury.

Harold powiedział jej o kurach. Zerwała się na równe nogi i wybiegła do ogrodu. Dołączył do niej. Zapadł już zmrok i kury położyły się spać, przez okno kurnika widział, że siedzą jedna obok drugiej na grzędzie, łyse ciała połyskiwały w mroku.

– Słodkich snów, cipeczki – powiedziała Pia. – Będzie wam tu bardzo dobrze.

Opowiedział jej o sytuacji z karmą i że koniec końców musiał kupić ptakom kilka przekąsek w Londis ze słonecznikiem i orzeszkami ziemnymi.

Pia się uśmiechnęła.

– Jesteś kochany. – Objęła go ramieniem w pasie, wpatrzona w zagrodę.

Kochany?

– A tak przy okazji, co robiłaś w tamtym hotelu?

Zamarła z dłonią na jego biodrze.

– Słucham?

– Widziałem cię z jakąś Japonką.

– A, o to chodzi. – Odsunęła się i ruszyła do domu. – To reżyserka, o której ci opowiadałam – zawołała przez ramię. – Robi próby do

Krzyku. Na kanwie tego obrazu Muncha.

Poszedł za nią do kuchni. Grzebała w kredensie.

– Mamy napój czekoladowy? – spytała.

– Napój czekoladowy?

– Naszła mnie nagła chętka.

Harold przypatrywał się jej od tyłu. Kucnęła, przeglądając puszek i słoiki.

– To co z nią robiłaś? – indagował.

– Z kim?

– Z tą Japonką.

Wyjęła słoik i przyglądała mu się badawczo.

– To marmolada – zauważył.

– Zabrałam ją na nasze zebranie. Umierała z nudów w tym hotelu.

Harold był zbity z tropu.

– Umierała z nudów, więc zabrałaś ją na ośmiogodzinne posiedzenie w sprawie cięć na kulturę?

– W Japonii mają ten sam problem. – Pia zamknęła szafkę i wstała.

– Śladu czekolady. – Rozejrzała się po kuchni i pociągnęła nosem. – Dziwny zapach.

– Kot nasrał do doniczki wysiewnej. Posprzątałem, ale obawiam się, że już po sadzonkach.

Nagle usiadła. Oczy napełniły jej się łzami.

– O, Boże, jest aż tak źle? – Harold był zatrwożony, Pia nigdy nie płakała. – Nie możesz zasiać kolejnych?

Siedziała przy stole, z twarzą w dłoniach, cała rozdygotana.

Przyszedł kot i otarł się o jej nogę.

– Pia, o co chodzi?

Popatrzyła na niego przez palce.

– Nie pojechałyśmy na zebranie. Tylko na spacer po Hampstead Heath.

– Ale jak... to znaczy... zerwałyście się?

Wymamrotała coś w odpowiedzi, ale nie dosłyszał co, przez zasłaniające usta dłonie.

– Słucham?

Oderwała ręce od twarzy.

– Nie było żadnego zebrania.

Harold nie rozumiał.

– Dlaczego?

– Po prostu nie było.

Gapił się na jej mokrą twarz, spalony słońcem nos.

– Czyli pojechałaś do Hampstead Heath? Na cały dzień?

Skinęła głową.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – spytał. – Też mógłbym się wybrać. Był taki piękny dzień, a prawdę rzekłszy, ta powieść nastrecza mi problemów. Mówiąc zupełnie szczerze, w ogóle jej jeszcze nie zacząłem... – Urwał. Nagle przypomniał sobie, z jaką wprawą Japonka zapięła kask.

– To nie byłby dobry pomysł – powiedziała Pia.

W połowie lata Fudge Factory została zamknięta, a jedna z ofiar cięć, Pia, także zwinęła żagle. Przeprowadziła się do Amsterdamu z Kasuko, tamtą drobniutką Japonką. Ponoć żyły w jakiejś wspólnocie.

Jak mógł być taki głupi? Jego siostra Maureen była lesbijką, powinien był rozpoznać symptomy. Ale jakie były te symptomy? Pia zawsze chodziła w workowatych spodniach i bez makijażu. Poza tym twierdziła, że nie jest lesbijką, po prostu zakochała się w kobiecie. Powiedziała to rozmarzonym, lekko protekcyjnym tonem, jakby on, jako tylko mężczyzna, żadną miarą nie mógł tego pojąć. Opanował pokusę zauważenia, że owszem, jak najbardziej pojmuje, on też kocha kobiety.

Pogrążył się w depresji na długie tygodnie.

Czuł się jak wypatroszony, jak ścięty z nóg, z trudem zwlekał się z łóżka co rano. I czuł się z kretesem opuszczony – nie tylko jako mąż, ale też przedstawiciel męskiego rodu. Czy byłoby gorzej, gdyby porzuciła go dla innego faceta? To by było przynajmniej zrozumiałe – straszliwie bolesne, ale zrozumiałe, wtedy mógłby nawet walczyć. Już to wcześniej przerabiał, znał zasady walki w wojnie między płciami. Ale Pia przeniosła się ze znajomego gruntu w świat zupełnie mu obcy, zostawiając go samego na gruzach ich małżeństwa, gdzie grzebał w pozostałościach w poszukiwaniu wskazówek. Do wspomnień razem spędzonych lat zaczęła przesączać się gorycz, korodując nawet

najszczęśliwsze z nich. Czy Pia naprawdę kiedykolwiek pragnęła jego owłosionego, podstarzałego ciała, tych szpetnych podrobów zwisających mu między nogami? Patrząc obiektywnie, rozumiał ją. Nic dziwnego, że zakochała się w kobiecie. Wyobraził sobie ciało Kasuko, gładkie jak u foki i jakby bezkościste, jak u wszystkich Japonki. Na pewno ma schludny czarny trójkąt włosów łonowych, bardziej jedwabisty niż mieszkanki Anglii. Ten obraz wzbudził w nim pożądanie. Jak bardzo perwersyjny był to objaw?

Praca nad powieścią nie wchodziła teraz w grę. Jako porzucony mąż był w pełni usprawiedliwiony. W głębi duszy czuł ulgę, mógł bez przeszkód się nad sobą rozczulać. Mary Pickford uśmiechała się kokieteryjnie ze zdjęcia na ścianie, które zaczęło się zwijać na brzegach. Chwilka, czy ona też nie została kiedyś lesbijką? Nic o niej nie wiedział, cała ta afera z powieścią była zwykłym *folie de grandeur*. Fakt, że czegoś uczył, nie oznaczał jeszcze, że sam potrafił to robić. Gdy przyjaciele nagabywali go o pisanie, sznurował usta i milczał jak nad grobem.

Bo przyjaciele zaraz się zbiegli. Rozpad małżeństwa był jak otwarcie okna na świat, wszyscy nagle zaczęli dzielić się z nim swoim zdaniem na temat Pii, które przez te wszystkie lata zatrzymywali dla siebie. Oczywiście z większością tych opinii się zgadzał – „była tak cholernie radykalnie lewacka... ani krzty poczucia humoru... taka skandynawska... non stop truła o prawach kobiet... robiła z ciebie dupka”. Była w tym duża doza męskiej solidarności i swego rodzaju niestosowna wesołość. Lesbijka! Jego znajomym na tę wieść jakby kamień spadł z serca. W końcu trudno o to było winić Harolda.

– Zawsze uważałem, że to lesba – zapewniał Dennis, jeden z jego mniej reformowalnych przyjaciół. – Dlatego była taka cholernie niemiła. – Po prawdzie była niemiła dla Dennisa, bo miała go za dupka, ale Harold mu tego nie wyjaśnił, bardzo go lubił, chodzili razem do podstawówki i choć niewiele poza tym ich łączyło, poszliby za sobą w ogień.

Niektóre ze znajomych po prostu mu współczuły.

– Jak ty sobie poradzisz? – spytała Annie. – Z tym ogrodem. Kurami. Ona się wszystkim zajmowała.

– Ja też robiłem co nieco, wiesz – rzucił Harold z irytacją. – Zajmowałem się finansami. I jej komputerem oraz pilotami, nigdy nie zdołała opanować obsługi SkyPlusa. I robiłem zakupy, ona tego nie cierpiała, i jeszcze, och, całą masę rzeczy. Nie jestem tak zupełnie do bani.

– Nie. – Annie popatrzyła na niego, przechylając głowę. – Tak zupełnie to nie.

Wybuchli śmiechem. To była miła odmiana, nie śmiał się od tygodni. Znali się z Annie od wieków, wykładali razem w Holloway College. Była dużą, serdeczną kobietą, której życie prywatne stanowiło ciąg katastrofalnych romansów z mężczyznami, którzy okazywali się psychotykami z chorobą dwubiegunową albo zwykłymi gówniarzami, albo też łączyli oba te walory. Wcześniej doradzali jej razem z Pią z bezpiecznego zacisza swojego małżeństwa, teraz zaś on dołączył do niej w dzikim świecie polowań na partnera. To była straszna perspektywa, myślał już, że zapewnił sobie bezpieczeństwo na resztę życia. Czy w pewnym momencie będzie musiał znowu zacząć randkować? Na sam dźwięk tego słowa żołądek podjeżdżał mu do gardła. Jak to się robi? Trzeba się umawiać z kobietami w winiarniach czy jak? Zabierać je do kina i mimochodem obejmować ramieniem? Był na to zdecydowanie za stary i za bardzo wyszedł z wprawy, zakładając, rzecz jasna, że kiedykolwiek ją miał. W czasach jego młodości człowiek po prostu zalewał pałę lub przyćpywał i łądował w łóżku z tym, kto się akurat nawinał, czy mu się podobał czy nie. A potem Harold jakoś władował się w małżeństwo ze swoją pierwszą żoną, bo tak się to wtedy odbywało. Teraz zaś miał pięćdziesiąt sześć lat i sama myśl o tym, że miałby na nowo poznawać jakąś kobietę, napełniała go podszytym paniką przygnębieniem.

– Coś jest nie tak z tym ptakiem – zauważyła Annie.

Stali w ogrodzie, spoglądając na zagrodę. Jedna z kur siedziała skulona w rogu.

– Jest tylko przybita.

– To projekcja – zachnęła się Annie, której psychoanalityk był jungistą. – Zapomnij na chwilę o sobie. – Zagruchała przez ogrodzenie:

– Moja biedna cipeczka.

– Dlaczego wszyscy nazywają je cipeczkami? To są, kurwa, tylko kury.

– Nie wyzywaj się na mnie – warknęła Annie. – Nie jestem twoją żoną.

Harold się zmitygował.

– Najgorsze, że zostawiła mnie z całym tym kramem. Kurami, kotem. Sierściuch ma jakiś stan zapalny w oku, całe zaropiało. I popatrz tylko na te chwasty. – Wskazał ręką. – Czemu rosną szybciej od roślin uprawnych?

– To nie jest kram – powiedziała Annie. – To zwierzęta i warzywa. Musisz się po prostu nimi zająć.

Po prawdzie w przeszłości zdarzało mu się nawet pielic. Kiedy leciał akurat jazzowy koncert życzeń, wypielił teren dokoła tylnych drzwi, gdzie słyszał grające w kuchni radio. Ale Pia oskarżyła go o wyrywanie jej rumianku, więc przestał. A teraz ogród całkiem zarósł czymś, co nawet on rozpoznawał jako osty. Sadzonki Pii dawno zniknęły w chaszczach.

– Teraz wszystko tutaj albo mnie kłuje, albo parzy – stwierdził. – Symboliczne, co?

– Biedaku. – Annie wzięła go pod ramię. – Ale ona naprawdę była jak wrzód na tyłku. Teraz mogę to przyznać.

– A co, jeśli wróci z podkulonym ogonem? Pomyśl, jak głupio się będziesz czuła.

Ale Pia nie zdradzała takiego zamiaru. Po tym, jak w kuchni zrzuciła ciężar z piersi, po łzach i wzajemnych oskarżeniach, picu whisky do późnych godzin, ocknęła się jako kobieta przeobrażona. Uwolniona od swojej tajemnicy, rozpromieniona miłością, wyglądała, jakby jej ubyło dziesięć lat. Gdy się pakowała, nuciła – nuciła. Słyszał ją przez drzwi. I to wszystko za sprawą innej kobiety, śliskiej japońskiej foczki ubranej na czarno. Kury i warzywa poszły w ką, zapomniane w safickim otumanieniu. Pia odnosiła się do niego z machinalną uprzejmością, z jaką traktowała kota, zostawiała mu miseczkę karmy na dole, podczas gdy sama gruchała na górze przez komórkę. W ciągu zaledwie tygodni ich małżeństwo rozplynęło się w powietrzu, jakby nigdy nie istniało.

I nic nie chciała. Co jeszcze pogorszyło sprawę. Jej namiętności sytuowały się na wyższej płaszczyźnie niż sfera dóbr materialnych. Po domu nadal walały się jej rzeczy – rower treningowy, marokański tadżin, który nie mieścił się do zmywarki, przedpotopowy polaroid, jakieś ludowe gówno dla turystów z wakacji, chlebownica, rzeczy, rzeczy, zostały całe szafki pełne jej rzeczy. Podczas gdy on marzył tylko o jej nagim ciele w swoich ramionach.

– Pomogę ci, jeśli chcesz – zaproponowała Annie.

Harold podskoczył zaskoczony. Patrzyli na ogród, słońce świeciło na skórzaste liście bluszczu, który pokrywał ścianę.

– Teraz, gdy są wakacje, mam czas – ciągnęła Annie. – A moja córka wyjechała do Durham, mówiłam ci? Będzie studiować biologię morską, więc gniazdo opustoszało. – Obejmowała go w pasie i ugniatała między kciukiem i palcem wskazującym kawałek jego ciała. – Mogłabym przynieść łopatę i zabrać się do dzieła.

Nazajutrz odebrał telefon. Dzwoniła Melanie, kolejna samotna matka, która mieszkała kilka przecznic dalej.

– Jak się trzymasz? – spytała. – Potrzebujesz pomocy z ogrodem? Ja sama mam tylko balkon, nie mogę już wytrzymać w czterech ścianach w taką pogodę, a mój syn marzy, żeby zobaczyć twoje kury.

Pojawiła się tego samego popołudnia z butelką wina w rękę. W dzinsowych szortach i bezrękawniku.

– Jaka szkoda, że nie mogłam zabrać małego. Zapomniałam, że idzie na przyjęcie urodzinowe. Może przyniosę mu chociaż jajko. – Włosy Melanie, świeżo umyte, zrobiły gładki zamach i opadły na ramiona, gdy ruszyła ścieżką. – To jabłoń? A te długie purpurowe? Co to? Ni w ząb nie znam się na ogrodnictwie, ale bardzo chcę się nauczyć, twoja żona tak świetnie sobie z tym radziła, człowiek przenosi się tutaj w zupełnie inny świat, taki własny kawałeczek raju. – Harold szedł za nią. Jej półdupki podrygiwały w skąpych szortach. – Boże, nawet nie wiesz, jakie masz szczęście – rzuciła przez ramię. – Mogłabym zabić za ogród.

Zadzwoiła komórka Harolda. To była Allie, była żona jego partnera od squasha.

– Zebrałam informacje na temat środków chwastobójczych –

oznajmiła. – Na pokrzywy najlepszy będzie glifosat. Mogę przynieść ci trochę, po prostu spryskuje się nim liście, jest całkowicie nieszkodliwy. A jeśli chcesz, mogłabym pod drodze wstąpić do Marksa i kupić nam coś do jedzenia.

– Nie wytrzymały długo, co? – Dennis zarykiwał się ze śmiechu. – Wiedziałem. Wystarczy kilka miesięcy, a już się zlatują jak muchy do gnoju, całe napalone.

Teraz Harold żałował, że w ogóle wspomniał coś przyjacielowi, wydawało się to nielojalnością wobec przyjaciółek.

– One tylko chcą pomóc – powiedział.

– Tak, kochanie. – Dennis poklepał go po dłoni.

– Z ogrodem. To wszystko mnie trochę przerasta.

– A zaliczyłeś już chociaż jakieś bzykanko?

– Tylko to ci w głowie?

– Tak.

Siedzieli w pubie na Essen Road. Dennis był w trakcie przeszczepu włosów i musiał zakrywać głowę. Chociaż dzień był upalny, miał na sobie bluzę z kapturem swojego syna, w której przypominał spasionego, podstarzałego bandytę złapanego w kadrze monitoringu.

Westchnął.

– Pieprzony farciarz z ciebie, Harry. – Dennis był jedyną osobą, która tak go nazywała. – Wabik na baby, w twoim wieku. Naszym wieku. Ale zawsze na ciebie leciały. Intelktualista, wiadomo. Wystarczy kawałek starego T.S. Eliota i już mają mokro w majtkach. – Osuszył kufel. – Powinienem być jednak zrobić maturę. No i nadal masz włosy, skurczybyku.

– Nie chcę kobiet. Chcę swoją żonę.

– Weź moją! – Dennis się zaśmiał. – Choć, po prawdzie, lubię staruszkę. W końcu wytrzymała ze mną te trzydzieści lat, nie? Trwała przy mnie w doli i niedoli, jak sam doskonale wiesz. – Dennis był zamożnym deweloperem. Jednak zdarzały się okresy różnych kryzysów, gdy całą rodziną musieli mieszkać w przyczepie w Gravesend. – A tak przy okazji, przesyła ci pozdrowienia.

– A wskazówki ogrodnicze?

– Cha, cha... – Zamilkł na chwilę. – Sęć w tym, że czasami faceta

korci, żeby zerwać się ze smyczy.

– Nie radziłbym. – Harold spojrział na niego, marszcząc brwi. – Nie drap się po kapturze.

– Skóra mnie swędzi. – Dennis wstał, żeby zamówić następną kolejkę. – To niesprawiedliwe. Po tym, czego doświadczyliśmy, żadnemu Żydowi nawet włos nie powinien spaść z głowy.

Harold wpatrywał się w jego kaptur.

– Ile za to zapłaciłeś?

– Nie pytaj. Ale robił to najlepszymacher w tej branży, malutki Hindus. Moja miła zasługuje na wszystko, co najlepsze.

– To znaczy?

– Żeby mogła sobie przypomnieć, jak wyglądałem, gdy byliśmy młodzi, no, wiesz, para zakochanych od przedszkola, te sprawy.

Jego nieśmiały uśmiech zaskoczył i jednocześnie wzruszył Harolda. Wielkie nieba, gość naprawdę kocha swoją żonę.

Tej nocy Harold leżał w wielkim podwójnym łóżu, nasłuchując brzęku szyb rozbijanych na ulicy. Miał nadzieję, że nie w jego samochodzie. Wkrótce przestępczość miała zostać stąd wyrugowana, Dennis i jego koledzy deweloperzy już o to zadbają. Jednak w jakiś chory sposób będzie mu jej brakowało, tak jak brakowało mu teraz małżeńskich awantur. Jakiż był sens wstawać rano bez tych kłótni i pogawędek, bez pretensji i nagłych, pełnych uniesień zbliżeń, i całej reszty – nawet tych cholernych sadzonek – która wiązała się z życiem z Pią? Gdy leżał na plecach ze wzrokiem wbitym w sufit, przeszła po nim kocica. Przemaszerowała mu po jądrach, jak to zawsze bezbłędnie robiła, i położyła się przy jego twarzy.

Wpatrywała się w niego w mroku zaropiałymi oczyma i mruczała, ziejąc mu w twarz trującym oddechem. Harold się wzdrygnął, ale nie odwrócił, to by ją uraziło i rano byłyby fochy.

Buffy

Voda była śmiałą, nowatorską kucharką, to był jeszcze jeden z jej talentów. Ponoć właśnie uszlachetniła swoje sushi dzięki rakom z miejscowego strumienia, gdy Conor wylądował za kratkami. To, że teraz marniał na więziennej diecie, było jedną ze spraw, którymi się gryzła. Czasami, gdy był turniej darta, przygotowywała kolację dla siebie i Buffy'ego przed udaniem się do pubu. Bywało, że zostawała nawet na noc, śpiąc w którymś z wolnych pokoi. Buffy podejrzewał, że czuje się samotnie w swojej chatce. Powiedziała mu, że jej najbliższym sąsiadem jest odludek imieniem Taffy, który mieszka w przyczepie, gdzie całymi dniami ogląda pornosy i pędzi bimber z cukinii włożonych do damskich pończoch i zawieszonych nad miską, do której skapuje samogon.

Buffy cieszył się z jej towarzystwa. Bardzo ją lubił, z tą jej mocną sylwetką, płomiennymi policzkami i pikantnym gulaszem. Rzadko wypytywała go o przeszłość, jak wielu ludzi na wsi, interesowało ją tylko tu i teraz. Zakładał, że to pewnie element wiejskiego instynktu samozachowawczego, dopóki się nie dowiedział, że w rzeczywistości urodziła się w Loughborough. Dopiero potem jej rodzice, omamieni jakimś kultem, przenieśli się do Walii, gdzie Voda razem z bratem dorastali w krytym brezentem szałasie. Żaden z mieszkańców nie był tym, na kogo wyglądał – w Knockton, podobnie jak w życiu – i niewielu z nich okazywało się Walijszykami.

Dziś wieczorem Voda przyrządzała kurczaka z szafranem dla nich i Nyange, która przyjechała pomóc z księgowością. Siedzieli w kuchni. Z sufitu zwieszały się zasłony z mokrych prześcieradeł: zepsuła się suszarka.

Księga rachunkowa leżała otwarta na stole. Nyange przesuwiała palcem po stronie. Paznokcie miała długie i zielone, z metalicznym połyskiem.

– Ten dom jest jak worek bez dna – powiedziała. – Nawet nie wychodzisz na swoje.

– Mnie to mówisz? – westchnął Buffy.

– Nie możemy podnieść cen – wyjaśniła Voda, mieszając sos. – Standard jest za niski.

Nyange zamknęła księgę.

– Macie sześć pokoi, tak? Dwie jedyne i trzy dwuosobowe, w tym jeden z podwójnym łóżkiem i tylko dwa z łazienką.

– W tym jeden mój – dopowiedział Buffy.

– Nie tego dzisiaj oczekują ludzie.

– Tak, ale rekompensujemy to serdeczną atmosferą – bronił się Buffy. – Goście są zachwyceni.

– Dlatego, że siedzą tu cały dzień i chłają z panem – wyjaśniła Voda. – Równie dobrze mógłby to być zwykły hotel, a nie dom noclegowy. Wtedy moglibyśmy podnieść stawki.

– Ale wtedy musiałbym cały dzień tu siedzieć – zaprotestował Buffy.

– Przecież i tak pan siedzi.

– Tylko dlatego, że wiecznie pada. A poza tym, co z przepisami, inspekcjami i tym całym kramem? Chyba hotele temu wszystkiemu podlegają, co? A cały urok pensjonatu polega na tym, że jest miły i amatorski.

– Święte słowa. – Voda zaniósła garnek do stołu.

Nyange odsunęła na bok papiery.

– Wasz problem polega na tym, że w dni powszednie pokoje świecą pustkami. Ludzie przyjeżdżają tylko w weekendy, a nawet wtedy jedynie na noc czy dwie. To kosztochłonne i nieintraćne. Musicie sprawić, by zostawali na tydzień lub dłużej. I sprzedawać im posiłki oraz, przede wszystkim, napoje wysokokowe. W tym są pieniądze: w marży na alkohol. Możecie liczyć nawet na jakieś pięćset procent.

Buffy wpatrywał się w córkę okrągłymi oczyma.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Robiłam zlecenie dla sieci pubów Wetherspoon. Ich zyski osiągają niebotyczny poziom: w czasach kryzysu ludzie więcej piją.

Voda zdjęła przykrywkę z garnka.

– Po kim ona to ma? – spytała, patrząc na Buffy’ego z uniesionymi brwiami przez kłęby pary.

– Na pewno nie po mnie.

– Dziadek pracował w Credit Suisse – wyjaśniła Nyange. –

W Akrze.

– Naprawdę? – Buffy się zdziwił. Krew z jego krwi, a on nic nie wiedział.

W swoim czarnym spodniom Nyange wniosła ton elegancji do zabałaganionej kuchni, Voda wyglądała przy niej jak fleja, gdy z brzękiem stawiała na stole talerze.

– Damy radę tak, jak jest – powiedział Buffy.

– No nie, tato! Skąd zamierzasz wziąć pieniądze na nowy dach? Ludzie nie płacą za nocleg po to, by znaleźć kubel w pokoju.

– Stoi tylko w niebieskim – zachnął się Buffy. – A za niego mniej liczymy.

Nyange przechyliła głowę i popatrzyła na niego z politowaniem. Z tymi metalicznymi szponami wyglądała jak drapieżny ptak przyglądający się rozjechanemu przez auta zwierzęciu, który uznaje, że nie warto zawracać sobie głowy.

– Nieważne – mruknęła. – Mmm, pięknie pachnie.

– Nyange ma rację – rzuciła Voda. – Ten dom musi zmienić oblicze.

Wieczór był ciepły i tylne drzwi zostawili otwarte. Z warsztatu Simona dobiegał śpiew Bessie Smith. Buffy patrzył z czułością na dwie młode kobiety przy stole, zaskakujące sojuszniczki, jakie zdobył u schyłku życia. Wiszące prześcieradła przydawały pomieszczeniu atmosfery teatralności, jakby występowali wszyscy razem w jakimś serialu: *Myrtle House*, w zasadzie opera mydlana, z tą zmieniającą się ciągle obsadą. Przypomniawszy sobie, jak przy tym stole siedzieli jego synowie i jak skonfundowany się wtedy czuł, jakby wylądował w jakimś przedstawieniu, nie nauczywszy się kwestii, a skrzynie bagażowe wypełnione były rekwizytami. Nędzny aktor, który swą rolę przez parę godzin wygrał na scenie, w nicość przepada*. Jednak był tutaj naprawdę, to była rzeczywistość, ten wielki pełen przeciągów dom, którego każdy centymetr znał już jak własną kieszeń. To jego poprzednie

życie wydawało się teraz niewyraźne i bez znaczenia, co wcześniej robił całymi dniami? Londyn stawał się coraz mniej ważny, Buffy nie był w nim ani razu, odkąd zamieszkał w Knockton.

Mimo to najodleglejsza przeszłość potrafiła czasami dopaść go niespodziewanie i bez reszty, tak że czuł jej zapach i dotyk. Ten sam stół kuchenny, jeszcze w Edgbaston... Bridie gasząca papierosa i zwracająca się do niego per złociutki. Widział ją jak żywą, jej rozmazaną maskarę i odważną hennę na włosach. Czuł jej wielkie miękkie ramiona obejmujące go pod puchową pierzyną. Zawsze rozbierała się po ciemku, dopiero teraz do niego dotarło, że wstydziła się swojego ciała. Nigdy jej nie powiedział, jaka jest piękna? Gdy umarła, odkrył, że kłamała w kwestii swojego wieku, była o osiem lat starsza, niż twierdziła. Serce mu się krajało na tę myśl.

– To dziwne – odezwał się – ale mam wrażenie, że to nadal jest dom Bridie, że ja tylko wypożyczyłem go na chwilę. Ciągłe myślę, że wejdzie przez drzwi i powie: „Nie uwierzysz, gdzie byłem...”.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Wszyscy podskoczyli.

Voda zerwała się z krzesła i wybiegła. Słysząc było szmer rozmowy w holu. Przez jedną szaloną chwilę Buffy’emu się zdawało, że poznaje głos Bridie. Kiedy jednak Voda wróciła, towarzyszyła jej młoda Hinduska.

Miała na sobie koszulkę z logo Glastonbury Festival i conversy sięgające połowy łydki.

– Bardzo przepraszam – powiedziała. – Myślałam, że to Blandford.

– Jadłaś coś? – spytała Voda. Odwróciła się do Buffy’ego. – Chce pokój na noc. Powiedziałam jej, że może sobie wybrać.

– Przepraszam za najście...

– Usiądź i zjedz kolację, biedaczyno. – Voda odsunęła dla niej krzesło. – Wyglądasz, jakbyś potrzebowała posiłku. – Obudziła się w niej matka. Ponoć bardzo pragnęła dziecka, ale Conor ciągle się wzbraniał. Miała nadzieję, że piętnaście miesięcy w kiciu sprawi, że pójdzie po rozum do głowy.

– Mam fatalną orientację w terenie – oznajmiła dziewczyna. – Więc kupiłam nawigację satelitarną i gdzie dzięki niej wylądowałam? W szczerym polu. Wielkie dzięki, GPS. Mmmm, pysznie pachnie.

Voda nałożyła jej porcję kurczaka.
– Taka marokańska fuzja smaków.
– Pomyślałam, że musiałam zabłądzić, bo drogowskazy były w dziwnym języku.
– Walijskim – wyjaśnił Buffy.
– No i w końcu znalazłam się na tym podwórzu pełnym psów. Mieszka tam taki stary facet, powiedział, że jest kowalem.
– To Gruffydd – poinformowała Voda. – Kiedyś podkuwał konie, ale teraz robi ramy do krępowania dla sklepu sado-maso.
– Że co? No, tak czy siak, powiedział, że jestem kawał drogi od Blandford.
– To w Dorset, kochanie. – Voda poklepała ją po ramieniu.
– Poradził, żebym tu przenocowała.
Miała na imię Sita. Przy drugiej lampce wina wyznała, że właśnie rozstała się ze swoim chłopakiem.
– Miał świra na punkcie samochodów. To sikh, oni wszyscy tak mają, dlatego są taksówkarzami. Wystarczy otworzyć maskę, a już są w siódmym niebie. Myślę, że z początku poleciał na moją toyotę. To ponoć jakaś celica GT czy coś tam, nie mam pojęcia, dostałam ją od taty, gdy zrobiłam dyplom.
– Z czego? – spytał Buffy.
– Terapii zaburzeń mowy. Jestem logopedą.
Sama bez dwóch zdań żadnych nie miała. Gadała jak nakręcona. Buffy już wcześniej zauważył, że coś w tym domu sprawia, że ludzie się otwierają, a może była to zasługa wina. Rozmowy stawały się często tak osobiste, że następnego ranka czuł się dziwnie, inkasując zapłatę od gości. Nie minęła chwila, a Sita opowiadała im o niedostatkach swojego chłopaka w sferze intymnej.
– Zawsze tylko takie rach-ciach, spada gach – mówiła. – Gdybym była silnikiem, umiałby się bawić częściami.
– Conor też był do niczego, gdy się poznaliśmy – powiedziała Voda. – Uważam, że przez kokę.
– Daje chętkę, ale odbiera możliwość** – wyjaśnił Buffy.
– Tato! Co, zaraz się dowiem, że ćpałeś?!
– Bard miał na myśli alkohol.

Sita popatrywała zszokowana to na Buffy'ego, to na Nyange.

– On jest pani ojcem?

Nyange skinęła głową.

– Wiem, wiem.

– O, co tam, nasz człowiek – rzuciła Sita niejasno. Beknęła i zakryła dłonią usta. – Przepraszam.

Zaległa cisza. Na zewnątrz już się ściemniło, gdzieś nad dachami rozległo się pohukiwanie sowy.

– Wygląda na to, że dobrze zrobiłaś, wymiksowując się z tego związku.

Sita skinęła głową, ale nie sprawiała wrażenia przekonanej.

– To był fajny chłopak, bardzo poczciwy. Był dobry nawet dla mojego chomika. Ale gdy umarł, coś umarło razem z nim.

– Twój chłopak nie żyje? – Voda odstawiła kieliszek.

– Nie, chomik. W życiu tak nie płakałam. A on tego nie kumał, jeszcze nikt mu nie umarł, choć człowiek by się tego spodziewał, przy takiej masie krewnych. – Ukroiła sobie kawałek sera.

– Charlie był zazdrosny o mojego kota – powiedziała Nyange.

– Co za Charlie? – spytał Buffy.

– Nie znasz.

Miała rację, w jej życiu były sprawy, o których w ogóle nie wiedział. Ale od czego powinien zacząć? Miał wcześniej nadzieję, że dziś wieczorem uda im się porozmawiać od serca, ale okoliczności pokrzyżowały mu plany. Zawsze tak było. Przypomniał sobie ich poprzednie spotkanie, bezowocne poszukiwania miejsca parkingowego. Wydawało się jednak, że Nyange to nie przeszkadza, najwyraźniej niespodziewany gość bardziej ją interesował.

– Sęk w tym, że załatwiał za mnie różne rzeczy, naprawiał – ciągnęła Sita. – Choćby auto, ja jestem beznadziejna w te klocki. Dlatego właśnie jadę na ten kurs do Blandford. „Podstawy konserwacji samochodu”. Muszę zdobyć kontrolę nad swoim życiem, rozumiecie? Moje poczucie wartości jest zerowe.

– Z Charliego był majster-klepka. Ja miałam dwie lewe ręce i zero pojęcia, co to jest na przykład jakiś tam kołek rozporowy.

– Nigdy nie słyszałem o tym Charliem – powiedział Buffy. –

Opowiedz mi o nim.

– Nie warto. Rozstaliśmy się wieki temu.

– Ale...

– Tato, to było dawno i nieprawda.

Sita paplała dalej:

– A potrzebuję auta do pracy. Nie mogę jeździć metrem, mam problemy z granicami.

– Z granicami?

– Chodzi jej o bliskość innych osób – wyjaśniła Nyange.

Buffy, pogrążony w rozmyślaniach o swoich niedociągnięciach w roli ojca, słuchał piąte przez dziesiąte. Dopiero teraz dotarło do niego zdanie, które wypowiedziała wcześniej Sita. „Muszę odzyskać kontrolę nad swoim życiem”.

Zaczynało się robić chłodno. Voda wstała i zamknęła tylne drzwi.

– Ktoś chce kawę?

Buffy’emu ciarki przebiegły po skórze, myśl była zuchwała, najpewniej nawet szalona. „Jak rozmawiać z kobietami”... „Podstawy konserwacji samochodu”. Powiedział:

– Mam pewien pomysł.

* Parafraza cytatu z monologu „Jutro, jutro...” Makbeta [William Szekspir, *Makbet*, tłum. Józef Paszkowski, akt 5, sc. 5, str. 129, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984].

** William Szekspir, *Makbet*, akt 2, sc. 3, tłum. Leon Ulrich, Wolne Lektury.

Andy

Andy'ego bolało ucho. To mógł być guz mózgu. Oparł się o szafkę kuchenną i popatrzył na swoje odbicie. Ujrzał tam śmiertelnika, nieco widmowego na tle tonącego w ciemności ogrodu. Niedługo skończy czterdziestkę, to słowo napełniało go grozą. Już zauważył osłabienie strumienia, gdy sikał. Prostata, na bank. Zwykle nie był ponurakiem, ale rano doszło do karambolu na North Circular – dwa auta dachowały, karetki zawodziły. To uświadamiało człowiekowi pewne sprawy, cały dzień czuł się słaby jak inwalida. Nie mógł się zwierzyć Toni. Prychnęłaby lekceważąco, odrzucając włosy. Z salonu dobiegł przenikliwy śmiech. Dzisiaj nie miał tam wstępu. Toni przygotowała babskie przyjęcie dla jednej ze swych przyjaciółek, posłuszny rozkazom, wemknął się chyłkiem przez tylne drzwi. Sądząc po piskach, damy nie żałowały sobie białego wina.

Poczuł się wykluczony i jednocześnie odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że jest ich tam sporo, dziwił się, że nie obudziły Ryana. Co je tak bawiło? Mężczyźni i ich wady? Ze szczególnym uwzględnieniem jego braków? Nie, na pewno nie, nie w jego własnym domu. I dlaczego Toni nigdy się tak nie śmieje, gdy są sami?

Zostawiła mu obiad w mikrofali – przykryty folią talerz czegoś tam. W lodówce znalazł piwo. Niestety, zostawił w salonie swój „Magazyn Wędkarski”. Nie wchodziło w grę, by się tam po niego przemknął. Już sobie wyobrażał, aż za dobrze nawet, te stłumione chichoty, gdy opuszcza pokój. „Magazyn Wędkarski”! Sama Toni traktowała jego hobby z pobłażliwym politowaniem, że niby mężczyźni są jak dzieci. Kiedyś nawet poklepała go po tyłku, gdy wychodził z domu z wędkami.

Potał ucho. Może złapał dengę. Trzy dni temu ugryzł go komar nad kąpieliskiem Ruislip. Wyobraził sobie teraz, jak leży na łożu śmierci, zlany potem, w otoczeniu pozbawionych serca misiów. Kiedy

zamieszkali razem, miał nadzieję, że Toni wyrzuci swoje pluszaki – nawet dał do zrozumienia, że ta futrzana widownia, śledząca każdy jego ruch szklanymi oczkami, ma niekorzystny wpływ na jego łózkową wydolność. Nic z tego. I to jego nazywała niedojrzałym.

Kuchnia lśniła. W fartuchu Toni zamieniała się w żywą maszynę do sprzątania. Ta jej wydajność! Jak to często się zdarzało, poczuł się znowu niczym intruz we własnym domu – za duży, zbyt owłosiony, za męski. Otworzył piwo i wyszedł do ogrodu. Panowała tam błoga cisza, jedynymi dźwiękami były odległy szum ruchu samochodowego i szemranie fontanny.

Dachy Wembley wznosiły się na tle wieczornego nieba. Nawet na przedmieściach nie było już bezpiecznie. Z jakiegoś powodu ów dzisiejszy wypadek wyprowadził go z równowagi. Może przez rośliny w doniczkach, z których ziemia rozsypała się po dwujezdniowej drodze. Ktoś szykował się na przykładowy dzień pracy w ogrodzie, kubek herbaty... Andy zapalił papierosa. Toni sądziła, że rzucił, ale do diabła z tym. Wystarczy nanosekunda i człowiek traci życie – tam na North Circular, przy gapiących się kierowcach.

Andy był z natury człowiekiem ostrożnym. Kiedy umówili się po raz pierwszy, Toni się śmiała, gdy zapiął pasy na tylnym siedzeniu taksówki. Na swoim profilu określała siebie jako odważną i lubiącą się bawić, właśnie dzięki temu wpadła mu w oko, bo, mówiąc szczerze, nie powalała urodą. Ale skakała na bungee! A w następny weekend, jak mu powiedziała, ma zamiar spróbować zorbingu. Polegało to ponoć na toczeniu się we wnętrzu gigantycznej piłki. Wydało mu się to dziwną rozrywką, ale nie mógł nie podziwiać jej odwagi i to raczej właśnie ów podziw, a nie pożądanie, sprawił, że zaprosił ją na drugą randkę. I w ten sposób jego los został przypieczętowany.

– Tutaj jesteś! – Toni chwyciła go za ramię. Andy podskoczył i odrzucił papierosa. – Właśnie wychodzą – oznajmiła. – Chodź i się pożegnaj.

Poprowadziła go do salonu. Osiem przyjaciółek, z których kilka nawet kojarzył, stało dokoła na różnych etapach procesu wychodzenia.

– To mój facet, Andy – powiedziała Toni, obejmując go mocniej. – Mój kochanek i najlepszy przyjaciel. Większość z was go zna, prawda? –

Odwróciła się do Andy'ego. – Wszystko sobie poukładałyśmy z dziewczynami. Najpierw się dopieścimy na całego, jesteśmy umówione w Marriotcie: spa, opalanie, cała reszta...

Paplała dalej. Wybierały się do Pragi, wieczór panieński na całego. Andy wylapywał urywki: klub Karlovy Lázně... koktajle... Jednak gdy tak tam stał, czuł się dziwnie bezcieleśnie. Czy to naprawdę jest jego dom?

Oczywiście rozpoznawał poszczególne meble jako swoje, sofę i tak dalej, ale jak to się stało, że tu mieszka? To wszystko wydarzyło się tak szybko. Był sobie singlem, aż tu nagle stał się członkiem pary, kochankiem i najlepszym przyjacielem, minął rok i ani się obejrzał, a mieszkał na Wembley z ogromnym kredytem hipotecznym na karku i kimś w rodzaju pasierba, Ryanem.

Wiedział z autopsji, że kobietom wyjście zawsze zajmuje wieki. W końcu jednak sobie poszły i teraz jadł obiad, podczas gdy Toni sprzątała.

– Vicky to ma szczęście, tak się staramy, żeby wszystko wypaliło.
– Urwała z talerzem w dłoni. – Ciekawe, czy ona zrobiłaby to samo dla mnie.

– Co?

– Nic, nieważne. – Westchnęła i pochyliła się nad otwartą zmywarką. Gdy wkładała talerze, Andy przypatrywał się jej od tyłu. Legginsy nie były najszcześniejszym wyborem w przypadku kogoś jej rozmiarów, ale, rzecz jasna, tego nie skomentował. Wszystkie kobiety, które znał, były przewrażliwione na punkcie swojej wagi. – Jodie wpadła ci w oko, prawda? – spytała.

– Że co?

– Nie mogłeś oderwać oczu od jej cycków.

– Pojęcia nie mam, o kim mówisz. Która to była?

– Mężczyźni, słowo daję! – Podeszła do niego z błyszczącymi oczyma i cmoknęła go w czubek głowy. – Co z wami począć? – Pomachała mu przed nosem palcem odzianym w gumową rękawiczkę. – Tylko jedno wam w głowie.

Andy podał jej swój talerz.

– Na North Circular był dziś karambol.

- Nie zmieniaj tematu.
- To daje człowiekowi do myślenia.
- Łokcie!

Uniósł ręce. Wytarła stół pod nimi.

– Zamierza wystąpić w bieli – wymruczała. – Niezły dowcip, co?
Zważywszy na to, że mają dwójkę dzieci. Jednak to chyba romantyczne.
Zapadła cisza. Czuł na sobie jej wzrok, zapał jej oczekiwania.

- Nie uważasz?
- Czego nie uważam?
- Andy!

Odwróciła się gwałtownie. Czego ona chce? Coraz częściej czuł
brzemień czegoś ciężkiego, co zalega między nimi. Czasami przyłapywał
ją na tym, że wpatruje się w niego zmrużonymi oczami. Wzdychała
wtedy cicho i odwracała się, tak jak teraz to zrobiła. Wycisnęła gąbkę.

Ziewnął.

- Idę do łóżka.

W łazience stał przed lustrem i szorował zęby. Usłyszał kroki Toni
na schodach, skrzypnięcie otwieranych i zamykanych drzwi sypialni.
Nadal bolało go ucho. Może jakiś pasożytniczy obleniec wgryza mu się
właśnie do mózgu? Czy to się nada na wymówkę? „Przepraszam, kotku,
nie mogę się dzisiaj kochać, bo umieram”. Zastygł ze szczoteczką
w dłoni i nadstawił uszu. Cisza jak makiem zasiał. Może, jeśli
wystarczająco długo zamarudzi w łazience, Toni zaśnie.

Czy wszystkie kobiety tak mają? Nie mógł o to spytać kumpli,
mężczyźni nie rozmawiają o takich sprawach, nie, gdy chodzi o stałą
partnerkę, a poza tym parsknęliby mu w twarz. „Domaga się często
seksu? Rany, i ty się skarżysz, farciarzu?”

Wyplukał usta. Naturalnie spotykał się wcześniej z innymi
dziewczętami, ale nigdy z żadną tak naprawdę nie mieszkał. Wspólne
życie z Toni nałożyło na niego kilka wymogów, ale tego jednego nie
przewidział, ani jego skutku – mieszaniny lęku i wyczerpania, które
ogarniały go z nadejściem nocy. Kochał ją, jednak jej libido było
zdumiewające, podobnie zresztą jak częstotliwość orgazmów, były jak
londyńskie metro: łoskot w tunelu, obwieszczający przybycie kolejnego
po trzech minutach.

Uświadomił sobie, że siedzi na skraju wanny z głową opartą o ścianę. Jak chłodne były kafelki... mógł się niemal zdrzemnąć. A rozpaczliwie potrzebował snu. Był listonoszem, musiał wstać o piątej rano.

– Halo?

Uśmiechała się do niego z uniesionymi brwiami i przechyloną głową. Miała na sobie niebieski szlafrok z satyny.

– Czas do łóżeczka – powiedziała, biorąc go za rękę.

Zaprowadziła go do sypialni, zdjęła szlafrok i obróciła się do niego twarzą. Tułów miała wciśnięty w czarny koronkowy gorset, który unosił jej piersi, a na nogach kabaretki i szpilki.

– Łał – mruknął Andy.

– Troszkę zaszalałam w Brent Cross. – Pociągnęła go na łóżko i odpięła mu pasek. – Ściągnijmy to, wielkoludzie.

Światła świec migotały wśród misiów, nadając im wygląd spiskowców. Dwie lalki pochylały się ku sobie. Andy jak zawsze miał wrażenie, że w czymś przeszkadza. Pluszaki rozmawiały o nim, zanim przyszedł, i będą o nim rozmawiać, gdy wyjdzie. Cała ta pluszowa zgraja się na niego uwzięła. Wpakował się do tego dziewczynskiego pastelowego pokoju, ukradł serce ich pani i zostanie za to ukarany.

Toni ściągnęła mu skarpetki. Przez pewien czas, przeczytawszy jakiś hinduski podręcznik, szalała na punkcie seksu tantrycznego. Andy nigdy tak naprawdę nie skumał tematu – podobnie jak ona, co podejrzewał. Po prawdzie kiedyś, gdy byli w trakcie, przypomniał sobie ten dowcip o gościu, który się chwalił, że raz rypał przez bitą godzinę i pięć minut... podczas zmiany czasu na letni, i Andy zaczął się dusić ze śmiechu, co położyło z kretesem całą sprawę.

Teraz Toni usiadła na nim okrakiem. Ważyła swoje, więc zapadli się w materac i musiała oprzeć się na jednym kolanie.

– O, jak dobrze, jak dobrze – jęczała, odrzuciwszy głowę.

Próbował się skoncentrować na zapewnieniu jej rozkoszy, naprawdę było dobrze, ale jego myśli powędrowały do River Lee, do cienistego brzegu, który tak kochał, i cichego plusku, gdy ciężarek wędki lądował w wodzie... A teraz przeniósł się w czasy dzieciństwa... stał na plaży w Dawlish, puszczając kaczki... ojciec, który niedługo miał zniknąć na

zawsze, położył mu dłoń na ramieniu.

– Ciągutka dla fiutka? – wyszeptała Toni.

Leżała na nim, miziając go nosem po uchu i kręcąc biodrami.

– Jeszcze nie – wydyszał Andy. Musiał się skupić, żeby nie dojść za szybko. Oboje byli spoceni, ich skóra przy każdym ruchu wydawała cichutkie mlaśnięcia.

– Tak... o, tak... – jęczała Toni.

I nagle uszło z niego podniecenie. Przed oczyma pojawił mu się obraz: on prowadzony przez Toni niczym buhaj medalista. Lubiła rywalizację, w sposobie, w jaki się kochała, było coś z ponurej determinacji, z popisywania się. Odstawiała gwiazdę porno nie przed swoimi misiami, ale psiapsiółkami: „Robiliśmy to całą noc”.

– Co się dzieje, kochanie? – Sturlała się z niego.

– Przepraszam. Boli mnie ucho. – Kłamał. Już przestało.

Przyglądała mu się badawczo. Włosy miała zmierzwiłone, jedna pierś wyskoczyła z gorsetu.

– Już mnie nie kochasz? – Czerwieniąc się, wepchnęła pierś z powrotem.

W gnieniu oka zalało go współczucie – dla siebie, dla niej. Chciał powiedzieć: myślałem o swoim ojcu, o tym, że nie wiem nawet, gdzie mieszka i czy w ogóle jeszcze żyje. Może to przez ten wypadek, sam nie wiem, czuję się dziś nieswojo i bardzo zmęczony. Chciał powiedzieć: nie musisz mi niczego udowadniać. Kocham cię, jestem przy tobie, czy to nie wystarczy? Chciał powiedzieć, że ją podziwia za to, że wyciągnęła się z biedy, z rodziny jeszcze bardziej patologicznej niż jego, że wykazała się większą odwagą i hartem ducha, niż on kiedykolwiek posiadał.

– Powiedz coś. – Leżała obok na kołdrze, gapiąc się w sufit.

Wiedział, że teraz, gdy zniknęło podniecenie, czuje się groteskowo w tym stroju.

– Mam wrażenie, że lepiej się bawisz ze swoimi przyjaciółkami niż ze mną – powiedział. – Plotkujesz z nimi godzinami.

– Tak, ponieważ one ze mną rozmawiają.

– O czym mam z tobą rozmawiać?

– O czymkolwiek.

– Co to znaczy „o czymkolwiek”?

– Ożeż, poddaję się! – Dźwignęła się z łóżka. Chwyciła szlafrok i zamknęła się w łazience.

Rozległ się płacz Ryana: stłumione zawodzenia, a potem kroki Toni. Przez ścianę sypialni słyszał, jak nuci synowi. Przez lata byli sami na świecie i potwornie go rozpieściła. A z drugiej strony, co Andy wiedział o wychowywaniu dzieci?

Jej budzik ze Snoopym pokazywał 12.55. Ciało Andy’ego wrywało się do snu, ale przez głowę przewalały mu się tysiące myśli. Wiedział, z jakiegoś powodu, że jest na rozdrożu życia. Leżał tam nagi, pocąc się w upale. Na zewnątrz tego dusznego małego domu, który dzielił z dużą młodą kobietą, ledwo mu znaną, rozpościerał się niebezpieczny świat, gdzie jakiś człowiek wykitował właśnie tego popołudnia. Każde tyknięcie zegara przybliżało go do jego czterdziestych urodzin i niejasnych, niepokojących lat, które nastąpią po nich. Tutaj czuł się bezpiecznie. Wcale nie był intruzem, dom należał także do niego. Dzielił go z tą prowizoryczną małą rodziną, której poszeptywania słyszał przez ścianę. Rok temu nie wiedział, że istnieją, ale kliknięcie myszką sprowadziło ich do jego życia, sprowadziło Toni do jego łóżka. Czyż to nie dziwne?

Przez okno wpadł powiew wiatru, jedna ze świeczek zamigotała i zgasła.

Weszła Toni.

– Teraz już będzie spał. – Odwróciła się plecami do Andy’ego i zaczęła się rozbierać.

Nie mógł tego znieść.

– Przepraszam – powiedział. – Po prostu czuję...

– Co czujesz?

Schyliła się, ściągając pończochy. Czuł jej upokorzenie i swoją porażkę.

– Mnóstwo rzeczy chyba – powiedział. – Masz coś przeciwko temu, że zapalę?

– Słucham?

Jego marynarka leżała na podłodze. Przeturlał się na skraj łóżka, pomacał kieszeń i wyciągnął papierosy. Rzucił się na poduszkę,

wydychając dym. Odczuwał dziwną radość, zanieczyszczając ich buduar.

– Powiedz mi, o co chodzi.

Wyrzucił to z siebie pospiesznie:

– Po prostu nie czuję się na siłach, kotku. Mam wrażenie, jakbym był na wystawie. Mam wrażenie, że mnie oceniasz i porównujesz z innymi facetami. Z ojcem Ryana chociażby.

– Z ojcem Ryana? – Toni usiadła z jedną pończochą zwiniętą dokoła kostki. – Dlaczego?

– Jest czarny.

– A co to ma do rzeczy?

Zaciągnął się głęboko.

– Wiesz, co mówią o czarnych gościach?

Patrzyła na niego osłupiała.

– No nie, wy, faceci! Ledwo go znałam, ćwiczył w mojej siłowni, umówiliśmy się kilka razy. I wcale nie był taki dobry w te klocki, jeśli chcesz znać prawdę, ułamek sekundy i po wszystkim. Naprawdę to cię gryzie?

Andy się zaczerwienił.

– Chyba czułem się...

– Jak?

– Sam nie wiem.

Podeszła i usiadła na łóżku. Zmyła makijaż i w migotliwym świetle świec jej twarz wyglądała naturalniej i szczerzej.

– Porozmawiaj ze mną – poprosiła.

Czuł zapach jej kremu do twarzy. I nagle poczuł z nią bliskość... taką prawdziwą. Wziął głęboki oddech.

– Po prostu mam wrażenie, że, nie wiem, nie spełniam wymagań. Mam nudną pracę... no, przynajmniej twoim zdaniem. Jestem nieprzydatny w domu. Ty utrzymujesz wzorowy porządek, wszystko jest na tip-top, jesteś wspaniałą małą gospodynią, a ja tylko zawadzam. – Przyjrzał się papierosowi, nie miał go tu gdzie zgasić. – A czasami... rozumiesz, tutaj... – pokazał głową kołdrę – ...bywam po prostu cholernie zmęczony. A tymczasem muszę... no, wiesz. A mówiąc prawdę, czasem mam ochotę jedynie na kubek horlicksa.

Toni wzięła od niego papierosa i zgasiła w jednej ze świeczek.

– Dlaczego mi tego nie powiedziałeś?

– Myślałem, że poczujesz się urażona.

Wskazała na gorset.

– To cię nie podnieca?

Pokręcił głową.

– Szczerze mówiąc...

Wyrwała dłoń.

– Dopiero teraz mi to mówisz?

– Wcale nie wyglądasz w nim lepiej, kochanie.

– Chcesz powiedzieć, że jestem gruba?

– Nie – skłamał. – Po prostu podobasz mi się w naturalnym wydaniu.

Wydawało się, że to właściwa odpowiedź, ale Toni podniosła szlafrok. Patrzył, jak go wkłada z oczyma połyskującymi od łez.

– Dokąd idziesz?

– Położę się z Ryanem.

Wyskoczył z łóżka i ją chwycił.

– Nie bądź idiotką.

Odepchnęła go.

– Nie podobam ci się, prawda? – wysyczała. – Jestem za gruba, przyznaj. Myślisz, że nie patrzę na siebie i nie zachodzę w głowę, co, na Boga, on we mnie widzi, taki przystojny facet? Myślisz, że moje przyjaciółki nie skręcają się z zazdrości? Nikt nie sądził, że poderwę kogoś takiego jak ty, sama nie mogłam w to uwierzyć, nadal nie wierzę. Myślałam, że nigdy nikogo nie znajdę, że nigdy nie będę miała stałego chłopaka. – Objęła go i szlochała mu w ramię. – Wiem, że nie wyglądam tak jak Jodie i Vick, wiem, że mnie zostawisz.

Andy ją odsunął.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo jestem brzydka.

Popatrzył na nią.

– Wcale nie. Jesteś śliczna.

Wytarła nos.

– Naprawdę?

– Inaczej by mnie tu nie było.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś.

– To mówię teraz.

Zaskoczyła go ta bezbronna dziewczyna, którą w niej nagle zobaczył. Wpatrywała się w niego z tą szczerą, nagą twarzą żarliwie jak szczeniak.

– Nie płacz. – Serce mu żywiej zabiło. – Zaopiekuję się tobą.

– Naprawdę? – wyszeptwała.

Ucałował jej wilgotne oczy, najpierw jedno, potem drugie.

– Przy mnie jesteś bezpieczna. – Był jej mężczyzną, jej opiekunem. To było takie nowe uczucie, że zakręciło mu się w głowie. Był jej potrzebny. Objęła go mocniej.

Na zewnątrz zagrzmiało. Przez okno wpadł chłodny powiew, ostatnie świece zamigotały i zgasły.

– Obiecuj, że nigdy mnie nie opuścisz – wymruczała mu w pierś. – Ryan też cię kocha, traktuje cię teraz jak ojca. Wiele przeszedł, byłby zdruzgotany, gdybyś mnie rzucił.

– Nie opuszczę was! – wyrwało mu się w ciemności. – Jestem z wami. Dlaczego się nie pobierzemy?

Zamarła w jego ramionach.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście! – potwierdził, podekscytowany własną zuchwałością. On, Pan Rozważny. No to patrzcie!

Toni ani drgnęła. W ciszy słyszał odległy szum ruchu na North Circular. Jego życie właśnie się zmieniało.

– Pod jednym warunkiem – rzucił ośmielony w jej włosy. – Pozbędziesz się tych pieprzonych misiów.

Później Andy wielokrotnie wracał myślą do tej nocy. Zasłona między nim a Toni się uniosła i ujrzeli siebie naprawdę. Była burza z piorunami, pamiętał to, załamała się wtedy fala upałów. Później położyli się, wyczerpani, i kochali się jak prawdziwi kochankowie, otwarcie i głęboko. Rankiem udał się do sortowni z oczyma piekącymi od niewyspania, z nogami ciężkimi jak wory piasku. Przepelniała go jednak odrętwiała euforia.

„Żenię się”. Wkładał listy w odpowiednie przegródki, z daleka

dobiegał go pogwar przekomarzanek kumpli. Czuł się odseparowany i jednocześnie zjednoczony z męską rasą. Tak właśnie postępują mężczyźni: żenią się, mają dzieci. Nikomu nie powiedział, radując się swoją tajemnicą, żartował z kolegami, jakby to był zwyczajny dzień. Później, gdy maszerował mozolnie ulicami, popatrywał na słowo „państwo” na kopertach. Wyciągi z kart kredytowych, same nudy w tym stylu, nikt już nie pisał prawdziwych listów. Ale nawet taki chłam był bardzo sugestywny. Państwo. Dołączył do klubu. Po burzy ulice pachniały świeżością, nawet w Neasden, gdzie ogródki przed domami zamieniono w parkingi, a krawężniki zaścielały worki ze śmieciami. Kos dla niego śpiewał.

Od tamtej chwili minęły cztery lata. Zastona, która wtedy się uniosła, zaraz znowu opadła, tamten moment nagiej szczerości nigdy się już nie powtórzył. Przeprowadzili się do większego domu w Cricklewood i osiemnaście miesięcy go remontowali w powietrzu zamglonym od pyłu. Toni okazała się kutą na cztery nogi bizneswoman. Od czasu tamtego karambolu ceny nieruchomości spadły na łeb na szyję. Zrezygnowała z pracy fryzjerki i kupiła trzy mieszkania na wynajem w Stratford, niedługo przed olimpiadą, ceny już szybowwały w górę. Chodziła na siłownię, zatrudniła korepetytora dla Ryana, który kiepsko sobie radził w szkole. Była kobietą sukcesu.

– Może rzucisz tę swoją pracę? – zasugerowała. – Pensja jest marna, a ty zawsze skonany. Mógłbyś zostać moim współnikiem i zarządzać projektami. W przyszłym tygodniu robię zamianę na Calthorpe Road i będzie z tym mnóstwo roboty.

Andy nie odpowiedział. Kiedy mówiła ludziom „mój mąż jest listonoszem”, nerwowo chichotała. Czyżby się go wstydziła?

Popatrzyła na niego zmrużonymi oczyma.

– A może lubisz flirtować z paniami domu?

– Nie opowiadaj głupot. – Miał rewir w Neasden, większość jego klientów stanowili Pendzabczycy. – Niektóre nawet nie mówią po angielsku.

– A kto mówi, że musicie rozmawiać?

Andy wzruszył ramionami. Nie miała pojęcia. Przed oczyma stały mu nieśmiałe, odziane w sari matrony, odbierające przesyłki

z Amazona dla synów, i miał ochotę się roześmiać. Nie był flirciarzem, tylko listonoszem, i to dumnym ze swojego zawodu. Toni nigdy by nie zrozumiała lojalności, jaką odczuwał wobec swoich klientów, świadomości, że odgrywa małą, ale bardzo istotną rolę w ich życiu. W rzeczywistości kochał swoją pracę. Pomimo coraz cięższej torby i coraz dłuższych zmian, pomimo ciągłego wściubiania nosa przez kierownictwo, tych wszystkich celów, dyrektyw i korporacyjnych bredni, pomimo grożącego implozją chaosu, jakim była Royal Mail, w sortowni nadal panowało poczucie koleżeństwa. Uwielbiał też czar świtania, atmosferę budzących się do życia podmiejskich uliczek. Uwielbiał tę osobliwą mieszaninę samotności i poczucia wspólnoty, która wypełniała dzień pracy listonosza. Nigdy nie mówił o tym wszystkim Toni. Poza tym ona nigdy nie pytała.

– Teraz się boczysz – zauważyła.

– Wcale nie.

– Ha, już się robisz czerwony. – Trąciła łokciem syna. – Spójrz, Ryan, tatuś jest zły.

– Nie jestem. – Chciał powiedzieć: nie jestem jego tatusiem. – No i dojechaliśmy.

Stanęli przed wejściem do parku. Była sobota i zabrał ich na wycieczkę.

– Dokąd idziemy? – spytał Ryan.

– Już mówiłem. Chcę wam coś pokazać. – Andy prowadził ich alejką. – Jeden z kolegów mi o tym opowiedział. Miejsce nazywa się Parkiem Listonosza, bo jest niedaleko głównej sortowni listów.

Dokoła wznosiły się biurowce. Za nimi znajdowała się katedra Świętego Pawła, niewidoczna, ale ogromna.

– Nic tu nie ma – powiedziała Toni.

– Owszem, jest.

Poprowadził ich obok rabatek do ściany wyłożonej porcelanowymi płytkami, osłoniętej drewnianym daszkiem. Byli w cichym parku sami wśród platanów.

– Myślałam, że jedziemy do nowego centrum handlowego – marudziła Toni. – Tego przy katedrze. Myślałam, że to jest ta niespodzianka.

– Nie. To nią jest. – Wskazał na płytki. – Położono je w czasach królowej Wiktorii. Śmiało, przeczytajcie napisy na którejs.

– Co?

– Przeczytajcie inskrypcje. Są niesamowite.

Toni popatrzyła na niego, zbita z tropu. Podeszła bliżej i popatrzyła na jedną z tabliczek.

– „Frederick Alfred Croft, lat 31, uratował obłąkaną kobietę przed popełnieniem samobójstwa na dworcu Woolwich Arsenal, ale sam zginął pod kołami pociągu”.

– Makabra – stwierdził Ryan.

– Spójrz, ten chłopiec był w twoim wieku – powiedział Andy. – „Henry James Bristow, lat 7, uratował życie młodszej siostrze, zdzierając z niej palące się ubranie, ale sam zajął się ogniem i zmarł na skutek poparzeń i wstrząsu”. – Popatrzył na Ryana. – To zwykli ludzie, tacy jak my, którzy dokonali naprawdę odważnych czynów. To jest ich pomnik.

– Ale ciołek. – Ryan dłubał w nosie.

Toni usiadła na ławce.

– Nie wierzę. Jesteś chory czy jak? – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Ściągnąłeś nas tutaj taki kawał drogi, żebyśmy to obejrżeli? Wiesz, jakie to dziwaczne?

– Pomyślałem sobie, że... raczej inspirujące.

– Spójrz tylko na Ryana. Na śmierć go wystraszyłeś.

Poparzyli na pochyloną głowę chłopca. Siedział na trawie i grał na swoim Nintendo.

– Na moje oko wszystko z nim w porządku.

– Całymi tygodniami będzie miał teraz koszmary.

Ryan podniósł wzrok.

– Tu jest nudno. Chcę wracać do domu.

– Widzisz? – Toni się podniosła. – Chce się stąd wydostać, tu ciarki człowieka przechodzą. – Chwyciła Ryana za rękę. – Chodź, kochanie. Poszukamy lodów.

Pani Enid Price mieszkała w Neasden na Arnos Drive 12. Andy od lat dostarczał jej pocztę. Była sędziwą wdową, rasistowską i zrzędlivą, ale on ją lubił. Doskwierała jej samotność, jej sąsiedzi się powyprowadzali, jeden po drugim, a na ich miejscu pojawiły się domy

wielorodzinne i hinduskie rodziny, z którymi niewiele ją łączyło. Andy odnosił czasami wrażenie, że jest jedyną osobą, z którą biedaczka rozmawia przez cały dzień. Na sposób listonoszy był za pan brat z jej życiem. Wiedział o jej starej przyjaciółce ze szkoły w Wigan (skreślony drżącą ręką adres na kopercie), problemach finansowych (ostateczne wezwania do zapłaty), miłości do ptaków (czasopismo RSPB). Czasem łapała go za ramię bezwzględnymi palcami. „Potrzebuję twojej pomocy, młody człowieku”, oznajmiała i wpychała go do salonu, żeby zabił osę albo przesunął jakiś mebel. Opowiedziała mu o swoim świętej pamięci mężu, o tym, że był sanitariuszem w czasie wojny, wydobywał ciała z ruin i nigdy tak naprawdę nie doszedł po tym do siebie. Andy czasami, gdy kończył roznosić listy, zachodził do niej na herbatę.

A potem Enid złamała biodro. Wróciła ze szpitala słaba i pogubiona. Co rano siedziała przy oknie i na niego czekała.

– Chyba umieścili mnie w jakimś hotelu – skarżyła się.

– To nie hotel, moja kochana. Tylko pani dom.

Wwiercała mu palec w ramię.

– Zabierz mnie stąd. Chcę do domu.

Z upływem tygodni stawała się coraz bardziej zdezorientowana.

– W moim łóżku na górze jest jakiś mężczyzna – wyszeptała. –

I jeszcze jeden w szafie. Nigdy nie byłam zwolenniczką trójkątów i nie zamierzam teraz nią zostać.

Tego wieczoru Andy powtórzył tę rozmowę Toni. Myślał, że się pośmieją, zawsze narzekała, że z nią nie rozmawia.

Toni popatrzyła na niego w zamyśleniu.

– Otępiała, tak?

Andy skinął głową.

– Gdy tam byłem, przyszła pielęgniarka. Umieszczą ją w domu opieki.

Toni zamarła na chwilę z łopatką w dłoni. Smażyła kurze udka.

– Podaj mi, proszę, estragon.

Andy więcej o tym nie myślał. Przywykł już do tych lekkich rozczarowań, braku porozumienia. Czuł się w swoim domu coraz bardziej samotnie. Może gdyby urodziło im się dziecko, sytuacja by się zmieniła, ale Toni była ciągle na pigułkach, a temat wydawał się zbyt

intymny, by poruszać go w rozmowie. Kiedy się to robi? Nie miał pojęcia.

Tydzień później przez noc napadało śniegu. Ulice były ciche i pogrążone w spokoju, jego kroki wydawały skrzypiący odgłos, gdy szedł ścieżką do Enid. Myślał o Parku Listonosza, o tym, czy sam byłby zdolny do aktu bezinteresownego heroizmu. Mąż Enid wyciągał obcych z płonących budynków, ale dzisiaj... w jaki sposób człowiek może się sprawdzić? Czy naprawdę to, że poruszyły go tamte tabliczki, było takie dziwaczne?

Enid otworzyła drzwi.

– Wczoraj odwiedziła mnie jedna miła pani – oznajmiła, biorąc listy. – Napiłyśmy się herbaty. Chce kupić mój dom.

Andy więcej o tym nie myślał. Równie dobrze mogło to być jedno z urojeń staruszki. Jednak później, gdy wrócił z pracy do domu, usłyszał głos Toni dobiegający z kuchni. Rozmawiała przez komórkę tonem podniesionym z podekscytowania. Przystanął w korytarzu.

– To szurnięte stare pudło nie ma pojęcia, ile jest wart. Powiedziałam jej: nie potrzebuje pani pośrednika, będzie kosztował majątek i na nic się nie zda...

Musiała usłyszeć, że wrócił, bo zamknęła drzwi.

Teraz sobie przypominał: podał Toni adres. Najwyraźniej udała się tam ukradkiem, nie powiedziała mu ani słowa, wiedziała, że źle postępuje.

Tej nocy, gdy leżał obok śpiącej żony, Andy wiedział już, że jego małżeństwo to pomyłka. Byli obcymi sobie ludźmi, którzy przypadkiem dzielili dom. W pewien dziwny sposób ubranie tego w słowa przyniosło mu ulgę. Po prawdzie czuł nawet coś w rodzaju osobliwej euforii. Niczym niedomagająca bez wyraźnej przyczyny osoba, u której wreszcie wykryto raka. Choć było to bolesne, teraz już mógł przyznać, że istnieje problem, i coś z nim zrobić. I, co dziwne, był niemal wdzięczny za to odkrycie – potwierdzenie, że Toni jest bezwzględna kobietą, która nie zawaha się wykorzystać zniedołężniałej wdowy.

Nie poruszył z nią tego tematu, nie cierpiał konfrontacji. Poza tym, jaki by to miało sens? Cała afera z domem po prostu unaoczniała mu coś, co w głębi duszy wiedział przez cały czas. Leżał tak, gapiąc się w sufit,

a zegar ze Snoopym odmierzał minuty, nie – odliczał czas do zerwania. Bo wraz z padającym coraz intensywniej śniegiem w Andym narastało przekonanie, że to początek końca.

Śniło mu się, że siedzi w samolocie, który nie może wystartować. Maszyna sunęła, podskakując, ulicami, jej skrzydła uderzały o ściany domów po obu stronach. Słyszał, jak budynki się zapadają, słyszał zawodzenia ludzi. Dzieci ginęły pod gruzem, a on mógł tylko siedzieć bezradnie przypięty pasami do fotela, gdy samolot sunął dalej, siejąc zniszczenie.

Obudził się zlany potem. Śnieg skapał pokój w świetle. Była niedziela, słyszał Toni krzątającą się na dole w kuchni, szmer jej rozmowy z synem. Pewność z zeszłej nocy go opuściła, leżał sztywny ze strachu i pomieszania. Czy naprawdę jest w stanie ich zostawić? Tak właśnie postąpił jego ojciec – spakował się i ulotnił. Mężczyźni stale to robili. Wyobraził sobie, jak ściąga swoją walizkę ze szczytu szafy, a razem z nią lawinę pluszowych misiów z miejsca ich wygnania. Jak mógłby to zrobić Ryanowi? Chłopiec będzie obwinił siebie, tak jak Andy to czynił w jego wieku.

Przewrócił się na łóżku i schował twarz w poduszce. Czy naprawdę ma odwagę powiedzieć Toni, że ich małżeństwo się skończyło? Czy w świetle dnia nadal w to wierzy? Może zejść na dół i jednym zdaniem zasunąć taką bombę? Już widział, jak Toni pada na podłogę, krzyczy z furii, zalewa się łzami. Może nawet by się na niego rzuciła z pięściami, podczas gdy Ryan zawodziłby z boku. Jak Andy zniesie odpowiedzialność za takie cierpienie? Cóż ona takiego zrobiła, by na to zasłużyć? W końcu ludzie się docierają. On sam przypuszczalnie nie był najłatwiejszy we współzyciu, Toni zawsze narzekała, że rozmawia tylko o piłce i rybach. Myśl o rozstaniu napawała go grozą. Zestarzeje się sam w kawalerce z widokiem na North Circular, mężczyzna niekochany. Może powinien puścić wszystko w niepamięć i zabrać ich oboje na sanki.

Wstał. Wziął prysznic, ogolił się i zszedł na dół. Ryan grał w salonie na komputerze. Czy chłopak w jego wieku nie powinien rzucać śnieżkami na dworze? Toni siedziała w kuchni i pracowała na swoim laptopie.

Andy stanął tyłem do niej, wsypując kawę do ekspresu Gaggia. Toni kupiła go w John Lewis tydzień wcześniej. Wydawała teraz dużo, ale też i dużo zarabiała, była bizneswoman z własnym portfelem nieruchomości i osiągnęła to wszystko sama, dzięki czystej determinacji. Zainspirowały ją programy telewizyjne o przeróbkach mieszkań, w których pary zachwycały się paletą kolorów i potrojeniem wartości ich inwestycji. I czemu by nie? Tego ranka Andy czuł się dziwnie tolerancyjny – w rzeczywistości nawet ją za to podziwiał. Czyż to nie dziwne? Może dlatego, że zamierzał ją opuścić?

Pomyślał: Muszę powiedzieć to teraz, zanim zmienię zdanie.

– To nie funkcjonuje – oznajmił.

Toni odsunęła krzesło z westchnieniem i stanęła obok niego przy ekspresie.

– Mówiłam ci, musisz opuścić to pokrętło.

– Nie – wyjaśnił. – Mam na myśli nas.

Zapadło milczenie. Toni przeszła przez kuchnię, zamknęła drzwi i oparła się o nie.

– Wiem – powiedziała.

Andy był zaskoczony. Na zewnątrz rozpościerał się dokoła wielki zasypany śniegiem świat.

– Może lepiej ja zrobię kawę – oznajmiła i podeszła do blatu.

Odkręciła metalowy puchar. – Spójrz, pokażę ci. To napełniasz, proszę, i zakręcasz pokrywkę. O, tak. – Urwała. – A w zasadzie po co ja ci to mówię?

– Co masz na myśli?

– No, chyba teraz nie musisz umieć go obsługiwać, prawda? –

Zajęła się maszyną. – Już nie.

– Nie powiedziałem...

– Owszem, powiedziałaś. To nie może tak dłużej trwać. Masz rację. – Przekręciła do oporu dźwignię. – Już się nawet nie starasz.

– Nie staram się?

– Okazywać zainteresowania tym, co robię. Mówić komplementów. Swego czasu to robiłeś, kiedyś, trochę, ale dawno i przestałeś. Mogłabym paradować w worku na śmieci, a ty byś nawet nie zauważył.

– Nieprawda.

– Owszem, prawda! – Ekspres zaczął syczeć. Patrzyła na niego gniewnie przez pasma pary. – Zupełnie jakby mnie tu nie było, prawie się do mnie nie odzywasz, nigdy nie robimy nic razem, równie dobrze mogłabym nie istnieć. Nie masz nawet dość poczucia przyzwoitości, by użyć odświeżacza powietrza, gdy wychodzisz z toalety. – Filiżanki zabrzęczały, gdy stawiała je na spodkach. – Z pianką?

– Czarną, proszę.

Otworzyły się drzwi i pojawił się Ryan.

– Wyjdź! – warknęła Toni. – Mamusia rozmawia.

Ryan się wycofał. Andy zamknął za nim drzwi.

Toni postawiła filiżanki na stole.

– Masz papierosa? – spytała.

Andy popatrzył na nią zaskoczony.

– Chcesz jednego? – Sięgnął za mikrofalówkę, gdzie wcześniej schował paczkę.

– Kiedyś paliłam – powiedziała, biorąc papierosa. – Rzuciłam, gdy zaszłam w ciążę.

– Nie wiedziałem o tym.

– O niczym nie wiesz, prawda?

– Nigdy mi nie mówiłaś.

– Nigdy nie pytałeś.

Zapalił im papierosy. Zaciągnęła się głęboko i wypuściła smugę dymu. Wyglądała jak nieznajoma, jak jakaś aktorka.

Andy nie miał pojęcia, co powiedzieć. Czuł się tak, jakby nagle kuchnia podwoiła rozmiary.

– Nigdy tak naprawdę mnie nie kochałeś, przyznaj! – powiedziała.

– Oczywiście, że kochałem!

Pokręciła głową.

– Właśnie dlatego nie chciałam dziecka. Wiedziałam, że mnie rzucisz, tak jak ojciec Ryana.

– Nie zrobiłbym tego.

– Taaa? – Popatrzyła na niego oczyma połyskującymi od łez. –

A co, kurwa, niby teraz robisz?

– Nie musimy się rozstawać – rzucił słabo.

– Nie bądź głupi. Oczywiście, że musimy. Od miesiący wiedziałam, że się na to zanosi.

Następne dni były bardzo dziwne. Teraz, gdy wiedzieli, że ich małżeństwo się skończyło, napięcie w domu zelżało. Słowa padły, decyzje zostały podjęte i pojawiło się osobliwe poczucie ulgi. Odnosili się do siebie delikatnie, niczym do inwalidów. Przestali na siebie warczeć, nie byli zagniewani, po prostu bezdennie smutni. I nagle tamy pękły: ani się obejrzeli, a rozmawiali do późna w nocy, niczym pasażerowie lotu długiego zasięgu, nieznajomi, którzy siedzieli obok siebie przez dwanaście godzin, a rozmawiać zaczęli, dopiero gdy samolot podchodził do lądowania. Toni powiedziała mu, że prześladowano ją w szkole, ponieważ jej matka przebywała w domu wariatów. Andy opowiedział jej o swoich bezowocnych próbach odzyskania ojca, o swojej wściekłości i picciu, nieudanych relacjach z dziewczętami. I więcej, dużo więcej. Dlaczego nigdy tak nie rozmawiali, gdy mieli przed sobą perspektywę wspólnego życia do śmierci?

Zatem teraz, gdy ich małżeństwo dobiegło końca, zostali przyjaciółmi. Nie, nie przyjaciółmi – bliskimi towarzyszami niedoli. Zabrali Ryana na kręgle i powiedzieli mu, że Andy się wyprowadza, ale niedaleko i nadal będzie go zabierał na mecze. Toni z synem zwarli szyki, wracając do swojego wcześniejszego trybu przetrwania: chociaż Ryan już miał nadwagę, Toni napychała go pizzą i pozwalała mu grać na komputerze do późnej nocy. Czy Andy mógł ich winić? Zapadły także decyzje finansowe, Toni wzięła pożyczkę, żeby spłacić skromną sumę, którą włożył w dom. Działała szybko i rzeczowo, wyliczając kwoty na komputerze w kłębach papierosowego dymu, bo znowu wróciła do fajek.

Nie interesował się już tym, czy kupiła dom pani Price. Royal Mail przechodziła kolejny obłąkańczy napad reorganizacji i przeniesiono go do Harrow. W ferworze przeprowadzki jego klienci usunęli się, zapomniani, w przeszłość. Toni pomagała mu się spakować z twarzą ziemistą i bladą, bez makijażu, z włosami związanymi recepturką, niczym samotna matka z blokowisk. Była samotną matką. Serce mu się krajało na widok tej odartej z seksapilu kobiety. Pomyślał: Jakie to dziwne, że zasłona między nami uniosła się tylko dwukrotnie: raz na

początku i raz na końcu małżeństwa.

W przededniu jego wyjazdu Toni obcięła mu włosy, jakby wyruszał w daleką podróż.

– Robota w nieruchomościach jest cholernie samotna – powiedziała. – Wszyscy budowlańcy są z Ukrainy, mówią jeszcze mniej niż ty. – Westchnęła. – Tęsknię za salonem. Przynajmniej dobrze się bawiliśmy z dziewczynami.

– O czym rozmawiałyście? – Przypomnił sobie jej przyjaciółki zebrane w pokoju, piski i chichoty, ciszę, gdy wchodził. – O czym rozmawiają kobiety?

Ciach-ciach, sunęły jej nożyczki.

– O facetach takich jak ty, oczywiście.

Buffy

Wreszcie zrobiło się ciepło. Buffy siedział w ogrodzie, pijąc wino z synami. Tobias i Bruno leżeli rozwaleni na trawie – splątana połać mleczy, które zaczęły się już rozsiewać, trudno było nazwać trawnikiem. Zatrzymali się na noc w drodze powrotnej do domu z Festiwalu Szalonych Owiec, gdzie lało przez trzy dni, a słońce pojawiło się dokładnie wtedy, gdy wszyscy się już zwijali. Najwyraźniej była to norma w przypadku festiwalu.

Przyjechali oblepieni błotem i śmierdzący stopą okopową. Cofając się w latach – także norma w przypadku festiwalu – ćpali tam ile weszło i po dotarciu do Myrtle House zwalili się na łóżko w katatonicznym transie i spali bite czternaście godzin w otoczeniu wybebeszonej zawartości plecaków. Na szczęście jedynymi gośćmi w pensjonacie była młoda rodzina, która zostawiła za sobą podobny ślad zniszczeń. Buffy słyszał dolatujące przez otwarte okno pralni stęknienia suszarki bębnowej, usiłującej poradzić sobie z górami prania.

– Mama też przyjechała – powiedział Bruno. – Boże, ależ to było żenujące. Tańczyła.

Dołączyła do nich India i padła na trawę.

– Nikt nie powinien oglądać swojej matki w tańcu – oznajmiła. – Zwłaszcza jeśli wcześniej wyjarała kilka skrętów.

– Musieliśmy się ukryć w namiocie – powiedział Tobias. – Na szczęście nie mogła znieść toalet i pojechała do domu.

Buffy pamiętał, jak tańczyła Jacquetta: kołysała się w swoich luźnych etnicznych ciuchach, z dyndającą biżuterią i oczyma zamkniętymi w pretensjonalnym pochłonięciu sobą. Początkowo wydawało mu się to lekko zmysłowe, jednak w miarę jak czas mijał, jej brak zainteresowania kimkolwiek innym, włączając w to i jego, skutecznie zabił w nim pożądanie i Buffy przestał dołączać do niej na parkiecie. Wątpił, by to zauważyła.

– Żenujące jest oglądanie kogokolwiek w tańcu po raz pierwszy – stwierdziła India. – To jakby przysłuchiwać się, jak mówi po francusku.

Przeturlała się i uniosła kieliszek. Buffy, który siedział na krześle, pochylił się i go napełnił. Bardzo kochał Indię, choć w rzeczywistości była tylko jego pasierbicą, owocem wcześniejszego małżeństwa Jacquetty z mężczyzną imieniem Alan. Została nazwana na cześć miejsca swojego poczęcia, aśramy w Bangalurze. Żał mu było dziewczyny: takie imię i konieczność wyjaśniania jego pochodzenia wydawały się o wiele bardziej żenujące niż taniec, a miały się za nią ciągnąć do śmierci. Lata sześćdziesiąte niejedno miały na sumieniu.

– No, to co to za wielki plan, tato? – spytał Tobias.

Buffy popatrzył na swojego szczupłego syna, na jego bose stopy wystające z džinsów. Wspomnił im coś niecoś poprzedniego wieczoru, ale zakładał, że byli za bardzo naćpani, by pamiętać.

– Będę prowadził kursy z zakwaterowaniem na miejscu dla osób świeżo po rozwodzie – oznajmił.

Bruno usiadł.

– Że jak?

– Albo po zerwaniu – ciągnął Buffy. – Po rozstaniu. Coś, w czym jestem tak jakby ekspertem.

– Kursy? – spytała India. – Jakie kursy?

– Takie, na których uczestnicy uczą się umiejętności, jaką posiada prowadzący. Dajmy na to ogrodnictwa albo majsterkowania.

Zainspirowała mnie dziewczyna, która zabłądziła tutaj w drodze do Blandford. Jechała na kurs podstaw konserwacji samochodu.

Powiedziała, że wcześniej jej chłopak zajmował się tymi sprawami, i teraz, gdy została sama, musi odzyskać kontrolę nad swoim życiem.

– Odzyskać kontrolę? – Tobias uniósł brwi.

Teraz już cała trójka siedziała.

– Wasza macocha Penny na przykład – ciągnął Buffy. – To ona wiedziała, jak się obsługuje bojler i wideo czy najróżniejsze sprzęty w mieszkaniu. Kiedy się ulotniła z tym fotografem, czułem się bezradny jak niemowlę. Gdyby to wydarzyło się teraz, mógłbym się zapisać na jeden ze swoich kursów i nie byłbym takim żalonym wrakiem. –

Podeksytowany mówił coraz głośniej. – Kursy będą dotyczyć

najróżniejszych zagadnień: budżetu domowego...

Tobias wybuchł śmiechem.

– Ty nauczający zarządzania budżetem domowym? Żyjesz w totalnym chaosie, wszystkie wydatki zaliczasz do kategorii R jak Różne.

– Nie ja – wyjaśnił Buffy cierpliwie. – Inni ludzie. Już zacząłem się rozglądać. Ja będę wykladał tylko na jednym z kursów. – Przypomniał sobie narzekania Janet Pritchard na męża. A także Sity na chłopaka. – Będzie się nazywał: „Jak rozmawiać z kobietami”.

Cała trójka pokładała się teraz ze śmiechu. Tobias chwycił się za brzuch, jakby go bolał.

Buffy rzucił urażony:

– Voda uważa, że to wspaniały pomysł. Będziemy mieli pełne obłożenie przez cały tydzień. W domu jest miejsce dla pięciu gości, więcej, jeśli będą dzielić pokoje, a gdybyśmy mieli nadkomplet, niedaleko znajduje się drugi dom noclegowy.

– Wszyscy będą się grzmocić – chichotał Tobias. – Seks po rozstaniu, żeby się odegrać... ja cię, to będzie totalny jebaton.

– Nie, to musi być zakazane. – India sprawiała wrażenie poważnej. – Ludzie, którzy tu przyjadą, będą się czuć parszywie...

– Hotel Złamanych Serc! – Tobias zanucił melodię.

– Wiem, bo sama się tak czułam, gdy Guy mnie rzucił.

– Kto to jest Guy? – spytał Buffy.

– Nieważne – powiedziała India. – Już po ptakach.

Buffy poczuł znajome ukłucie melancholii. Ile przegapia, tkwiąc tutaj w Walii? Z drugiej strony, ile rzeczy już przegapił przez całe życie tej trójki młodych ludzi u swoich stóp, którzy teraz nucili, niemiłosiernie fałszując? W końcu w oczach świata wszyscy troje byli już dorośli. Bruno, który pracował jako informatyk, mieszkał w Shepherd's Bush ze swoją ciężarną dziewczyną, Tobias zajmował się grafiką, India wytwarzała biżuterię. Buffy znał tylko najistotniejsze szczegóły z ich życia, ale może wyglądałoby to tak samo, gdyby nie rozstał się z ich matką. Rozwód wypacza w mężczyźnie zdolność oceny i zatruwa go poczuciem winy.

„Odkąd dziewczyna mnie porzuciła, znalazłem nowe lokum...”

Kołysali się ramię przy ramieniu, śpiewając jednym głosem, a puch z dmuchawców unosił się w ogrodzie. Buffy poczuł przypływ optymizmu. Słońce świeciło, a im więcej mówił o swoim pomysle, tym bardziej się do niego przekonywał. Dlaczego nikt nie wpadł na coś takiego wcześniej?

Zjedli lunch w kuchni, w której nadal unosiła się woń smażonego śniadania. Buffy powiedział im, jaki wikt zamierza zapewnić uczestnikom – prosty posiłek w południe, ale suta obiadokolacja przy stole, przygotowana przez uczestników zajęć „Podstawy gotowania”. Wskazał teren za oknem.

– A ci z „Ogrodnictwa dla początkujących” zajmą się chwastami. Sprytne, co? Zaprzac kursantów do pracy! Prawda, że świetny sposób wykorzystania siły roboczej?!

I konieczny. Buffy musiał zarobić pieniądze, i to szybko. Dach przeciekał, ramy okienne gniły. Może mógłby też przygotować zajęcia z „Prac remontowych w domu”? Wizyta Nyange kilka tygodni wcześniej unaoczniała mu ponurą rzeczywistość. Oczywiście miał już wcześniej dom na własność, ale nawet w połowie nie tak ogromny ani zniszczony – sam rachunek za gaz przyprawiał o palpitację serca. Poza tym wcześniej miał dochody – zmienne, bez dwóch zdań, jednak u szczytu kariery jego melodyjny głos cieszył się dużym wzięciem. Szeptanka dla Dyno-Rod urządziła mu dom w Primrose Hill. Och, i ta radość wznawianych seriali! Choć rola pierwszego woźnego sądowego w *Crown Court* nie należała bynajmniej do wielkich, ten stary skurczybyk Andrew Cruickshank sprzątnął Buffy’emu sprzed nosa rolę sędziego, pomogła opłacić prywatne szkoły, przy których upierała się Jacquetta, choć chłopcy opuścili je z zamiłowaniem do konopi i robotniczym akcentem.

Szczekanie Figa oznajmiło powrót Vody z hurtowni. India się zerwała i pomogła jej wypakować puszki farby. Obie od razu przypadły sobie do gustu i gdy Buffy je teraz obserwował, rzuciło mu się w oczy ich fizyczne podobieństwo – obie były krępe, zdecydowane, z szopą niesfornych ciemnych włosów. India jednakże miała londyńską bladość, podczas gdy policzki Vody były nawet czerwiejsze niż zazwyczaj. Podobnie jak wargi. Czy to możliwe, że się umalowała? Emanowała też jakąś frywolnością, co było nietypowe – to, jak zachichotała na jakieś

słowa Indii i przycisnęła dłoń do ust. Czyżby wpadł jej w oko któryś z jego synów? Oby tylko nie Bruno, który już miał dziewczynę, i to w dodatku w ciąży. Jej pretensje o to, że się urwał, gdy ona jest w siódmym miesiącu, ujawniły się w serii esemesów, które pojawiły się na moment z krótkim bipnięciem, gdy jego komórka złapała zasięg w drodze do Knockton, i znowu zniknęły.

Buffy opowiedział im o frontowym saloniku, który zamierzał przerobić na bar i salę wykładową dla swoich kursantów. Znajdował się po drugiej stronie korytarza naprzeciwko jadalni i do niedawna robił za składzik, wynajmowany przez jednego z przyjaciół Bridie, który kolekcjonował pamiątki związane z koleją – pudła starych rozkładów jazdy i różne takie rupiecie.

– To staruszek imieniem Lenny – powiedział Buffy. – Chyba czuła do niego miętę.

– Nikt nie czuje mięty do miłośników kolei – nie zgodził się Bruno. – Dlatego właśnie są miłośnikami kolei.

– Bridie nie była zbyt wybredna, pocziwina – stwierdził Buffy, mając nadzieję, że to nie odnosiło się do jego samego. – Tak czy owak, przez wzgląd na stare czasy pozwoliłem mu zatrzymać pokój, ale musiał wyprzedać kolekcję, by opłacić sobie dom opieki. Odrobina farby i będzie jak nowy.

Po południu Tobias i Bruno wracali do Londynu, ale, ku zaskoczeniu Buffy'ego, India zaproponowała, że zostanie, żeby zrywać tapety. Pomógł synom zebrać ich okazały zbiór ubrań, z których część była udrapowana na krzakach w ogrodzie, pożegnał się z nimi i udał się na swoją drzemkę.

Kiedy wyłonił się z sypialni późnym popołudniem, punktualnie w porze małego aperitif przed obiadem, dobiegły go piski i śmiech z pokoju na dole. Przystanął na podeście. Wieczne słońce wpadało przez półkoliste okienko nad drzwiami. Już wyobrażał sobie wesołe pobrzękiwanie kieliszków, nagłą ciszę, gdy zacznie dzielić się swoją wiedzą z rzędami niereformowalnych macho, którzy porozumiewali się z kobietami za pomocą monosylab, burzę oklasków, gdy skończy z ukłonem. Będzie sypał anegdotkami z własnej przeszłości – nawet tymi upokarzającymi (miał tu z czego wybierać) i oczywiście od czasu

do czasu rzuci jakiś dowcip dla rozładowania napięcia. „Nie sądzę, żebym się powtórnie ożenił. Znajdę po prostu kobietę, która mi się nie podoba, i podaruję jej dom”. Buffy zszedł do frontowego saloniku. India i Voda siedziały obok siebie na podłodze i paliły. Popatrzył na Vodę zaskoczony, nie miał pojęcia, że pali. Jedna ze ścian była w połowie oskrobana, pasy tapety zwieszały się z niej niczym wywalone jęzory.

– Opowiadałam jej właśnie o swoim ojczymie – powiedziała India.

– Nie o mnie, mam nadzieję – zachnął się Buffy.

– Oczywiście, że nie. Nie obsmarowywałabym cię w twoim własnym domu. Rozmawiałyśmy o Leonie.

– Wygląda na to, że to niezły patafian – uznała Voda.

Leon był tym psychoterapeutą celebrytów, któremu Jacquetta zwierzała się ze swoich małżeńskich niedoli – innymi słowy, z beznadziejności Buffy’ego w roli męża – i z którym ostatecznie prysnęła, zabierając ze sobą jego Ivona Hitchensa.

– Usiłowałam jej wyjaśnić nasze powiązania rodzinne – ciągnęła India. – Kto był czym mężem i kto z kim ma dzieci, ale trochę się pogubiła. Szczerze mówiąc, ja też.

– Tak, tutaj bez kartki i ołówka ani rusz – powiedział Buffy.

– Nie – zaprotestowała India. – Bez cholernej tablicy ściennej.

– Szkoda, że moi rodzice się nie rozwiedli. – Voda zgasiła papierosa. – Wtedy nie musiałabym wysłuchiwać, jak się pieprzą w swoim szalasye.

– Ani oni ciebie – zauważyła India.

– A jak się kłócili! – ciągnęła Voda. – Gorzej niż ja z Conorem. – Westchnęła. – On jest taki humorzasty. Wkurza go na przykład nawet to, jak zmywam. Potrafi się boczyć tygodniami, długo po tym, jak ja zapomniałam, o co w ogóle poszło.

– Jak dzieciak, który wściekły wychodzi z domu z walizką, ale nikt nawet nie zauważa, że zniknął, więc musi wrócić z podwiniętym ogonem – powiedziała India. – Ja tak kiedyś zrobiłam.

– Naprawdę? – zdziwił się Buffy.

– Ale mama nigdy niczego nie zauważała. Mogłabym nie wracać miesiącami.

Voda siedziała zamyślona.

– Odkąd siedzi za kratkami, mam wreszcie spokój. Żadnych ataków wściekłości, gdy furgonetka nie chce zapalić, żadnych petów w kiblu. I kazałby mi utopić kociaki. Prawdę mówiąc, boję się, co będzie, gdy wyjdzie.

Buffy uniósł brwi. Z nim nigdy nie rozmawiała tak szczerze. Z drugiej strony, był jej pracodawcą i mężczyzną – zramolałym, spasionym i niegroźnym, ale nadal bez wątpienia mężczyzną. To India poluzowała jej zahamowania.

Obie wróciły do zrywania tapety. Wydawały się pozostawać w idealnej komitywie, nawet zdzierały jakby unisono. Cieszył się, że tak dobrze się dogadują. Voda opowiadała teraz Indii o zezie swojego brata i o tym, jak członkowie komuny usiłowali przez moment wyleczyć go rytualnymi śpiewami – na próżno, uwaga, uwaga. Jak Aled znalazł pociechę w krowach, jedynych stworzeniach, które naprawdę go kochały. Od tego gładko przeszły, jak to kobiety mają w zwyczaju, do tematu ich katastrofalnego życia miłosnego, ze szczególnym uwzględnieniem beznadziejnych byłych Indii.

Buffy słuchał z zainteresowaniem, obie najwyraźniej zapomniały o jego obecności. Pomyślał: Zadziwiające, że kobiety nie potrzebują kursu rozmawiania z kobietami. Po prostu przez cały czas to trenują.

W rogu pokoju zainstalowano sklecony naprędcę bar. Robił za niego wysłużony mahoniowy bufet, który Voda wypatrzyła w kontenerze przed świetlicą gminną, gdy brała udział w turnieju darta w Brecon. Po cynku o tym, że na skutek cięć lokalny dom dziennego pobytu się zamyka, doprowadzono z niego stos plastikowych krzesełek. Pokój powoli nabierał kształtów. By nadać mu indywidualny rys, Buffy obwiesił ściany oprawionymi w ramy afiszami teatralnymi, które znalazł upchnięte w piwnicy. Był wśród nich i plakat do przedstawienia *Rywale*, w którym grał główną rolę. Ze zdjęcia spoglądała na niego jego młodsza, szczuplejsza wersja w lokowanej peruce. Ta uniesiona brew, ten zawadiacki uśmieszek – jakże się wtedy puszył! Po raz pierwszy – i ostatni – widział swoje nazwisko w blasku neonów na Shaftesbury Avenue. Teraz jednak wilgoć zakradła się pod szkło, plama koloru herbaty marszczyła połowę jego twarzy, niczym znamię.

Patrząc na swój wizerunek, Buffy pomyślał o postaciach, w które

się wcielał, od sir Anthony'ego Absolute'a po chomika Chomiego. Należały do innego życia. Aktorzy puszą się na scenie, ale tak naprawdę są dziećmi przebranymi w kostiumy. Teraz zaś był właścicielem pensjonatu z licencją na wyszynk alkoholu. Wreszcie, w sędziwym wieku lat siedemdziesięciu jeden, poczuł się niemal jak dorosły.

Jego plany powoli się materializowały, trwały poszukiwania wykładowców. Jeszcze tego samego dnia miał się spotkać w pubie z gościem imieniem Nolan, który, podobnie jak ośrodek, padł ofiarą cięć. Do niedawna pracował jako robotnik dla lokalnej rady, ale go zwolniono. Pasjonował się jednak motoryzacją. Ponoć miał dwa garaże niedaleko obwodnicy, które robiły za kostnice dla rozczłonkowanych pojazdów. To w połączeniu z pogodnym usposobieniem czyniło z niego potencjalnego kandydata do prowadzenia zajęć z konserwacji samochodu.

Pozostawała też kwestia reklamy. Buffy dumał nad nią, przechodząc przez pokoje, by uzupełnić darmowe drobiazgi – miniaturki szamponów, torebki z herbatą, ciasteczka. Oczywiście wszystkie zawsze znikwały – nawet, rzecz żenująca, saszetki z cukrem.

Czy powinien dać anons na stronie z ogłoszeniami matrymonialnymi w jakimś piśmie z górnej półki, ekskluzywnym magazynie typu „London Review of Books”? Czy sawantki ze złamanym sercem miały być jego główną klientelą? I, co ważniejsze, czy chciał zapełnić nimi swój dom? Penny wiedziałyby, co zrobić. Stojąc w różowym pokoju, Buffy nagle zatęsknił za swoją ekszoną. Była dziennikarką, pismakiem w każdym calu, kutym na cztery nogi, o nader kreatywnym umyśle, który w przeszłości nieraz okazał się bardzo pomocny. Nie zawsze Buffy'emu, trzeba powiedzieć. Zwłaszcza gdy chodziło o jej zdrady. Przypomniawszy sobie jej zagraniczne „wyjazdy służbowe”, to, jak wracała opalona i bawiła go dykteryjkami o swoich kolegach darmozjadach, odpakowując podarki z egzotycznym jedzeniem. Jak w rzeczywistości zaszywała się po prostu w mieszkaniu swojego kochanka w Soho, a potem pospiesznie nakładała samoopalacz, kupowała makaron w delikatesach Camisa i jak gdyby nigdy nic wracała do domu taksówką „prosto z lotniska”.

Trzeba przyznać, że jej tupet wzbudzał podziw. Wtedy oczywiście

nie u niego. Ale to wszystko było tak dawno temu, wieki minęły i wydawało się to snem. Buffy stał i obserwował pająka, który spuszczał się z sufitu na nitce pajęczyny. Robił to z taką niefrasobliwością, czy naprawdę wiedział, dokąd zmierza, i czy naprawdę chciał tam dotrzeć?

Penny wiedziała. Była bystra, pozbawiona zahamowań i miała nosa do tematów. Kiedy któraś z jej przyjaciółek zalewała się łzami, zwierając się z jakiejś traumy z czasów dzieciństwa, Penny cała się spinała, niczym lis wyczuwający królika – czy będzie z tego artykuł? Nic się nie marnowało, od napastowania seksualnego po asymetryczny krój ubrania. Penny zawsze potrafiła wysmażyć tysiąc słów i gdzieś je opylić, od „Daily Mail” po któreś z ilustrowanych czasopism. To zasługiwało na podziw. Była także zabawna – o wiele bardziej zabawna niż jej poprzedniczka, Jacquetta, o którą była wściekle zazdrosna. Pamiętał pierwszą wizytę Penny w jego domku na wsi, gdzie właśnie opróżniano szambo. „Dzięki Bogu”, powiedziała wtedy. „Nie chcę tu żadnych odchodów byłej żony”.

– Lunch! – krzyknęła Voda w górę schodów.

Buffy podskoczył. Naprawdę zrobiło się już tak późno? Jak długo tu stał, ściskając pudełko z opakowaniami mleka UHT? Ostatnio coraz częściej mu się to zdarzało. Voda nazywała go starym leniwcem, ale on po prostu wpadał w sidła przeszłości. Tyle było tych wspomnień i tylko czekały, by go przydybać i unieruchomić w zalanym słońcem pokoju.

Gdy schodził na dół, w głowie nadal rozbrzmiewał mu głos Penny. „Nie marnuj pieniędzy na jakieś ogłoszenia, głupi. Spraw, by ktoś napisał o tym artykuł”.

Roy był flejowatym starym pismakiem, który pracował dla „Radnorshire Echo”. Buffy wpadł na niego kilka miesięcy wcześniej, gdy ich psy załatwiały się na przykościelnym cmentarzu. Wiedział, gdzie go teraz znajdzie – w barze hotelu Knockton Arms, na krańcu miasteczka. Sam zwykle omijał szerokim łukiem to miejsce na skutek uporczywości, z jaką barman Dafydd zwracał się do niego piskliwym głosem Volleya – dowcip, który dawno już przestał Buffy’ego bawić, jeśli w ogóle kiedykolwiek go bawił. Dzisiaj jednakże na posterunku tkwił jakiś monosylabiczny Łotysz. Miejsce świeciło pustkami, jeśli nie liczyć Roya, który siedział przy barze, próbując nawiązać z nim

rozmowę.

Odwrócił się z ulgą, gdy wszedł Buffy.

– Czołem, stary! Co cię sprowadza do tej jaskini wszeteczeństwa?

Usiedli w małej salce i strzelił sobie kilka głębszych. W młodości Roy był siewcą marksizmu, publikującym siejące zamęt polemiki w „Manchester Guardian”. Przeflancowawszy się do Londynu i na prawo, pracował potem dla tabloidów w starych dobrych czasach prasy, podpierając bar w El Vino i zbierając plotki do stron o szołbizie. Buffy widywał go w różnych knajpach, a nawet raz udzielił mu wywiadu, gdy w jednym z odcinków *Spraw inspektora Morse’a* dostał epizodzik, który ostatecznie wycięto. Teraz Roy dawno był już na emeryturze i osiedlił się w Walii ze swoją magnifiką, szczwaną lisicą o skórze uwędzonej fajkami, z którą obiadał w czterogwiazdkowych gospodach w zamian za bezwstydną peany publikowane w lokalnej prasie.

Buffy streścił mu swój plan.

– Zobaczą, co się da zrobić – obiecał Roy. – W końcu to sezon ogórkowy, gazety zabijają się o tematy. Oczywiście chcesz którąś z ogólnokrajowych: mają wielu czytelników, któryś może się skusić. Tutaj nikt nie będzie na tyle głupi, żeby płacić za twoje kursy. – Myślał przez chwilę. – „Daily Express” wisi mi przysługę. W trakcie Hay Festival udało mi się dostać na zaplecze pokoju dla vipów i podrzuciłem im bardzo smakowity kąsek. – Zachichotał. – Złapałem jednego ze współpracowników premiera w kiblu, jak wciągał kokę.

– Ale czy ja na pewno chcę czytelników „Daily Express”? – spytał Buffy.

– Ty stary snobie. Poza tym zdziwiłbyś się, kto to czyta.

Oczywiście wszyscy twierdzą, że leżało w poczekalni u lekarza.

Roy miał rację, to musiało być pismo ogólnokrajowe. Buffy podejrzewał, że lokalnych nie czyta nikt, jeśli jego fasolka szparagowa nie pretenduje do nagrody. Tematyka serwowanych newsów sięgała od „Tajemnicy elektrycznego wózka inwalidzkiego”, który wypatrzone w czyimś ogródku przed domem, a jedyną poszlaką wskazującą na właściciela była para męskich rękawiczek, po pogłoski o krążącej nocą po okolicy panterze. Wysłano na przeszpiegi reportera z noktowizorem, który po tygodniu obserwacji odkrył, że to spasiony kocur. Ten temat

ponoć powracał każdego lata.

Zatem Roy napisał artykuł do „Daily Express”. Towarzyszyło mu zdjęcie Buffy’ego, brodatego i promieniejącego w swojej panamie przed Myrtle House, w którego oknie rzucała się w oczy tablica z napisem „Brak miejsc”.

Widzowie z pewnym stażem mogą go pamiętać jako oberżystę z predylekcją do gaf z serialu *Bed and Board*, karygodnie wycofanego z produkcji po pierwszym sezonie. Teraz jednakże emerytowany aktor Russell Buffery, lat 71, objął tę rolę w rzeczywistości. Rok temu bliska przyjaciółka zostawiła mu w spadku pensjonat w malowniczym miasteczku Knockton. „Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba”, mówi Russell „Buffy” Buffery, relaksując się w ogrodzie zabytkowego domu. „Ale byłem gotowy na nowe wyzwanie, z dala od zgiełku miasta”. Zamieniwszy zatem aktorską szminkę na farbę do ścian, postanowił przywrócić piękny budynek z początków XX wieku do stanu poprzedniej świetności i wkrótce pensjonat zamienił się w prosperujący interes. „Każdy aktor lubi zbierać brawa”, żartuje Buffy, „więc przygotowałem się na kilka sezonów”.

Nieskłonny spoczywać na laurach, energiczny artysta wpadł jednak teraz na nowy pomysł. Sam wielokrotny małżeński recydywista – „Szkoda, że nie płacą za powtórki”, żartuje, „bo byłbym bogatym człowiekiem” – zorganizował teraz serię szkoleń pod tytułem „Cykl poradników dla rozwodników”. „Powiedzmy, że się rozwodzisz”, mówi. „Zdarza się nawet najlepszym z nas. Ale małżeństwo to podział obowiązków i prawdopodobnie polegałeś na swojej lepszej połowie w sprawach, którymi sam nie umiesz się zająć, jak remont czy finanse. Gdy jej zabrakło, czujesz się bezradny jak dziecko. Zapisz się na kursy w Myrtle House, a po tygodniu staniesz na nogi. Wiedza plus piękna okolica i trzydaniowe obiadowe kolacje przygotowane z lokalnych produktów pomogą ci się pozbierać”. Pierwszy kurs „Podstawy konserwacji samochodu” rusza 15 września. „To tańsze od psychoterapii”, dodaje Buffy z charakterystycznym chichotem, który jest jego znakiem firmowym. „I kto wie? Może zaiskrzy nie tylko między stykami”.

Amy

– Nigdy wcześniej nie czytałam „Expressu” – powiedziała Rosemary. – Przypadkiem wpadł mi w ręce u dentysty.

– Mnie też – poinformowała Amy. – U lekarza.

Obie zameldowały się w Myrtle House równocześnie. Okazało się, że dzielą dwuosobowy pokój.

– Gospodarz wygląda mi jakoś znajomo. Chyba już gdzieś go spotkałam.

– To aktor – wyjaśniła Amy. – Kiedyś go malowałam do *Panny Marple*. Właśnie to sobie uświadomiłam.

– To tym się zajmujesz? Bajeczna praca!

– Niezupełnie.

– Uwielbiam *Pannę Marple*. Zwłaszcza gdy wciela się w nią ta, jak jej tam... – Rosemary rozpięła walizkę i zaczęła wyjmować ubrania. – Przez czterdzieści lat dzieliłam pokój tylko z Dougiem. Ale nie przeszkadza mi współlokatorka, jeśli ty też nie masz nic przeciwko temu. I o ile nie chrapiesz.

– Chyba nie. Nikt się nie skarżył.

– Dougie chrapał jak locha guźca przy porodzie. Musiałam dźgać go łokciem. – Rosemary wyciągnęła kosmetyczkę. – Przynajmniej mamy się gdzie umyć. – Popatrzyła na umywalkę. – Nie widziałam oliwkowej, od kiedy Edward Heath był premierem. Zanim się urodziłaś, skarbie.

Amy cieszyła się, że ma za współlokatorkę starszą panią. Jakieś wysokie i szczupłe stworzenie w stringach tylko pogłębiłoby jej i tak nieprzyjemne poczucie niższości. Rosemary była grubokościstą kobietą z Aldershot, miała na sobie granatową spódnicę i kwiecistą bluzkę. Jej mąż służył ponoć w jakimś pułku, zanim przeszedł na emeryturę i szybko podał tyły z kelnerką z klubu golfowego.

– Co za skończony dupek – sarknęła Rosemary. – Stary a głupi. Bóg jeden wie, co ona w nim widzi.

Tego wszystkiego Amy się dowiedziała, zanim jeszcze rzuciły walizki na łóżka. W rzeczywistości cieszyła się z towarzystwa. Kryzys dotknął też branżę filmową, od pół roku nie dostała zlecenia i spędzała zdecydowanie zbyt wiele czasu sama w mieszkaniu. Co gorsza, nielegalnych imigrantów piętro wyżej zastąpiła para z niemowlęciem. Nocą we śnie jego zawodzenia przeobrażały się w płacz jej własnego dziecka, noworodka sapiącego u jej sutka. Wykapany miniaturowy Neville patrzył na nią z taką miłością, że cała się rozpląwała. A potem budziła się w beznadziejnie smutnej rzeczywistości. Miała trzydzieści pięć lat i zero chłopaka u boku, a zegar tykał.

– Zabrałam ogrodniczki – powiedziała Rosemary, niosąc je do szafy. – Zakładam, że pewnie uwalamy się olejem, grzebiąc pod maską czy gdzieś. Wcześniej robiły za spodnie na zakupy, więc prezentują się dość odrażająco.

Amy zabrała tylko drugą parę dżinsów. I całe szczęście, jako że w szafie znajdowały się tylko cztery wieszaki od kompletu, w tym trzy już zajęte przez Rosemary. Przywiozła jednak dwa dodatkowe swetry, ponieważ chodziły słuchy, że w Walii jest zimno. I rzeczywiście, panował ziąb, otwierane pionowo okno najwyraźniej się zablokowało, uchylone lekko pod kątem. Rosemary znalazła grzejnik nawiewowy, z którego buchał smród palonej sierści.

Sam pokój kiedyś musiał być elegancki. Teraz jednakże kominek zabito kawałkiem dykty, a kwiecista tapeta spłowiła. Na ścianie wisiała fotografia Johna Gielguda w roli Prospera (studyjne oświetlenie, mnóstwo szminki), podpisana z zakrętasem „Kochanej Bridie”. Pokój znajdował się na samej górze, z okna rozpościerał się widok na dachy domów i wzgórze, nad którymi po niebie przewalały się fioletowosine, wzburzone chmury.

Amy poprawił się humor, poczuła radosną ekscytację związaną z przybyciem w nowe strony. Dobrze było wyrwać się z Londynu. Choć zjeździła cały świat, w Walii jeszcze nie była i panorama gór, dostrzeżona już z M5, od razu ją zachwyciła, pomimo złowieszczonego postukiwania dochodzącego z silnika jej punto. Przecież ten cały Nolan Evans, kimkolwiek jest, z pewnością będzie w stanie zdiagnozować problem i go usunąć. Prowadził kurs. I już czuła, gdy niebo ciemniało,

obietującą woń gotującego się obiadu.

Buffy

Buffy nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Pomimo drobiazgowych przygotowań nad całym przedsięwzięciem unosiła się aura nierealności. I nie rozwiąła się nawet po przybyciu sześciu kursantów, którzy teraz tłukli się po pokojach na górze, przygotowując się do obiadokolacji. Wcześniej tak długo wyobrażał sobie tę scenę, że teraz jego goście z marzeń unosili się niczym hologram nad tymi rzeczywistymi z krwi i kości, i nie bardzo mógł połączyć jednych z drugimi. Tym bardziej nie dowierzał, że jego pięciodniowy kurs na temat konserwacji auta naprawdę dojdzie do skutku. Ogarnęła go panika. Cały ten pomysł był z księżycy. Co będzie, jeśli Nolan się nie pojawi, a on zostanie sam z domem pełnym ludzi tłoczących się niczym bydło w zagrodzie, a po szybie będzie spływał deszcz? Co ma z nimi robić – układać pasjansy?

Z drugiej strony, osiemnaście miesięcy temu nawet mu się nie śniło, że będzie prowadził pensjonat w małym walijskim miasteczku. Jak nieprawdopodobne to było? Nadal czuł się nieswojo jako posiadacz terminalu do kart płatniczych. Z reguły zaprzyjaźniał się z większością swoich gości. Przypominał sobie miło zakrapiane popołudnie, które spędził z miedziorytniczką imieniem Mavis. Zepsuło się ogrzewanie, biedaczka leżała owinięta kocem na popękanej skórzanej sofie i opowiedziała mu o swoim romansie z kierowcą tira, o tym, jak kucała w przydrożnym rowie, by wsadzić do pochwy kapturek, i przy okazji poparzyła się pokrzywami. On opowiedział jej o swojej pozbawionej zahamowań pierwszej żonie, Popsi, o tym, jak siadała na ubikacji i wstrzykiwała krem na swój krążek domaciczny z niefrasobliwą wprawą cukiernika przyozdabiającego babeczkę. Potem przeszli do tematu fatalnych zbliżeń seksualnych i rozmowa stopniowo nabrała charakteru rywalizacji, którą w końcu zgodzili się rozstrzygnąć remisem. Następnego ranka czuł się jeszcze niezręczniejszy niż zwykle, inkasując czek.

– Spieprzaj, Fig! – India odsunęła psa nogą i odwróciła się do

Buffy'ego. – Nie możesz go gdzieś zamknąć?

Kuchnia tonęła w parze. Obie z Vodą z zapamiętaniem siekały i smażyły, India robiła za drugiego kucharza. Zaoferowała się, że przyjedzie pomóc przez te pięć dni. Buffy'ego to wzruszyło, fakt, że chciało jej się tłuc taki kawał drogi z Londynu, by wesprzeć ojczyma, był jak miód na jego stare serce.

– Nie ma sprawy – powiedziała. – Potrzebowałam oddechu.

Poza tym zakochała się w Knockton, w jego jowialnym rzeźniku, w sklepikach z używanymi rzeczami prowadzonych przez pomarszczonych hipisów i w zakurzonej magazynie Audrey z chwiejącymi się stosami kartonowych pudeł pełnych bamboszy.

– Czy tak jest wszędzie? – spytała go raz. – Poza Londynem?

Zatrzymała się w domku Vody, jako że – po raz pierwszy – wszystkie sypialnie w Myrtle House były zajęte.

Buffy spoglądał z czułością na dwie młode kobiety, na ich twarze mokre od potu, na pożółkły od nikotyny sufit, świetlówkę upstrzoną muchami, na zlew, w którym piętrzyły się patelnie. Jeśli to nie była jawa, to co nią jest? A teraz jeszcze spóźniony gość dzwonił do drzwi, niedługo Buffy będzie musiał ściągnąć fartuch i stanąć za barem.

Amy

– Nie cierpię plażowania – oznajmiła Lou, nadziewając na widelec marchewkę. – Znaczy się, jaki jest sens w wylegiwaniu się na słońcu? Ja wolę na urlopie czegoś się uczyć. – Przeżuwaszając, wyliczała kursy, w których brała udział: nurkowanie, hiszpański dla początkujących, odważ się śpiewać. – Tak naprawdę zupełnie nie interesuję się samochodami. Gdy auto mi szwankuje, wzywam AA. Ale to były jedyne zajęcia, gdzie zostały jeszcze wolne miejsca.

Lou pracowała jako sekretarka w kancelarii prawnej w Droitwich. Miała ziemistą, dziobatą cerę z bliznami po trądziku. Jak na niską osobkę, mogła zadziwiająco dużo wtrzyąć, jednak jedzenie było przepyszne: tarta pomidorowa z bazylią, jagnięcina po walijsku z pieczonymi warzywami oraz deser śmietankowy ze śliwkami. Strzelała oczyma po pokoju. Amy rozpoznała w niej bratnie samotne serce: te

bezwzględnie potraktowane prostownicą włosy, to niecierpliwe lustrowanie zebranego towarzystwa, ten wyraz bezdennego rozczarowania wreszcie.

– O, ja głupia – westchnęła Lou. – Powinnam się domyślić, że zjadą się same baby.

Po prawdzie był jeden facet. Amy zamieniła z nim kilka słów przy powitalnym drinku. Nie dosłyszała jednak imienia, a teraz było już za późno, żeby pytać. Jeśli jednak go nie liczyć, Lou miała rację. Przy dziewięciu stolikach siedziały niewiasty w różnym wieku, jedząc obiad w blasku świec. Niektóre zakwaterowano gdzie indziej i miały melancholijne, nieswoje miny dziennych uczniów w szkole z internatem, ponieważ te rezydujące w Myrtle House już się zakolegowały, głównie w kolejce do łazienki.

– Nie takich warunków się spodziewałam – powiedziała Rosemary, która siedziała z nimi przy stoliku. – Ale to część uroku tego domu. Duggie zrobiłby nieziemską awanturę, ale go tu nie ma, prawda? I, prawdę rzekłszy, chwala Bogu. – Prychnęła z satysfakcją. – Teraz to tamta musi znosić jego zrzęczenie. I chrapanie. I dobrze jej tak, przebiegłej małej krowie. – Duggie próbował zabrać samochód, ale Rosemary ukryła kluczyki. – Już ich widzę, jak w deszczu trzęsą się z zimna na przystanku autobusowym. Miłość jest dla młodych. – Osuszyła kieliszek. – Daję im nie więcej niż trzy miesiące.

Rosemary zapisała się na kurs w ramach buntu. Ponoć Duggie traktował ją protekcjonalnie, podobnie jak wszystkie kobiety za kółkiem, zawsze przewracał oczyma, gdy patrzył, jak któraś usiłuje zaparkować. Ilekroć zaś to Rosemary prowadziła, siedział sztywny obok, wciągał gwałtownie powietrze, a gdy hamowała, wbijał stopę w podłogę i ostentacyjnie pochylał się do przodu.

– W rzeczywistości jestem o wiele lepszym kierowcą od niego. On jest jednym z tych zawalidróg, którzy zawsze zwalniają w trakcie rozmowy. Bywało, że potrafił się zatrzymać na środku drogi. To było takie wkurzające. I zawsze parkuje milę od krawężnika. Ale ja przez cały czas siedziałam cicho, żeby nie urazić jego głupiej dumy. Jak dobra żona. – Głos jej drżał. – I spójrzcie, gdzie mnie to zaprowadziło. – Odwróciła twarz i otarła ją serwetką. – Cholerne uderzenia gorąca.

Sprawiała wrażenie takiej dużej i opuszczonej, że Amy miała ochotę ją przytulić. Jednak Rosemary była Angielką z innego pokolenia i żoną wojskowego na dobitkę, nie spodobałaby się jej taka wylewność. Zatem Amy powiedziała tylko:

– Głowę dam, że wróci. Po prostu przechodzi kryzys wieku średniego.

– Trochę późno jak na sześćdziesięcioletka.

Amy pomyślała o własnym eks, Neville'u, którego dziewczyna była już w ciąży. Wolałaby się nigdy o tym nie dowiedzieć, zabolalo ją to jak nóż wbity w serce. Przypomniała sobie ten okropny wieczór: „Myślisz, że powinniśmy się postarać o dziecko?”. Dlaczego wtedy tak ją to uraziło? Może Neville nie najzręczniejsz się wyraził, ale przecież go kochała, a teraz straciła go już na zawsze.

– Mój chłopak nigdy nie wróci – powiedziała. – Muszę nauczyć się radzić sobie sama. Z autem i w ogóle ze wszystkim.

– Przykro mi, moja droga. – Rosemary poklepała ją po kolanie. – Jestem pewna, że taka ładna dziewczyna jak ty bez problemu znajdzie sobie kogoś.

– Choć przy samochodzie nie było z niego wiele pożytku. Nie prowadził, rozumiecie. Jeździł na rowerze. Więc w sprawach auta zdawałam się zawsze na kolegów z pracy, montażystów, maszynistów, wózkowych...

– Pracujesz w fabryce? – spytała Lou.

– W branży filmowej, kochanie – wyjaśniła Rosemary.

– Ale od miesięcy nie dostałam żadnego zlecenia. To mi uświadomiło mój brak samodzielności. Czas wydorosnąć.

– Poznałaś jakichś celebrytów? – dopytywała się Lou.

– Naszego gospodarza – odpowiedziała za Amy Rosemary. – Swego czasu był bardzo znanym aktorem.

– Ale przecież jest taki gruby – dziwiła się Lou. – I stary.

– Kiedyś wyglądał inaczej. Był z niego nawet niezły adonis. – Rosemary popatrzyła na Buffy'ego, który siedział przy innym stoliku. – Zdaje się, że widziałam go w Guildford w jakiejś sztuce Noëla Cowarda. Z tą, jak jej tam, zresztą skąd miałybyście wiedzieć. I ten jego cudowny głos, aksamitny jak melasa.

Ktoś zastukał w kieliszek. Zapadła cisza. Ich gospodarz podniósł się chybotliwie.

– Witam wszystkich – zagrzemiał. Zarumieniony, brodaty i zażywny, miał na sobie haftowaną kamizelkę i zieloną aksamitną marynarkę. – Tylko kilka uwag porządkowych. – Urwał, lustrując zebranych.

Amy, z artystami za pan brat, oparła się wygodnie na krześle. Można było mieć pewność, że prawdziwy aktor ze wszystkiego zrobi dramat, nawet z tamponów wrzucanych do toalety.

Gdy skończył, przy ujadaniu podekscytowanego psa, nakreślił plan kursu. Instruktor, Nolan Evans, miał się spotkać z nimi nazajutrz o dziesiątej rano w garażu za domem. Takie poranne sesje miały trwać codziennie po trzy godziny, z przewidzianym czasem na pytania. Po nich miał być serwowany lunch w formie szwedzkiego stołu. Popołudnia były przeznaczone na indywidualne szkolenia z kursantami, którzy przyjechali własnymi samochodami, pozostali mieli czas wolny, który mogli wykorzystać na zwiedzanie okolicy albo popróbowanie miejscowych atrakcji. Czas po obiadokolacji miały wypełniać różne rozrywki – pokazy filmów w barze, koncerty w pubie.

– W czwartki zawsze odbywają się wieczory kabaretowe. – Uśmiechnął się promiennie Buffy. – W tym tygodniu będzie występował nasz lokalny stand-uper, Falafel George. Tutaj mamy własną rozrywkę.

Ktoś zapiszczał.

– A czy któregoś wieczoru nie mógłby pan poczytać nam poezji?

Wszystkie głowy się odwróciły w kierunku poważnej, ciemnowłosej kobiety. Speszona tą nagłą uwagą zebranych, dodała drżącym głosem:

– Pamiętam, że gdy miałam usuwaną macicę, w radiu leciała akurat *Królowa wróżek*, którą pan deklamował. Zupełnie jakby był pan na sali i gładził mnie po czole.

India i Voda, które weszły, by sprzątnąć talerze, przycisnęły dłonie do ust, tłumiąc chichot.

Nolan

Nolan wykorzystywał w charakterze modelu demonstracyjnego samochód Buffy'ego: zdezelowany citroen CX ze 104 tysiącami mil przebiegu, niezbyt się nadający do tego celu z uwagi na specyficzne hydrauliczne zawieszenie i elektrykę. Buffy jednak nalegał, by to właśnie jego auto robiło za królika doświadczalnego, jako że w ten sposób przejdzie dobry przegląd – tak naprawdę darmową naprawę – kursanci zaś o swoje samochody mieli zadbać popołudniami.

Nolan się zgodził. Nie lubił się wyklócać, a Buffy był szefem. Poza tym potrzebował pieniędzy. Od roku nie miał pracy, straciwszy etat robotnika drogowego w wyniku cięć w budżecie rady. Serce mu się krajało na widok skutków, jakie kryzys wywierał na jego ukochane rodzinne miasto. Jezdnia popękała podczas ostrej zimy, ale dziur nie załatano. Kiedy padało, napełniały się błotnistą wodą, która obryzgiwała przechodniów, gdy przejeżdżały przez nią samochody. Na boisku St Jude's, jego dawnej podstawówki, pleniły się chwasty. Oczywiście nie tylko Nolana zwolniono. Połowa jego kumpli była na bezrobociu i upalała się skunem, niszcząc sobie mózgi. No i te zamknięcia. Klub młodzieżowy zabito deskami, znacząco zmniejszono częstotliwość kursowania autobusów. Nawet stary budynek sądu, obok Myrtle House – piękny gmach, dumę Knockton – wystawiono na sprzedaż.

Całe szczęście, że Nolan był optymistą. Musiał, przez wzgląd na mamę. Mieszkali razem w domu komunalnym za obwodnicą i poza Nolanem nikogo nie miała na świecie.

Zaniósł skrzynkę z narzędziami do drzwi. Był poniedziałkowy ranek. Hej-ho, hej-ho, do pracy by się szło. Przeskoczył korytarz niemal jednym susem. Po raz pierwszy od miesiący czuł mięśnie pracujące pod skórą. Oczywiście bał się, że spieprzy wszystko koncertowo, ale to dodatkowo podnosiło adrenalinę.

– Pa! – zawołał.

– Nie zapomnij o moich pigułkach. – Shirley przechyliła się z trudem na sofie. Sięgnęła pod poduszkę po pilota.

– Postaram się, mamó, ale mogą mnie tam zatrzymać aż do kolacji.

Telewizor zaryczał na pełen regulator. Shirley odwróciła ku synowi masywny tułów.

– No, pięknie. Czyli ja tu dostanę ataku paniki, a ty będziesz miał

to gdzieś.

– Nie bądź niemądra.

– Wiem, co myślisz. Że powinnam zwlec grube dupsko i sama je kupić.

Istotnie, właśnie tak pomyślał.

– Przepraszam. Oczywiście, że je wykupię.

Wrócił i pocałował ją w czubek głowy. Popatrzył przy okazji na jej uda w dresach, grube niczym bele. Dopiero niedawno tak się roztyła. Urodziła go jako siedemnastolatka, zdjęcia z tamtego okresu ukazywały dziewczynę z patykowatymi nogami w iks. Gdzieś, zagrzebana w tym ciele, kryła się tamta nastolatka o pogodnym usposobieniu i żywym umyśle, ze swoimi nadziejami i marzeniami, która tańczyła z nim dokoła kuchni do *Jumpin' Jack Flash*.

Tak dobrze ją znał. Idąc w stronę podziemnego przejścia dla pieszych, niemal czuł, jak czeka tam w domu jeszcze pięć minut, na wypadek gdyby czegoś zapomniał. Kiedy jednak Nolan dotrze do głównej ulicy, ona już się podniesie i ruszy, zaskakująco szybko, do lodówki.

Amy

– No nie, jednym uchem mi wpadało, drugim wypadało – skarżyła się Nina przy lunchu. – Do czego dokładnie służy ten cały alternator?

To ona była tą ciemnowłosą kobietą, która lubiła słuchać *Królowej wróżek*. Miała butik w Whitstable, niedawno zmarł jej mąż i córka zmusiła ją do zapisania się na kurs.

– To nie jest wina Nolana – powiedziała Amy. – Moim zdaniem naprawdę dobrze tłumaczy.

Nina postukała widelcem w jej talerz.

– Po prostu wpadł ci w oko, kochana.

– Wcale nie – skłamała Amy.

– Cóż, to jesteś odosobniona. Wszystkim innym się podoba – oznajmiła Nina. – Nic dziwnego, że nie możemy zapamiętać ani słowa. A już myślałam, że moje libido umarło razem z moim ukochanym mężem. – Sączyła sok żurawinowy. – Piękny jak grecki bóg. A nawet

bardziej, bo jest jakby zupełnie tego nieświadomy. To dlatego, że to chłopak ze wsi, poczciwina. Trudno doczekać się komplementu od krowy.

Nina miała słuszość co do wrażenia, jakie Nolan robił na zebranych kobietach. Kiedy stanęły w półkolu nad otwartą maską samochodu, ich oczy wędrowały od zardzewiałych i nieprzystępnych wnętrzności silnika do chudych jak u charta lędźwi instruktora, opiętych spłowiąłymi dżinsami. Do jego czarnych kręconych włosów i doskonałego profilu, do jego opalonych przedramion i paznokci z żałobą, do jego gęstych sobolowych brwi, które unosiły się z sympatią, gdy któraś zadawała głupie pytanie.

Amy nie chciała myśleć o Nolandzie. Nikt jej już nigdy nie pokocha, była skazana na bycie tylko kumpelą, przyzwoitką, dobrotliwą powiernicą romansów innych ludzi, konfesjonałem, członkiem braci filmowej – jeśli oczywiście dane jej jeszcze kiedyś będzie pracować na planie. Zestarzeje się sama jak palec, w otoczeniu pustych pudełek po pizzy, z macicą wyschniętą i obkurczoną do rozmiarów orzecha włoskiego.

Nina oczekiwała odpowiedzi. Ale Amy odwróciła się do kobiety po swojej drugiej stronie, której imienia nie dosłyszała, a która teraz manipulowała przy swoim telefonie.

– Muszę porozmawiać z moją nianią do kota – poskarżyła się nieznajoma. – A nie mogę złapać zasięgu.

Voda postawiła dzbanek z wodą na ich stoliku.

– Zależy od sieci, kochana – powiedziała. – Jeśli to Orange, to żeby złapać sygnał, trzeba stanąć na obwodnicy obok pojemników do segregacji odpadów.

Kobieta patrzyła na Vodę.

– Wyglądasz dziś bardzo odświętnie, moja droga.

Voda spiekła raka. Nagle zawstydzona dotknęła swoich kolczyków. Wcześniej nosiła kilka w kształcie ćwieków, ale dzisiaj zastąpiły je wiszące srebrne ozdoby.

– Ładne? – spytała. – India je zrobiła. Powiedziała, że wyglądam w nich jak choinka.

– To India robi biżuterię? – Kobieta wskazała na uszy Vody. –

Podobają mi się, zwłaszcza ten mały miś.

– Tak naprawdę to kangur.

Nieznajoma założyła okulary. Voda uprzejmie przechyliła głowę. Kilka innych kobiet wstało i dokonało oględzin kolczyków. Kiedy wyszło na jaw, że India przywiozła ze sobą swój zestaw do pracy, parę pań wyraziło zainteresowanie pokazem wyrobu biżuterii na żywo lub nawet próbą samodzielnego wykonania czegoś.

Zatem tego popołudnia India zabrała do jadalni lutownicę i poprowadziła nieformalne zajęcia. Kilka innych pań ulotniło się na obwodnicę, żeby wykonać telefony. Amy jednakże była umówiona z Nolanem na indywidualną lekcję.

Zaparkowała swoje auto na tylnym podjeździe, obok garażu. Nigdzie nie było śladu Nolana. Schyliła się i popatrzyła w boczne lusterko. Przy lunchu wypłała dwie lampki wina i jej policzki – a także, o zgrozo, nos – poczerwieniały i świeciły się. Z szopy po sąsiedzku, gdzie ponoć jakiś człowiek robił lutnie, dochodziła cicha muzyka. *Love, oh love, oh careless love...* Nad murem zwieszały się konary jabłoni, uginające się od owoców. *It caused me to weep, it caused me to moan, it caused me to lose my happy home.*

Nolan nadchodził alejką, zdyszany. Amy się wyprostowała.

– Przepraszam za spóźnienie – wydyszał. – Musiałem coś załatwić.

Amy zabiło żywiej serce. Jego cygańska uroda naprawdę zapierała dech w piersiach: opalona skóra, niebieskie oczy, kręcone czarne włosy. No i te brwi, żyjące jakby własnym życiem, czytające jakby z innego scenariusza.

– Dla mamy – powiedział. – Nie czuje się za dobrze.

– Przykro mi. A co jej dolega?

– Dusznicą, cukrzyca... – wyliczał na palcach – ...ataki paniki, nietolerancja laktozy...

Urwał. Amy modliła się w duchu, by nie przestawał, byleby tylko stali tak dalej pod jabłoniami.

– Coś jeszcze?

– Zadyszka, może początki rozedmy, ZJD.

– Co to jest ZJD?

– Zespół jelita drażliwego. Miewa zatwardzenia i skurcze brzucha.

Ponoć jakieś zakażenie okrężnicy czy coś. A wtedy... cóż, powiedzmy, że rozpętuje się piekło. – Brwi strzeliły do góry. – Tak naprawdę powinna trochę schudnąć. – Wzruszył ramionami. – Ale przecież na pewno nie chcesz tego wysłuchiwać. Zabierzmy się lepiej do tego puncika. Przegrzewa się?

– I to jak.

Otworzył drzwi i opuścił długie, szczupłe ciało na fotel kierowcy. Amy patrzyła, jak pochylił się do przodu, wsunął rękę pod tablicę rozdzielczą i próbuje palcami wymacać sprężynę maski. Z nogami miękkimi z pożądania oparła się o wrota garażu. Rozległo się kliknięcie i maska auta lekko odskoczyła.

– Elektryka w tych modelach też często szwankuje – powiedział, wysiadając. – Chcesz, żebym ci wyjaśnił obsługę skrzynki bezpieczników? – Otworzył maskę i pokazał. – Takie bezpieczniki nazywane są płytkowymi. Występują w większości współczesnych aut.

– Gdy ostatnim razem któryś nawalił, potrzebny był oświetlacz.

– Chyba latarka – poprawił. – Było tak ciemno?

– Nie, mam na myśli gościa od oświetlenia, elektryka. – Wyjaśniła, że pracuje przy produkcji filmów jako charakteryzatorka.

– Żartujesz! – Ta reakcja zawsze sprawiała Amy przyjemność.

Oczy Nolana zrobiły się wielkie z podziwu i pojawił się w nich respekt. Poczła niewielką zmianę sił w ich relacji. – Pracowałeś przy jakichś horrorach?

Skinęła głową.

– *Wampiry z Bognor. Pływając z zombi.*

– Naprawdę?! Mam oba na płytach. – Nolan zamknął oczy w rozmarzeniu. – Wiesz, który kawałek z *Wampirów* najbardziej mi się podoba? Kiedy ten gość stoi w szopie, tamten aktor, no, wiesz, przekonany, że jest bezpieczny, i wtedy przez drzwi wpada wampir i wydrapuje mu oko. Krew i wszystko inne spływa po policzkach, a gałka zwisa i się kołysze.

– To ja robiłam.

– Naprawdę? – Zaskoczona mina przeszła zaraz w wyraz czystego uwielbienia, malujący się na jego twarzy.

Amy skinęła głową. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna tak na nią nie

patrzył.

– To prosta protetyka. – Wzruszyła ramionami.

– Jak to się robi?

– Najpierw przygotowujesz skórę za pomocą kremu nawilżającego czy emolientu. Potem zaklejasz oko plastrem medycznym w kolorze skóry, nakładasz cienkie rolki wosku, by ukształtować oczodół.

– A co z krwią, skrzepami i całą resztą? – dopytywał się niecierpliwie.

– Chwileczkę, dojdziemy do tego.

– I do ropy?

– I do ropy.

Auto poszło w zapomnienie. Siedzieli obok siebie na trawniku i rozmawiali o horrorach. Gdzieś śpiewał ptak. Gdzieś zegar wybił piętnastą. Z ogrodu Myrtle House dobiegał pogwar rozmów, co jakiś czas wybuch śmiechu. Jednak wysoki ceglany mur chronił ich dwoje przed ignorantami. Byli sami. Ta uliczka na tyłach, z dziurami, chwastami i garażami w różnym stanie rozpadu oraz kilkoma zaparkowanymi samochodami, stała się nagle bardzo Amy droga. Jakie to miało znaczenie, że tyłek miała wilgotny? Że bolał ją brzuch, ponieważ toalety były rano zajęte i nie miała szansy zrobić kupy. Nolanowi poprzyczepiały się rzepy do rękawa kurtki, ale nie ośmieliła się zrobić czegoś tak intymnego, jak je usunąć.

W pewnej chwili zadzwoniła jego komórka. Popatrzył na wyświetlacz, zawahał się, a potem odrzucił połączenie.

– Moja mama – powiedział. – Powinienem odebrać, ale wiesz co? Nie odbiorę. – Schował aparat do kieszeni. – Faszkuje się prochami, czasem mam wrażenie, że sama zamienia się w zombi. A między nami mówiąc, nie sądzę, by dolegało jej coś poważnego. Tyle że cały dzień czyta w sieci o najróżniejszych chorobach i się nakręca. A to ma raka, a to ma Crohna, i w końcu doprowadza się do takiego stanu, że wraca na prozac. Tymczasem wystarczyłoby, żeby częściej wychodziła z domu. – Urwał. – Dlaczego ja ci to wszystko opowiadam?

– A masz ojca?

Pokręcił głową.

– Nie, jesteśmy tylko we dwoje.

– Może się boi, że jeśli wydobrzeje, odejdziesz.

Nolan podrapał zaschnięte błoto na dżinsach.

– Przepraszam – powiedziała Amy. – Zagalopowałam się.

Popatrzył na nią.

– Nie, masz rację. Skończyłem dwadzieścia osiem lat.

Zapadło milczenie. Amy czuła, jak Nolan się od niej oddala, pochłonięty myślami o swojej nieprzewidywalnej przyszłości. Musiała ściągnąć go z powrotem. Powiedziała:

– Popatrz, a myślałam, że masz dużeeego.

Spojrzał na nią skonfundowany, sobolowe brwi podjechały do góry i zaczerwienił się.

– No, taki zupełnie mały to nie jest – wybąkał.

– Miałam na myśli duże ego. Ale dzięki za informację.

Nolan wybuchnął śmiechem. Siedzieli tam oparci o mur i rechotali jak szaleni. Powiedziała to umyślnie, była od niego bystrzejsza, już wcześniej to zauważyła.

– Boże, ale ze mnie mumia! – wysapał Nolan.

– O, chcesz, to ci powiem, jak się robi mumię. Najpierw malujesz skórę gumą. Potem nakładasz na nią cienkie pasy gazy...

Urwała. Jakiś samochód nadjeżdżał alejką. Zatrzymał się gwałtownie obok nich, wyrzucając spod opon kaskady żwiru. To był czarny sportowy kabriolet. W środku siedziała Bella, jedna z kursantek, ze zwichrzonymi włosami.

– O, kurka – rzucił Nolan. – Bmw.

Bella wyłączyła silnik, otworzyła drzwiczki i przerzuciła na zewnątrz długie, opalone nogi.

– Przyjechałam za wcześnie?

Nolan popatrzył na zegarek.

– Rany, już czwarta. – Wstał.

Bella posłała Amy uśmiech.

– Przepraszam. Teraz moja kolej.

Jej rodzina miała na własność połowę Wiltshire. Bella zapisała się na kurs nie pod wpływem rozstania – kto chciałby się rozstawać z kimś tak pięknym jak Bella? Powód był bardziej prozaiczny: rodzice kupili jej beemkę na dwudzieste pierwsze urodziny, pod warunkiem że nauczy się

o nią dbać. Amy podsłuchiwała to wszystko przy śniadaniu, razem z rozwlekłym opisem rodzinnej kryjówki w Toskanii, gdzie Bella spędziła lato, wciągając kokę i pływając nago w rozciągającym się po horyzont basenie.

Teraz odwróciła się do Nolana.

– Gównie wiem o samochodach.

– Właśnie dlatego tu jestem – odpowiedział, przyglądając włosy. Było coś służalczego w tym geście. Amy już go straciła.

Zamknęła z trzaskiem maskę swojego punto, upstrzoną skamieniałym ptasim gównem.

– Odstawię auto na parking – powiedziała.

Nolan przesuwiał dłonią po błyszczącym boku bmw z rewerencją farmera oceniającego byka-medalistę.

– Pewnie ma niezły wygar – powiedział.

Bella poprawiła ramiączko letniej sukienki, które się jej zsunęło.

– Taaa. W zeszłym tygodniu dojechałam z Wiltshire do Notting Hill w półtorej godziny.

Amy przyglądała się jej zmrużonymi oczyma. Szprycha z wyższych sfer, zadbana i odstawiona na tip-top, promieniejąca przekonaniem, że wszystko jej się należy. Zbyt bogata, by czuć zimno w swojej skąpej retrosukienczynie.

Amy wsiadła do samochodu i wsadziła kluczyk do stacyjki. Przy oknie pojawiła się twarz Nolana.

– Przepraszam za straconą lekcję – powiedział, kucając. – Nakręciłem się tą krwią i okropnościami.

Amy pomyślała: To jedyna władza, jaką nad nim mam.

Zaproponowała nagle:

– Chcesz, żebym cię ucharakteryzowała?

– Słucham?

– Mogę zrobić ci charakteryzację. Przywiozłam ze sobą zestaw.

Ofiara postrzału. Albo wypadku samochodowego.

Brwi podjechały mu do góry.

– Żartujesz?

– Nie.

Uśmiechnął się.

– No pewnie. Może jutro po pracy?

Amy skłamała. Jej zestaw do charakteryzacji został w Londynie – po cóż miałyby go zabierać na kurs bieżącej konserwacji samochodu? Jak wiele szczerych osób, ilekroć – z rzadka – zdarzało jej się wyskoczyć z jakimś kłamstwem, robiła to z całkowitym przekonaniem o jego słuszności.

Serce jej waliło. Co ma teraz zrobić? Jechać po sprzęt do Londynu, siedem godzin w obie strony? Stała nieruchomo na parkingu. Jakiś chart, z szyją przewiazaną chusteczką w groszki, przebiegł obok wielkimi susami i uniósł nogę przy motocyklu. W tej właśnie chwili Bella szykuje się do ostatecznego ataku i wkracza do akcji. Amy wyobraziła sobie, jak pochyła się nad otwartą maską, ukazując dwie ocienione kule piersi. Nolan kładzie jej rękę na plecach i dotykając się głowami, sprawdzają jakąś uszczelkę. Odurzona wyziewami benzyny, Bella opiera się o niego... Nagle on chwyta jej podbródek brudnym palcem, odwraca twarz zachwycającej przedstawicielki złotej młodzieży do swojej twarzy, ich usta szukają się w zapamiętaniu.

Amy się otrząsnęła. Nie łam się, pomyślała. Mężczyzna w czapce z pomponem zagwizdał na charta i wsiadł do furgonetki. Nagle wpadła na pomysł. Jedna z jej koleżanek z pracy, Ellie, mieszkała w Walii. W miasteczku zaczynającym się na dwa L, Amy słyszała, jak rozmawiała kiedyś o tym z Michaeliem Sheenem, który pochodził z Port Talbot.

Dziesięć minut później dotarła na obwodnicę, jedyne miejsce, gdzie można było złapać sygnał Orange. Kilka innych kursantek stało w zatoczce obok kontenerów na odpady i darło się do komórek. Była wśród nich Rosemary. Wiatr smagał spódnicą jej mocne blade nogi.

– Nie bądź żaloszny, Dougie! – wrzeszczała. – Po prostu włóż to do środka i włącz program dla wełny i sztucznych tkanin... Co...? A skąd mam wiedzieć? Przecież nie widziałam tej cholernej pralki. Na pewno są tam liczby, z przodu! – Przewróciła oczyma, patrząc na Amy. Mężczyźni. – Co? Co? – Obok przejechała z hukiem ciężarówka. – Oczywiście, że musisz najpierw rozmrozić, po prostu wsadź do mikrofalówki. Co? To niech twoja przyjaciółeczka to robi, teraz to jej obowiązek. Co? Nie jestem sarkastyczna. I pamiętaj, że w piątek są

urodziny Hannah, nie zapomnij wysłać jej kartki. Chyba umiesz przykleić znaczek, prawda? – Rozległ się brzęk szkła. – Nic nie słyszę! Stoję przy pojemniku na szkło. To ekologiczne miasto, wszyscy tu mają fioła na tym punkcie, segregują jak szaleni... Co? Nie znasz jej adresu? Swojej własnej, cholera, córki?

Rosemary wyłączyła komórkę i odwróciła się do Amy.

– Przeprowadził się do kawalerki – powiedziała. – I jest bezradny jak kociak. Co za pech: trzeba było nie odchodzić. Ona ma dziecko i własne mieszkanie, ale dla Douggiego nie ma w nim miejsca, spryociuła nie chce, by jej zagracał przestrzeń. – Z oczyma błyszczącymi od łez wsadziła komórkę do torebki. – Założę się, że nie bierze lekarstw. Wcześniej zawsze mu je wykladałam. Ciśnienie pewnie mu skacze pod sufit. – Uśmiechnęła się blado. – Zabawne, prawda? To niby ja sobie nie radzę, mam dwie lewe ręce, nie potrafię zająć się autem itepe. Stąd ten kurs. Ale to nie ja, tylko on, głupek jeden.

Odwróciła się gwałtownie i ruszyła obwodnicą, unosząc rękę niczym starszy sierżant i zmuszając nadjeżdżający samochód do gwałtownego hamowania.

Amy wcisnęła numer Ellie i modliła się, by koleżanka była w domu. Niedaleko niej nieznajomy brodacz wrzucił plik gazet do pojemnika, jednak w ostatniej chwili jakiś artykuł przykuł jego uwagę: wyciągnął gazetę i usiadł, by ją przeczytać.

Ellie odebrała. Tak, jest w domu. Tak, Amy może pożyczyć jej sprzęt. Umówiły się, że pojedzie po niego do Llandeilo nazajutrz. Przejdzie jej koło nosa lekcja – bieżąca konserwacja karoserii – ale cóż, mówi się trudno.

Ruszyła z powrotem główną ulicą miasteczka. Zegar kościelny wybił osiemnastą. Jaskółki śmigają jeszcze po niebie, ale lada chwila miały zniknąć. Amy ogarnęło radosne podniecenie. Ile w życiu zależy od przypadku, jakże krucha jest chwila, która może zmienić życie! Gdyby Ellie pracowała w plenerze... gdyby Neville nie zauważył kępy mięty rosnącej w jej ogródku przed domem... Już dawała się ponieść wyobraźni, tymczasem nic z tego może nie wyjść – w rzeczywistości prawdopodobnie nie wyjdzie. Mimo to przepełniała ją radość, uśmiechnęła się do różowowłosej kobiety, która zamykała sklepik

z magicznymi kryształami. Amy szła chodnikiem, wdychając haustami orzeźwiające walijskie powietrze. Nawet ból brzucha jej przeszedł.

Przy obiedzie Rosemary z oczyma podpuchniętymi od płaczu poła się winem. Powiedziała, że gdy stała przy obwodnicy, rozmawiając przez komórkę, jakiś mężczyzna usiłował ją poderwać.

– To takie ekscytujące, nawet w moim wieku. Zatrzymał furgonetkę i spytał, ile biorę. – Zachichotała piskliwie. – Najwyraźniej starsze, bardziej doświadczone kobiety cieszą się tu wzięciem.

Voda, która zbierała talerze, spytała:

– Jak wyglądała ta furgonetka?

– Niebieska, pokryta rdzą.

– Tak myślałam. – Voda pokiwała głową, kołysząc kolczykami. – To Gareth. Ma uszkodzony mózg od wdychania nafty.

Rosemary odstawiła kieliszek.

– Wielkie dzięki – powiedziała.

Nolan

Coś w Nolandzie pękło. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z nikim tak o swojej matce, a już na pewno nie z kumplami. Oni gadali o samochodach, motorach i o tym, jak się naćpać różnymi nielegalnymi substancjami, w które obfitowały osiedla komunalne Knockton i skaliste pustkowia na wzgórzach. Kiedyś rozmawiali też o dziewczętach, oczywiście, ale różne cięższe i wyniki z nich uwiązanie położyły temu kres. Niegdyś zadymiarze, z policzkami jeszcze czerwonymi od trądziku, spędzali teraz dni na boisku, paląc ukradkiem, podczas gdy ich berbecie szalały.

Nie, kumple tak nie rozmawiają. Aż tu nagle pojawia się ni stąd, ni zowąd ta dziewczyna i słowa same wylewają mu się z ust. Wcześniej nawet nie wiedział, że takie wyrazy istnieją. Czy to dlatego, że powiedziała prawdę? „Jeśli wydobrzeje, odejdiesz”. Teraz, gdy się nad tym zastanawiał, to rzeczywiście, różne medyczne czy emocjonalne kryzysy Shirley skutecznie sabotowały już kilka jego związków. Przypomniał sobie, jak ostatnio podejrzenie raka zniweczyło wypad weekendowy do Aberystwyth z Cath. Spotykali się już od pół roku

i żeby to uczcić, Cath zrobiła im rezerwację w eleganckim hotelu w Aberystwyth – pokój z jacuzzi, te sprawy. Zamiast jednak tam pojechać, musiał wieźć matkę na złamanie karku do szpitala w Hereford, gdzie pełna pogardy pielęgniarka zdiagnozowała kłykciny kończyste, czyli łagodne brodawki pochwy. Zakończyło się to wielką kłótnią z Cath – ona oskarżyła go, że jest maminsynkiem, on oskarżał ją o brak serca, ona żądała, by zwrócił jej stracony zadatek, on oskarżał ją o małostkowość, ona oskarżała go, że jest nieudacznikiem, on oskarżał ją o kopanie leżącego, staje przecież na głowie, żeby znaleźć jakąś pracę... Nawet jeszcze teraz wzdragał się na samo wspomnienie. Rok później wyszła za jego najlepszego kumpla.

Była osiemnasta, skończył już pracę. Stał przy zlewie w kuchni i mył ręce pastą BHP. Na zewnątrz jaskółki pikowały nisko nad dachami. Padał z nóg. Nauczanie okazało się zajęciem bardziej męczącym, niż się spodziewał, zwłaszcza że żadna z kursantek nie miała bladego pojęcia o temacie. W ich oczach samochód był tylko czymś, co zabierało je z punktu A do punktu B. Zupełnie ich nie ciekawiło, co się dzieje pod maską. Oczywiście potakiwały kurtuazyjnie i ogólnie były miłe, jednak część dołączyła do konkurencyjnej grupy wykonującej biżuterię. Widział je w ogrodzie, gdy z głowami pochylonymi nad pracą, gawędziły, jakby je wypuszczono z więzienia. Jedna podeszła i dotknęła jego ramienia.

– Nie mamy ci nic do zarzucenia, słowo. Po prostu uświadomiliśmy sobie, dlaczego w ogóle nas to nie interesuje.

Przez cały ranek nie widział też Amy. Oczywiście przebiegł wzrokiem po naszyjnikarach, ale nie spodziewał się jej wśród nich ujrzeć – jeszcze nigdy nie spotkał dziewczyny, która tak zupełnie nie przywiązywałaby wagi do swojego wyglądu. Było to trochę zaskakujące, zważywszy na jej zawód, ale być może wszystkie starania wkładała w upiększanie innych osób. W rzeczywistości była całkiem niczego sobie: okrągła, wesółka buzia, piegi, rozwiane rudawe włosy z grzywką. Ale ubierała się jak chłopczyca: džinsy, T-shirt i umorusane stopy w japonkach. Kamień spadł mu z serca: nie musi się starać. Gdyby miał swoją paczkę, która już dawno się rozpadła, zostałaby honorowym członkiem.

Nagle opanowała go nostalgia za czasami młodości, kiedy wszystko było proste, a matka tańczyła z nim dokoła kuchni. Gdy miał paczkę kumpli, tak pełnych nadziei jak on sam. Gdy wszystko jeszcze było możliwe – miał zostać kierowcą Formuły Jeden, zdobyć szturmem świat. Kroczyłby z wysoko podniesionym czołem, mężczyźni patrzyliby z podziwem, gdy wchodził do pubu.

Ściągnął kuchenny ręcznik i pomyślał: Jak mam być dorosłym mężczyzną, skoro świat mnie nie potrzebuje? Teraz miał pracę, ale tylko na tydzień, a potem co?

To była przelotna chwila. Nolan musiał być optymistą, nie wolno mu było myśleć w ten sposób. Wytarł ręce. O wpół do siódmej miała przyjść Amy. Traf chciał, że jego matka wyszła na wieczór. Była umówiona z aromaterapeutką w Leominster, a potem miała się spotkać z siostrą w restauracji na curry. Ale czy Amy przyjdzie? Może wezwała ją pilnie jakaś gwiazda filmowa! „Nie stanę przed kamerą, jeśli Amy mnie nie pomaluje. Sprowadźcie tu tę dziewczynę!” I w tej właśnie chwili Amy pędzi z powrotem do Londynu, a silnik jej auta się przegrzewa na skutek częstej usterki w punto: zapychającej się chłodnicy, o której miał właśnie powiedzieć, zanim rozmowa zeszła na temat horrorów. A potem pojawiła się Miss Długie Nogi w swoim bmw i było po ptakach.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

Shirley

Już gdy wchodziły do Jalalabadu, Shirley była w podłym humorze. Podczas masażu musiała wysłuchiwać, jak jej siostra w boksie obok przechwala się osiągnięciami szkolnymi swoich dzieci. Potem gadała o tym, jak świetnie układa jej się z mężem, z którym po dwudziestu latach małżeństwa nadal są w sobie bez pamięci zakochani i który podarował jej na urodziny komplet bielizny Ann Summers. Tu jej głos przeszedł do szeptu, a potem razem z aromaterapeutką zachichotały.

A teraz siedziały przy stoliku, otwierając karty dań: Shirley i Julia – szczupła siostra, ładniejsza siostra, siostra opalona po wakacjach w Tajlandii, która nadal ma boski seks z mężem. Kiedy upuściła

serwetkę, dwóch kelnerów zanurkowało pod stół.

Shirley zamówiła na przystawkę trzy papady.

Julia uniosła brwi.

– Jesteś pewna, że powinnaś?

– Co masz na myśli?

– No, wiesz...

– Co?

– Nic!

I tak to poszło. Były siostrami, znały nawzajem swoje czułe punkty. Ani się obejrzały, a syczały na siebie, ignorując kelnera, który kręcił się opodal, nie zauważając spojrzeń innych gości. Później Shirley nie mogła nawet przypomnieć sobie, co przelało czarę, pewnie któryś z trzech czy czterech zapalnych tematów, zawsze były te same.

Pamiętała tylko, że w pewnej chwili odsunęła krzesło i rzuciła:

– Potrzebne mi to jak dziura w moście.

Wstała, teatralnie odrzucając głowę – niczym aktorka, tylko na chwilę – i wymaszerowała na ulicę.

W drodze do domu wszystko się w niej gotowało i na dodatek burczało jej w brzuchu z głodu. Pomyślała: Będzie miała za swoje, jeśli się teraz rozbiję! Zobaczymy, jaką wtedy będzie miała minę! Było dopiero wpół do ósmej, ale już się ściemniło. Shirley otworzyła jedną dłoń schowek na rękawiczki i zaczęła grzebać w środku, ale, tak jak się spodziewała, znalazła tylko puste opakowania. Zalała ją panika, jednak siłą woli wzięła się w garść. Wkrótce będzie w domu i Nolan ją przytuli. Popłyną tłumione łzy, Nolan zrozumie, jest po jej stronie, też nie cierpi tej nadętej dziwki, będzie bronił matki do śmierci. Wyciągną coś z zamrażarki – kurczaka tikka masala, rogan doś – wsadzą do mikrofal i będą mieli własne hinduskie żarcie. Musiała chyba upaść na głowę, że umówiła się z siostrą, to zawsze kończyło się łzami. W rzeczywistości szaleństwem był już sam pomysł wyjścia – po co, skoro wszystko, czego potrzebuje, jest w domu? Poza tym nigdy nie miała co na siebie włożyć.

Zatrzymała się przed domem i wyłączyła silnik. Ogarnęło ją przemożne uczucie ulgi. Zza zasłony w salonie przebijało światło. Nolan był w domu. A to mu robi niespodziankę, wracając tak wcześniej!

Ruszyła ścieżką i weszła do środka. Z salonu dobiegał pogwar

głosów. Otworzyła drzwi i zajrzała do pokoju.

Jakaś młoda kobieta pochylała się nad Nolanem. On siedział rozwalony w fotelu z głową odrzuconą do tyłu. Twarz miał pokrytą krwią.

Shirley krzyknęła.

– Cześć, mammo! – Nolan się wyprostował. Skrzepy zaschniętej krwi oblepiały mu policzki, gałka oczna zwisała pod oczodołem.

Shirley krzyknęła znowu. Poczowała w piersi ostry ból i upadła na podłogę.

Buffy

Buffy patrzył z czułością na swoich gości przy obiedzie. Kilka kursantek miało w uszach nowe kolczyki, które połyskiwały w blasku świec. Dzień drugi i wszystko szło jak po maśle. Nawet jeśli niektóre z pań porzuciły naukę obsługi auta na rzecz wyrobu biżuterii, cóż z tego? Najważniejsze, że były zadowolone, a Nolan najwyraźniej nie miał nic przeciwko. Życie nauczyło Buffy'ego jednego: nic nigdy nie idzie zgodnie z planem.

Ot, choćby India. Do niedawna była typową dziewczyną z Shoreditch, granice jej świata wyznaczały Trick Lane i Columbia Road. Zdaniem Buffy'ego mieszkańcy tej dzielnicy osiągalni wysokie wyniki na patafianomierzu, ale on był starym prykiem, nic dziwnego, że tak myślał. Teraz jednakże jego pasierbica stała się entuzjastyczną zwolenniczką rozkoszy małomiasteczkowego życia. Wszyscy się znają! Nie spinają łańcuchami rowerów! Zostawiają przed drzwiami warzywa z tabliczką „Smacznego”. Chodniki, zamiast obryzgane wymiocinami, mają wyrysowanego kredą ludzika do gry w klasy. Gry w klasy.

Jeszcze do niedawna India nie wykazywała także najmniejszego zainteresowania gotowaniem. O ile pamiętał, jej typowy posiłek stanowił hummus wyjadany palcem ze słoika. Teraz stała się pełnym entuzjazmu drugim kucharzem, krojąc, mieszając, wypróbowując przepisy i spijając sosy z podsuniętej przez Vodę łyżki.

Naturalnie ta wolta ogromnie cieszyła Buffy'ego, podobnie jak doskonały humor pasierbicy, zwłaszcza że synowie opowiedzieli mu, jak

ponura była India ostatnio. Zaczęła także bardziej dbać o wygląd. Dzisiaj wyszczotkowała włosy i podpięła je dwiema plastikowymi klamrami w kształcie motylków. Miała na sobie luźną kwiecistą sukienkę do łydek, zakupioną w „Jill proponuje”, co stanowiło dużą odmianę od jej zwykłych workowatych topów i legginsów. Dopiero jednak teraz Buffy uświadomił sobie powód tej transformacji. To nie kuchenne opary wywoływały rumieniec na jej policzkach, tylko Des.

Des, jedyny mężczyzna na kursie. Des, złotowłosy rugbista, który na skutek swojej nieśmiałości był tematem spekulacji. Bella BMW próbowała zagadać do niego pierwszego wieczoru, ale bez większego odzewu, dowiedziała się tylko, że dostał samochód od kumpla, który stracił prawo jazdy za jazdę na gazie. Wyglądało zatem na to, że w jego przypadku zerwany związek nie wchodził w grę, podobnie jak w jej. Mimo że to ich łączyło, Bella nie zwojowała wiele z Desem, ku sporemu zadowoleniu Buffy'ego, który trzymał stronę pasierbicy.

Bo teraz już rozpoznawał wiele mówiące symptomy. Dziś wieczorem na przystawkę podano karczochy. Buffy patrzył, jak India kuca obok Desa, który wpatrywał się zdeprymowany w obiekt na swoim talerzu, i pokazuje mu, jak się to je. Odciągnęła nawet jeden liść i wbiła się w niego zębami. Przez cały czas się przy tym uśmiechała, opierając się o Desa, gdy kołysała się w przysiadzie. Des coś powiedział i wybuchła śmiechem – przenikliwym, zalotnym śmiechem, który sugerował, że uwaga wcale nie była taka zabawna, ale India bierze ją za dobrą monetę, bo on jej się podoba.

Buffy uśmiechnął się do siebie, odkorkowując wino. Kiedy obmyślał swój plan, wyobrażał sobie kursantów jako grupę okaleczonych psychicznie weteranów, takich jak on sam, ofiary wojny między płciami, które po przybyciu do jego placówki znajdują wytchnienie w swoich ramionach. On wprawdzie wycofał się już z aktywnej walki, siwowłosy żołnierz uginający się pod brzemieniem medali i odznaczeń za służbę w niebezpiecznym i wrogim terenie, ale pozostawał na podorędziu i chętnie służył radą. India wcześniej nie figurowała w tym scenariuszu, jednak jak Buffy sam zauważył, nic nigdy nie idzie zgodnie z planem. Chodził zatem od stolika do stolika, nalewając wino. Jak promiennie wyglądała India, gdy roznosiła dzbanki

z wodą. Z tego, co słyszał, jej życie miłosne przedstawiało się dotąd mało satysfakcjonująco i obejmowało wysoki odsetek dupków z Horton. Buffy popatrzył na Desa, który dał sobie spokój z karczochem. Gość nie rozpoznałby White Cube Gallery, gdyby stanęła mu pod nosem. To był sportowiec, silny i solidny. W jego wielkich, nakrapianych piegami i porośniętych blond futrem przedramionach było coś krzepiącego. Objęłyby Indię i zapewniły jej bezpieczeństwo. Wyobraźnia Buffy'ego pognęła do przodu. Pobiorą się i kupią domek w Shropshire – nie ma sensu zwlekać, w końcu India dobiega niemal czterdziestki. Może już pora na białowłosego synka, który będzie walić łyżką w stół kuchenny i domagać się owsianki piskliwym głosem?

– Czy ktoś widział Amy? – spytała Rosemary.

Buffy otrząsnął się z zamyślenia. Amy przelotnie pojawiła się po południu, ale znowu zniknęła. Nie wymeldowała się ani nie zabrała bagażu. Jej puste miejsce w jadalni, obok krzesła Rosemary, miało w sobie coś niepokojącego.

– Mam nadzieję, że nie zepsuł jej się gdzieś samochód. – Rosemary wzniosła kieliszek. – Powinna poczekać do końca kursu, wtedy by wiedziała, jak go naprawić.

– Gdyby się zepsuł, toby zadzwoniła – powiedział Buffy.

– Nie byłabym taka pewna. Ma numer w Orange. Sygnał bez przerwy zanika. Nawet na obwodnicy raz jest, raz go nie ma. – Rosemary łyknęła wino. – Wczoraj mnie tam nagabywano po raz pierwszy od trzydziestu lat. Szkoda, że gość okazał się chory na umyśle.

Buffy bardzo lubił Rosemary z jej dobieranymi częściami garderoby i rubasznym śmiechem. Poza tym inne ochlapusy zawsze budziły jego sympatię, większość pań była rozczarowująco pruderyjna w tym względzie: przykrywały kieliszek dłonią i wznosiły oczy do nieba niczym Maryja Dziewica na obrazie w ciemnym włoskim kościele. Tego wieczoru jednakże Rosemary wydawała się nie w sosie. Do tej pory robiła dobrą minę do swojego nieszczęścia, ale teraz pojawiła się w niej gorycz. Podczas koktajli słyszał, jak dzieli się doświadczeniem z inną dojrzałą kursantką, także porzuconą dla młodszej.

– Wyobraź sobie leżąc do łóżka z kimś, kto nie słyszał o Cliffie Michelmorze – prychnęła. – Człowiek musi się czuć cholernie samotny.

– Albo choćby o Cliffie Richardzie – rzuciła ta druga. – Ta jego mała zdzira ledwo wyrosła z pieluch.

– A ta Douggiego chce mieć dzieci – powiedziała Rosemary. – Już go widzę, jak pcha w wózku jakiegoś wrzeszczącego bachora po Sainsbury, obrzygany, z nawalającą nogą i tęskniący za krykietem. Moim zdaniem wysoka cena jak za jedno czy dwa bara-bara.

Teraz Rosemary popadła w przygnębienie. Siedziała zgarbiona na krześle i ugniatała kulki z chleba. Buffy, który przysiadł obok, głowił się nad jakąś pocieszającą odzywką. Nie mógł patrzeć, jak taka równa babka się gryzie. Choć sam miał w kwestii zdrad swoje za uszami, ogarnął go gniew na wiarołomnego Douggiego. Jak gość mógł odstawić taki wyświechtany numer?

Z kuchni dobiegł odległy łoskot. W jadalni zapadła cisza. Karczochy dawno już zostały poćwiartowane albo porzucone i wszyscy czekali na danie główne.

Chwilę później pojawiła się Voda z twarzą błyszczącą od potu. Pospieszyła do Buffy'ego i kucnęła przy jego uchu.

– Mała katastrofa – wyszeptała. – Zrób coś! Zabaw je przez dwadzieścia minut!

Zniknęła w kuchni. Buffy, choć przez chwilę zbity z tropu, zaraz doszedł do siebie. W końcu jest zawodowcem. Poczuł, jak uruchamiają się w nim dawne instynkty, niczym bojler zapalający się w piwnicy. Nachylił się do Niny, wdowy z Whitstable, która siedziała naprzeciwko.

– Chciałyby panie posłuchać jakiegoś wiersza?

Twarz jej się rozpromieniła.

– O, tak, prosimy! Nie możemy się doczekać, żeby usłyszeć, jak pan deklamuje. Naprawdę jest pan bardzo znany. To było niesamowite, gdy po przyjeździe okazało się, że to pan.

– Nie miałam śmiałości wcześniej wspomnieć – powiedziała inna kursantka – ale ogromnie mi się pan podobał w roli sierżanta Whatsita w *Kresie wędrówki*. Widziałam ją w Beccles. – Wstała i zastukała w kieliszek. – Ciii, cisza! Nasz gospodarz przeczyta nam wiersz!

– A wiecie, że on był chomikiem Chomim? – spytała inna.

– Wolałabym coś z *Królowej wrózek*. – Nina wpatrywała się w Buffy'ego ze czcią.

– Obawiam się, że nie pamiętam z niej ani słowa – powiedział Buffy. – Poza tym to się ciągnie i ciągnie.

Wstał. Wśród gości doszło już do segregacji i przy stoliku obok usadowiła się młodzież. Zachwycająca Bella upięła włosy i włożyła skąpy top na ramiączkach. Wyszepiała coś do ucha Desowi i stłumiła chichot. Buffy spiorunował ją wzrokiem: nie wie, że Des jest zajęty? Ten zresztą nie zareagował. Spoglądał tęsknym wzrokiem w kierunku kuchni. Wzdychał do Indii czy do głównego dania?

– Chciałbym zadedykować ten wiersz swojej pasierbicy Indii – huknął Buffy – która w tej właśnie chwili nadaje ostatnie szlify waszej perliczce albo, w przypadku wegetarian, zapiekance z bakłażanów.

Wziął głęboki oddech. I nagle poczuł absolutną pustkę w głowie.

Minęła chwila. Odwrócone do niego twarze gości patrzyły wyczekująco. Buffy oblał się potem. W mózgu literalnie zrobiła mu się dziura, wszystkie słowa w niej zniknęły, słyszał niemal syk. Koszmar każdego aktora i musiał mu się przytrafić akurat teraz, gdy żaden kolega na scenie nie może wybawić go z opresji. Oczywiście zdarzało mu się już wcześniej stracić wątek, każdemu się zdarzało. Ale zawsze był na podorędziu sufler albo ktoś z obsady, kto przychodził z odsieczą. Kiedyś w *Kto się boi Virginii Woolf?* przeskoczył trzy strony dialogu, ku przerażeniu własnemu i swojej scenicznej małżonki, ale wydawało się, że publiczność niczego nie zauważyła. W końcu wcielali się w parę alkoholików i jakaś pozbawiona spójności kwestia była jak najbardziej na miejscu. Zdaje się, że jakaś natchniona uwaga o pancernikach pozwoliła im wrócić na właściwą stronę. Albee byłby z niego dumny.

Minęło kilka minut. Buffy odchrząknął. Rosemary posłała mu zachęcający uśmiech. Jedyńm urywkiem poezji, jaki pamiętał, było:

*Surowy seler żuć trza, to feler,
Cichsze zawody, gdy jesz go z wody*.*

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Pies się rozszczękał i pobiegł do korytarza.

Uratowany przez dzwonek! To na pewno Amy, spóźniona na kolację. Buffy odetchnął z ulgą i pospieszył otworzyć.

Na progu stał rozmamłany, niechlujny mężczyzna w średnim

wieku i patrzył na Buffy'ego dzikim wzrokiem w świetle latarni.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam – powiedział – ale czy znajdę tutaj panią Rosemary Turnbull?

Buffy poprowadził go do jadalni. Goście spojrzeli zaciekawieni na przybysza. Czy to spóźniony dodatek do kursu?

Rosemary podniosła się z trudem.

– Douggie! – wykrzyknęła.

Nolan

Nolan, idąc pospiesznie korytarzem, zobaczył przez szybę migające światła. Otworzył drzwi. Na progu stało dwóch ratowników.

– Jasny gwint! – powiedział jeden z nich.

– Leży w salonie – poinformował Nolan. – Nie ruszaliśmy jej.

Gapili się na niego.

– Lepiej niech pan usiądzie.

Nolan popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Ściągnął wiszące oko i starł maź z twarzy, ale nie dało się zaprzeczyć, że nadal wyglądał koszmarnie. Policzek miał umazany krwią, a oczodół pokryty warstwą wosku.

– Nie chodzi o mnie. Nic mi nie jest.

Ratownicy wymienili spojrzenia przy szumie krótkofalówek.

Pracowali w niebezpiecznej branży, mieli już do czynienia z pomyłkami. A także z mordercami. Ze scenami domowych jatek, które z pewnością przechodziły najdziksze wyobrażenia Nolana, a obaj ledwie wyrosli z okresu dojrzewania. Usiłował się uśmiechnąć, jednak miał za bardzo ściągniętą skórę.

– Chodzi o moją mamę – powiedział. – Chyba miała atak serca.

Zaprowadził ich do salonu. Shirley leżała tam, gdzie upadła, z głową opartą o puf. Amy siedziała na podłodze i trzymała ją za rękę.

Ratownicy kucnęli obok i zabrali się do pracy. Nolan patrzył na wielorybie cielsko swojej matki. Wystroiła się na spotkanie z siostrą, z którą od zawsze rywalizowały, było coś żalnego w bluzce z tygrysem z cekinów, teraz podciągniętej do góry i ukazującej zabudowany, brudny biustonosz. Odwrócił wzrok od zwałów tłuszczu.

Ratownicy usiłowali porozumieć się z Shirley, pytali ją o nazwisko i o objawy. Odpowiadała szeptem, ciężko oddychając. Nolan popatrzył nad jej ciałem na Amy. Wyglądała na zbolaną, w ostrym świetle lampy sufitowej jej twarz straciła kolory. Całkiem przypadkiem znaleźli się w tak intymnej sytuacji i miał wrażenie, że są jak dwójka niesfornych dzieciaków przyłapanych przez władze. Na chwilę pojawił się między nimi błysk współczucia, ale zaraz zniknął.

Czy nie powinien nagrać *Zamiany domów* w telewizji? To był jeden z ulubionych programów matki. Amy pewnie marzy tylko o tym, żeby się stąd wydostać. Dlaczego nie posprzątał w salonie? Pokój wyglądał jak chlew.

Jak może tak myśleć? Jego matka leży i z trudem łapie oddech, może umiera, a jemu przez głowę przelatują takie bzdury, nie nadążał za sytuacją, zupełnie jakby brodził w melasie.

– Napiją się panowie herbaty? – spytał ratowników.

Pokręcili głowami. Jeden z nich wyszedł i wrócił z jakimś aparatem.

Jak mógł być tak bezmyślny i wystraszyć matkę na śmierć? Oczywiście nie wiedział, że wróci wcześniej do domu, ale to była jego wina. Stał bezradnie z rękoma zwieszonymi po bokach. Amy, dziewczyna, którą ledwo znał, siedziała w fotelu, obejmując rękoma kolana, z nieprzeniknioną twarzą. Nie miał pojęcia, co jej powiedzieć ani co powiedzieć matce, która leżała z zaciśniętymi powiekami, ani ratownikom, od których teraz zależało jej życie.

Ukucnął przy niej.

– Wszystko będzie dobrze, mamó – wyszeptał.

Otworzyła jedno oko.

– Kocham cię, synu – powiedziała.

Synu? To go zaskoczyło. Zabrzmiało jak kwestia z którejś z jej popołudniowych oper mydlanych.

– Też cię kocham – rzucił szeptem. Pocałował ją w policzek, skórę miała wilgotną niczym kit. Cała ta sytuacja wydawała mu się nierealna, jakby teatralna, to się nie działo naprawdę. Grają w jakimś filmie, Amy czeka ze swoim sprzętem charakteryzatorskim na podorędziu. Lada moment ktoś krzyknie „Cięcie!” i ratownicy wstaną. Matka usiądzie,

rzuci jakiś dowcip. Potem pójda coś zjeść, bo nagle zaburczało mu w brzuchu tak głośno, że się zaczerwienił.

Ratownicy pytali Shirley, jakie lekarstwa przyjmuje. Przewróciła oczami w kierunku Nolana.

– Powiedz im, kochanie – wyszeptała i odwróciła się do ratowników. – On się mną opiekuje.

– Losartan... buspiron... – Nolan wyliczał na palcach – ...tabletki z aloesem na przeczyszczenie... doksyłaminę...

Gdy mówił, zauważył, że ratownicy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wiedział, co myślą. „No proszę... skończona stara hipochondryczka”. Czy to błysk politowania? „Tylko popatrz, mały opiekun mamusi, no to go sobie owinęła wokół palca. Otrząśnij się, facet!”

Nolan poczuł ukłucie zazdrości w związku z ich pracą. Przede wszystkim ją mieli. Ratowali życie, stanowili część zespołu. Paczki. Byli bohaterami! Byli potrzebni. A kto potrzebował jego? Matka, oto kto. I jej potrzeba była tak ogromna, tak pochłaniająca, że zżerała go żywcem. „Jeśli wydobrzeje, odejdziesz”. A teraz to ona odchodzi, jakby podслуchała te okrutne, prawdziwe słowa Amy i zaproponowała własne rozwiązanie.

Zalała go fala miłości do mamy, która wcześniej opiekowała się nim, tak jak teraz on opiekował się nią, i której życie nie ułożyło się tak, jak marzyła. Popatrzył na jej jaskrawozielone paznokcie, tak odważnie pomalowane. Od jakiegoś czasu nie sięgała już do stóp, pedicure robiła jej przyjaciółka, Kate. To były jedne z nielicznych chwil, gdy się śmiała. Na widok porzuconych sandałów z paseczkami wysadzanymi diamencikami Nolana zaszczypały oczy, jakby patrzył na pozostałości wypadku drogowego.

Wiedział, że powinien zadzwonić do cioci Julii i powiedzieć jej, co się zdarzyło, ale nie miał siły podnieść słuchawki. Jeśli ubierze rzecz w słowa, sytuacja nabierze realności. Poza tym ratownicy wnosili już wózek.

– Lepiej sobie pójde – powiedziała Amy.

– Nie, nie idź – wyrwało mu się.

– Ale...

– Proszę, pojedź ze mną do szpitala.

Amy popatrzyła na niego zaskoczona. Chciał dodać: „Jesteś w to zamieszana, proszę, nie zostawiaj mnie samego”.

Siedziała, skubiąc zębami paznokcie.

– Przed domem stoi mój samochód – oznajmiła wreszcie. – Mogę pojechać za wami do szpitala. A potem przywieźć cię do domu.

Potem, czyli gdy mama umrze? Ale może wcale nie umrze, powiedzieli tylko, że trzeba jej zrobić dodatkowe badania.

– A co z kolacją? – spytał głupawo.

– Z kolacją? – Amy popatrzyła na niego równie głupawo. Zerknęła na zegarek. – Jest dziewiąta. Przegapiłam. – Wyjęła tubkę kremu. – Ale najpierw lepiej usunę to z twojej twarzy, bo inaczej to ciebie zabiorą na ostry dyżur.

Ratownicy zachichotali. Przenosili Shirley na wózek i zbyli machnięciem ręki propozycję pomocy Nolana. Dotarło do niego, że dla nich to zwyczajny dzień pracy.

Matka z westchnieniem wcisnęła się na wózek. Zaskrzypiał pod jej ciężarem. Odwróciła się do Amy.

– Poznałaś jakieś gwiazdy filmowe?

Nolan obrzucił ją zaskoczonym spojrzeniem. Czy nie miała przypadkiem ataku serca?

Buffy

Douggie, zbiegły mąż, dołączył do nich na kolacji. Główne danie nadal się nie pojawiło. Usiadł obok swojej małżonki i ochoczo zabrał się do karczocha nieobecnej Amy.

– Mają tak niewiele mięszu, prawda? – Wyskubał sobie włókienko spomiędzy zębów. – Tyle zachodu z jedzeniem, a człowiek jest potem mniej syty, niż gdy zaczynał.

– Głodziła cię, co? – spytała Rosemary.

Douggie się wzdrygnął. Przemknął wzrokiem dokoła stolika. Ile wiedzą inni? Sądząc po ożywionej atmosferze sztucznych pogaduszek, dużo.

– Co za uroczy dom – powiedział do nikogo konkretnie. –

I miasteczko. Z tego, co mogłem zobaczyć. Po ciemku.

Rosemary milczała. Skrępowanie między nimi powodowało, że inni przy stoliku też milczeli. Od stolika obok, gdzie młodzi zdawali się nieświadomi sytuacji, dobiegł wybuch śmiechu. Na samą myśl o namiętności w wieku średnim pewnie wzdrygnęliby się z obrzydzeniem, jeśli w ogóle o tym myśleli.

Nina odchrząknęła.

– Rosemary mówiła, że służył pan w wojsku – zagaiła. – Domyślam się, że bywaliście w wielu fascynujących miejscach.

Rosemary wzdrygnęła się zirytowana.

– O, tak, bez wątpienia widzieliśmy kawał świata – odpowiedział Douggie. – Prawda, moja droga?

Uśmiechnął się do Rosemary. Rzuciła mu spojrzenie znad kieliszka, gdy go przechylała. Douggie przesunął dłonią po przeredzonych, siwych włosach. Koszulę i sportową marynarkę miał wymięte. Trudno było uwierzyć, że kiedyś był wojskowym.

– A jak się paniom podoba na kursie? – spytał.

Panie skinęły energicznie głowami, przenosząc spojrzenie z niego na jego żonę.

– Nasz wykładowca wygląda jak Caravaggio – powiedziała Nina.

– Tak naprawdę kilka z nas zamiast kursem zajęło się wyrobem kolczyków – poinformowała druga kobieta. Przechyliła kokieteryjnie głowę. – Nie sądzi pan, że są ładne?

– Eee, bardzo ładne – potwierdził Douggie.

Przysiadł się do nich Buffy. Wiedział, że powinien sprawdzić, co się dzieje w kuchni, w której panowała złowieszcza cisza, jednak męska solidarność ściągnęła go do wiarołomnego męża. Plus ciekawość. Po co Douggie się zjawił? Żeby się pogodzić? A może powiedzieć żonie, że chce rozwodu? Rosemary wpatrywała się w sufit. Jej twarz niczego nie zdradzała. Jednakże dało się wyczuć niewypowiedziane słowa – oskarżeń i furii – czekające, by natychmiast paść, gdy tylko zostaną z mężem sami.

Czy gość planuje tu przenocować? Nie mógł wracać autem do Aldershot czy gdzie tam się zadekował. Rosemary dzieliła pokój z Amy, która z pewnością prędzej czy później się pojawi, zatem nie można było

tam upchnąć Douggiego, nawet gdyby jego żona chciała – co, sądząc po jej minie, było mało prawdopodobne. Ludzie wcześniej wyrażali niepokój zniknięciem Amy, ale Buffy nie martwił się na zapas. Znał nie od dziś ekipy filmowe i zwyczaje seksualne ich członków. Amy pewnie poderwała w pubie jakiegoś faceta i wróci chyłkiem o świcie.

Pojawiła się India i wyszeptała Buffy’emu do ucha:

– Jesteśmy już gotowe. Przepraszam za opóźnienie.

Buffy ruszył za nią do kuchni. Na podłodze widniała wilgotna plama.

– Upuściłyśmy zapiekankę z bakłażanów – wyjaśniła Voda. – Nawet pies nie chciał jej zlizać.

– W końcu to była opcja wegetariańska – zauważyła India.

– Tak czy siak, większość udało nam się zdrapać. Dołożyłyśmy na wierzch sosu i zapiekłyśmy całość jeszcze raz. Nikt się nie pozna.

Rosemary

Dochodziła niemal jedenasta, a państwo Turnbull nawet na moment nie zostali jeszcze sami. Wprawdzie po kolacji Douggie zaproponował cicho, żeby wyskoczyli do pubu, ale Rosemary powiedziała, że chce obejrzeć film. Zatem siedzieli ramię przy ramieniu na plastikowych krzeselkach, oglądając wyświetlany w barze *Dzień świstaka*. Widzieli go już wcześniej dwukrotnie, raz w kinie, a raz na wideo z dziećmi. Za trzecim razem był, całkiem stosownie, taki sam, choć tego wieczoru wybuchy śmiechu Douggiego sprawiały wrażenie wymuszonych.

Rosemary wiedziała, że zachowuje się jak tchórz, odwlekając konfrontację z mężem, ale podświadomie chciała, by cierpiał. Po bólu, jaki jej zadał, odczuwała ponurą satysfakcję, patrząc, jak nieswojo się czuje wśród innych gości, nie mogąc z nią porozmawiać na osobności. Poza tym bała się tego, co może jej zakomunikować. Serce jej się krajało na myśl o tym, że lęka się zostać sam na sam z człowiekiem, którego kiedyś tak strasznie kochała, ale nie miała pojęcia, jaką bombę jej zasunie. Może chciał się pogodzić. Może tamta dziewczyna jest w ciąży. Bóg jeden wiedział, co się dzieje w sercu człowieka, z którym była

kiedyś tak blisko.

Nie widziała go od pięciu miesięcy i jego wygląd ją zszokował. Był taki wymizerowany i niechlujny. Nawet się nie ogolił: zarost pasuje młodym, ale mężczyźni w średnim wieku ze szczeciną wyglądają jak alkoholicy. Może wyczerpał go nadmiar aktywności seksualnej – och, nie wolno jej o tym myśleć. Poza tym, znając Douggiego, doprawdy trudno to sobie wyobrazić. Może po prostu, kiedy wracał do kawalerki, wracał także do niechlujstwa kawalerskich czasów. Może ta okropna dziewczucha lubi, gdy wygląda jak bezdomny. Był bezdomny. W jej mieszkaniu tylko bywał, a kawalerkę wynajmował. Rosemary jej nie widziała. Ponoć mieściła się gdzieś za Aldershot Sainsbury, ale nawet nie przejechała obok, by się przekonać. Nie zniósłaby tego. Dzieci też tam nie były, przynajmniej wedle jej wiedzy. Nie rozmawiały z nim, za bardzo się jeszcze na niego gniewały.

Na ekranie Bill Murray ponownie przeżywał swoje życie, starając się tym razem zrobić to jak należy. Rosemary miała świadomość bliskości ciała męża, kawałeczka dzielącej ich przestrzeni. Pies, który bardzo ją polubił, siedział po jej drugiej stronie i lizał jej palce, jeden po drugim.

Teraz leciały napisy. Ktoś włączył światło. Douggie nachylił się do niej i wyszeptał:

– Czy możemy gdzieś porozmawiać?

Opuścili pokój odprowadzani spojrzeniami odwracających się głów. Rosemary zaprowadziła go na górę. Zamknęła drzwi i usiadła na łóżku Amy. Douggie przysiadł zgarbiony naprzeciwko z rękoma zwieszonymi między kolanami, niczym starzec przed zakładem bukmacherskim. Naprawdę wyglądał, jakby się postarzał o całe lata od czasu, gdy ostatni raz się widzieli. Ale ona też czuła się starsza. Dziwne, pomyślała, jak małżeństwo może tak długo trzymać człowieka w stanie naiwności.

– Powiem, co mam do powiedzenia, a potem wyjadę – oświadczył.

– Gdzie, z powrotem do Aldershot?

– Po prostu musiałem się z tobą zobaczyć. – Uniósł głowę i popatrzył na nią wilgotnymi oczyma. – Och, Rosy, nie wiem, co robić.

– Wyrzuciła cię, tak?

Wzdrygnął się gwałtownie, jak oparzony. Z salonu niżej dobiegł wybuch śmiechu.

– Po co przyjechałeś, Douglasie? – spytała.

Oboje zdumiał dźwięk tej niezdrobnionej wersji imienia. Przesunął dłońmi po włosach i rozejrzał się z rozpaczą po pokoju.

– Dziwne, że śpisz tu beze mnie.

– Nie takie dziwne.

– W takim miejscu. Gdy tak długo robiliśmy wszystko razem.

– Prawdę rzekłszy, świetnie się bawię – powiedziała Rosemary. – I bardzo polubiłam swoją sublokatorkę. Nie wiem, gdzie się teraz podziewa. Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

Zauważyła teraz, że Douggie siedzi na jej koszuli nocnej: tej różowej z czesanej bawełny, którą kupiła już po jego odejściu, bo była taka ciepła i miękka. Zdążyła skompletować ubrania, których nigdy nie widział. Miała nadzieję, że koszuli też nie zobaczył, w jej kołnierzyku bebe było coś z przydzwiewku rodem z domu starców.

– Tęsknię za tobą – powiedział. – I tęsknię za dziećmi. I za wnukami. – Próbował się uśmiechnąć. – Nawet za koszeniem trawy.

Nie odpowiedziała. Na zewnątrz zegar kościelny wybił jedenastą. Czekali, aż wybrzmia wszystkie uderzenia.

– Nigdy tak naprawdę o tym nie rozmawialiśmy, co? – powiedział.

– O czym?

– O nas.

– Na to teraz już trochę za późno.

– Na pewno? – spytał, unosząc twarz.

– Porzuciłeś wszystko – stwierdziła. – Nas, wszystko, co kochałeś, by odejść i żyć z tą... jak jej tam.

– Agnieska. – Zamilkł na chwilę. – Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Nie.

Wziął oddech, by odpowiedzieć, ale się rozmyślił.

– Słusznie.

Na korytarzu rozległy się kroki. Trzasnęły drzwi łazienki. Ludzie zaczęli się kłaść do łóżek.

– Powiedzmy tylko... – Urwał. – Chodziło o to, że byłem takim twoim pocziwiną.

– Poczciwiną?
– Częścią umeblowania.
– Nieprawda. Byłeś ośrodkiem mojego życia. Sensem wszystkiego.
– Łzy napłynęły jej do oczu. – Wiem, że nie cierpisz Joni Mitchell, ale to prawda: nie wiesz, co masz, dopóki tego nie stracisz.

– Nieprawda, że nie cierpię Joni Mitchell. Po prostu uważam, że trochę jej zbywa na poczuciu humoru. – Posłał jej blady uśmiech. – My nigdy nie mieliśmy z tym problemu, prawda?

Rosemary pokręciła głową. Nagle zaniósła się łkaniem: głębokim, ciężkim szlochem. Duggie wyciągnął do niej rękę. Siedziała zbyt daleko, więc zsunął się na podłogę i podszedł do niej na kolanach po dywanie.

– Kochana, tak mi przykro – powiedział.

Dźwignęła go i znalazł się w jej ramionach. Poczowała jego znajomy zapach, jedyną rzecz, która się nie zmieniła.

– Byłem takim idiotą – wymruczał jej we włosy. – Wybaczysz mi?

I teraz ją całował, namiętnie, gorąco, tak jak już zapomniała, że można być całowaną, jeśli w ogóle kiedyś była. Pomyślała: Nauczył się tego od tej Polki?

Zamknęła oczy, usuwając ze świadomości wszystko oprócz nich dwojga, siebie i męża, swojego lubego. Co za różnica, skąd się wzięła ta namiętność. Zwalili się na łóżko i teraz on rozpinął jej bluzkę. Pomyślała: Mam nadzieję, że wziął tabletki na nadciśnienie.

Wstał i zgasił górne światło. Potem wrócił do niej do łóżka i całował ją po szyi. Ściągnęła mu koszulę i poczuła jego kochany miękki brzuch. Kiedyś był taki jędrny i muskularny. Jej też. Rywalizowali ze sobą na korcie w bazach wojskowych na całym świecie. On miał serwis, ale ona miała spryt.

O, Boże, a co, jeśli wejdzie Amy? – pomyślała. Para w średnim wieku na jej łóżku, na wpół naga, niezbyt ładny widok. To jej obrzydzi seks na całe życie.

A teraz Duggie ściągał spodnie. Rzucił je na podłogę, na resztę rozrzuconych ubrań. Zwykle wieszał je na krześle, zanim szli do łóżka.

Wyszeptała:

– Pozwolę ci wrócić, jeśli przestaniesz krytykować mój styl jazdy.

Amy

– Wracajcie do domu – powiedziała Shirley oparta o poduszkę. Odwróciła się i uśmiechnęła do lekarza. – Jestem tu w dobrych rękach.

Amy pomyślała, że matka Nolana świetnie się bawi. Jest w centrum uwagi, pielęgniarka sprawdza jej tętno, do piersi ma podłączone elektrody i, co najlepsze, przystojny młody lekarz zapewnia ją, że nie ma zagrożenia życia, to tylko lekka arytmia, ale przez kilka dni zatrzymają ją na obserwacji. Amy pomyślała: Szczęśliwa, jakby ją kto na sto koni wsadził.

Na policzki Shirley wróciły rumieńce, oczy jej błyszczały. W tej obrzmiałej twarzy kryły się bardzo ładne rysy, Amy już rozumiała, po kim Nolan odziedziczył urodę. Bez wątplenia biedaczka przeżyła szok, ale Amy się zastanawiała, na ile wyolbrzymia swoje objawy. Długie doświadczenie w branży filmowej sprawiło, że potrafiła rozpoznać urodzoną aktorkę i domyślała się, że w przeszłości dochodziło już do podobnych incydentów.

– Witaj, kochana, to znowu ty – powiedziała pielęgniarka, gdy Shirley wwożono na wózk.

Nolan się pochylił, by ucałować matkę na do widzenia. Zarzuciła mu ramiona na szyję, zrywając elektrody, i przycisnęła go do siebie.

– Kocham cię – wyszeptała. – Przyniesiesz mi jutro moją koszulę nocną, kosmetyki do makijażu, iPhone’a...

– Mamo, prowadzę kurs.

– Ja to zrobię – zaoferowała się Amy.

Oboje popatrzyli na nią zaskoczeni.

– Straciłam już jedno zajęcie, równie dobrze mogę stracić kolejne.

– Odwróciła się do Nolana. – Potem pomożesz mi nadrobić zaległości.

Gdy wychodzili ze szpitala przez automatyczne drzwi, Amy zastanawiała się zdumiona, czy aby naprawdę poznała go dopiero wczoraj. Nie mieściło się to w głowie. A jednak teraz była obok niego, rzucona w sam środek jego życia. Bella BMW nie miała szans – Amy nawet zdążyła już zapomnieć, że to właśnie tamta wszystko wywołała. Tyle od tej pory się wydarzyło, miała wrażenie, że co najmniej tydzień

minął od jej szaleńczego wypadu do Llandeilo, a przecież pojechała nie dalej jak rano.

Zrobiło się późno, dochodziła jedenasta i parking świecił pustkami. Jej punto wyglądało samotnie pod łukowatą latarnią.

– Chcesz prowadzić? – spytał Nolan.

Ogarnęło ją dziwne uczucie bliskości, gdy dawała mu kluczyki, jakby byli małżeństwem. Wsunął długie nogi za kółko i ruszyli sennymi przedmieściami Hereford.

Nolanowi puściły hamulce. W drodze powrotnej nie przestawał mówić. Zwierzył jej się ze swoich marzeń o otwarciu własnego warsztatu samochodowego i jak ta szansa przeszła mu koło nosa, gdy bank odmówił mu pożyczki. Jak w związku z tym wylądował na etacie gminy, naprawiając drogi, co było pracą bez perspektyw, ale przynajmniej pracą, dopóki go nie zwolniono. Jak wraz z upływającymi miesiącami bezrobocia opuszczała go energia, pojawiało się poczucie, że został wyrzucony na śmietnik. Wielu jego kumpli znajdowało się w tym samym położeniu, powiedział.

– Powinienem się cieszyć, że nie mam żadnych szkrabów do wykarmienia.

Amy poczuła drgnienie w łonie. „Szkraby do wykarmienia”. Powinna już do tego przywyknąć, ale za każdym razem ją to zaskakiwało. Czyżby stawała się histeryczką, jak Shirley? Drzewo zamajaczyło w świetle reflektorów i zaraz zniknęło. Jechali przez jakąś wioskę, światło paliło się tylko w jednym oknie. Nagle zalała ją desperacja. Lada moment będzie po Nolanie, będzie po niej samej. Oboje byli pogodnie nastawieni do świata, ale życie ich pokonało. Jeśli dane jej będzie jeszcze pracować – co wcale nie było pewne – już na zawsze będzie skazana na okazjonalne, jałowe przygody na jeden raz. Szybkie figofago z facetami takimi jak Keith, motocyklista z Lincolnshire, czy gdzie to było. Żadnych korzeni, niczego. Życie na walizkach, ciągle przenoszenie się z jednego miejsca w drugie, robienie charakteryzacji do filmów, których nigdy nie obejrzy. Filmów, które znikwały w eterze, rozplływały się w pustce.

Nolan podjechał pod Myrtle House i wyłączył silnik.

– Co za wieczór – westchnął. – Wielkie dzięki, byłaś prawdziwym

kumplem.

Zamierza ją pocałować? Nie.

– Jak chcesz się dostać do domu? – spytała. – Może cię podwiozę?

– To tylko kawałek. Przejdę się.

Otworzył drzwi. W tej samej chwili z żarzącym się papierosem i psem u nogi pojawił się Buffy.

– O, Amy, dawno cię nie widziałem! – powiedział. – Martwiliśmy się o ciebie.

Wyjaśniła, że matka Nolana zachorowała. Gdy wysiadła z auta, Buffy się zmieszał.

– Eee... dość niezręczna sytuacja.

– Jaka sytuacja?

Odchrząknął.

– W twoim pokoju ktoś jest. Mąż Rosemary. Zdaje się, że odchodzi tam trochę Prawdy i Pojednania.

Zapadło milczenie. Patrzyli, jak pies podnosi nogę przy koszu na śmieci.

– Nie mogę się położyć? – spytała Amy.

– Chodźmy i go wykopmy. – Buffy ruszył w stronę drzwi. – To twój pokój, jego nie powinno tam być.

– Zaczekajcie – powstrzymał ich Nolan.

Odwrócili się i popatrzyli na niego.

– Prześpij się u mnie – zaproponował. – Możesz zająć pokój mamy. – Stał tam w świetle latarni, gęste brwi poszybowały do góry. – Proszę. Towarzystwo dobrze mi robi.

Więc pojechała.

* Ogden Nash, *Celery*, przekł. tłum.

Buffy

„Ogrodnictwo dla początkujących” miało ruszyć wczesnym październikiem, przed nadejściem chłodów. Lepsza wprawdzie byłaby wiosna jako pora wegetacji, ale gdyby zajęcia okazały się sukcesem, zawsze mogli zorganizować kolejną edycję.

– Skupię się na przycinaniu, pielieniu, rozpoznawaniu roślin, siewach ozimych, podziale bylin, typach gleby, planowaniu ogrodu od podstaw, roślinach odpowiednich do cienia, do miasta, na parapety, do pojemników. Plus podstawy uprawy warzyw oczywiście. – Lavinia Balcombe, instruktorka kursu, popatrzyła na Buffy’ego. – I jak się to panu widzi?

– Doskonale – promieniał Buffy.

Wielkie nieba, kobieta była przerażająca. Miała tytuł szlachecki, a za granicą, w Shropshire, wielki majątek ziemski, którego tereny były otwarte dla zwiedzających na mocy National Garden Scheme. Bóg jeden wie, dlaczego chciała poprowadzić kurs. Może, jak wielu arystokratów, klepała biedę. A może po prostu lubiła rozstawiać ludzi po kątach.

– Przewiduje pani jakieś zajęcia praktyczne? – spytał. – Moglibyście wykorzystać tutejszy ogród w charakterze obiektu doświadczalnego. By tak rzec.

Lavinia się nie uśmiechnęła. Wyglądając przez okno, skinęła głową. Buffy’emu kamień spadł z serca. Było to częścią pierwotnego planu oczywiście. Choć latem załatwił koszenie trawnika, reszta ogrodu nadal wyglądała jak dżungla. Teraz, gdy samochód już został doprowadzony do porządku, przyszła pora uporać się z chwastami. I co najpiękniejsze, ludzie jeszcze mu za to płacili.

Pierwszy kurs okazał się, ogólnie rzecz biorąc, sukcesem. Nie potoczył się zupełnie zgodnie z planem, ale co w życiu tak się toczyło? Trzeciego dnia Rosemary ulotniła się z mężem na drugi miesiąc miodowy w Brecon Beacons; Des, zamiast zakochać się w Indii,

wylądował w łóżku z Bellą, Amy przeniosła się do Nolana i każdego ranka pojawiała się, syta seksu, i czule gładziła go po tyłku, gdy nikt nie patrzył. No i jeszcze grupka biżuteryjna całkowicie dała sobie spokój z kursem i wróciła do domów obwieszona jak choinki. Ale wszyscy byli zadowoleni, a kurs przyniósł skromny zysk.

A teraz razem z Vodą przygotowywali dom na kolejny napływ kursantów. Wszystkie pokoje zostały zarezerwowane, nadwyżkę uczestników zaś zakwaterowano w miejscowych pensjonatach. Zatrważająca Belcombe przedłożyła plan kursu w postaci arkusza kalkulacyjnego, każdy temat został rozpisany na punkty i umieszczony w ramce przyporządkowanej do półgodzinnych okienek z dziesięcioma minutami na pytania. Buffy by się nie zdziwił, gdyby pojawiła się na zajęciach w kamaszach.

I znowu przyjeżdżała na pomoc India. To akurat było mile widziane – podczas ostatniego kursu musieli się uwijać jak w ukropie i jej obecność okazała się prawdziwym błogosławieństwem. Poza tym Buffy zawsze bardzo lubił towarzystwo pasierbicy. Zastanawiał się jednak, czy dziewczyna nie ma lepszych rzeczy do roboty niż być za chłopca na posyłki u ojczyma. Nawet zadzwonił w tej sprawie do Jacquetty, ale ta jak zwykle wyrażała się niejasno. „India ma problemy”, oznajmiła i gładko przeszła do opowieści o swoich eksperymentach z rzeźbą z wyrzuconej na brzeg kłody drewna. W którym momencie ich małżeństwa uświadomił sobie głębię jej egocentryzmu? Później niż powinien, ale taka jest perfidia pożądania.

India już przyjechała i pomagała Vodzie w ścieleniu łóżek. Buffy nadwyreżył plecy i nie mógł wykonywać cięższych prac. Uzupełniał więc tylko torebki herbaty w pokojach, a India opowiadała mu o zbliżających się narodzinach jego wnuka.

– Ma się urodzić lada dzień – oznajmiła. – Bruno robi w gacie.

Najwyższa pora, by Buffy został dziadkiem. Choć kilkoro jego dzieci osiągnęło już wiek średni, żadne jeszcze się nie rozmnożyło. Quentina tłumaczyła orientacja, ale reszta? Czyżby psoty i łajdactwa rodziców zabiły w nich wiarę w sens rodzicielstwa? Oczywiście teraz ludzie odkładają to na później – zwłaszcza kobiety, takie jak Nyange, z jej zawrotną karierą. Ale stary zegar tykał i choć Buffy miał

dziewczynę Brunona za małą jęczyduszę, był jej wdzięczny za to, że zabrała się serio do sprawy.

Buffy uważał się za urodzonego dziadka i od lat przygotowywał się do tej roli. Wszyscy twierdzili, że to o wiele łatwiejsze od bycia rodzicem. Bóg jeden wie, że w tej ostatniej kwestii popełnił wiele błędów, ale wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że z wnukami będzie inaczej. Mniej odpowiedzialności, więcej zabawy, te sprawy. Do pewnego stopnia odnosiło się to także do pasierbów. Jego uczucia do Indii nie mąciły, nawet w okresie jej nastoletniego buntu, skomplikowane i wbijające w poczucie winy relacje, jakie łączyły go z owocami własnych lędźwi. Z wyjątkiem Celeste. Ponieważ pojawiła się w jego życiu już jako dwudziestotrzylatka, w pełni ukształtowana dorosła osoba, zaczęli swoje stosunki budować na tym etapie, z czystą kartoteką, i była to bardzo przyjemna odmiana.

- Wyślą mi esemesa, jeśli coś się wydarzy – ciągnęła India.
 - Zdawało mi się, że twoja komórka tu nie działa.
 - Przeszłam z Orange do Vodafone – wyjaśniła, zerkając na Vode.
- Buffy zachichotał.
- Bardzo trafnie.
 - Że co? – rzuciła India ostro. Nie wiedzieć czemu, spiekła raka.
- Buffy odwrócił się do Vody.
- À propos, zawsze chciałem zapytać...
 - Nie. – Voda uniosła obie ręce, jakby go chciała odepchnąć. –

Wtedy jeszcze nie znano komórek. Dostałam imię po jakimś staroskandynawskim bogu, ale pomylili się w zapisie. Cali rodzice.

- Każdy ją o to pyta – powiedziała India. – Ma już tego po uszy.

Buffy popatrzył na nią zaskoczony. Skąd to wie? I skąd u niej taki właścicielski ton?

Voda spojrzała na nią, marszcząc brwi. Coś między nimi się działo, ale Buffy nie miał pojęcia co.

India zmieniała temat.

- Dziwię się, że ktoś w ogóle chce płacić za ten pokój. –

Z naręczem prześcieradeł gapiała się na toaletkę, której złamana noga podparta była egzemplarzem *Złotego skarbcza pieśni* Palgrave'a*. Stali w niebieskim pokoju, tym, w którym dach przeciekał. Ponieważ akurat

nie padało, kubek został wsunięty dyskretnie pod umywalkę.

– Mówisz jak Nyange. Poza tym, jeśli te kursy wypalą, będę w stanie naprawić dach.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Buffy pospieszył na dół i znalazł na progu przybyłego przedwcześnie kursanta.

– Boże, przepraszam – powiedział nieznajomy. Wyciągnął zmiętą karteluszkę i zerknął na nią. – „Zapraszamy gości od godz. 14.00”. Mam przyjść później?

– Skądże. – Buffy popatrzył na zegarek. Za pięć dwunasta. – Proszę wejść i wypić drinka.

Buffy jeszcze nie oswoił się z myślą, że posiada własny bar, gdzie może do woli nalewać sobie alkohol i za niego nie płacić. Był w tym jakiś występny dreszczyk emocji. Któregoś dnia kupi sobie odpowiednie ustrojstwo, tak by butelki wisiały do góry dnem, na razie stały po prostu w rzędki na kredensie.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Harold Cohen, patrzył na plakaty.

– Tak mi się zdawało, że pana poznaję – powiedział. – Jest pan aktorem, prawda? Widziałem pana w tym filmie z Anną Massey. Był pan libańskim alfonsem.

Buffy podał mu gin z tonikiem.

– Nie najlepsza chwila w moim życiu – odparł. – Drobnny przypadek nietrafnej obsady.

Usiedli.

– Pia, moja eks, zajmowała się teatrem. Ale jej konikiem był taniec, im bardziej nieznany i egzotyczny, tym lepiej.

– Jedna z moich żon tak miała. – Buffy przypomniał sobie, jak Jacquetta zaciągnęła go na występ zespołu Piny Bausch, gdzie masa płaskich jak deska kobiet rzucała w siebie krzesłami. Wieczór zakończył się zajadłą kłótnią w Pizza Express i tygodniowymi dąsami – z obu stron.

Harold ciężko westchnął.

– To raczej babska sprawa – powiedział. – Jak się przekonałem na własnej skórze. – Miał smętną, żydowską twarz i zapuszczony wygląd. Buffy rozpoznał uchodźcę z małżeńskiego pola walki: zdradzały go

postrzępione mankiety i pochylone ramiona pokonanego.

Buffy już zaczynał gościa lubić.

– Cieszę się, że wpadł mi w ręce ten artykuł – ciągnął Harold. – Nie żebym czytywał „Express”, znalazłem egzemplarz w metrze. Ale sprawy zaczęły się wymykać trochę spod kontroli.

– W ogrodzie?

Skinął głową.

– Zostałem dokumentnie zasypany.

– Liśćmi? Znam ten ból. Ale niech pan poczeka, aż zobaczy moje osty. Mam nadzieję, że wszyscy razem dacie sobie z nimi jakoś radę.

– Nie, zasypany propozycjami. – Harold zamieszał palcem kostki lodu. – Nie zdawałem sobie sprawy, że dokoła jest tyle desperacji. Znaczą się sam też jestem zdesperowany, naturalnie w kosmicznym sensie. Ale mam na myśli kobiety.

– Kobiety? Szczęściarz z pana. – Buffy przyjrzał się badawczo Haroldowi. Wyglądał młodziej od niego, na oko tak pod sześćdziesiątkę, ale nijak nie dało się go określić adonisem.

– Wiem, wiem – mruknął Harold. – Sęk w tym, że mam wrażenie, że każdy by się nadał, nawet taki stary wrak jak ja. A może podoba im się dom. Albo kury. Bóg jeden wie. Ale to mnie raczej krępuje, zwłaszcza w odniesieniu do kilku przyjaciółek. Wszystko się zmieniło, odkąd... no, wie pan...

– Próbowwały dobrać się panu do portek? Niech je pan tu przyśle!
Harold się zaśmiał.

– Tak czy owak, właśnie dlatego uznałem, że powinienem się nauczyć sam dbać o ogród.

Buffy zrobił im po kanapce i odkorkował butelkę wina. Czas mijał niepostrzeżenie i przyjemnie, jak to często bywa w sensne niedzielne popołudnia. Pies leżał rozwalony w promieniach słońca, śniąc o królikach. Buffy wiedział, że powinien pomagać dziewczętom, ale w końcu Harold był gościem. Okazało się, że także pisarzem przeżywającym kryzys twórczy, co dodatkowo wyjaśniało mankiety i ramiona. Od miesięcy nie napisał ani słowa.

– Tutaj znajdzie pan masę materiału. – Buffy ponownie napełnił im kieliszki. – Miasteczko obfituje w dramatyczne wydarzenia. Londyn

także oczywiście, ale tam nikt nie zna swoich sąsiadów, więc kto ma o nich opowiadać. Tutaj kolejka na pocztę jest jak żywcem wyjęta z *Dekameronu*. No i ma pan jeszcze kursantów...

Rozległ się dzwonek.

– O wilku mowa. – Buffy dźwignął się z krzesła.

Otworzył drzwi trzem uśmiechającym się wyczekująco kobietom. Wszystkie miały ze sobą ogromne walizy, jakby przyjechały na co najmniej miesiąc. W tym samym momencie India zbiegła z tupotem po schodach, wymachując komórką.

– Dostałam esemesa od Brunona! – krzyknęła. – Becky odeszły wody!

Lavinia

Lavinia, wykładowczyni na kursie, dołączyła do kursantów na obiedzie. Kiedy Buffy podszedł do niej z butelką, zakryła kieliszek dłonią.

– Nie, dziękuję. Muszę wygłosić pogadankę.

– Eee, jaką pogadankę?

– Wstępną. O dwudziestej pierwszej w barze. – Urwała, czując, jak twarz jej się rumieni. Zacerpnęła tchu i dodała: – Wie pan, że ponosi winę za to, że zostałam sędzią?

– Wielkie nieba, a jest pani sędzią?

– W młodości byłam wielką fanką *Crown Court*. Oglądałam go w trakcie wakacji. Grał pan tam, prawda?

Skinął głową.

– Pierwszego woźnego, na moje nieszczęście. Proszę, kto by pomyślał! – Urwał. – Eee, a ta pogadanka... o czym ma być?

– „Korzenie i liścienie”. Po prostu podstawy budowy roślin.

– Jest pani pewna, że kursanci będą w nastroju na coś takiego? Po kolacji?

– Powinniśmy od razu zabrać się do roboty. Strasznie dużo mamy do przerobienia przez te pięć dni.

Stosownie do okazji Buffy miał na sobie kwiecistą kamizelkę. Lavinia rozpoznała charakterystyczne liście i zwisające dzwonkowate

kwiaty *Discentra formosa*. Choć dużo przytył od czasu *Crown Court* – obrósł w sadło, jak mawiała jej matka – poczuła pewien dreszcz, gdy się spotkali. Prawdziwy aktor! W swoim kręgu nie obcowała z wieloma – po prawdzie z żadnym. W rzeczywistości był to jeden z powodów, dla którego w ogóle zaoferowała się poprowadzić kurs. Nie sprawiła chyba wrażenia zbyt sentymentalnej?

India przyniosła przystawki. Kilka osób, odchylając się i ciągnąc ją za rękaw, pytało: „Jakieś wieści?”. Fakt, że synowa gospodarza właśnie w tej chwili męczy się, by wydać na świat jego wnuka, najwyraźniej poruszył wyobraźnię gości.

Jeśli o nią idzie, Lavinia nigdy nie przepadała za dziećmi, a już na pewno nie chciała ich mieć. Jej mąż Teddy w przeszłości raz czy dwa delikatnie zahaczył o temat, ale natychmiast ucieła te bzdury jednym ze swoich spojrzeń. Teraz miała czterdzieści osiem lat i groźba, że coś takiego może jej się przydarzyć, dawno minęła, nawet gdyby z Teddym starali się jak szaleni, co z pewnością nie miało miejsca.

Poza tym jej praca skutecznie zniechęciła ją do idei prokreacji. Dlaczego? Czy trzeba pytać? Ludziom się wydaje, że sędziowie to zgraja starych wapniaków, ale to nieprawda. Historie, które słyszała, zjeżyłyby włosy na głowie normalnej osobie, taka była sodoma i gomora nowoczesnego życia rodzinnego. Wychodząc z sądu, czuła się jak górnik, tylko długa kąpiel mogła usunąć brud, jaki do niej przywarł.

Nie, jej dziećmi były rośliny. Wszystkie niemowlęta wyglądają kropka w kropkę tak samo, podczas gdy każda roślina jest inna. Bez dwóch zdań. Dawała im życie, zasiewając ziarenko. Pielęgnowała je w pierwszych wczesnych tygodniach, gdy były takie wątłe, potem przesadzała niczym nastolatki opuszczające dom. Ale one nadal jej potrzebowały, nawet już zadomowione w wielkim świecie jej mieszanych rabat. Każdego dnia do nich zaglądała, chroniąc przed szkodnikami, chorobami, każdym ciosem, jaki mogło im zadać życie. Ich cierpienie było jej cierpieniem, widok dalii pożeranej przez ślimaki wywoływał w niej fizyczny ból. A ich kwitnienie było także jej triumfem.

Nie żeby jej mąż cokolwiek zauważał. W ogóle nie interesował się ogrodem, dla niego było to tylko dobre miejsce, żeby sobie rozpalić

ognisko. Co ci mężczyźni mają z tym ogniem? Każdej jesieni Teddy rzucał się do cięcia i palenia, zostawiając za sobą pas zniszczeń. Sprawiał wrażenie takiego nieszkodliwego gościa, ale tak samo było z większością mężczyzn, którzy stawali przed jej obliczem, winni najbardziej brutalnych przestępstw.

Dlatego właśnie Lavinia chętnie udostępniała swój ogród zwiedzającym. Przynajmniej miała pełną zachwyty widownię dla dzieła swoich rąk. Lubiła stać skromnie z boczku i słuchać ich okrzyków podziwu – na widok domu, na widok posiadłości – i odpowiadać na pytania. Zwiedzający z „Yellow Book” tworzyli wścibską zgraję, zawsze próbowali wkręcić się do wnętrza domu pod tym czy innym pretekstem, zwykle skorzystania z toalety. Często wchodził się także sadzonkami: rozglądali się najpierw ukradkiem, sprawdzając, czy nikt nie patrzy, zanim wyciągali sekator, żeby coś ciachnąć. Lavinii to nie przeszkadzało, sama postępowała podobnie.

No i przynajmniej byli zainteresowani. Lavinia stała teraz w barze naprzeciwko ustawionych w półkołu krzeseł. Wygłaszała swój wstępny wykład na temat budowy roślin, ale jej audytorium było najwyraźniej bardziej zaintrygowane tym przeklętym porodem. „Jakie ma rozwarcie?” – zasypywano Indię pytaniami, gdy przyniosła kawę. „Ile skurczów na minutę?”

Pytały głównie kobiety oczywiście, ale też i one stanowiły większość słuchaczy. Wszędzie zresztą stanowiły większość, i to te w latach. Gdziekolwiek się poszło – do kościoła, do teatru, do galerii, do centrum ogrodniczego – wszędzie było ich zatrzęsienie. To samo dotyczyło kursów, rejsów i w ogóle wszystkiego. Jedynym miejscem, gdzie mężczyźni przeważali liczebnie nad paniami, były sądy i doroczna wystawa rolnicza Shropshire. Lavinia zakładała wcześniej, że „Ogrodnictwo dla początkujących”, adresowane do osób od niedawna samotnych, przyciągnie tyle samo mężczyzn, co kobiet – a nawet więcej, jako że to im najbardziej ten temat powinien być obcy – jednak na miejscu okazało się, że stosunek jest ten sam co zwykle: trzech panów na siedem pań. Kilka z nich miało ten rozpromieniony, wyczekujący wygląd samotnych kobiet w pewnym wieku. Przy całej żalności Teddy’ego myśl o porzuceniu go i dołączeniu do ich szeregów była zbyt

upiorna, by ją rozważać.

Bipnęła komórka Indii. Kolejny esemes!

– Uściskaj ją ode mnie, moja droga – rzuciła absurdalnie jedna z kobiet.

Nawet nie znała stworzenia!

Inna powiedziała:

– Wiem, przez co biedaczka przechodzi. Gdy rodziłam Benjiego, to było czternaście godzin czystego piekła.

– Mój pierwszy trwał bitą dobę – pochwaliła się inna. – Miałam nacinane krocze i kleszcze.

– Ha, to miałaś szczęście, kochaniutka – oznajmił inny głos. – Mnie założono dwadzieścia szwów. Całymi tygodniami musiałam potem siadać na dmuchanym kole.

– Możemy wrócić do meritum? – warknęła Lavinia. Wskazała na planszę ścienną. – To jest pręcik, z nitką i pylnikiem, a to słupek...

– Przeczytaj nam esemesa! – syknął jakiś głos.

India odczytała:

– „Rozwarcie sześć centymetrów. Silniejsze skurcze”.

– Silniejsze! – prychnęła jedna z kursantek. – To znaczy nieziemsko bolesne.

– Człowiek ma wrażenie, że pęka na pół – dodała inna.

Lavinia traciła słuchaczy. Poczowała przypływ solidarności z Buffym. Czy tak właśnie czują się aktorzy, gdy próbują utrzymać uwagę widowni?

India westchnęła.

– Biedactwo. Ja nigdy nie zdecyduję się na dziecko.

– Ależ zdecydujesz się, kwiatuszku – powiedziała któraś z kursantek. – Zapomnisz o bólu, gdy już będzie po wszystkim.

– A masz chłopca? – spytała inna. – Jesteś w stałym związku?

Inida pokręciła głową i podała dzbanek z mlekiem.

Lavinia dzielnie brnęła dalej z wykładem. Jednocześnie gdzieś w tyle głowy coś nie dawało jej spokoju. Jedna z kobiet, ta siedząca pod plakatem Buffy’ego, wyglądała znajomo. Myszowata, w bluzce z żabotem, w której przypominała dudziarza z irlandzkiej orkiestry. Gdzie ją wcześniej widziała?

Gdy wykład dobiegł końca, Lavinia wyciągnęła listę nazwisk. Przebiegając ją wzrokiem, rozpoznała jedno. Mary Taylor.

Kobieta, o którą chodziło, stała przy barze, gdzie Buffy serwował drinki. Lavinia przeczytała adres: Ludlow, Willow Close 18. Zatem miejscowa. Może widziała ją po prostu gdzieś w mieście. W tej samej chwili kobieta się odwróciła. Zerknęła na Lavinie, która zbierała swoje notatki. Czyżby w jej spojrzeniu mignął błysk rozpoznania?

Dopiero pół godziny później, gdy Lavinia jechała do domu, przypomniała sobie. Mary Taylor. Stawała przed nią w sądzie za kradzież w sklepie.

Buffy

Nazajutrz rano Buffy miał wnuczkę. Dostał e-mailem jej zdjęcie ukazujące noworodka o pomarszczonej twarzy. Jak wszystkie noworodki, ten również zdradzał uderzające podobieństwo do Charliego Drake'a. Powiedział to Indii, ale ona naturalnie była zbyt młoda, by wiedzieć, o kim mówił.

Harold wiedział. Razem z Buffym odkrywali, że wiele ich łączy. Wspominali krasnalowatego komika z nieodłącznym cygarem w ustach, zgadzając się, że to najmniej zabawny człowiek pod słońcem. Ustalili także, że Norman Wisdom sytuuje się tuż za nim na podium. Ranek był piękny. Siedzieli w salonie, popijając kawę. Widok za oknem radował serce Buffy'ego: cała grupka kursantów uwijała się, pieląc ogród. Zaczęli od najdalszej części – widać było rząd kuprów i przechadzającą się wte i wewte gauleiter Balcombe, która patrolowała ich poczynania i wykrzykiwała rozkazy.

– Wyglądają jak pielgrzymi w Mekce – zauważył Harold. Sam wymówił się od prac fizycznych. Podobnie jak Buffy'emu, dokuczał mu kręgosłup.

– Dawniej facet szedł po prostu do pubu i siedział tam, dopóki nie było po wszystkim. – Buffy przypomniał sobie narodziny Quentina. Cóż, właściwie niezupełnie sobie przypomniał. W rzeczywistości nie uczestniczył w porodzie żadnego ze swych potomków. Popsi rodziła sama, gdy on się upijał. Jacquetta powiła Tobiasa i Brunona przez

cesarskie cięcie. Ponoć miała jakieś wyjątkowe komplikacje – wszystko w niej było zarówno wyjątkowe, jak i skomplikowane. Buffy nadal podejrzewał, że po prostu stchórzyła. Chłopcy przyszli na świat w prywatnym szpitalu, to były złote lata dubbingu. Matki Nyange prawie nie znał, a o narodzinach Celeste w ogóle nie miał pojęcia.

Czasami się zastanawiał, jaką matką byłaby jego trzecia żona, Penny. Trudno było sobie wyobrazić kogoś o mniej matczynym podejściu do ludzi. Była cyniczną, twardą dziennikarką, rasowym pismakiem, nawet szczenięta i kocięta jej nie wzruszały, chyba że musiała napisać o nich kawałek do „Woman’s Own”. Kiedyś, jako stary sentymentalny głupiec, spytał ją, dlaczego nie patrzy na niego z takim samym oddaniem jak on na nią. Odpowiedziała: „Nie bawię się w umizgi”.

Harold miał córkę z pierwszego małżeństwa, która mieszkała w Australii. Niedawno urodziła dziecko, które gaworzyło do niego na Skypie.

– Taki ze mnie niezaangażowany dziadek – powiedział, popadając w przygnębienie. Pia, jego druga żona, nie wykazywała zainteresowania dziećmi.

– Jeszcze nie jest za późno – pocieszał go Buffy. – Może pan zacząć od nowa. Mnóstwo mężczyzn w pańskim wieku pcha wózki. Ktoś tutaj wpadł panu w oko?

Harold pokręcił głową.

– Skończyłem już z tym. Od tej chwili zamierzam poświęcić się pisaniu i ogrodowi. Jedno i drugie przedstawia się beznadziejnie.

Otworzyły się drzwi i weszła Voda.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała do Buffy’ego – ale pańska BAFTA zniknęła ze szcra.

– Co?

– Nie zabrał jej pan do czyszczenia czy coś?

– Po cóż, u licha, miałbym to robić?

Popatrzyła na niego.

– Rzeczywiście. Głupie pytanie.

Poszedł za nią do ubikacji na dole. Istotnie, statuetka zniknęła z parapetu.

– Myśli pan, że ktoś ją podprowadził? – spytała Voda, która wcisnęła się obok.

– Kto, na Boga, miałby ukraść BAFT-ę?

– Jest ze złota, prawda?

– Nie sędzę.

– Swoje ważyła. – Przcisnęła się obok niego do korytarza. – Zawsze powtarzałam, że powinien ją pan umieścić w jakimś bezpiecznym miejscu.

Pytanie tylko: gdzie? W kredensie w jego sypialni z pewnością byłaby bezpieczna, tyle że wtedy nikt by nie wiedział, że ją dostał. Z drugiej strony, poczesne miejsce w salonie byłoby zbyt ostentacyjne. Ubikacja wydawała się zatem idealnym rozwiązaniem – lekko ironicznym, nawet prześmiewczym, a jednak zauważalnym dla wszystkich. Na skutek deficytu łazienek toaleta na dole była dość uczęszczana. Poza tym, jeśli wierzyć rozlicznym wywiadam, co bardziej stylowe hollywoodzkie gwiazdy trzymały swoje Oscary w ubikacjach.

Buffy zdobył swój laur za najlepszą rolę drugoplanową w *Read My Lips*, dramacie produkcji BBC o głuchoniemym ocalałym z Auschwitz. Upośledzenie zawsze dobrze się sprzedawało na BAFTA, a element Auschwitz przypieczętował sprawę. Buffy wcielał się w życzliwego logopedę noszącego, nie wiedzieć czemu, faworyty.

– Pamiętam ten film – powiedział Harold. – Jeździł pan starym land roverem i miał gabinet na Harley Street.

– Nigdy tak naprawdę nie połąpałem się w przedakcji i historii mojego bohatera. Zdaje się, że miał kiedyś farmę owiec, ale wylali pierwotnego scenarzystę, więc koniec końców się nie dowiedziałem. Była także jakaś zagadkowa wzmianka o bliźniętach.

– Cóż, może najlepsze interpretacje oparte są na niejasności. – Harold urwał. – Szkoda, że nie wpadłem na to wcześniej i nie powiedziałem swoim studentom.

– Naprawdę sędzi pan, że któreś z nich ją zwędziło?

Harold popatrzył na postaci mozolące się w ogrodzie, na chwasty zebrane w kupki dokoła.

– Trudno uwierzyć, co? Wyglądają tak drobnomieszczańsko.

– Tacy są najgorsi.

- Może ktoś jest pana fanem i chce mieć jakąś małą pamiątkę.
- O przepraszam, dużą pamiątkę. BAFT-y nie leżą na ulicy.
- Może powinien pan coś wspomnieć przy obiedzie.
- Nie chcę psuć atmosfery – odrzekł Buffy. – Wszyscy tak dobrze się dogadują.

I rzeczywiście, kursanci tworzyli harmonijną grupkę. Narodziny wnuczki przyspieszyły naturalny bieg spraw i scaliły grupę. Przy śniadaniu w obieg poszły smartfony: głośno komentowano zdjęcia wnuków tych uczestników, którzy już się ich doczekali. Jedna z pań przyniosła nawet swojego laptopa, gdzie za wygaszacz ekranu robiło zdjęcie trojaczków jej syna. Szkoda byłoby wprowadzać atmosferę podejrzeń.

I sam ogród wyglądał już dużo lepiej. Do lunchu klomb został oczyszczony i, według słów Lavinii, ujawniono kilka rzadkich krzewów. Kursanci wparadowali głośno do jadalni z zarumienionymi twarzami, spoceni, i rzucili się na szwedzki bufet. Jednogłośnie się zgodzili, że ranek na świeżym powietrzu doskonale im zrobił. Buffy nie opanował jeszcze wszystkich imion. Poprzedniego wieczoru trochę sobie pofolgował z wodą ognistą i stracił koncentrację. Zwykle oczywiście nie tykał alkoholu, ale niecodziennie świętuje się narodziny wnuczki. Miał wrażenie, że nie powinien pytać, czy wszyscy zapisali się na kurs w wyniku rozstania, a poza tym, co za różnica? Przyjechali, wcinali, a choć zaczynało padać, nie miało to znaczenia, jako że Lavinia już rozstawiała w barze skrzynki wysiewne na popołudniowe zajęcia.

Zaczął powoli przekonywać się do Lavinii. Była jedną z najbrzydszych kobiet, jakie spotkał, i to, jego zdaniem, tłumaczyło jej apodyktyczność. W końcu piękności nie muszą się rządzić i szarogęścić, drzwi się przed nimi same otwierają, bariery topnieją. Jednak pod tą aparycją prymuski, golfem i perłami wyczuwał kobietę niepewną siebie. Nawet jej brak poczucia humoru dawał się usprawiedliwić jako rodzaj deprywacji. Człowiek by myślał, że bogacze powinni umieć się trochę wyluzować. Ale Buffy nigdy nie rozumiał ludzi z wyższych sfer, wołał ich żałować. Tyle przywilejów, tyle pięknych domów z zielonymi rabatami, a mimo to Lavinia wcale nie wyglądała na szczęśliwszą od Connie z supermarketu.

Zatem głęboko jej współczuł, gdy tego popołudnia zakradł się do baru i znalazł połowę jej słuchaczy pogrążonych we śnie. I to na tych plastikowych krzeselkach! Poranne pielenie ich wyczerpało, pokazowi pikowania towarzyszył posapujący chór pochrapywań. Jednak Lavinia się nie poddawała.

– Zalecałabym kompost John Innes numer 2. Należy tylko dokładnie go namoczyć przed posadzeniem rozsąd.

Buffy podreptał na palcach do baru z notesem w ręku, żeby sprawdzić zapas trunków. Lustrując półki, zauważył lukę. Brakowało całej butelki jamajskiego rumu. Stał tam od miesiący, bo teraz nie było już chętnych na ten trunek. Choć najwyraźniej jakiś amator jednak się znalazł. Buffy otworzył pudełko na „co łaska”: tylko kilka funtów. Poza tym ono było przeznaczone na zapłatę za drinki, nie za całą butelkę.

Popatrzył na drzemiących gości rozwalonych na krzesłach. Czy naprawdę jest wśród nich złodziej? Myśl była okropna. Prowadził pensjonat na zasadzie otwartości i zaufania – mój dom jest twoim domem, czytaj moje książki, słuchaj moich płyt. Pierwotny plan przeznaczenia salonu tylko na swój prywatny użytek nigdy się nie urzeczywistnił, Buffy lubił, gdy ludzie przychodzili na pogawędkę, zawsze mógł się wycofać do kuchni albo do swojej sypialni, jeśli chciał się schować. Nic nigdy wcześniej nie zginęło, o ile wiedział. A nawet wręcz przeciwnie. Goście zawsze zostawiali jakieś rzeczy: szale, parasolki, książki, okulary przeciwsłoneczne, mleczko do ciała, raz nawet woskowaną parkę, której właściciela nie udało mu się odnaleźć i którą w związku z tym ostatecznie sobie przywłaszczył. Można by nawet rzec, że pod tym względem wychodził na plus.

– Te maleństwa zakwitną po raz pierwszy na początku kwietnia i zapewnią trochę tak potrzebnego koloru w waszym ogrodzie – mówiła Lavinia. – W Tite Hall sadzimy je wśród tulipanów, to pomysł, który ukradłam z Chatsworth.

Buffy spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi. Może to ona jest kleptomanką. Wszyscy wiedzą, że arystokraci mają morale szczurów, dzięki temu przecież w ogóle zostali arystokratami. Może dręczą ją niekontrolowane zachcianki, jak lady Isobel Barnett, sławną presenterkę telewizyjną i kleptomankę!

India i Voda z pewnością nie słyszały o Barnett, rzecz jasna, należała do ery sprzed ich narodzin, jak Charlie Drake. Powinien im jednak powiedzieć o tej ostatniej kradzieży.

Buffy opuścił bar i ruszył korytarzem do kuchni. Zastał tam jednak tylko psa śpiącego na chodniku. W powietrzu unosiła się cudowna woń ciasta.

Harold

Harol zaszedł do kuchni na pogawędkę. Voda przygotowywała właśnie ciasto. Gdy wylała masę do tortownicy, pozwoliła mu wylizać łyżkę – ostatni raz robił coś takiego, gdy był chłopcem, jeszcze w Golders Green. Dowiedział się także, że hoduje kury. Opowiedział jej o własnym przychówku, teraz już na powrót opierzonym, ale odpychającym w inny sposób.

– Pojawił się u nich bardzo nieestetyczny nalot na nogach, jakby były posypane wapnem – powiedział.

– To na pewno wapienna nóżka – zdiagnozowała Voda.

– Tak się to nazywa?

Pokiwała głową.

– Wywołuje to jeden z gatunków świerzbowca.

– Kto by pomyślał. Da się z tym coś zrobić?

– Trzeba kupić proszek na świerzbowca. Sprzedają go w Artykułach dla drobiu Boba.

Powiedziała, że Artykuły dla drobiu Boba mieszczą się w centrum handlowym za obwodnicą, i zaproponowała, że go tam zawiezie.

– Sam nigdy go pan nie znajdzie, a mnie dobrze zrobi przerwa. – Wsunęła ciasto do piekarnika i wytarła ręce.

Gdy szli korytarzem, z baru dobiegał afektowany głos Lavinii. Harold znowu wagarował, ale co tam. Był dorosły, mógł robić, co mu się żywnie podoba. Nie miał pojęcia, czym jest pikowanie, i już nigdy tego nie odkryje. W końcu dotąd jakoś radził sobie bez tej wiedzy.

Voda, krępa i przy kości, miała na sobie pasiaste ponczo i wyszywane cekinami dresy. Dredy przewięzała czymś, co przypominało ściereczkę do kurzu. Harold uważał kolczyk w uchu za nie

najszczęśliwszą decyzję, przypominał gila, ale w jej wyglądzie było coś przyjemnego – jakaś jesienna dorodność, jak u szarej renety. Ponoć jej chłopak był głupim ciulem i aktualnie rezydował w więzieniu. Harold już żywił opiekuńcze uczucia wobec tej dzielnej, młodej zwolenniczki ponczo. Buffy mówił, że tyra jak wół, zawsze jest pogodna i można na niej polegać w czasie kryzysu. I przewodziła drużynie darta! Nie byłoż końca jej talentom? Harold dowiedział się tego, gdy pod pubem zatrzymał ją jakiś wesoły pijaczyna i pogratulował niedawnego zwycięstwa.

– To był Walter – powiedziała, gdy ruszyli dalej. – Kiedyś hodował szajry. Raz, gdy startował w konkursie orki z jedną z klaczy, która właśnie się ożrebiła, poczuł takie pragnienie, że ją zatrzymał, schylił się i napił z jej wymienia.

Voda sypała jak z rękawa podobnymi historyjkami. Opowiedziała mu, że Connie, która pracuje w supermarkecie, była kiedyś mężczyzną. Że Robbie, który prowadzi delikatesy, ma w tajemnicy drugą rodzinę w Plymouth. Że Dafydd, barman z hotelu Knockton Arms, prysnął kiedyś z biuściastą Rosjanką na Goa, gdzie otworzył szkołę nurkowania i całe noce balangował na plaży.

– Ale któregoś dnia poparzenie przez meduzę sparaliżowało mu ramię i gdy wylądował w szpitalu, Rosjanka dała drapaka z jego oszczędnościami. Więc wrócił do domu z podkulonym ogonem i błagał żonę, by przyjęła go z powrotem. Ale ta zmieniła zamki i wstąpiła do Żandarmerii Wojskowej.

I wszystkiego tego się dowiedział, zanim jeszcze dotarli do centrum. Harold był pod wrażeniem, nie tylko tych opowieści, ale także liczby osób, które pozdrawiały Vodę i zatrzymywały ją na pogawędkę. Dziwił się, jak komukolwiek udaje się tu coś zrobić. U siebie w Hackney nie znał na dobrą sprawę żadnego z sąsiadów.

Przestało padać, dziury na drodze połyskiwały w słońcu. Voda powiedziała, że pozory mylą, że pod tą fasadą malowniczości i życzliwej atmosfery miasto jest w fatalnym stanie. Usługi transportowe ograniczono albo w ogóle zawieszono. Przy centrum recyklingu, które mijali, stopy czarnych worków wznosiły się przy kontenerach. Voda wyjaśniła, że ograniczono wywóz odpadów i zdesperowani mieszkańcy

wyrzucają tu swoje śmieci. Połowa młodych jest bezrobotna.

– Nie uwierzyłby pan, co tu się wyprawia – powiedziała. – Mąż mojej znajomej się powiesił, bo stracił pracę. Znaleźli go w lesie. Moim zdaniem to wina tych ciulów z banków.

Voda nie wykazywała najmniejszego zainteresowania życiem Harolda, ale to mu nie przeszkadzało. Jej opowieści były o wiele bardziej fascynujące. Kiedy dotarli do centrum handlowego, zaczął odczuwać dziwne pieczenie na skórze. Twarz go paliła. Pomyślał zrazu, że to początki grypy.

Serce mu waliło. Gdy płacił za proszek przeciwko świerzbowcowi, zauważył, że ręce mu się trzęsą. Dopiero wtedy uświadomił sobie powód tego niepokoju. Gdzieś w głębi maszynowni jego ciała uruchamiały się zardzewiały stary bojler.

Kot Mary Pickford. Cóż to był za nedorzeczny pomysł. Kilka innych, które potem rozważał, wcale nie było lepszych. Tutaj, tuż pod nosem, miał cały materiał potrzebny do jego powieści. Knockton obfitowało w wydarzenia – farsowe, tragiczne, skomplikowane, wzruszające. Jasna strona, ciemna strona – jak w życiu.

A nawet się nie spodziewał, że wydarzy się dużo więcej.

Buffy

India weszła do kuchni i rzuciła na stół torbę z zakupami.

– Rany, pięknie pachnie to ciasto – powiedziała. – Gdzie jest Vody?

– Chyba gdzieś wyskoczyła. – Buffy popatrzył na pasierbicę. Miała na sobie spódnicę z frędzlami należącą do Vody. – Coraz bardziej się do siebie upodabniacie z wyglądu.

India wyciągnęła wiązki porów.

– Cóż, mieszkam u niej, prawda? Lubimy wymieniać się ciuchami. – Westchnęła. – U niej jest tak pięknie. Kury gdaczą, widok zapiera dech w piersiach. Nawet w deszczu. – Wysypała ziemniaki do zlewu. – Zdarza ci się tęsknić za Londynem? Za teatrem? Starymi kumplami?

– Dziwne, ale prawie wcale.

Przez całe dorosłe życie deprymowała go łatwość, z jaką porzucał

przeszłość. Kilka małżeństw na koncie na pewno miało z tym coś wspólnego.

Każde przynosiło nowe miejsce zamieszkania, nowy zestaw przyjaciół. Z każdym kolejnym stawał się odrobinę inną osobą. Poza tym był aktorem, zdobywającym, a potem tracącym serię zżytych rodzin, zawsze szedł do przodu, zwracał się do nich per „kochanie”, gdy zdarzało mu się je gdzieś spotkać, bo zapominał ich imion. Niestalość wydawała się jedynym stałym elementem jego życia.

India myślała ziemniaki.

– Po prostu... zastanawiałam się, jak by to było żyć tutaj. Co się traci.

Buffy patrzył na nią okrągłymi oczyma.

– Chyba o tym nie myślisz, co?

Zaczerwieniła się pod jarzeniówką.

– Chodzi o to, że...

– O co?

– O nic.

– India?

– Już nic!

W oddali trzasnęły frontowe drzwi. Voda weszła do kuchni.

– Gdzie byłaś? – spytała India.

– Kupowałam z Haroldem proszek przeciwko świerzbowcowi. –

Otworzyła piekarnik. – Co z ciastem?

Godzinę później kursanci zebrali się w jadalni na herbatę. Ciasto zostało upieczone na cześć nowego dziecka. Buffy jednakże nie mógł się skupić. Co India próbowała mu powiedzieć? Coś się tu działo pod powierzchnią, coś niepokojącego w całym tym dniu. Gdy wznieśli już toast, wywołał Lavinie do korytarza.

– Uznałem, że powinienem pani to powiedzieć – wyszeptał. – Giną rzeczy. Moja statuetka BAFT-y i butelka rumu. Zastanawiałem się, czy któryś z kursantów nie wspomniał, że... wie pani... coś mu zginęło. Jakieś rzeczy osobiste, coś w tym stylu.

Zaległo milczenie. Zegar dziada Bridie wybił siedemnastą.

– Miałam nic nie mówić – odrzekła Lavinia. – W końcu to było dawno temu i spłaciła już dług wobec społeczeństwa.

– Co? – zniecierpliwiał się Buffy. – Wyduś to z siebie, kobieto.
Popatrzyła na niego zszokowana.

– Przepraszam – zmięgował się. Zapomniał, że ma do czynienia z arystokratką i sędzią na dodatek.

Lavinia wzięła oddech.

– Jedna z pań tutaj, Mary Taylor, była skazana za kradzieże sklepowe.

Buffy wiedział, o kim mówiła – nieśmiałe, nieszkodliwe stworzenie, które nosiło lekko niestosowne ubrania – szmizjerki, bluzki z żabotami, stroje kogoś udającego kobietę, choć niezbyt udatnie, jak transwestyta. Zajmowała pokój wiciokrzewowy, na samym strychu.

Po herbacie wszyscy odmaszerowali na kolejne zajęcia. Gdy Buffy się upewnił, że droga wolna, ruszył na górę. Z duszą na ramieniu. Bał się, że znajdzie tam dowód przestępstwa. Co wtedy zrobi? Wezwie policję? Nie cierpiał konfrontacji. Ale nie podobała mu się także myśl, że ktoś go wykorzystuje pod jego własnym dachem. Prowadził ten pensjonat w oparciu o zasadę zaufania. I hojności. Voda uważała, że jest szalony, dając za darmo wino do posiłków, ale wydawało się zbyt skomplikowane oznaczanie butelek dla poszczególnych kursantów czy zliczanie, ile kto wypił. Poza tym kupował trunki po najniższych cenach, zamieniwszy supermarket na hurtownię niedaleko skrzyżowania z M5: łuszczący się magazyn z prefabrykatów na ziemi niczyjej zagraconej kontenerami i porzuconymi wózkami sklepowymi.

Małeńki pokój wiciokrzewowy gościł wcześniej całe pokolenia samotnych pokojówek. Miał skośny sufit i miniaturowy kominek upstrzony sadzą. Słońce świeciło na wąskie łóżko.

Buffy zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się. Na krześle leżał otwarty laptop. Na wezłowie łóżka suszyły się proste białe majtki. Na komodzie stał podprowadzony z kuchni dzbaneczek, w którym Mary Taylor ułożyła bukiet astrów, prawdopodobnie zerwanych w jego ogrodzie. Nie potrafił zdecydować, czy to wzruszające, czy bezczelne. Na szafce nocnej leżały egzemplarz *Sily jajników! Elementarza równouprawnienia i autonomii kobiet* i spodeczek, także podprowadzony z kuchni, z dwoma petami. Ukryta palaczka! To czyniło ją nieco bardziej interesującą. Ale czy robiło z niej także złodziejkę?

W rzeczywistości to Buffy czuł się jak przestępca. Przechylił głowę, nadsluchując zbliżających się kroków, ale panowała cisza. Przeszukanie komody nie ujawniło niczego z wyjątkiem zaskakująco dużego wibratora spoczywającego pod bielizną. Niczego podejrzanego nie znalazł także w szafie ani w walizce. Kucnął nawet, nie bez trudności, i zajrzał pod łóżko: zobaczył jedynie koty kurzu i spinki do włosów.

Wstał, stawy mu strzeliły niczym z rewolweru. I zatęsknił za Bridie. Uznałaby całą aferę za zabawną. Mogliby wymienić się doświadczeniami odnośnie do prowadzenia pensjonatu, spędzić przyjemny wieczór w pubie, gawędząc o starych dobrych czasach w Edgbaston – sir Digbym Montague, nagim z wyjątkiem skarpetek z monogramem! Brakowało mu jej. Brakowało mu człowieka, jakim się stawał w jej obecności. Obie te osoby zniknęły. Przez chwilę jego prawdziwe związki wydały mu się tak nierealne jak role, w które się wcielał. Dziwne doprawdy, że jedna z nich zaowocowała czymś tak namacalnym jak statuetka BAFT-y.

Gdzie, do licha, podziewa się ta nagroda? Cenił ją, stanowiła ukoronowanie jego kariery. Wyczerpany zszedł do swojego pokoju i położył się na łóżku. Fig wskoczył na narzutę i czule polizał go po twarzy. Buffy zdrzemnął się i śniło mu się, że wyrosły mu ośle uszy i że Titania obsypuje go pocałunkami. Byli na scenie, widownia wzdychała i szeleściła niczym liście w lesie. W Titanię wcielała się Lorna, jego dawno zapomniana miłość i matka Celeste, córki, o której istnieniu nie wiedział... a teraz rozległ się gromki aplauz...

Ocknął się gwałtownie. Nadciągała burza. Wiatr uderzał w okno, podzwaniając szybami. Po drugiej stronie podestu trzasnęły drzwi. Dobry Boże, dom był pełen przeciągów! Buffy usiadł i włączył światło. Usłyszał łoskot dobiegający zza ściany.

Dźwignął się z łóżka i wyszedł z pokoju. Zastukał do drzwi sypialni obok, ale nie było odpowiedzi. Kiedy wszedł do środka, w twarz uderzył go powiew zimnego wiatru, ktoś zostawił otwarte okno. Lampa stojąca się przewróciła.

To wtedy zauważył szafę. Zawiasy przeżarła rdza, w wyniku tego, a także pochylenia podłogi, drzwi pozostawały zawsze uchylone.

Nie teraz jednakże. Blokowała je statuetka BAFT-y.

O osiemnastej trzydzieści wszyscy zebrali się w barze na drinka. Na zewnątrz szalała burza. Kursanci wydawali się w radosnym nastroju, jak to się czasem zdarza w grupie.

– Chyba jesteśmy jeszcze trochę podchmieleni twoim przepysznym ciastem, kochanie – powiedziała jedna z kobiet do Vody, która wniosła kubek na lód. – Koniecznie musisz mi podać przepis.

– Dodaję podwójną ilość rumu – wyjaśniła Voda. – W książce zalecają jedną filiżankę, ale ja używam dwóch, dlatego jest takie wilgotne.

Buffy obejrzał się i zerknął na półkę. Butelka bacardi wróciła na miejsce, choć z trochę uszczuploną zawartością.

– Co cię tak bawi? – spytał Harold, czekając na gin z tonikiem.

– Powiem ci później – odrzekł Buffy.

Lavinia

Lavinia zamierzała wyjechać przed obiadem, ale zadzwoniła do domu i powiedziała, że zostanie na posiłku. Teddy'emu korona z głowy nie spadnie, jak raz zje fasolkę po bretońsku z tostem. Z pewnością też któryś kanał transmituje jakiś mecz krykieta na świecie, jeśli tylko biedak poradzi sobie z obsługą nowego odbiornika.

Po prostu za dobrze się bawiła, żeby wyjechać. Dzień spędzony na rozprawianiu o ogrodnictwie był jej ideą rajy, a reakcje, z jakimi się jak dotąd spotykała, sprawiały jej przyjemność. Nie miała pojęcia, że wie aż tyle, jedno prowadziło do drugiego i ani się obejrzała, a godzina mijała jak z bata strzelił. Jedna z pań nawet nazwała ją urodzoną nauczycielką. Nic zatem dziwnego, że perspektywa obiadu wydała jej się kusząca. Wybór między takim wdzięcznym towarzystwem a burknięciami Teddy'ego był oczywisty.

Poza tym zaczynała powoli durzyć się w Buffym. Wydawało się to absurdalne, zważywszy na to, że był zdecydowanie za gruby i co najmniej dwadzieścia lat od niej starszy, ale miał w sobie coś nonszalanckiego i radosnego, powiew cyganerii, który był lekko odurzający dla osoby z jej środowiska. Artyści byli o niebo

zabawniejszym towarzystwem od arystokratów, którzy zachowywali się, jakby kij połknęli. Poza tym, sądząc po zdjęciu w barze, kiedyś z Buffy'ego było niezłe ciacho. No i gość rozmawiał. Tak bardzo od tego odwykła, że czuła się, jakby po raz pierwszy oglądała film dźwiękowy – usta się otwierają i wydostają się z nich słowa! Łączyło ich także pewne partnerstwo w przypisanych im rolach wykładowcy i gospodarza. W jego ramach odbyli bardzo przyjemną naradę wojenną na korytarzu, gdy mówił jej o swoich „skradzionych” dobrach. Pomyśleć, że komuś przyszło do głowy użyć BAFT-y w charakterze blokady do drzwi! No i ten rum odnaleziony w cieście! Chichotała jak podłotek, przypomniały jej się czasy szkolnych miłości.

Jednak gdy w porze obiadu zajęli miejsca przy stole, okazało się, że posadzono ją obok Mary Taylor. Mina jej zrzędła. Mary wyglądała tego wieczoru jak stewardesa Ryanaira, w czerwonym żakiecie i białej bluzce. Spojrzała na Lavinie, marszcząc czoło.

– Jestem pewna, że już gdzieś panią spotkałam – powiedziała. – Głowią się nad tym od dwóch dni.

– Może była pani w moim ogrodzie w ramach National Garden Scheme – rzuciła Lavinia krótko.

Mary pokręciła głową. Bluzkę miała spiętą pod szyją wymyślną broszą. Czy to prawdziwe diamenty? Sklepy jubilerskie Jansena zanotowały ostatnio serię kradzieży. Pisano o tym w lokalnej gazecie.

– Do niedawna nie interesowałam się ogrodnictwem – powiedziała Mary. – To zawsze była działka mojego męża. Nie chciał, żebym mu pomagała, mówił, że wyrywam nie to, co trzeba. Ale teraz, gdy go nie ma, pomyślałam, że powinnam się z tym zmierzyć. Dlatego tu jestem. – Urwała. – A czy przypadkiem nie była pani na przedstawieniu gwiazdkowym? W harcówce?

– Wielkie nieba, nie – zachnęła się Lavinia.

– Lada chwila mi się przypomni – ciągnęła Mary. – Mam to na czubku języka.

Lavinia odwróciła się pospiesznie do Harolda, który siedział po jej drugiej stronie.

– Gdzie się pan podziewał dziś po południu? Zauważyłam, że nie było pana na zajęciach.

– Przepraszam. Kupowałem coś dla kur. A potem zatrzymałem się na obwodnicy, żeby odsłuchać wiadomości. Można tam złapać sygnał.

– Wszystko dobrze? – spytała Lavinia. Oczywiście zupełnie jej to nie interesowało, ale musiała podtrzymać rozmowę.

– Nawet bardzo. Córka, która mieszka w Australii, postanowiła wrócić do Londynu. Przeprowadza się z rodziną za kilka tygodni. Zatem nie będę już obijać się o ściany, sam w pustym domu.

Przez chwilę rozmawiali o tym, jak się Haroldowi żyje w Hackney. Wszystko było lepsze od perspektywy zmierzenia się z Mary, która dalej głowiła się nad tym, gdzie się spotkały. Poza tym Lavinia lubiła Harolda, miał w sobie coś z nonszalanckiego uroku Buffy’ego, choć był młodszy i bardziej żydowski. Nigdy jeszcze nie widziała mężczyzny, który by mniej pasował na ogrodnika, ale właśnie dlatego tu przyjechał.

Pojawili się Voda, India i Buffy, wnosząc jedzenie. W tej samej chwili wydarzyły się dwie rzeczy. Obok Lavinii rozległo się głośnie syknięcie. Mary sobie przypomniała! I zadzwonił dzwonek.

Lavinia zerwała się na nogi. Uratowana przez dzwonek!

– Ja otworzę! – zawołała do obładowanych talerzami gospodarzy. Była jedną z nich, członkiem cyganerii. Zastanawiała się, czy powinna przewiązać włosy chusteczką jak Voda.

Pospieszyła do korytarza i otworzyła drzwi. Nadal lało. Na progu stał przemoknięty do suchej nitki mężczyzna z reklamówką w ręce.

Popatrzył na nią i wzdrygnął się.

– Skąd się tu, kurwa, wzięłaś?

Przyjrzała mu się. Wyglądał jakoś znajomo.

– Gdzie jest moja Voda? – Cuchnął alkoholem, przepchnął się obok niej i ruszył korytarzem.

Poszła za nim do jadalni.

– Voda! – krzyknął.

Dziewczyna zamarła z talerzem w dłoni.

– Conor! Co ty tu robisz?

– A jak ci się zdaje, kobieto? Dlaczego po mnie nie przyjechałaś? Musiałem się tłuc pieprzonym autobusem. – Ruszył w jej kierunku, zataczając się i obijając o krzesła.

– Dobry Boże – mruknął Buffy. – Znowu Duggie. Mam déjà vu.

– Miałeś wyjść dopiero w następny wtorek. – Voda postawiła talerz na stole.

– W ten wtorek, głupia krowo! – Chwycił ją. – Daj buziaka!

Odepchnęła go.

– Nie tutaj!

Goście obserwowali scenę z kieliszkami zastygłymi w połowie drogi do ust.

Chwycił ją za ramię.

– Chodźmy do domu.

– Nie mogę! Podaję obiad.

– Pierdolić obiad! – Patrzył na nią spode łba z twarzą oblepioną włosami. – Bierz auto, jedziemy.

– Proszę, Conor! Zaczekaj na mnie w kuchni.

– To tam jest moje miejsce, tak? W pierdolonej kuchni? – Znowu ją chwycił.

– Przestań – syknęła Voda. – Wszyscy patrzą.

– O, wszyscy patrzą! – przybrał afektowany ton. – To cię bardziej obchodzi, co? Dzięki za powitanie, dziwko.

Podeszła do niego Lavinia.

– Nie odzywaj się tak do niej, młody człowieku. Jestem sędzią...

– Wiem, ty skwaszona cipo. Pamiętam cię.

– Państwo wybaczą! – Buffy zagrzmiał do ich widowni zastygłej w blasku świateł.

Voda wzięła chłopaka za rękę.

– Jesteś pijany, Conor. Chodź, usiądziemy gdzieś w jakimś spokojnym miejscu.

Wyrwał dłoń.

– Chyba powinni wiedzieć, co? – Odwrócił się do gości. – Popatrzcie na nią, taka milusia świętusia, cholernej muchy by nie skrzywdziła, ale nie dajcie się zwieść. Ma serce z pierdolonego kamienia...

– Nie mów tak o niej! – wykrzyknęła India.

Conor popatrzył na nią, potem odwrócił się do Vody.

– Kto to?

India odpowiedziała:

– Jestem jej dziewczyną.
– Kim tam jesteś, nie wściubiaj pieprzonego nosa w...
– Jestem jej dziewczyną – powtórzyła India z pąsową twarzą.
– Nie teraz, kochanie – syknęła Voda.
– Za późno. – India odwróciła się do Buffy’ego. – Kocham ją, jesteśmy kochankami, o, jak cudownie powiedzieć to wreszcie na głos.
– Kim jesteście? – Buffy’emu opadła szczęka.
India jeszcze mocniej spąsowiała.

– Miałyśmy ci powiedzieć... miałyśmy powiedzieć jemu, gdy wyjdzie z więzienia. Miałyśmy powiedzieć całemu światu...

Nagle Conor wybuchnął płaczem. Niski, o szczurzej twarzy, w dżinsowej kurtce zmoczonej deszczem, wzbudzał żal. Na szyi miał sznur czegoś, co przypominało zęby gryzoni. Voda go objęła i osunął się w jej ramiona, wstrząsany szlochem.

– Nie zostawiaj mnie, maleńka. Nie wiem, o czym ona gada. Nie zostawiaj mnie. Poprawię się, będę już grzecznym chłopcem.

India dotknęła dłoni Buffy’ego.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam, żeby tak wyszło. Nie tak to planowałam.

– Nie, podejrzewam, że nie. – Przygładził włosy. – Ale co idzie zgodnie z planem?

* Francis Turner Palgrave, *The Golden Treasury of the Best Songs and Lyrical Poems in the English Language*.

Buffy

Tylko pięciu mężczyzn zapisało się na autorski kurs Buffy'ego „Jak rozmawiać z kobietami”. Upokarzające pustki na widowni nie były dla niego pierwszoznaczną. Pamiętał popołudniowe przedstawienie *Detektywa* w Harrogate, gdy widownia składała się z dwóch staruszek, które schroniły się przed deszczem, i ślepeca z psem przewodnikiem. Z jakiegoś powodu mężczyzna przyniósł ze sobą miskę z wodą, z której pies głośno chleptał podczas sceny demistyfikacji w drugim akcie. Nie przeszkadzało to jednak staruszkom, które spały sobie w najlepsze.

Buffy'ego nie zdziwił ten brak chętnych. Większość mężczyzn w życiu by nie przyznała, że ma problemy z komunikacją z kobietami. Buffy przypomniał sobie kłótnię Lance'a i Janet Pritchardów sprzed kilku miesięcy. „Nie mamy problemu” – upierał się Lance. „W tym właśnie problem – powiedziała jego żona. – Doskonale to określiłeś”. Zatem już sam fakt, że tych pięciu odważnych uświadamiało sobie własną ułomność, stanowił w pewnym sensie połowę sukcesu. A on nauczył ich reszty.

Miał wszystko dokładnie zaplanowane. Szanse, że nauka przeciągnie się na pięć dni, były marne, ale przy odrobinie szczęścia rzucą wszystko w diabły i pójdą do pubu. Brakowało mu męskiego towarzystwa. Teraz, gdy India została domownikiem, poziom estrogenów w Myrtle House gwałtownie się podniósł: razem z Vodą chichotały przy ścieleniu łóżek, zgodnie kołysały się przy gotowaniu, nawet grzebały sobie nawzajem we włosach, niczym iskające się małpy. Cieszył się oczywiście, że India się zakochała, ale nieliczni goście pensjonatu, którzy pojawili się od ostatniego kursu, też byli płci żeńskiej, zatem przydałby mu się zastrzyk testosteronu.

Od spektakularnego coming outu Indii – jakże rzadko w życiu zawodowym zdarzało mu się wywołać tak żywą reakcję widowni! – minęły dwa tygodnie. Kilka dni później Conor zniknął, Bóg jeden wie

gdzie, a India wypowiedziała mieszkanie w Londynie i szykowała się do przeprowadzki do domku Vody. Buffy zadzwonił do Jacquetty, żeby omówić ów obrót wydarzeń w duchu „kurczę, co ty na to?”, ale, jak zwykle jego była go zmiażdżyła. „Ty naprawdę masz obsesję na punkcie płci, prawda?” Okrasiała to protekcyjnym westchnieniem. Po tych wszystkich latach nadal potrafiła sprawić, że czuł się jak prostak.

Było niedzielne popołudnie. Nocująca w pensjonacie intelektualistka z Oxfordu, która przyjechała na jakiś koncert, dawno już się zabrała. Dom był gotowy na przyjęcie pięciu kursantów. Buffy i Voda siedzieli w kuchni, opracowując menu na najbliższy tydzień.

– Biedny Conor – powiedziała Voda. – Jak znajdzie sobie inną kobietę, skoro ma moje imię wytatuowane na plecach?

– Dużymi literami?

Skinęła głową.

– Z zawijasami i smokiem.

– Ciut ryzykowne, można by rzec.

– Ponoć usuwanie jest bardzo bolesne. – Westchnęła. –

Zamierzamy z Indią posadzić warzywa pod jego folią. No, pod moją folią. Wszystko należy do mnie, Conor nigdy na nic nie dał złamanego grosza, taki był z niego darmozjad. Dziwne, że człowiek przegląda na oczy dopiero po rozstaniu.

Buffy skinął głową.

– Jak to mówią, miłość jest ślepa.

– I nigdy ze mną nie rozmawiał, nie tak naprawdę. Po prostu coś mówił.

– Powinien zapisać się na mój kurs – zachichotał Buffy. – Tylko żartowałem.

– A z Indią rozmawiamy przez cały czas.

– Miło widzieć was obie takie szczęśliwe – stwierdził. – Od razu wiedziałem, że coś się święci, gdy zaczęła nazywać cię Vody. – Kłamał. Niczego nie podejrzewał. Miał się za spostrzegawczego, ale człowiek czasami nie zauważa tego, co ma przed samym nosem. Ot, choćby Jacquetta i jej psychoanalitik – jej zaróżowione policzki, gdy wracała z „terapii”, i potrzeba kąpieli zaraz po tym. Nie mógł powiedzieć tego Vodzie. W końcu Jacquetta była matką jej kochanki, a rodzina jest

zawsze najważniejsza, nawet taka, z którą nie utrzymuje się kontaktów.

Buffy poczuł się nagle bardzo samotny. Voda była taka młoda i taka kobieca. Raz czy dwa rozmawiali o jej problemach z Conorem, ale teraz pogrzyła się w saficznym świecie, gdzie Buffy nie mógł się pchać ze swoimi wielkimi, owłosionymi, niewrażliwymi męskimi kulasami. Żałował, że nie ma tu Harolda. On by zrozumiał, jemu także życie dało w kość, jemu także kobiety dopiekły. Mówili zgodnym chórem. Problem z lesbijkami polega na tym, że mężczyźni czują się przez nie niepotrzebni. Wszystko, co mają do zaoferowania, to te swoje żalosne kutasiki, które są w sposób oczywisty, tak bardzo oczywisty, zupełnie zbędne. Omawiali to szczegółowo z Haroldem w odniesieniu do jego byłej żony, Pii, także odszczepieńczej lesbijki, której historia przypominała trochę aferę z Jacquettą, tyle że bez bajońskiego akordu na zakończenie w postaci ohydnych, odrażających alimentów. Strata Ivona Hitchensa nadal bolała.

– Gdzie oni wszyscy się podziewają? – Voda zerknęła na zegarek. Było wpół do szóstej. Kursanci powinni już tu być.

Weszła India i ją pocałowała. Na miłość boską, przecież tylko nakrywała do stołu w sąsiednim pokoju! Buffy poczuł się wykluczony.

– Gdzie są wszyscy? – spytała India.

– Pojęcia nie mam. – Voda odwróciła się do Buffy’ego. – Czy ktoś dzwonił i uprzedzał, że się spóźni?

Buffy pokręcił głową. Dziewczęta zaczęły kroić warzywa. Patrząc na szerokie plecy Vody, na jej luźne spodnie w gwiazdki, zastanawiał się, czy już wcześniej była lesbijką. Teraz, gdy się ujawniła, zdecydowanie wyglądała na taką. Harold powiedział to samo o swojej żonie, choć tamta była ponoć bardziej koścista. Voda miała w sobie coś nieprzejednanego, czego wcześniej nie zauważył, rodzaj lekkiej pogardy w stosunku do mężczyzn. Miał nadzieję, że jego wyklucza z tej kategorii. Był stary, gruby i na dobrą sprawę już zupełnie nie męski.

Nagle zrobiło mu się żal siebie i zostawił je, zabierając psa na spacer. Było szare, wietrzne popołudnie, dzwony kościelne wzywały wiernych na wieczorne nabożeństwo. Na drodze leżał kawał tynku. Odpadł od stojącego opodal budynku Starego Sądu. Gmach wystawiono na sprzedaż, ale jak dotąd nie pojawili się chętni, a rady nie było stać na

jego utrzymanie i powoli popadał w ruinę. Ktoś mógł zginąć! Kolejna ofiara cięć! Zaledwie tydzień wcześniej listonosz złamał nogę, potknąwszy się o wyrwę w chodniku.

Na kościelnym cmentarzu Buffy spotkał Roya, dziennikarza, z jego dużym pudlem.

– Może wyskoczmy na jednego? – spytał Roy, zerkając na zegarek.

Buffy niechętnie odmówił i wyjaśnił, że oczekuje na uczestników kursu o tym, jak gadać z kobietami.

– Chyba jak je sobie przygadać? – powiedział Roy. – Mój patent zawsze działał. Dawałem cizi dwupensówkę i mówiłem: „Zadzwoń do mamy i powiedz, że nie wrócisz na noc do domu”.

– Dwupensówkę? Dobry Boże, kiedy to było, w epoce kamienia?

Roy skinął głową, nagle ponury.

– Tak czy siak, nie chodzi o to, jak je sobie przygadać – wyjaśnił Buffy. – Tylko o to, jak nie gadać o swoim samochodzie.

– Ale zdawało mi się, że gadanie o samochodzie już było. Ktoś z kimś się wtedy bzyknął?

– Nie ci, których obstawiałem. – Buffy patrzył, jak ich groteskowo niedobre psy – ogromny pudel i malutki terier – obwąchują sobie zadki. – I okazało się, że niektórzy w ogóle nie przyjechali z powodu rozstania. Zapisali się z różnych przyczyn.

– Ale na bank wszyscy twierdzili, że w życiu nie czytali „Daily Express”.

Buffy zostawił Roya w Knockton Arms i ruszył dalej Church Street, gdzie w pubie zebrani będą niedługo ostrzyć ołówki do kwizu. Światło prześwitywało przez zasłony. Przypomniawszy sobie swój pierwszy dzień tutaj, gdy listonosz pogwizdywał, a on pomyślał: „Mógłbym tu zamieszkać”. I najwyraźniej nie był w tej opinii odosobniony. Niedawno wpadł na pocztę na Nolana, ponoć Amy przeniosła się z Londynu i zamieszkała z nim i jego matką. India także spakowała manatki i chce się tu osiedlić. A nie dalej jak tego ranka zadzwonił Harold z informacją, że zamierza zostawić dom w Hackney pod opieką córki i wynająć pokój w Knockton, żeby dokończyć powieść. Kto by się tego wszystkiego spodziewał, gdy Buffy wyskoczył ze swoim pomysłem? Jego kursy

miały naprawdę niespodziewane skutki.

Jednak gdy wrócił do domu, nowych kursantów nadal nie było. Minęła dziewiętnasta, obiad gotował się na piecu. Voda poszła do biura i zerknęła w komputer.

– Myślisz, że stchórzyli? – spytała India.

– Sprawdziłam maile – oznajmiła Voda po powrocie. – Wszystkie z wyjątkiem jednego są od cholernych byłych żon. To one ich zapisały.

– Nic dziwnego, że nie przyjechali! – wykrzyknęła India. – O, Boże, co my zrobimy z tym całym jedzeniem?

– No, a co z opłatami za kurs, ja cię proszę?! – powiedziała Voda. – Babska wpłaciły tylko zadatki.

– A co z moim kursem? – dodał Buffy. – Przygotowywałem się do niego od tygodni.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi.

Buffy ruszył pospiesznie korytarzem i otworzył. Na progu stał wysoki, sympatyczny mężczyzna w przeciwdeszczowej kurtce. Przedstawił się jako Andy Jeffreys i Buffy wpuścił go do środka razem z torbą.

– Sprzęt zostawiłem w aucie – oznajmił przybysz.

Co miał na myśli? Buffy wzruszył ramionami i zaprowadził go do kuchni.

– Zdmuchnij świece, Voda, zjemy tutaj. – Odwrócił się do Andy'ego. – Niestety, nikt inny się nie zjawił.

Andy zamrugał w świetle jarzeniówki. Rozejrzył się speszony.

– Nie wiedziałem, że serwujecie wieczorny posiłek. Zamierzałem zostawić manele i wyskoczyć coś zjeść do pubu.

– Wielkie nieba, człowieku, toż to wszystko jest w pakiecie. – Buffy popatrzył na szereg garnków. – Mam nadzieję, że jest pan głodny.

Okazało się, że Andy jest listonoszem. Mieszka w Neasden i, nagabywany, wyjawiał, że niedawno rozstał się z żoną. Nie mówił za wiele, ale z drugiej strony, niczego innego się nie spodziewali. Inaczej by go tu nie było. Siedzieli we czwórkę przy stole i pałaszowali gulasz z wołowiny i chorizo. Powiedział, że jego była, Toni, zajmuje się odnawianiem domów.

– Lubi budynki z potencjałem. – Rozejrzył się po kuchni. –

Oszalałaby na punkcie tego miejsca. Choć pewnie ogrzewanie trochę kosztuje.

– Rozmawialiście o tym? – spytał Buffy.

– Słucham?

– O jej pasji odnawiania domów? – Równie dobrze mógł od razu przejść do rzeczy, nie było sensu wygłaszać mowy porządkowej o podpaskach.

– Nie bardzo. – Andy zamilkł.

– To o czym rozmawialiście?

Popatrzył na Buffy'ego lekko zaskoczony.

– Nie wiem. O tym i owym.

– Daj mu zjeść w spokoju – powiedziała India. – Biedak jechał aż z Londynu. Nie możesz wstrzymać się z tym do jutra?

– Do jutra? – Brwi Andy'ego podjechały do góry.

– Ma rację – poinformował go Buffy. – Choć to będzie trochę dziwne: robić to tylko we dwóch.

Andy spojrzał na niego zdeprymowany. Niewątpliwie został zmuszony do przyjazdu wbrew swojej woli i teraz obleciał go strach. Może w nocy da drapaka? Mężczyźni potrafili być takimi tchórzami. Ale na jego miejscu Buffy pewno zrobiłby to samo.

Voda przyszła na ratunek, opowiadając o miejscowych atrakcjach. Andy słuchał uprzejmie, a Buffy usiłował go ocenić. Przystojny, choć jakby nie zdawał sobie z tego sprawy. Zaskakująco gęste włosy, skóra opalona od przebywania na świeżym powietrzu. Facet pełną gębą, to na pewno. Już im powiedział, że pojechał A40 zamiast autostradą z uwagi na roboty drogowe w Coventry, pewny znak, że nie jest świadom własnych uczuć.

– Widział pan już kiedyś Walię? – spytała India.

Andy skinął głową.

– Choć ostatnim razem to była katastrofa.

Buffy nadstawił uszu.

– Katastrofa? W jakim sensie?

Andy zastanawiał się chwilę.

– Mówiąc szczerze, taki emocjonalny rollercoaster.

Wszyscy troje nachylili się do niego z błyskiem w oczach.

– Co się stało? – spytała India. – Niech się pan podzieli z grupą swoimi przeżyciami.

– Anglia przegrała sześćdziesiąt cztery do ośmiu. Dopiero w ostatniej minucie zdobyli przyłożenie.

Opadli na krzeselka z westchnieniem. „No, to trafił się nam egzemplarz. Ach, ci mężczyźni!”

Po kolacji Andy udał się do swojego pokoju, żeby się rozpakować. Było jasne, że nikt więcej nie przyjedzie. Zakochane gołębice oddelegowały się do domku Vody. Ponieważ plany dotyczące kursu i tak wzięły w łeb, Buffy postanowił zabrać Andy’ego do pubu. Wprawdzie na kwiz się już nie załapią, ale napiją się po browarku ze starymi moczymordami.

Pozostawało pytanie, jak ma prowadzić kurs z tylko jednym kursantem? Zaplanował wcześniej ćwiczenia z odgrywaniem ról, które teraz nie wchodziły już w grę. Podobnie jak zgaduj-zgadula, jaką opracował dla rozrywki. Gdy czekał, aż Andy zejdzie, całe przedsięwzięcie wydało mu się nagle absurdalne. Nic dziwnego, że zjawiała się tylko jedna osoba. Jak mógł się uważać za autorytet w kwestii związków, skoro jego własne osiągnięcia na tym polu przedstawiały się tak mizernie? Oczywiście wśród długiej listy skarg i pretensji, jakie słyszał od rozlicznych kobiet swojego życia, samcza milczkowatość nie zajmowała poczesnego miejsca, w zasadzie była to jedyna wada, której nikt mu nigdy nie zarzucał. Uwielbiał pogawędki, interesował się strojami i zawsze zauważał, co kobieta ma na sobie, chętnie oglądał ckliwe filmidła, nie interesował się sportem ani samochodami, doskonale się czuł w domowym zaciszu i godzinami mógł sobie siedzieć i gawędzić – chociaż to ostatnie, teraz to sobie uświadomił, spotykało się z potępieniem jako gnuśność. Największą przyjemność jednakże sprawiało mu omawianie całego emocjonalnego podglebia, które stanowiło podstawę wszystkiego – tak niezmiernie fascynujące, tak nieustannie absorbujące. Dlaczego w ogóle ludzie rozmawiają o czymś innym?

– To będzie dziwne, tylko nas dwóch przez pięć dni – powiedział Buffy, gdy Andy się pojawił. – Chyba należy się panu jakiś zwrot.

– Zwrot?

– Może moglibyśmy po prostu pooglądać filmy. *Kiedy Harry poznał Sally* doskonale przedstawia walkę płci.

– Ma pan na myśli wieczorami? – Andy patrzył na niego z dziwną miną. – Nie będzie mnie cały dzień, ale na czas po powrocie jeszcze niczego nie zaplanowałem. – Szli korytarzem. Andy, pogrążony w myślach, przystanął przed drzwiami. – Nie musi mnie pan zabawiać, słowo.

– Ależ, mój drogi... – Buffy urwał. Coś mu tu umykało.

Wyszli z domu i ruszyli ulicą. Może gość jest upośledzony albo ma aspergera. Wyglądało na to, że zupełnie nie orientuje się w sytuacji. Może – o, Boże – jego była w ogóle nie powiedziała mu o kursie! Zapisała go w ramach zemsty. Albo może – bardziej miłosierna myśl – działała w jego najlepszym interesie, bo chciała, żeby jego następna partnerka miała większe szanse na szczęście. Kurs miał być jak te powitalne pakiety w wakacyjnym lokum – chleb, jajka, torebka neski – na dobry początek. Po zastanowieniu wydało mu się to jednak zbyt szlachetne, by mogło być prawdziwe.

Andy zatrzymał się przy zaparkowanym pod latarnią aucie.

– Zastanawiałem się, czy nie powinienem wnieść sprzętu do domu – powiedział. – Nie chcę, żeby ktoś go zwędził.

Buffy zajrzał na tylne siedzenie. W świetle latarni wypatrzył długie, okazałych rozmiarów przedmioty i parę wodoodpornych woderów.

Andy zajrzał do wnętrza razem z nim.

– Naprawdę wygląda kusząco – oznajmił.

Buffy'emu zakręciło się w głowie. Gość jest obłąkany.

– Po co panu takie długie kalosze? – spytał.

– Do łowienia ryb naturalnie – odpowiedział Andy.

Zapadło milczenie. Z drogi, gdzie przed wejściem do pubu stali zbici w grupkę palacze, dobiegł wybuch śmiechu.

– Kiedy zamierza pan iść na ryby? – spytał Buffy słabym głosem.

– Jutro z samego rana, o świcie. Ponoć do Wye jest dwadzieścia minut drogi. Miałem właśnie zapytać, o której serwujecie śniadanie.

Buffy się zaśmiał wysokim histerycznym śmiechem.

– Pryska pan, tak?

– Moja żona tak mówiła. Twierdziła, że wędkuję tylko po to, żeby

wybyć z domu, niby że przed nią uciekam. Twierdziła, że wszyscy wędkarze to żalosne dranie, ale to zupełna nieprawda. Łączy nas duch koleżeństwa. I mówiła jeszcze, że nigdy nie rozmawiamy. To też nieprawda. Rozmawiamy. O rybach... – Urwał, żeby zaczerpnąć tchu.

Powoli do Buffy'ego zaczynało docierać. Facet wcale nie zapisał się na żaden kurs. Wybrał się po prostu na ryby.

– Bardzo pana przepraszam – powiedział. – Pewnie uznał pan, że jestem walnięty. Najwyraźniej zaszło jakieś nieporozumienie z rezerwacjami.

Kiedy już to sobie wyjaśnili, weszli do pubu na pokrzepiający kufel piwa. Rozmowa o rybach rozwiązała Andy'emu język i uwolniła pokłady liryzmu w jego duszy. Gdy siedzieli przy kominku, rozwodził się poetycko na temat migracji łososi. Ponoć płynęły aż na Grenlandię, by osiągnąć dorosłość, a potem wracały, żeby złożyć ikrę w tym samym miejscu rzeki Wye. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że po tym, jak zadały sobie tyle trudu, on staje na brzegu i czeka, żeby je zamordować.

– Czujesz napięcie linki – mówił. – Coś jest pod wodą, ale nie wiadomo co. Potem zaczyna ciągnąć mocniej i nagle, a niech mnie! Z wody wyskakuje prawie metr żywego srebra!

Powiedział, że wędkować nauczył go ojciec, wypadły na ryby to była jedyna okazja, gdy miał tatę tylko dla siebie, czas błogiej szczęśliwości: zabierali z domu kanapki i zostawali nad wodą cały dzień. W drodze powrotnej ojciec zatrzymywał się na parkingu dla kamperów, gdzie miał coś do załatwienia. Andy bawił się na huśtawkach. Dopiero później, gdy ojciec zniknął na zawsze, odkrył, że mieszkała tam jego kochanka.

– Żona chciała, żebyśmy kupili przyczepę, ale ja nie mogłem. Były dla mnie, sam nie wiem... skażone.

– Jak zareagowała, gdy jej pan to wyjaśnił?

Andy zastanawiał się chwilę.

– Nie wiem. Chyba nigdy jej nie wyjaśniłem.

– Nie powiedział jej pan? Wielkie nieba, człowieku! Pomyśl, ile straciłeś współczucia, na którym mogłeś potem grać w trudniejszych momentach.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. – Andy zapatrzył się w ogień.

– Aż do teraz. Chyba po prostu nikt nie pytał.

Buffy spoglądał na niego z fascynacją. Jaka szkoda, że Andy nie uczestniczy w kursie. Gdyby ten istniał.

Andy

Siedząc przy kominku, Andy czuł się bardzo osobliwie. Opowiadał Buffy'emu o najróżniejszych sprawach – nawet takich, o których, jak mu się zdawało, sam nie wiedział. Po części było to skutkiem dwóch kufli ludlow gold, nie wspominając już o winie wypitym do kolacji. Ale sprawił to także jego gospodarz. Jeszcze nigdy nie spotkał podobnego człowieka. Pogawędka z Buffym zupełnie nie przypominała rozmów z kumplami z pracy – w sortowni listów takie zwierzenia nigdy się nie zdarzały. Wydawało się, że kaprawe oczy tego brodatego starszego dżentelmena widziały już wszystko.

– Czego chcą kobiety? – spytał Andy.

– Chcą kobiety z kutasem.

Andy rozważał to przez chwilę.

– Nie chcę być kobietą. Chcę być mężczyzną. Ratować ludzi z płonących budynków. – Opowiedział Buffy'emu o Parku Listonosza, o poruszających zapisach codziennego ludzkiego bohaterstwa. – Teraz już nie ma okazji do podobnych czynów.

– I dzięki Bogu – uznał Buffy.

– Moja żona była odważniejsza ode mnie. Skakała na bungee.

– Szalona!

– Można sobie przy tym rozerwać śledzionę.

– Naprawdę? – zainteresował się Buffy.

Andy rozpoznał kolegę hipochondryka.

– Coś paskudnego, tak czy siak. Wprawdzie listonosz zarabia grosze, ale przynajmniej praca jest bezpieczna. Można najwyżej złapać przeziębienie.

– Nie byłbym taki pewien – powiedział Buffy. – W zeszłym tygodniu nasz listonosz złamał nogę. Widziałem go na rynku, jak kuśtykał o kulach.

Buffy miał rację, nigdzie nie było bezpiecznie. Katastrofa czaiła się

w najzwyczajniejszych miejscach – na North Circular, nawet w salonie. Jednak teraz, w tej przytulnej przyjemnej sali – z jej serdeczną atmosferą i ogniem trzaskającym w kominku – Andy czuł, że nic strasznego nie może go spotkać. To był pub z prawdziwego zdarzenia, taki, jakich się już nie spotykało w Londynie. Tam puby roiły się od hałaśliwych dzieciaków upijających się do nieprzytomności albo zostały poprzerabiane na restauracyjki z daniami serwowanymi *au jus*, cokolwiek to znaczyło, i kosztującymi krocie. Poza tym czekał go tydzień wędkowania, Andy zaś nie mógł wymarzyć sobie bardziej zachwycającej perspektywy. Gdy Ryan podrośnie, zabierze go kiedyś ze sobą i nauczy wędkować, tak jak ojciec nauczył jego, zanim wszystko się popsulo.

Opowiedział Buffy’emu o swoich obecnych kontaktach z Toni, do której wpadał, by zabrać małego na mecz, o tym, jak się do siebie zbliżyli.

– Wychodzi na to, że dopiero odkąd jesteśmy w separacji, naprawdę się zaprzyjaźniliśmy.

– Zna pan ten dowcip rysunkowy? Para mówi: „Byliśmy szczęśliwi, dopóki nie zachciało ci się związku”. Trafny jak cholera, z mojego doświadczenia.

– Było tyle presji. Żeby się spisać, rozumie pan? Być facetem. Ale to ona była kobietą sukcesu, zarabiała prawdziwe pieniądze. Mówiąc szczerze, dość kastrujące doświadczenie.

Buffey opowiedział mu o jednej ze swych żon, Penny, która była dziennikarką i nosiła spodnie. Szła przez życie z promienną pewnością siebie, kołysząc błyszczącymi włosami, i kiedy Buffy przestał dostawać role, stał się kurem domowym i zagadkowym dodatkiem w jej rubryce gastronomicznej.

– „Mój towarzysz zamówił turbota”, te sprawy. Nie przeszkadzało mi to, zawsze to darmowa wyzerka. Ale potem zaczęła przygotowywać do „Antiques Monthly” felietony z cyklu „On w domu”. Poświęcone różnym śmiesznym dziwactwom mężusia w fartuszku i jego ogólnej nieudolności. Wyobraża pan sobie, jak coś takiego podziałało na układ hydrauliczny?

Andy’ego to pokrzepiło. Nie był sam! Popatrzył na innych

klientów, opartych o bar, opowiadających sobie dowcipy. Wyglądali na szczęśliwych. Może w Knockton mężczyźni nadal mogą być naprawdę mężczyznami. W takim miejscu trzeba narąbać drewno, zabezpieczyć zagrodę przed burzą, przeprowadzić traktor przez błoto i gnój. Wyobraził sobie, jak wraca do domu, ściąga wysokie buty, a jego kobieta – jego kobieta! – zarzuca mu ramiona na szyję i z czułością wyjmując gałązkę z włosów. „Witaj w domciu, staruszk”, powiedziała by swoim śpiewnym walijskim głosem.

– Co pana tak bawi? – spytał Buffy.

Andy przełknął piwo.

– Nic. – Wskazał kufel Buffy’ego. – Jeszcze po jednym?

Buffy

Myrtle House opustoszała w sposób namacalny. Teraz, gdy kurs został odwołany, niemal wyczuwało się nieobecność kursantów. Kim byli ci widmowi mężczyźni, których Buffy już nigdy nie pozna? Czy wiedzieli chociaż, że przygotowano dla nich pokoje? Rozdrażnienie z powodu straty dochodu ustąpiło w Buffym miejsca bardziej metafizycznemu poczuciu osamotnienia, gdy obijał się o ściany pustego domu. Voda wzięła kilka dni wolnego, by pomóc Indii zakwaterować się w swoim domku, Andy całe dni spędzał na rybach. Buffy siedział więc sam, za towarzystwo mając jedynie Figa, a nawet pies zrobił się niespokojny i marudny: drapał w drzwi pokoi, jakby chciał przywołać do życia lokatorów. Deszcz jak zwykle walił w okna, a po zmianie czasu wydawało się, że zaczyna się zmierzchać zaraz po lunchu. Kiedyś, po drzemce, Buffy zszedł na dół o zmroku i usłyszał jakiś dźwięk w kuchni. Był jeszcze zaspany i półprzytomny. Gdy przystanął przed drzwiami, wiedział, po prostu wiedział, że w środku jest Bridie. Krzątała się w swoim kimonie, nastawiając imbryk, żeby zrobić im herbatę.

Kiedy włączył światło, kuchnia okazała się pusta. I nagle boleśnie zatęsknił za Bridie. Za jej żartami, whisky, miłością, którą obdarzała takim hojnym gestem „Byliśmy szczęśliwi, dopóki nie zachciało ci się związku”. Bridie nigdy nie wyraziła podobnego pragnienia, a on jej uwierzył. Może jednak oboje się mylili? Może była miłością jego życia?

Może przyjaźń i pełne czułości seksualne zadowolenie właśnie to oznaczały?

Buffy stał w miejscu, znowu unieruchomiony przez przeszłość. Z kim mógłby porozmawiać? Voda, jego najczęstsza towarzysząca, nie należała do najbardziej ciekawskich kobiet. Poza tym tyle osób, które kochał, już nie żyło. Czemu miałyby interesować Vodę, skoro on sam z trudem przypominał sobie twarze niektórych z nich?

Ale co ma zrobić z tymi wszystkimi wspomnieniami? Bez gości, którzy zaprzętały jego myśli, przewalały mu się po głowie, aż zaczynało mu się w niej kręcić. Rozmowa o Penny przypominała mu o byłej żonie. Nie widział się z nią od roku lub dłużej, ponoć wyprowadziła się do jakiejś odległej wioski w Suffolk. To wydawało się do niej takie niepodobne, że miał wrażenie, jakby jej nigdy nie znał. Czy nadal żyje z tym fotografem w wieku płodowym? Nie miał pojęcia, nie łączyły ich dzieci, zatem po rozwodzie całkiem zniknęła z jego życia.

Po dawnej goryczy nie został nawet ślad, teraz z czułością wspominał wspólnie spędzone lata. Bez dwóch zdań použíwali sobie: posiłki na mieście, wycieczki za granicę, wszystko na koszt firmy. Penny była swego rodzaju legendą w tym względzie, nawet wśród kolegów dziennikarzy. Nie sposób było nie podziwiać jej hucpy, pamiętał, jak opłaciła gruntowny remont mieszkania w Blomfield Mansions za honorarium za artykuł w „Sunday Timesie”, który liczył zaledwie czterysta słów. Buffy nie zdziwiłby się, gdyby i jego odpisywała sobie od podatków.

Te czasy błogiej darmochoy dawno minęły, i dla dziennikarzy, i dla niego samego. Ale były prawdziwą frajdą. Po raz pierwszy od miesięcy Buffy zatusknął za jaskrawymi światłami Londynu. Wyobraził sobie, jak kartkuje „Time Out” i zakreśla filmy swoim pentelem. Po przechadzce po Soho uraczyłby się tartą malinową w Maison Bertaux, której wystrój nie zmienił się od trzydziestu lat i gdzie tamten miły gość, jak mu tam, Belg, powitałby go, jakby dopiero wczoraj się widzieli. Potem może jeszcze spacer po Chinatown i przez Leicester Square, gdzie Buffy śmiałby się z politowaniem z turystów na tyle głupich, by jeść w Angus Steak House. Później by wrócił i zaszedł do Coach & Horses na kilka kufli ze starą wiarą. Wreszcie jakiś program albo film, po którym

wylądowały przy dużym, głośnym stole u Joego Allena, najlepiej z kimś, kto uściłby rachunek.

Gdyby jednak miał być szczery, musiałby przyznać, że ta wizja życia w roli flanera nie przypominała ostatniego okresu jego egzystencji w Londynie. Większość czasu zajmowały mu wtedy wizyty u osteopaty, pediatry albo u łoża boleści przyjaciół, po których następowały wycieczki na ich pogrzeby w takich przerażających miejscach jak Penge. Duża część dnia mijała także na wkurzaniu się, a lista powodów zdawała się ciągnąć bez końca (rowerzyści na chodnikach, rząd, komórki w pociągach, ten bezwstydnny kabotyn Digby zdobywający Oscara i tak dalej, i tak dalej). Podobnie rzecz się miała z rzewnym rozpamiętywaniem przeszłości, co właśnie teraz robił.

Wyratował go Harold. Zadzwoił w piątek i powiedział, że przeprowadza się do Knockton, a jego córka zostanie na gospodarstwie w Hackney. Wynajął mieszkanie nad sklepem z konfekcją męską w centrum i miał przyjechać za tydzień.

– Trzeba kuć żelazo, póki gorące – powiedział. – Wszystko przez ciebie, stary druhu. Knockton sprawiło, że stare soki twórcze ożyły. To miejsce ma w sobie coś szczególnego, poczułem to, gdy kupowałem proszek na świerzbowca.

Buffy'ego nadzwyczajnie ucieszyły te wieści. Harold bardzo mu przypadł do serca i przywiezie ze sobą tak mile widziany powiew metropolii. Bo choć Buffy bardzo polubił wielu tutejszych mieszkańców, nie spotkał jeszcze w pubie bratniej duszy wśród starych recydywistów i hipisów w sandałach, poza tym małżeństwo Harolda z Pią tak bardzo przypominało jego związek z Jacquettą, że Buffy miał wrażenie, jakby byli braćmi krwi.

Sklep z konfekcją Daia Jonesa mieścił się między frytkarnią a sklepikiem z magicznymi kryształami. Jego okno wystawowe słynęło ze swojej niezmienności. Bezgłowe manekiny, ubrane w różne kurtki sportowe oraz spodnie ze sztruksu i diagonalu, stały krzywo niezależnie od pory roku. W sklepie, będącym własnością już całych pokoleń Jonesów, ubierały się całe pokolenia farmerów i ich synów. Ponoć Connie z Costcutter pracowała tam jako młodzieniec, zanim zmieniła płeć, a miejsce zarobkowania na supermarket.

Buffy opowiedział to Haroldowi, gdy siedzieli w mieszkaniu nad sklepem, osuszając powitalną butelkę prosecco. Był sobotni ranek, słońce wpadało przez okno. Na podłodze leżały bagaże Harolda: laptop i walizka.

– Będę żył jak cygan, dopóki nie skończę pracy – powiedział. – Jak słusznie zauważyła Virginia Woolf, człowiek potrzebuje tylko własnego pokoju.

– Ale przecież w Hackney masz cały dom.

– Nie czepiaj się. – Opowiedział Buffy’emu o pewnym znajomym powieściopisarzu, który mieszkał w dworku w Dorset. – Każdego dnia idzie uroczyć przez ogród do zimnej, małej szopy usłanej martwymi osami. To jedyne miejsce, gdzie może pisać. – Wstał i otworzył okno. – Spójrz! Tutaj jest prawdziwe życie. Uwielbiam tych ludzi, przystają, żeby ze sobą pogawędzić, zupełnie jak w *Brigadoon!*

Buffy także podszedł do okna.

– Kiedy tu przyjechałem, też to poczułem. Nawet psy są jakby przyjaźniejsze.

– O, a spójrz tam! Listonosz pogwizduje.

Buffy zrobił okrągłe oczy.

– Dobry Boże, toż to Andy.

I rzeczywiście, był to Andy. W czerwonej kurtce listonosza z paczką w ręku. Pomimo odgłosów ulicy jego pogwizdywanie niosło się aż do mieszkania Harolda. Doręczył paczkę do „Jill oferuje”, wyłonił się ze sklepiku kilka chwil później, wgramolił do furgonetki Royal Mail i odjechał.

Co, u licha, Andy porabia w Knockton? Wyjechał do Londynu tydzień temu. Czyżby zastępował listonosza, który złamał nogę?

– Kto to jest Andy? – spytał Harold.

Buffy zaczął mu opowiadać. Gdy dotarł do ryb, zauważył poruszenie na ulicy. Ktoś szedł środkiem jezdni. Nagi, z wyjątkiem brudnych majtek. Kroczył z uniesionymi rękoma i obracał się dokoła, prezentując ze wszystkich stron.

Ludzie przystawali i się gapili. Za hasającą postacią ciągnął się sznur pojazdów. Rozległ się klakson.

To był Conor. Teraz, gdy się zbliżył, Buffy go rozpoznał. Nawet

z tej odległości widział, że wątlą pierś chłopaka pokrywają tatuaże. Jakiś niechlujny gość, który wyglądał na jednego z jego kumpli, skakał obok z komórką, robiąc zdjęcia.

– Rany – powiedział Harold. – To tutaj normalne?

Ludzie wychodzili ze sklepów, żeby popatrzeć na widowisko. Dzieci się cieszyły. Conor, wyraźnie niepewnie trzymający się na nogach, wykrzykiwał coś niezrozumiałego.

– Z drogi, palancie! – wrzasnął jakiś kierowca.

Z tłumku wypadł pies i zaczął doskakiwać do Conora, szczekając.

Buffy z Haroldem zbiegli pospiesznie do sklepu. Sprzedawca gapił się przez okno.

– Znowu się ujarął – powiedział.

Kiedy dotarli na ulicę, Conor już się poddał. Trzęsąc się z zimna, siedział pochylony na krawężniku przed kioskiem. Kolega usiłował podnieść go na nogi, ale Conor pokręcił głową. Ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem.

– Takie biedne chuchro, naprawdę nieudany szczeniak, co? – Kobieta, która prowadziła charytatywny sklepik z używanymi rzeczami, stanęła obok Buffy’ego, kręcąc głową. – Powinno było się go utopić przy porodzie.

– O co mu chodzi?

– Nie widział pan, że wytatuował sobie telefon na plecach? – spytała. – Obok imienia Voda?

– A po co?

– Ponoć chce robić za chodzącą reklamę Vodafone. Myśli, że mu zapłacą, gdy zobaczą zdjęcia, i będzie mógł tak zarabiać w całym kraju.

Nawet Buffy na chwilę zaniemówił.

Harold wyciągnął z kieszeni notes.

– To jest dopiero materiał. A przyjechałem zaledwie wczoraj wieczorem.

– Ciekawe, czy omówił to z ludźmi z Vodafone – zastanawiał się Buffy. – Nie jestem pewien, czy obłąkany diler jest najlepszą reklamą dla ich produktu.

W poniedziałek rano, ściągnięty oszalałym ujadaniem Figa, Buffy pospieszył do drzwi. Pies rzucił się na listy, które wylądowały na

podłodze. Buffy odsunął go nogą i otworzył drzwi. Na progu stał Andy ze swoim czerwonym plastikowym wózkiem.

– Muszę panu podziękować – powiedział, uśmiechając się.

Okazało się, że listonosz przysłany w zastępstwie tego, który złamał nogę, sam się rozchorował. Andy usłyszał o tym w pubie i następnego dnia zaoferował się jako tymczasowe rozwiązanie.

– Ale przecież pan tu nie mieszka – dziwił się Buffy. – Nie zna pan rewiru, czy jak to tam się zwie. Jak się panu udało wkręcić?

– Podałem pański adres jako miejsce zameldowania, przepraszam. Wykułem trasę i voilà. – Powiedział, że zakochał się w Knockton i wziął bezpłatny urlop w pracy w Londynie. Nie mógł dłużej rozmawiać, bo wzywały go obowiązki i musiał iść dalej. Co też uczynił. Pogwizdując.

Gdy Buffy krzątał się tego ranka, dumął nad niezamierzonymi konsekwencjami swoich kursów. Któż mógł przewidzieć, że z jego szkolenia z ogrodnictwa wykiełkuje powieść? No i były jeszcze romanse, choć nigdy te, których się spodziewał. Nieco później tego ranka kupował w aptece maść na hemoroidy, gdy weszła Amy. Powiedziała, że właśnie wraca od lekarza.

– Jestem w ciąży – wyszeptła. – Pan pierwszy się dowiaduje, nie licząc Nolana oczywiście. Nie powiedziałam nawet jeszcze jego mamie.

Więc teraz musiał dodać do tej listy i dziecko.

– Jego mama potrafi naprawdę zaleźć za skórę, szczerze mówiąc. Ale zrobiłam jej makijaż. Niewiarygodne, ile może zdziałać odrobina cienia i rozświetlacza, człowiekowi ubywają z twarzy całe kilogramy. Ma szukać miłości w Internecie. Jak znajdzie, to się wyprowadzi, a my będziemy mieć dom dla siebie.

W interesie w tym tygodniu panował spokój, by nie rzec zastój: nie mieli żadnej rezerwacji. Był początek listopada, najsmętniejszy miesiąc w całym roku, i zrobiło się już lodowato. Rozmowa o dzieciach sprawiła, że Buffy przypomniał sobie o własnej wnuczce: wprawdzie otrzymywał regularnie mejlem zdjęcia, ale jej samej jeszcze nie widział. Trudno chyba o lepszą porę na odwiedziny, pomyślał.

Wieczorem sprawdził rozkład pociągów do Londynu. Serce już mu szybciej biło. Nie tylko zobaczy wnuczkę, ale będzie mógł także porozmawiać z Nyange o kursie na temat zarządzania finansami, który

chciał, żeby poprowadziła. I, co nawet bardziej kuszące, znowu zobaczy światła wielkiego miasta, które w tych ponurych, ciemnych dniach mrugały na niego coraz bardziej nęcąco z innego świata, setki mil dalej.

Andy

W środową noc szalała burza, ale Andy nie był tego świadomy. Nocował w hotelu Travelodge poza Leominster i jego pokój odcięty był od żywiołów. Kiedy wyszedł z niego w ciemność wczesnym rankiem następnego dnia, zastał parking cały w kałużach, a wszędzie dokoła wałały się gałęzie. Jadąc do sortowni, musiał objechać przewrócone drzewo.

Dlaczego nie zatrzymał się w Myrtle House? Panowała tam znacznie przyjemniejsza atmosfera niż w jakimś Travelodge. Jednak zasadniczo był to dom noclegowy i wprawdzie Buffy traktował go bardzo serdecznie podczas tamtego tygodnia urlopu, ale Andy nie chciał nadużywać jego gościnności. A tak naprawdę, gdy reflektory auta przeszywały mrok, uświadomił sobie, że odpowiedź leży gdzieś głębiej. Potrzebował ciszy, całkowitego odcięcia się od ludzi, żeby zebrać i uporządkować myśli. Znajdował się w zawieszeniu, pomiędzy jednym życiem a kolejnym, a gdzie było łatwiej unosić się bez wysiłku niż w Travelodge? I nagle do niego dotarło: Przechodzę kryzys wieku średniego.

Poczuł ulgę, gdy to zdanie, w pełni uformowane, samo na niego spadło. Czaiło się gdzieś z tyłu głowy, ale jak dotąd używał go tylko w odniesieniu do innych osób. Przechodzę kryzys wieku średniego, dołączyłem do klubu. Miał wszystkie symptomy: zwiął dramatycznie, zwiął tak zatrważająco, że na samą myśl dostawał sraczki, zwiął i nie miał pojęcia, co, do kurwy nędzy, wyprawia. To chyba dobrze oddawało kryzys wieku średniego, prawda?

Słońce weszło na czystym, błękitnym niebie i Andy ruszył w teren z pocztą dla mieszkańców Knockton. Szedł usłanymi gałęziami ścieżkami ogrodowymi, obchodził slalomem przewrócone kosze i rozsypane śmieci. Powietrze było ostre jak brzytwa i zalała go nagle fala szalonego optymizmu. Później dopatrywał się w tym znaku. Przez

ulicę przemykał kot, dzieciaki przepychały się w drodze do St Jude, podstawówki, z którą powoli się oswajał. Miał niesamowite wrażenie, że żyje w terażniejszości, a jednocześnie zalały go wspomnienia, dawno zapomniane szczegóły przeszłości... Piosenka, jaką wykonywali w podwórkowej kapeli, w której grał na bębnach. *Take me down, baby, take me where you go.* Był jeszcze wtedy prawiczkim, o niczym nie miał pojęcia. A jednak te słowa szemrały mu w ucho, dolatując z zamierzchłej przeszłości, żywe i aktualne, jakby te wszystkie lata między tamtym okresem a dniem dzisiejszym, cały szmat jego dorosłego życia, zniknęły, nigdy się nie wydarzyły. To wrażenie dyslokacji było dziwne i jednocześnie osobliwie ożywcze.

A teraz szedł podjazdem Powys Autokamper, gdzie miał dostarczyć ostatnią przesyłkę. Salon znajdował się na skraju miasteczka: ogrodzony parking z pojazdami, trzepoczące na wietrze chorągiewki i bungalow z biurem. Wśród korespondencji był list polecony do niejakiego pana J. Walmera.

Andy zadzwonił. Drzwi otworzyła młoda kobieta z twarzą zalaną łzami.

– Dobrze się pani czuje? – spytał.

– Tak – odpowiedziała, wycierając nos rękawem. Popatrzyła na list. – To do taty. Ma pan coś do pisania?

– Na pewno wszystko w porządku?

Popatrzyła na niego i pokręciła głową.

– Nie. – Była chuda, miała ziemistą cerę i cienkie brązowe włosy. – Drzewo przewróciło się na jego szklarnię. Wścieknie się.

Wyjaśniła, że ojciec wyjechał na noc, ale ma wrócić po południu, a ona dogląda interesu.

– Nie żebyśmy mieli teraz klientów. Nikt nie kupuje kampera w listopadzie, prawda? No bo kupiłby pan?

– Chce pani, żebyśmy na to spojrzeli?

Poprowadziła go przez dom do ogrodu na tyłach. Andy zobaczył zasypany szkłem trawnik i połowę szklarni. Na drugiej połowie spoczywało drzewo.

– To nie pani wina – powiedział. – Bóg tak chciał.

Stała obok i naciągała rękawy swetra na dłonie, kołysząc się na

piętach w rozpaczy.

– Nie zna pan mojego taty.

Sprawiała wrażenie takiej małej, zmarzniętej i bezbronnej. Andy pomyślał: A niech tam!

– Ma pani piłę?

Ściągnął kurtkę i zabrał się do roboty. W godzinę porąbał drzewo – czy raczej podrost, mówiąc szczerze – i ułożył gałęzie przy zasobniku węglowym. Dziewczyna siedziała owinięta kocem i przyglądała mu się. Jakże męsko się czuł. Ramiona go bolały, ale nie zamierzał odpuścić.

– Przynajmniej pani tata nie przeżyje takiego szoku po powrocie – powiedział, ciężko dysząc. – Wykaże pani dobre chęci.

– Równy z pana gość. – Nagle się uśmiechnęła promiennym uśmiechem, który rozjaśnił jej napiętą twarzyczkę.

Serce mu mocniej zabiło.

Miała na imię Ginnie. „Mam na imię Virginia”, Andy przypomniał sobie parsknięcia śmiechu z czasów szkolnych, „Moi znajomi wołają na mnie krótko Virgin, ale już niedługo”. Poczł, jak twarz mu się czerwieni. Posprzątali razem z Ginnie szkło, a teraz ona przygotowywała kawę. Siedzieli w zabałaganionym biurze, ściskając w zgrabiących dłoniach gorące kubki.

– Najzabawniejsze, że w żadnym z nich nigdy nie byłam.

– W kamperze?

– Gdzieś tam jest wielki świat, a ja tkwię tutaj. Chcę pojechać do Tebrizu.

– Gdzie jest Tebriz?

– Pojęcia nie mam.

Roześmiali się. Ginnie podrapała się po ramionach. Powiedziała, że ma wysypkę, która się zaognia, gdy się denerwuje. Andy zauważył, że zerka na zegar. Jej ojciec jest tyranem, domyślał się już. Miał dziwne wrażenie, że zna ją od zawsze. A przecież dopiero się spotkali.

I nagle zaczął opowiadać jej o swojej matce, która także miała egzemę, i o siostrze, która uciekła do Hull z komiwojażerem. A Ginnie powiedziała mu, że świetnie rysuje i chciała zostać projektantką mody, ale potem jej matka zginęła w wypadku samochodowym, a ojciec potrzebował jej w biurze, tymczasem ona, mówiąc szczerze, nie potrafi

odróżnić jednego kampera od drugiego. On opowiedział jej, jak kiedyś świsnął mamie lakier do paznokci, żeby pomalować żołnierzyki, i jaki opieprz wtedy dostał. Z jakiegoś powodu przeszedł od tego do poznanych w sieci neurotyczek, które wszystkie, jak jedna, zdawały się być w żałobie po kocie. I wiedział, że powinien wracać na pocztę, ale dochodziła już pierwsza, a jej ojciec nadal, dzięki Bogu, się nie pojawił, podobnie jak żaden klient.

Wózek z pocztą stał przed drzwiami, zapomniany. Gdy Ginnie ponownie nastawiała imbryk z wodą, opowiedział jej o swoim ojcu, który znalazł miłość na parkingu dla kamperów, i już gdy to mówił, poczuł łaskotanie na skórze głowy. Chryste, czyżby historia miała się powtórzyć? Ale teraz już jej opowiadał, że gdy chodzi ulicami z pocztą, wymyśla limeryki, a ona powiedziała mu jeden o biskupie z South Mimms, i gdy parzyła kolejną kawę, Andy nagle sobie uświadomił: W gardle mi zaschło, zachrypłem. Rozmawiam bez przerwy od dwóch godzin.

Harold

Kurs podstaw gotowania zaplanowany był na ostatni tydzień listopada. Znowu mieli pełne obłożenie i nadzieję, że tym razem kursanci się pojawią. Voda, która zajmowała się rezerwacjami, powiedziała, że teraz będą same kobiety. To zaskoczyło Buffy'ego, który zakładał wcześniej, że zdecydowaną większość kulinarnych miernot muszą stanowić mężczyźni. Wyobrażał sobie porzuconych mężów szarpiących się z otwieraczami do puszek. Voda poinformowała go jednak, że to przeszłość, teraz większość kobiet jest tak zajęta pracą, że nie ma pojęcia o gotowaniu, nie uczą się tego w szkole ani pod okiem matki. Ugotowanie makaronu i polanie go sosem ze słoika stanowi szczyt ich umiejętności. Poza tym, jak już mieli okazję się przekonać, to głównie kobiety uczestniczą w takich kursach.

Jednak Harold miał co wieczór dołączać do nich na obiadową kolację. Po części przez męską solidarność, po części zaś dlatego, że życie pisarza jest samotne i o szóstej biedak desperacko pragnął już towarzystwa, nie wspominając o drinku.

Powiedział Buffy'emu, że powieść posuwa się do przodu. Do zbioru fikcyjnych bohaterów dołączył jeszcze listonosz Andy. Inspiracją okazał się widok wózka pocztowego stojącego przed Centrum Kamperów, który Harold zauważył w czasie poobiedniej przechadzki. To z kolei zaowocowało zupełnie nowym wątkiem, w którym miejscowy doręczyciel, Alec (nowe imię!), dostarczając paczkę, zakochał się w żonie kierownika, potem oboje ukradli jeden z kamperów i wyjechali, by rozpocząć nowe życie na szkockim pogórzcu. Mocnym szczegółem, takim, który mógł wymyślić tylko powieściopisarz, był widok porzuconego wózka pocztowego tkwiącego w tym samym miejscu mimo zmieniających się pór roku: otulonego śniegiem w zimie i – natchniony akcent – zasiedlonego przez rudzika z nadejściem wiosny. To z kolei sprawiło, że Harold zaczął się zastanawiać, czy nie powinien rozwinąć

motywu ptaka: młode wylatujące z gniazda jako symbol nadziei i odnowy? Może przeplatać tym obrazem kolejne sceny w postaci skrzydlatego akompaniamentu do akcji? Przez chwilę bawił się pomysłem metatekstualnej dekonstrukcji – niewiarygodny ptasi narrator? Jednak za bardzo trąciło to Derridą, francuskim semiologiem, którym Harold prześladował pokolenia studentów w Holloway College. Gdzieś w nim, w tym ciepłokrwiście ciele powieściopisarza nadal krył się suchy kośćiec wykładowcy akademickiego.

Sam Buffy był nieocenionym źródłem materiału. Oczywiście wszyscy powieściopisarze to zgraja złodziei i oszustów – był to nawet temat jednych z prowadzonych przez Harolda zajęć, „Kłamać, by powiedzieć prawdę”, ale Buffy był przyjacielem i Harold wiedział, że powinien spytać go o zgodę na płądrowanie jego przeszłości. Chociażby niedawne odwiedziny u nowo narodzonej wnuczki zawierały w sobie wielki potencjał i sieć relacji. Relacji międzyludzkich, naturalnie, ale także relacji między tematami i obrazami (kolejne zajęcia). Tylko łączcie!* – powiedział E.M. Forster, sam nieobcy gorsetowi akademii.

Może mógłby wykorzystać obraz dłoni jako symbol śmiertelności. Przy łóżeczku wnuczki Buffy spotkał swoją byłą żonę, Jacqueline. „Popatrzyłem na jej ręce staruszki, z plamami wątrobowymi, nabrzmiałymi, gruzłowatymi żyłami”, powiedział Buffy. „A obok ten mały cud, maleńkie paluszki, maciupieńkie paznokietki. Potem spuściłem wzrok na swoje starcze graby, purpurowe jak u leciwego żołdaka, i łzy napłynęły mi do oczu. Nasze dłonie, którymi kiedyś pieściliśmy się tak czule...” Urwał, spojrzenie mu zwilgotniało. Wprawdzie już zamykano i wcześniej Harold wychylił kilka pełnych kufli, ale to wyznanie przyjaciela go poruszyło. Zaraz potem wrócił pośpiesznie do pokoju nad sklepem i zaczął walić w klawiaturę starego laptopa.

Taka masa obrazów kłębiła mu się przed oczyma, jednak problem polegał na tym, że nie miał jeszcze fabuły. Nie jako takiej. Po prostu pozwalał, by pomysły i zdania płynęły swobodnie, tak jak szkolili studentów na kursie pisania, ale rezultaty były właśnie szkolne. Po prawdzie postawiłby sobie cztery z minusem. Jego powieść przypominała psa w parku, który skacze za jednym zapachem, wyczuwa nagle drugi, biegnie za nim, i zaraz wystrzeliwuje w innym kierunku,

przedzierając się przez zarośla. Profesor Harold zaś stał bezradnie obok ze smyczą w dłoni i darmo przywoływał bydlę do nogi.

Za wiele postaci rywalizowało o miejsce na kartach. Czasami Harold siadywał w Coffee Cup z notesem, obserwował przechodniów i wymyślał im historie. Gdy już oddelegował ich do takich czy innych (zwykle nieprawdopodobnych) rejonów świata lub życia, a potem widział, jak przejeżdżają obok, żywi i nieświadomi bigamii małżonki albo istnienia brata bliźniaka, był nieodmiennie wstrząśnięty. Ot, choćby Andy, który dostarczał właśnie pocztę. Tymczasem powinien chyba tkwić na szkockim pogórzcu? Te zakłócenia przyprawiały Harolda o mdłości.

No i pozostawała kwestia szerszej tematyki. Co nią było? Wszyscy zawsze lamentowali, że brytyjska powieść jest zaściankowa, sam też tak utyskiwał. Potrzeba było książki-raportu o stanie państwa, takiej, jakie pisywały bestie z amerykańskiej dżungli. Czy się do tego nadaje? Myślał wcześniej, że walijskie podglebie da mu niezbędną rozległość spojrzenia, tymczasem w rzeczywistości Knockton w ogóle nie było walijskie. Większość tutejszych mieszkańców pochodziła skądinąd, co zresztą dziś wydawało się normą wszędzie. O, może mógłby uczynić z tego jeden ze swoich tematów przewodnich, razem z rozpadem więzi społecznych, chciwością bankierów, globalną recesją, zamieszkami – może nie byłoby od rzeczy umieścić przy Wale Offy obóz szkoleniowy Al-Kaidy?

W głowie mu się zakręciło. Na szczęście zrobiła się już osiemnasta, czas wyłączyć komputer i udać się do Myrtle House. Była niedziela, mieli przyjechać uczestnicy kursu gotowania. Cieszył się na ten wieczór, nie tylko z uwagi na perspektywę wyzerki, ale także możliwość zebrania nowego materiału. Przekonał się już, że kursy stacjonarne są źródłem emocjonalnych rewelacji. Przy odrobinie szczęścia może dojdzie do kolejnej awantury, która da początek jakiemuś wątkowi.

Gdy szedł przez ciemny sklep, obok szuflad pełnych krawatów i skarpetek, wspominał swoją pierwszą żonę Doris. Wybuchowa kobieta – zdzirowata pracująca Żydówka – która, jeśli chodzi o umiejętność robienia scen, była klasą sama dla siebie. Wielkie nieba, te awantury! Ciskanie talerzami w jej wykonaniu miało imponujący styl rodem

z greckiej restauracji. Teraz jednakże był już w stanie patrzeć na to chłodnym okiem historyka analizującego drugą wojnę światową. Może mógłby wpleść gdzieś ich małżeństwo? Minęło tyle lat, że z pewnością potrafiłby ulepić z niego fikcję. Teraz Doris była korpulentną panią domu i mieszkała w Twickenham z pilotem British Airways, owoc jej burzliwego związku z Haroldem zaś zajmował, razem z mężem i dzieckiem, dom w Hackney. Ale choć upływ czasu dawno zaleczył rany, Harold nadal nie potrafił dojść do ładu z tym małżeństwem, podobnie jak i z tym późniejszym z Pią. Własne życie, z jego zdradliwą nielogicznością, wymykało mu się z rąk niczym rtęć. Nie wchodziło w grę, by zdołał je uchwycić i przerobić na opowieść.

„Jego najlepsza martwa natura”, przypomniał sobie napis na nagrobku pozbawionego talentu pacykarza. Wyobraził sobie napis na swoim nagrobku: „Pisać nauczył się z wiekiem. Do trumny”. Błagam, Boże, nie daj mi umrzeć, zanim skończę swoją powieść.

Monica

Monice zrzędała mina. Stała z kieliszkiem w dłoni i patrzyła na towarzystwo. Kurs gotowania – dla osób, których byli partnerzy zajmowali się gotowaniem, dla całkowitych ignorantów kulinarnych – a uczestnikami są same kobiety. Przez chwilę myślała nawet, że pomyliła miejsca. Tydzień cennego urlopu, kilkaset funtów, cztery godziny jazdy... tylko po to, by spędzić pięć dni z dziewięcioma babami. Cóż za bezgranicznie przygnębiająca perspektywa.

Choć ich gospodarz był mężczyzną: Russel „Buffy” Buffery, aktor. Pamiętała go z telewizji. A także z roli Falstaffa w teatrze w Birmingham, gdzie wiele lat temu organizowała konferencję. Nadal wyglądał tak, jakby mógł przehulać noc z butelczyną białego wina. Potrafiła na milę rozpoznać brata pijaka. Cokolwiek leciwego naturalnie. Ale ona też była leciwa.

Jej zabortksowane czoło nie mogło nikogo zwieść, a już na pewno nie ją. Poza tym naszło ją potworne podejrzenie, że przeredza jej się owłosienie łonowe – choć oczywiście nie groziło jej, że ktoś to odkryje. Jednak włosy, które zniknęły ze wzgórka, najwyraźniej dały dyla na jej

brodę. Zauważyła to dopiero niedawno po zakupieniu lupy. Teraz musiała zakładać okulary do czytania, żeby je powyrywać. No i jeszcze te nagłe erupcje wiatrów. Czyż nie ma końca upokorzeniom starości?

A teraz do grupki kursantów dołączył kolejny mężczyzna, ponoć pisarz. Miał na imię Harold, pomarszczoną twarz i niechlujny wygląd. Mimo to nie był nieatrakcyjny, jednak prześlizgnął się po Monice wzrokiem i przeniósł spojrzenie gdzie indziej. Dlaczego? Bo w barze były inne kobiety, młodsze kobiety. Monica natomiast pozostawała na dobrą sprawę niewidzialna. Przyzwyczaj się do tego. Ale niełatwo jej to przychodziło, a nawet z wielkim trudem. Nigdy nie należała do piękności, jednak miała styl i szyk – miała klasę. Malcolm powiedział jej kiedyś: „Wyglądasz jak kierowniczka ekskluzywnego paryskiego butików. Albo – pieścił jej pierś – pięciogwiazdkowego burdelu”.

Ale Malcolm miał żonę.

– Proszę spróbować tapas. – Voda podstawiała jej talerz pod nos. Androginiczna, krępa i prostolinijna, miała na sobie jaskrawozielony kombinezon, jeden kolczyk w nosie i całą masę w uszach. Ponoć była szefem kuchni i miała prowadzić kurs.

Monica skomentowała żartobliwie brak mężczyzn:

– Może powinnam palić papierosy w pokoju, żeby ściągnąć tu kilku przystojnych strażaków.

– Że co?

– To znaczy... och, nieważne.

Dziewczyna oddaliła się ze zdeprymowaną miną.

Teraz, gdy Monica się nad tym zastanawiała, doszła do wniosku, że pewnie w tym domu i tak nie zainstalowano czujników dymu. Miejsce miało wygląd zabawnie staroświeckiej ruiny. Jej pokój przypominał plan jakiejś farsy z lat pięćdziesiątych – jasnoniebieska umywalka, tapeta z bambusowym wzorem, włącznik światła z bakelitu. Z bakelitu. Przebaknęła coś na ten temat Buffy'emu, gdy ponownie napełniał jej kieliszek.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że lada chwila z szafy wyskoczy Terry-Thomas.

Buffy się roześmiał.

– Głowę daję, że tylko my dwoje tutaj pamiętamy kto zacz.

– Wielkie dzięki – warknęła Monica.

Klepnął się dłonią w czoło.

– O Boże, przepraszam, nie chciałem...

– Nic się nie stało – rzuciła zimno Monica. – A skoro już o próchnie mowa, zdaje się, że jakieś grzyby wyrastają z listew przypodłogowych w moim pokoju.

– Wiem, wiem. Stale zamierzam coś z tym zrobić.

– Muszę powiedzieć, że pensjonat raczej nie przypomina tego ze strony internetowej.

Buffy skinął głową.

– To samo mówią o moim zdjęciu w „Spotlight”. – Westchnął. – W każdym razie w sieci jest tylko fotka fasady, i to zrobiona w jeden z tych nieczęstych dni, gdy świeciło słońce. Zwrócę pani pieniądze, jeśli pani chce.

– Niech pan nie przesadza. Przyjechałam tu. Wprawdzie zwykle nie czytuję „Expressu”, ale wpadł mi w ręce egzemplarz w Caffè Nero i uznałam, że powinnam nauczyć się gotować. – Osuszyła kieliszek i dodała: – Mój mąż był wspaniałym kucharzem. Niestety, jego przepisy umarły razem z nim.

Buffy zrobił okrągłe oczy.

– Wielkie nieba, tak mi przykro.

– W porządku. – Monica westchnęła. – Obawiam się, że trochę mnie rozpieścił. Każdego wieczoru, gdy wracałam z pracy, z kuchni dolatywały boskie zapachy, a on śpiewał do piosenek puszcanych w Radio 2, im ckliwszy kawałek, tym bardziej w jego guście, taki był z niego pocziwiec. A potem jedliśmy przy świecach przepyszną kolację.

Buffy’emu oczy zalśniły.

– Dlaczego wszystkie małżeństwa tak nie wyglądają?

– Chyba po prostu nam się poszczęściło. – Rzecz absurdalna: jej oczy też wypełniły się łzami. Co ona, na Boga, plecie? Wypiła tylko trzy kieliszki wina. Z jakiegoś powodu miała za złe Buffy’emu, że jej uwierzył. – No, tak czy siak – rzuciła zirytowana – to już nieaktualne.

Ale nie było. Przez resztę wieczoru urojone małżeństwo nie chciało zniknąć. Daleki od śmierci, jej mąż zmaterializował się w postaci

emerytowanego księgowego imieniem Phil, który zajmował się domem w Clapham. Tęsknił za nią, oczywiście, ale przysyłał jej żartobliwe esemesy kończące się trzema iksami i wykorzystywał jej nieobecność, by odnowić salon. Zapalony domator, dbał o nią, wyrywał jej z ręki rachunek za telefon, odprawiał akwizytorów ścierek kuchennych, atakujących ją tyradą na progu. Choć łysiejący, w jej oczach był tym samym przystojniakiem, którego poślubiła trzydzieści pięć lat temu. I, wielkie nieba, nadal potrafili rozbawić się nawzajem do łez!

Naturalnie nie wspomniała o tym ani słowem innym obiadującym, nie chciała wikłać się w dalsze kłamstwa. Ale na razie sama w nie wierzyła, to był jej słodki sekret. Zatem tak właśnie czują się mężatki z dala od mężów!

Przez chwilę nawet współczuła innym kursantkom, które z zapalem wieszały psy na swoich byłych. Jakaś kobieta imieniem Tess powiedziała, że wyszła za pedanta–tyrana, który nie dopuszczał jej do kuchni.

– Wyglądała jak sala operacyjna – mówiła. – Przepisy były przechowywane w porządku alfabetycznym, a posiłki spożywane w absolutnej ciszy. Czasem tylko rozlegało się jego głośne syknięcie, gdy kropla sosu kapnęła na stół.

Atrakcyjna czarna kobieta powiedziała:

– Ja i mój były chłopak nie mieliśmy za grosz pojęcia o gotowaniu, żywiliśmy się daniem na wynos. Ale teraz zesłam się z Martinem, a on oczekuje posiłku na stole. – Ta informacja spotkała się z chóralnym sarkaniem. – Ma czasochłonną pracę – wyjaśniła.

– Stara wymówka – powiedziała Tess. – Jak czasochłonną dokładnie?

– Kieruje Ministerstwem Spraw Zagranicznych.

Inna kursantka chciała, w ramach leczenia złamanego serca, nauczyć się piec ciasto. Gdy kobiety podejmowały się nawzajem opowieściami o swoich katastrofalnych romansach i miłościach, Monica myślała, jak bardzo odbiega to od rozmów biesiadujących bankierów. Żaden z chłopców z City nie przyznawał się do porażki, w rzeczywistości w ogóle nie rozmawiali o uczuciach. Z oczywistych powodów nie omawiali już publicznie wysokości swoich premii, ale

mimo to nadal w ich rozmowach dominowały subtelna rywalizacja i przechwałki – utyskiwania na jetlag, na turbiny wiatrowe szpecące widok z ich wiejskich willi, na kaca po urodzinowym jublu jakiegoś rosyjskiego przekręciarza. Nieliczne na tych spotkaniach kobiety zwykle dołączały do chóru, starając się przebić kolegów-macho. Musiały być twarde, by przetrwać.

Buffy siedział przy stoliku obok niczym byk w otoczeniu krów. Trudno było sobie wyobrazić kogoś mniej przypominającego bankiera. Naprawdę był z niego potwornie stary grzyb, ale najwyraźniej potrafił rozbawić siedzące obok damy. Może któraś z nich uważała go nawet za atrakcyjnego. Monica nie była aż tak zdesperowana. Nadal nie rozumiała, dlaczego go okłamała. Żeby zdobyć jego uwagę? Współczucie? Sprawić, żeby uwierzył, że kochano ją z takim oddaniem? Miała taki mętlik w głowie, że postanowiła nie rozmawiać z nim przez resztę pobytu. W końcu była tu masa innych kobiet, z którymi mógł gawędzić. Nawet nie zauważy.

Następnego ranka kursantki zebrały się w kuchni. Było ich w sumie dziewięć – niektóre spały gdzie indziej – plus jedna spóźnialska, która miała przyjechać w porze lunchu.

Voda, z dreadami związanymi tasiemką, stała przy piecu.

– Dzisiaj przygotujemy lasagne, mięsną i wegetariańską, którą podamy na obiad. Nauczycie się robić sos serowy, bazę wszystkich sosów beszamelowych. Nauczycie się także przyrządzać gęsty sos pomidorowy oraz boloński, które można wykorzystać do wielu innych dań: zapiekanki wiejskiej z mielonego mięsa i ziemniaków, spaghetti, faszerowanego kabaczka i tak dalej.

Jej asystentka w fartuchu, India, tarła ser. Ona także miała masywną sylwetkę i niesforne włosy. Obie wyglądały jak para małych holowników. Monica, której doskwierał kaca, usiadła na jednym z krzesełek przyniesionych z baru. Tego ranka czuła się słaba i bezradna. Miała za sobą ciężką noc, zakłócaną brutalnymi snami i odgłosem wody spuszczonej w toalecie, która znajdowała się obok jej sypialni. Schodząc na dół, potknęła się o psa i o mały włos nie wyłożyła się jak długa. Wyobraziła sobie, jak leży rozciągnięta w korytarzu, pokazując majtki. Życie wydawało się ostatnio najeżone drobnymi upodleniami

i zasadzkami, przez potworną chwilę przypomniła sobie, jak leżała na łące przy A40, lizana przez labradora. „O, czemu spacerujesz po łące w rękawiczkach, tłusta biała kobieto, której nikt nie kocha?” Co ja tu robię? – pomyślała. Powinnam odwrócić się na pięcie i wrócić do domu.

Voda odmierzała masło i mąkę.

– Dwadzieścia pięć gramów masła, trzydzieści gramów mąki – powiedziała.

Młoda dziewczyna obok wymruczała:

– Mam nadzieję, że zdołam to jakoś ogarnąć.

– Och, to pestka – westchnęła Monica.

Dziewczyna popatrzyła na nią z zaciekawieniem.

– Zna się pani na tym?

Monica milczała. Tess po jej drugiej stronie zapisywała dane w notesie.

– Moim zdaniem naprawdę nie sposób mu się oprzeć – wyszeptała.

– Komu? – spytała Monica.

– Buffy’emu, naszemu gospodarzowi.

– Dobry Boże.

– Nie sądzi pani? Wiem, że jest okropnie stary, ale ponoć miał pięć żon. Potrafię chyba zrozumieć dlaczego.

– Naprawdę?

Monica wstała i dołączyła do kobiet, które zebrały się dokoła pieca. Voda ucierała masło i mąkę na kremową masę, India stała obok z butelką mleka. Monica pomyślała: Powinny najpierw podgrzać mleko.

Nigdzie nie było widać Buffy’ego. Zatem miał wiele żon, tak? Zastanawiała się, co go ściągnęło do tego małego miasteczka. Czy nadal jest aktorem? Gdyby zabrała ze sobą laptop, mogłaby sprawdzić w sieci. Może teraz przywdziewał kostium tylko raz w roku, by wcielić się w Świętego Mikołaja, do której to roli pasował jak ulał. Przypomniła sobie kobiety stłoczone dokoła niego zeszłego wieczoru, ich piski i śmiechy. Wyglądały jak podekscytowane dzieci – te zaróżowione twarze, te błyszczące oczy – czekające na prezenty. Na dobrą sprawę były dziećmi. W porównaniu z nią oczywiście.

Komentarz Buffy’ego ubódl ją do żywego i nadal bolał.

Oczywiście, że pamiętała Terry’ego-Thomasa, ale nie musiał tego

podkreślać. Poza tym to niesprawiedliwe. Była wprawdzie tutaj najstarszą kobietą, ale nie tak starą jak Buffy – jemu dawno musiała stuknąć siedemdziesiątka, obliczyła sobie wczoraj w nocy w łóżku. Wcielał się w filmie w brata Susannah York, gdy Monica była jeszcze nastolatką. Postanowiła, że mu to powie, gdy się spotkają.

– Wegetarianki, zamknąć oczy – rzuciła Voda. – Będę przyrządzała mielone.

Gdzieś w oddali zadzwonił telefon. India wyszła, by odebrać.

Monica usiłowała sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni słyszała śmiech w swoim mieszkaniu. Pamiętała pogwizdywanie – gdy przyszedł gość do naprawy bojlera. Ale śmiech? Raz czy dwa zaśmiała się w głos, gdy jej kot, który pod koniec życia bardzo się roztył, nie mógł się precyzyjnie przeczisnąć przez otwór w drzwiach, ale wtedy ten dźwięk ją zszokował. Wariatka, jej rechot niósł się w ciszy! Ale przynajmniej nie mówiła do siebie na głos, tylko mruzczała pod nosem.

India wpadła z powrotem do kuchni.

– Chodzi o Conora! – wysapała. – Był wypadek!

Voda ściągnęła fartuch. Bąkając przeprosiny, wybiegła z kuchni.

Zapadło milczenie. India popatrzyła na kursantki.

– Bardzo przepraszam – powiedziała.

Rozległ się trzask frontowych drzwi, gdy Voda wypadła z domu.

– O, Boże – westchnęła India. – I co my teraz zrobimy?

– To my mamy to wiedzieć?

– Ja nie mogę poprowadzić zajęć – wyznała. – Nie potrafię ugotować nawet jajka.

– Świetnie – zamruczał jakiś głos.

Nagle młoda dziewczyna pisnęła. Wskazując na Monicę, powiedziała:

– Ona się na tym zna.

Odwróciły się głowy.

– To prawda? – spytała Tess.

Monica wzruszyła ramionami.

– Ogólnie to gotuję fatalnie – skłamała. – Ale potrafię zrobić lasagne.

Wstała. India podała jej fartuch.

Sekret dobrej lasagne? Mnóstwo sera, więcej niż można by sądzić, najlepiej dojrzałego cheddara i starty parmezan na wierzch. Mnóstwo czosnku, więcej niż można sobie wyobrazić. Smażymy mielone, aż cały płyn wyparuje i mięso zacznie przywierać do patelni, dzięki temu będzie ciemne i intensywne w smaku, bo nie chcemy, żeby było mdłe i szare, prawda? Potem kieliszeczek wina, aż zaskwierczy.

Kursantki zebrały się dokoła Moniki. Gdy mieszała i smażyła, rozmawiając, a nawet żartując, ogarnęło ją dawno zapomniane poczucie szczęścia. Swego czasu słynęła ze swoich prozonych obiadów, ale od lat już żadnego nie wydała. Sprzęt był cokolwiek przestarzały – niemrawy reaburn i uwalana tłuszczem kuchenka elektryczna – jednak dawała radę, pokazała nawet, jak przygotować perfekcyjny winegret do sałaty.

– Sekret? Najpierw ucieramy razem musztardę, sól, szczyptę cukru i ocet balsamiczny, potem dodajemy oliwę z oliwek, proporcje trzy do jednego. Proszę, spróbujcie.

W południe pojawił się Buffy, okutany w płaszcz, w szaliku i berecie. Ponoć był u dentysty w Hereford i nie miał pojęcia o porannych perturbacjach.

Gdy India wyjaśniała, co się stało, Monica ściągnęła fartuch i ukradkiem otarła twarz ścierką. Pachy spływały jej potem. A teraz Buffy szedł w jej stronę, lawirując między krzesłami.

– Uratowała nas pani – powiedział, odwijając szalik. – Bóg zapłać!

– To nic takiego. – Wzruszyła ramionami.

Kursantki wychodziły gęsiego z kuchni. India wyjmowała z lodówki wiktuały na lunch. Buffy zdjął берет i ciężko usiadł.

– Rany, gorąco tutaj. – Popatrzył na nią ze zmarszczonym czołem.
– Nie wiedziałem, że umie pani gotować.

– Nie umiem – zaprzeczyła. – Potrafię tylko zrobić lasagne.

To było kłamstwo oczywiście. Kolejne. Jak mogła ujawnić mu głębię swojej desperacji, przyznając, że zapisała się na kurs gotowania tylko po to, żeby poznać jakiegoś mężczyznę? Bo, jak zakładała, akurat na tym kursie powinno się od nich roić? Oczywiście, że umiała, kurwa, gotować. Może pozostałe kursantki też umiały! Może przyjechały dokładnie z tego samego powodu co ona!

– Dobrze się pani czuje? – spytał.

– Doskonale.

– Jestem pani dłużnikiem – powiedział. – Proszę się dać zaprosić na lunch.

– Czyż to nie frajda wagarować! – rzucił Buffy.

Siedzieli w Chez Adele, rustykalnej restauracji przy brukowanej alejce niedaleko centrum miasteczka. Buffy powiedział jej, że Adele z nazwy to była modelka, teraz roztyta, która kiedyś chodziła z Mickiem Jaggerem. Chodziła. Monica się zastanawiała, czy użył tego trącającego myszką określenia przez wzgląd na jej wiek.

– Zatem czego się napijemy? – spytał.

– Dla mnie tylko woda, dziękuję.

– Niech mi pani dotrzyma towarzystwa. Dopiero co byłem u dentysty. Potrzebuję pociechy.

– Co panu zrobił?

– Skaling zębów, które mi zostały.

Monica uniosła brwi.

– Bolało, co?

Buffy skinął głową.

– Powiedział, że były bardzo przebarwione.

– Och, biedaku.

– Od czerwonego wina i tym podobnych.

– Skoro o winie mowa, może kieliszeczek – powiedziała.

Buffy zamówił butelkę riojy. Zaprosił ją na lunch tylko z wdzięczności. I przez litość oczywiście – z uwagi na wiek i wdowieństwo. Monica nadal miała mu za złe, że uwierzył w jej kłamstwo. Jak, u licha, ma się teraz z tego wykaraskać? Będzie musiała mieć się na baczności podczas lunchu, a potem unikać jego towarzystwa. Buffy może sobie flirtować z masą innych kobiet.

Nie żeby flirtował z nią, to nie wchodziło w grę. Po prostu lubił sobie pogawędzić, był towarzyskim gościem i ewidentnie miał więcej wspólnego z kimś w zbliżonym wieku niż z jakąś czterdziestolletnią lalunią. Jednak to nie był jeden z tych przedłużkowych lunchów, które wspominała czule z zamierzchłej przeszłości. Poza tym w City nikt już nie jadał lunchu, co najwyżej kanapkę na wynos z Pret A Manger przy

biurku. Popołudniowy seks pozamałżeński wymarł jak taniec w chodakach. Buffy zaś był zdecydowanie zbyt zramolały, nawet jak dla niej. Fakt, że najwyraźniej niektóre kobiety nadal uznawały go za atrakcyjnego – a także nie mogły mu się oprzeć – dowodził tylko okropnej niesprawiedliwości życia. Jakby Monice trzeba było o niej przypominać.

Oboje zamówili makaron. Na skutek kaca Monica mogłaby zjeść konia z kopytami. Gdy wcinała, Buffy powiedział:

– Podoba mi się kobieta, która je.

– A nie wszystkie to robią?

– Nie ma nic bardziej irytującego niż niejadki.

– Co jeszcze pana irytuje? – spytała.

– Ludzie, którzy piją herbatę, nie wyjąwszy wcześniej torebki z kubka.

– Nie ma w tym nic zdrożnego.

– Ależ jest.

– Coś jeszcze?

– Rowerzyści na chodnikach. Ludzie, którzy mówią „pięć do piątej” zamiast „za pięć piąta”. Ludzie, którzy mówią bynajmniej zamiast przynajmniej i starczy zamiast wystarczy. Ludzie, którzy na ulicy głośno piją wodę z butelki.

– Boże, musi pan być non stop wkurzony.

Skinął głową.

– Uprawiający jogging. Ludzie, którzy mówią „całuję”, gdy kończą rozmowę przez komórkę. W ogóle ludzie rozmawiający przez cholerne komórki. Nalepki na szyby samochodów z napisem „Uwaga, dziecko na pokładzie”.

– Naprawdę straszny z pana złośnik.

– I jamniki – dodał Buffy.

– Jamniki? Dlaczego?

– Są za małe.

– Ale przecież pański pies też jest mały.

– Mój ma dłuższe nogi.

– Tylko o centymetr lub dwa.

– A co irytuje panią? – spytał. – Na pewno coś musi.

Monica opróżniła kieliszek. Wino uderzyło jej prosto do głowy.
– Dobrze. Leciwi małżonkowie trzymający się za ręce.
– Zgadzam się w stu procentach.
– Maszerujący z mapami turystycznymi w ręku. Oboje zdrowi jak konie.

Skinął głową.

– Maszerują po Wale Offy. Widziałem drani.

Monica wyrzucała z siebie pospiesznie:

– Żyją bez końca, przeżerają spadek swoich dzieci, jeżdżą razem na wakacje na dwóch kółkach, są dla siebie cholernymi najlepszymi przyjaciółmi. Uważam, że powinno się ich powystrzelać. Przeżyli już swoje, czas, żeby się zwinęli. Uważam, że przed wszystkimi obiektami National Trust powinni stacjonować przeszkoleni snajperzy z bronią gotową do strzału. I wzdłuż szlaku South Downs oraz Wału Hadriana.

Urwała i oblała się pąsem. Naprawdę powiedziała to na głos?
Buffy kiwał głową.

– No i nie zapominajmy o Tate Modern – dorzucił. – Oraz o jasełkach w przedszkolach. Roi się tam od nich, nadętych cholerników.

– Pomarszczona dłoń w pomarszczonej dłoni.

– A ci jubilaci złotych godów!

– Powystrzelać wszystkich.

Roześmiali się. Buffy miał na sobie wytartą zieloną koszulę i apaszkę w kropki. Wyglądał jak podstarzały właściciel karuzeli w wesołym miasteczku. Podpita Monica wyobraziła sobie karuzelę jego hulaszczej przeszłości – on na pewno w życiu by nie został Nadętym Małżonkiem. Ile tak naprawdę miał tych żon? Jej życie wydawało się takie jałowe w porównaniu z tym, jak musiało wyglądać jego – żony, aktorki, światła rampy, zabawa. Bankierzy w ogóle nie bywali zabawni, jeśli się nie schlali. A nawet wtedy zamieniało się to w zwykłą pyskówkę. Byli tacy niedojrzali emocjonalnie, Monica winiła za to szkoły publiczne. A kiedy zdarzyło im się zajrzeć do teatru?

– Nie powinienem się śmiać – powiedział Buffy. – Nie po tym, co pani przeszła.

Monica skamieniała.

– Nie chcę o tym rozmawiać – rzuciła.

– Więc nie rozmawiajmy. – Popatrzył na nią oczyma wilgotnymi ze współczucia. – Moja pierwsza żona, Popsi, umarła pięć lat temu. Ale to zupełnie coś innego niż w pani przypadku, byliśmy wieki po rozwodzie. I Bridie, kobieta, która zapisała mi ten pensjonat, była moją bardzo bliską przyjaciółką... Ale nie miałem pojęcia, jak bardzo będę za nią tęsknił. Pani strata musi być o wiele boleśnieszka. Więc po prostu bardzo mi przykro. – Podał jej menu. – Cóż, może teraz pudding?

Monica pokręciła głową.

– Chyba powinniśmy już wracać.

Jaka z niej idiotka! Wbrew sobie zaczynała coraz bardziej lubić Buffy'ego. Oczywiście nie był nią zainteresowany – bo kto mógłby być? – ale minęły lata, odkąd ktoś zaprosił ją na niebiznesowy lunch, a całe wieki, odkąd śmiała się głośno. Buffy miał w sobie coś kojąco sympatycznego, sama czuła się bardziej zabawna w jego towarzystwie. Czyż to nie Falstaff, nomen omen, nie tylko sam rzuca dowcipami, ale potrafi jeszcze wykrzesać dowcip z innych? A ona to wszystko zniszczyła, cała sprawa opierała się na kłamstwie. Kto powiedział, że człowiek mądrzeje z wiekiem, sam był głupi.

Buffy pomógł jej włożyć płaszcz. Gdy jego dłonie musnęły jej ramiona, Monicę przeszył dreszcz. Mój Boże, była jak hubka! Byle dotyk byle faceta mógł ją rozpaść. Minęły cztery lata – cztery lata – odkąd przydarzyło jej się coś, co można by z naciąganiem określić mianem seksu: macanka po pijaku z kierownikiem działu eventów w Royal Thistle Hotel w Harrogate, która trwała raptem dziesięć minut i zakończyła się upokarzającym fiaskiem. Przed oczyma Moniki mignęła scena: ona leży na wpół naga na łóżku, a on wychodzi z pokoju, zataczając się.

– Wszystko dobrze? – spytał Buffy, otwierając przed nią drzwi.

– Tak.

– Bo nagle zrobiła pani taką znękaną minę.

– Nic się nie stało – warknęła.

Pomyślała: Może mam uwiad pochwy. Kierownik działu eventów nie był w stanie jej wsadzić. I na tym rzecz stanęła, choć nie jego rzecz. I kto mógł go winić?

Ruszyli do pensjonatu. Ulicą przejechał z warkotem traktor,

wyrzucając spod opon błoto. Buffy pokazywał jej ludzi, najwyraźniej znał połowę miasteczka. Dzień był wietrzny i zimny, powietrze śmierdziało gnojem, ale nagle Monicę ogarnęła dziwna radość, nasza ją nieprzeparła ochota, by wsunąć Buffy'emu rękę pod ramię i przechadzać się z nim uliczką, jakby byli parą. Nadętymi Małżonkami! Sprawiał wrażenie takiego dużego i krzepiącego, zakutany w szalik misia Ruperta. W głowie pojawił się jej absurdalny obraz, jak siedzą oboje, ona i Buffy, przytuleni, na sofie przed telewizorem z dzbankiem herbaty na stoliku, a za oknem się zmierzcha. I śmieją się. Śmieją.

Szła wolno, delektując się tym marzeniem. Udawała, że ogląda wystawę sklepową, w rzeczywistości zaś patrzyła na odbicie swoje i Buffy'ego w szybie. Zatrzymała go na ulicy, kładąc mu dłoń na ramieniu, i wskazała jakiegoś przechodnia.

– Proszę mi o nim opowiedzieć – wyszeptała. Była gotowa zrobić wszystko, byleby tylko odwlec powrót do Myrtle House. Teraz miała go tylko dla siebie. Może uda im się usiąść obok siebie przy obiedzie.

Gdy skręcili w Church Street, pomyślała: Co by się stało, gdybym powiedziała mu prawdę? Gdybym przyznała: jestem taka samotna, że chce mi się wyc.

Buffy otworzył frontowe drzwi.

– I z powrotem w szkole – powiedział. – Niech pani powie nauczycielce, że to moja wina.

Pomógł jej się rozebrać. Uleciało z niej rozradowanie. Z powrotem w szkole, wakacje się skończyły. Pomyślała: W jaki sposób tak nagle się postarzałam? Wydaje się, że nie dalej jak tydzień temu pakowałam pracę domową do tornistra.

Miała Buffy'emu tyle do powiedzenia. A teraz było już za późno. Z kuchni dobiegał gwar rozmów i śmiechy. Gdy szli korytarzem, pomyślała: Mogłabym powiedzieć mu wszystko. Uznałby to za interesujące, ja bym uznała za interesujące jakieś głupstwa, które wydarzyły się w przeszłości, zdarzenia, o których niemal zapomniałam. Jeszcze nigdy nie spotkałam mężczyzny, który potrafiłby wyczarować słowa w mojej głowie, tego nie umiał nawet Malcolm, tak zwana miłość mojego życia.

Miała ochotę chwycić Buffy'ego za ramię i powiedzieć: Wracajmy

i zjedzmy ten pudding. Ale szansa przepadła, dotarli do kuchni.

Kursantki tłoczyły się dokoła Vody, która zagniała ciasto.

– Conor złamał obojczyk, palant jeden! – zawołała do Buffy’ego. – Wpadł do kontenera na gruz.

Buffy nie słuchał. Gapił się na kobietę, która stała na skraju grupki. Monica jej nie kojarzyła, to musiała być ta spóźnialska – szczupła i wytworna, kasztanowate włosy ostrzyżone na błyszczącego boba, miała swoje lata, ale była doskonale zadbana. Wyglądała na równie zaskoczoną jak Buffy.

– Penny! – rzucił ten słabym głosem. – Co, na Boga, tu robisz?

– Raczej co ty tu robisz? – wykrztusiła.

– Ja tu mieszkam – odpowiedział.

Voda przestała wyrabiać ciasto. Wszystkie głowy odwróciły się w ich kierunku i zapadła cisza.

Buffy wskazał nowo przybyłą.

– To jest Penny, moja była żona.

Penny zaśmiała się krótko.

– Cóż, jedna z nich – powiedziała.

* Edward Morgan Forster, *Powrót do Howards End* (1910), motto i rozdz. 22.

15

Penny

Penny była uzależniona od urbano porno. W rzeczywistości nawet je współtworzyła. Artykuły o domach marzeń były niezłym źródłem dochodów podczas boomu na rynku nieruchomości. Nie potrafiła zliczyć, ile wysmażyła takich lajfstajlowych kawałków połączonych ze zdjęciem zadowolonej z siebie parki w zaadaptowanej na dom stodole. W tamtym okresie apetyt rósł w miarę jedzenia, dodatki o nieruchomościach i wnętrzach pojawiały się we wszystkich gazetach, wychwalając uroki miasteczek targowych, nadmorskich domków,

penthouse'ów w starych fabrykach past do obuwia. Między ogłoszeniami biur nieruchomości znajdowały się kolumny, które trzeba było wypełnić, i Penny skrzętnie je wypełniała – artykułami o urządzaniu loftu, artykułami z cyklu „Robić taras czy nie: korzyści z drewnianej wyspy w ogrodzie”, podpowiedziami, jak sprzedać dom (zapach pieczonego chleba, świeże kwiaty, bla, bla, ziew). Pisała je tak często, że mogła to robić przez sen. Każdy periodyk i gazeta chciał mieć dział o domu i wnętrzach. Penny czule wspominała swoją rubrykę „Rozkoszne łazienki” w „The Tablet”, płacili marnie, ale cykl utrzymywał się latami. Podobnie jak jej kącik w piśmie pokładowym „Quantas” „Moje wiejskie ustronie”, gdzie drugorzędni – czasami ostatniorzędni – celebryci pozowali przed swoimi wiejskimi posiadłościami w Cotswold w towarzystwie wkrótce byłych żon. Pisywała też bardziej osobiste felietony, w których żerowała na własnych przeżyciach – a konkretnie na weekendach spędzanych w wiejskim domku Buffy'ego, gdy jeszcze byli małżeństwem. Sprytnie zmieniając ton, dawała radę wcisnąć je kilku redakcjom, od lokalnej gazety po ogólnokrajowe dodatki niedzielne: wpadki remontowe, zabawni tubylcy i tak dalej. To były czasy.

Bo świat się zmienił. Internet wykończył wiele czasopism, z którymi współpracowała, i jej znajomości się urwały, jakby ich nigdy nie miała. Gdy dzwoniła, telefon odbierało jakieś dziecko, któremu musiała literować swoje nazwisko. Była przebrzmiałą pieśnią, lata świetności minęły. Jednakże niczym narkotykowy diler zdążyła się uzależnić od towaru, który sprzedawała. Siedziała sama przed komputerem i przeglądała w sieci strony z nieruchomościami. Każdy dom czy domek był jak nowe życie, *tabula rasa*, ze swoją niszą kominkową i ogródkiem warzywnym. Pisząc dla innych, w końcu przekonała samą siebie. Przeprowadzi się na wieś! Spełni marzenie, które stworzyła dla swoich czytelników! Pub, sadzawka dla kaczek, duch wspólnoty, wioskowy głupek.

W końcu wychowała się na wsi – no, w Godalming – ale pamiętała cudowne dziecięce harce wśród pól i że waliła w różne rzeczy patykiem. Później pojawił się domek Buffy'ego – teraz już dawno sprzedany – z którym łączyły ją przyjemne wspomnienia chardonnay sączonego w ciepłe letnie wieczory. Wprawdzie nigdy nie jeździli tam zimą, ale

z pewnością przypadłyby im do gustu rześkie spacerunki i błogie wieczory przy kominku. Poza tym Penny miała przyjaciół, którzy mieszkali na wsi i wydawali się całkiem szczęśliwi, dziko szczęśliwi, po prawdzie. Irytująco szczęśliwi. „Jak ty wytrzymujesz w tym Londynie? Żałujemy, że wcześniej się nie przeprowadziliśmy”.

Ale głównym katalizatorem okazało się jej zerwanie z Colinem. Prawdziwy cud, doprawdy, że udało im się wytrwać razem pięć lat, zważywszy na to, że on był taki młody i – mówiąc zupełnie szczerze – taki nudny. Nie trzeba dodawać, że jej przyjaciele uświadomili to sobie na długo przed nią. Ale na początku, gdy Colin głądził, ona tylko wpatrywała się w jego usta, potem zaś po prostu była wdzięczna, że ma mężczyznę, w dodatku tak zdumiewająco przystojnego, podczas gdy tyle jej przyjaciółek dawno zostało porzuconych. Poza tym często się rozstawali – Colin fotografował celebrytów na całym świecie, ona wyjeżdżała na zlecenia. Zdarzało się, że całymi tygodniami prawie nie zamieniali słowa. A potem odkryła, że Colin, mężczyzna nigdy niesłynący z oryginalności, posuwa jedną ze swoich modelek.

Ich zerwanie zbiegło się w czasie z sześćdziesiątymi urodzinami Penny. Te dwa traumatyczne wydarzenia spowodowały, że zrewidowała swoje życie. Dlaczego nie rzucić wszystkiego i nie rozpocząć od nowa? Mówiła sobie, że znudziła się zimnym, pustym światem mediów oraz prasowych i promocyjnych imprez, prawda zaś wyglądała tak, że to on się nią znudził. Osiągnęła wiele i použíwała sobie, ale teraz była dinozaurem. Poza tym niedługo nie będzie już żadnych czasopism. Bóg jeden wie, jak młodzi sobie poradzą, ale trudno, ona spada. Spada na wieś! Co najdziwniejsze, języczkiem u wagi okazało się oświadczenie Buffy’ego. Wpadła na niego na Wardour Street któregoś popołudnia, a on rozpoczął tyradę przeciwko strażnikom miejskim w związku z tym, że musiał jeść herbatniki w samochodzie Nyange. Potem dodał, że ma Londynu po dziurki w nosie i myśli o przeprowadzce na wieś. W trakcie ich małżeństwa często ją zaskakiwał. Nic jednakże nie zdumiało jej bardziej niż ta deklaracja.

– Nie wytrzymasz nawet tygodnia – powiedziała wtedy. – Zdajesz sobie sprawę, że to jest poza ścisłym centrum Londynu? Nawet Klub Artysty w Chelsea był dla ciebie za daleko.

– Moje dzieci powiedziały to samo. Nie ma w tobie za grosz wiary?

– Nie.

– Miałem przecież przez dziesięć lat domek na wsi.

– Tylko dlatego, że Jacquetta zmusiła cię do jego kupna. Gdy byłeś żonaty ze mną, musiałam cię tam ciągnąć wołami. A już w porze niedzielnego lunchu wyrывałeś się z powrotem do Londynu. I nigdy nie jeździliśmy tam późną jesienią ani zimą. – Urwała w zamyśleniu. – Bardziej przypominał kochankę niż żonę.

– Znam tę minę – orzekł Buffy. – Myślisz o artykule, co? „Domki na weekend: przygoda na jedną noc”. Jestem pewien, że już taki napisałaś.

– A kiedy to mnie powstrzymało? – Wzruszyła ramionami. – Tak czy owak, sama myślę o przenosinach na wieś.

Teraz zdziwił się Buffy.

– Ty?

– Nie mniej dziwne niż w twoim przypadku.

– Dokąd chcesz się przenieść?

– Do jakiegoś małego domku.

– Gdzie?

– W jakiejś małej wiosce.

– Małej wiosce? – powtórzył. – Ale tam nie będzie Harveya Nicksa*.

– Zmieniłam się, Buffy. Już nie jestem tą kobietą, którą znałeś. – I dodała zjadliwie: – Czy raczej sądziłeś, że znasz. Może wcale mnie nie znałeś.

Po co to powiedziała? Żeby go wyprowadzić z równowagi. Buffy uniósł brwi. Denerwowało ją, że ilekroć się spotykali, popadali z powrotem w dawną zażyłość, jakby nic się nie zmieniło.

– Kto wie, może zajmę się ptasiarstwem? – powiedziała. – Ciao.

Musnęła ustami brodę Buffy’ego. Czy miał inną kobietę? Jeśli tak, to nie dbała o tę brodę. Penny przeciwnie: przycinała ją, włosy leciały na jego osłonięte rękawiczkami kolana, włosy coraz bardziej posiwiały w miarę upływu lat. Jego zapach, tak niespodziewany, poruszył ją jak widok dawno niewidzianego starego przyjaciela. Zeszła z chodnika,

o mały włos nie zderzając się z rowerzystą.

Ta rozmowa umocniła ją w postanowieniu. Jeśli Buffy może to zrobić, ona tym bardziej. Londyn był zbyt pełen wspomnień, przypadkowe spotkania z Buffym przypominały powrót do przeszłości, to nie mogło być zdrowe.

Zatem znajomi myślą, że jest szalona? No to im pokaże. Poza tym, gdy się już gdzieś osiedli, będą przyjeżdżać na weekendy, obiecali. Już sobie wyobrażała, jak łążą w piżamkach, chrupią tosty i czytają niedzielne gazety, zanim w kaloszach wyruszą na łąki. Życie towarzyskie w Londynie składało się z nagłych zrywów – telefony, co jakiś czas lunch lub obiad – przedzielonych długimi okresami samotności. Ludzie już nie spacerowali po mieście, gawędząc ze sobą. To będzie jak małżeństwo, tylko bez awantur.

W ciągu trzech miesięcy Penny sprzedała mieszkanie i kupiła domek w Suffolk, w wiosce Little Haddron, dwadzieścia mil od dawnego domku Buffy'ego. Domek był uroczy – belkowany strop, nierówna kamienna podłoga – uroczą była też wioska z krytymi strzechą budynkami otynkowanymi na różowo i dworkiem figurującym w przewodnikach Pevsnera. Był tam nawet sklepik, a w nim słóiczki z landrynkami.

– No to co się stało? – spytał Harold.

Pili kawę w salonie. Wszyscy inni oglądali w barze *Uczę Babette*, którą i Penny, i Harold już widzieli. Co wieczór w ramach poobiedniej rozrywki puszczano filmy o jedzeniu.

– Cóż, oczywiście kupiłam go latem – powiedziała Penny.

– Oczywiście.

– Gdy nastał listopad, nie tylko zrobiło się przenikliwie zimno i zaczęło lać, ale na dodatek miałam wrażenie, że ściemnia się zaraz po lunchu. Osiem godzin ciemności do przetrwania, zanim można pomyśleć o pójściu do łóżka. Co, na Boga, ludzie wtedy porabiają?

– Piją i cudzołożą – odpowiedział Harold.

– Ale tam nie ma z kim.

– Nie znajdzie się nikt w tej wiosce?

Pokręciła głową.

– Cała się zimą wyludnia. Mieszkają tam miastowi, którzy

przyjeżdżają tylko latem. Albo emeryci, którzy wybywają na Florydę. Albo miejscowi, i to bardzo, bardzo starzy. Wiesz, że mają tam zespół startujący w Pucharze Elektrycznych Wózków Inwalidzkich?

– O, cholercia – mruknął Harold. – W Formule Jeden czy Dwa?

– Nic się nie dzieje. Nic! Szłam kiedyś do sklepiku z kubkiem herbaty, bo jeszcze ją piłam, gdy nagle przystanęła jakaś staruszka, wydała stłumiony okrzyk i powiedziała: „Teraz widziałam już wszystko”.

Harold się roześmiał.

– A przyjaciele? Nie odwiedzają cię?

– Nie. Są zajęci, mają swoje życie. I wnuki oraz domki na weekend, do których usiłują mnie zwabić. Zastanawiam się, czy ich nie przekupić, ale kto zdrowy na umyśle chciałby spędzić weekend w morzu błota i ciemnościach, skoro może się bawić w Londynie?

– No, ale przecież chcieliby cię zobaczyć.

– Nie, nic z tego. Stałam się taka nudna. Moim największym przeżyciem w zeszłym tygodniu była wycieczka do Halesworth, żeby naprawić kosiarkę.

– Musisz mi o tym opowiedzieć. – Harold nachylił się z błyskiem w oku. – Jaką kosiarkę? Co się zepsuło?

Penny się roześmiała. Zaczynała coraz bardziej lubić Harolda, choć zupełnie nie był w jej typie – zbyt zaniedbany, zbyt neurotyczny. Za niski. Miał dziury po molach w swetrze i nadgarstki owłosione jak małpa.

– Tutaj także nie jest szczególnie ekscytująco – oznajmił. – Chociaż słyszałem, że w Llandrod znajduje się Muzeum Owczych Bobków.

– Bosko. Koniecznie musimy się wybrać.

Harold ponoć schronił się w Knockton, żeby pisać powieść. Zaprzyjaźnili się z Buffym i Penny rozumiała dlaczego. Wiele ich łączyło: obaj lubili pogawędzić, obaj byli cokolwiek sterani życiem i obaj wylądowali w zabitym dechami miasteczku z przyczyn, których nie potrafiła pojąć.

Cieszyła się, że udało jej się przez cały wieczór unikać Buffy’ego. Wydawało się, że jego bawi ta sytuacja, ale ona nadal była zbita z tropu.

Nie miała pojęcia, że przeprowadził się do Walii, a tym bardziej że – rzecz przekomiczna – prowadzi hotel. Usłyszała po prostu o kursie gotowania i uznała, że skoro najbliższy Marks & Spencer jest trzydzieści mil od jej domu, powinna nauczyć się podstaw przygotowywania posiłków, czego wcześniej, w latach darmowych wyżerek i zakupów w Selfridges Food Hall, nie musiała robić. Poza tym, gdy dni stawały się coraz krótsze, zaczynała odchodzić od zmysłów i pomyślała, że tydzień spędzony wśród ludzi pozwoli jej je zachować.

– Jak to możliwe, że Buffy nie wiedział, że przyjeżdżasz? – spytał Harold.

Wzruszyła ramionami.

– Mamy inne nazwiska i chyba ta dziewczyna o śmiesznym imieniu...

– Voda.

– ...przyjmowała rezerwację.

– Cieszę się, że przyjechałaś. Dużo o tobie słyszałem.

Penny się zarumieniła.

– Naprawdę? Co ci nagadał?

Przerwał im gwar głosów. Drzwi się otworzyły i weszli ludzie z baru, gdzie dobiegła końca projekcja filmu. India podeszła do Penny i ucałowała ją na dobranoc. Miała we włosach plastikowy kwiat hibiskusa. Voda, z przyczyn tylko im obu znanych, tak samo.

– Spadamy, do zobaczenia jutro – powiedziała India.

Penny skinęła głową. To był oczywiście kolejny szok: zobaczyć tu swoją byłą jakby pasierbicę, i to w dodatku jako zdeklarowaną lesbijkę! Twarz dziewczyny promieniała szczęściem. Penny to cieszyło: w przeszłości India nie miała łatwo, czemu trudno się dziwić przy takiej matce jak Jacquetta.

India nachyliła się bliżej i wyszeptała Penny do ucha:

– Buffy trochę się zalał.

– To dopiero odmiana – mruknęła Penny.

– Może powinnaś mieć go na oku.

Penny uśmiechnęła się cierpko.

– Skarbie, to już nie mój obowiązek.

Monica

Monica nie mogła sobie później przypomnieć, jak to się stało, że wylądowała w łóżku Buffy'ego. Oboje byli pijani oczywiście. Pamiętała, że się rozkleili z powodu filmu, narzekając, że nikt taki jak Babette nie przygotowałby uczyty dla nich. Pamiętała, że pili razem whisky w bawialni, gdy wszyscy już się położyli, a żar dogasł w kominku. Pamiętała cielesną obecność byłej żony Buffy'ego, leżącej w łóżku na górze, kobiety, z którą musiał się kochać z tysiąc razy. Chryste, chyba nie powiedziała tego na głos? Co jeszcze naplotła Buffy'emu? Że jest cholernie samotna?

Obudził ją pies, który wskoczył na łóżko. Buffy leżał obok niej, chrapiąc w poduszkę, z ramieniem przerzuconym przez jej talię. Monica nadal miała na sobie stanik i majtki (nie od kompletu) i, dzięki Ci, Boże, rajstopy. Buffy też był ubrany, z wyjątkiem spodni. Lampka nocna nadal się paliła, mimo że przez okno wpadało już szare światło.

Monica wygramoliła się spod kołdry i pozbierała swoje ubranie. Deski podłogi zatrzeszczały, gdy wymykała się z pokoju ukradkiem jak nastolatka. Było wpół do ósmej. Przystanąła na podeście, nasłuchując. Dom tonął w ciszy. Już w swojej sypialni naląła sobie szklankę wody rozdygotanymi rękoma. Głowa ją bolała i była dziko spragniona.

Śniło jej się, że leży związana i naga na polu. Wilki kasały ją po twarzy. Jej ojciec stał obok i się przyglądał. Miała potworne wrażenie, że jest seksualnie podniecona. Ocknęła się nagle zlna potem. Było za pięć jedenasta. W powietrzu rozchodziła się słaba woń ryby.

W kuchni Voda powitała ją pogodnie.

– Robimy zapiekanekę rybną. I bouillabaisse. Opowiadałam już o przygotowywaniu zup, ale na pewno nas pani dogoni.

Nikt nie spoglądał dziwnie na Monicę. India zrobiła jej herbatę i tosta. Nie było śladu Buffy'ego.

Pojawił się jednak w porze lunchu, gdy siedziała nad talerzem. Staął w drzwiach i popatrzył na nią. Poczowała, że się czerwieni. Podrapał się po głowie i posłał jej zagadkowy uśmiech. Nie mogła uwierzyć, że spędziła noc, leżąc obok tego mężczyzny. W wymiętej żółtej koszuli wyglądał jak kłozard. Chociaż zmienił ubranie, nadal wydawało się,

jakby w nim spał.

Naprzeciwko niej siedziała Penny, chłodna i spostrzegawcza. Czyżby wiedziała, że coś się święci? Miała na sobie koszulkę z napisem Virgin Airlines Maiden Voyage i emanowała zdrowym blaskiem bogatej mieszkanki przedmieść, choć Monica podejrzewała lifting. Prawdopodobnie amatorka tenisa. Trudno było sobie wyobrazić kogoś mniej pasującego do Buffy'ego.

Penny opowiadała jednej z kobiet o swojej przeprowadzce na wieś i rozczarowaniu z nią związanym. Mówiła, że prowadzi rubrykę zatytułowaną „Wiejskie żale” dla „Grocer”, jedyne go periodyku, który przyjmował jej kawałki. Z braku laku dobry kit, stwierdziła. Ponoć jej domek stał przy polu i gdy nastąpiła zima, za jej żywopłotem ukazało się obozowisko ukraińskich zbieraczy warzyw.

– Jestem pewna, że ich tam nie było latem, gdy kupowałam dom – powiedziała. – Ich kombi znajduje się tuż obok mojej szopy w ogrodzie. A hałas, jaki robią, mój Boże! Jak duszone koty. Napisałam o tym felieton, moim zdaniem dość zabawny, ale uznali, że jest nieodpowiedni dla sklepikarzy, więc musiałam zamiast tego napisać o cięciach w lokalnych połączeniach autobusowych.

Monica słuchała tylko jednym uchem. Buffy siedział przy stoliku obok i zamyślony patrzył na swój talerz zimnych mięs. Ten jeden raz nie był duszą towarzystwa. To przez kaca czy świadomość, że spędził noc z jej na wpół nagim, podstarzałym ciałem?

Po lunchu kursantki odmaszerowały z powrotem do kuchni robić babeczki. Monica oznajmiła, że boli ją głowa i wyjdzie trochę się przewietrzyć. Opuściła Myrtle House i ruszyła ulicą, modląc się w duchu, by Buffy usłyszał, co powiedziała, i by za nią poszedł. Nagle ogarnęła ją absurdalna tęsknota.

Chwilę później usłyszała poszczekiwanie psa u swojej nogi i kroki Buffy'ego.

– Monica!

Przystanąła. Zdyszany Buffy dołączył do niej i położył jej dłoń na ramieniu.

– Bardzo przepraszam – wysapał.

– Za co?

Zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć.

– Do niczego nie doszło, prawda?

Pokręciła głową.

– Nie, o ile pamiętam.

Buffy sapnął z ulgą.

– Dzięki Bogu.

Strząsnęła jego rękę.

– Dzięki Bogu?! Co chcesz przez to powiedzieć? – Spojrzała na niego gniewnie oczyma wezbranymi łzami. – Taka odrażająca myśl, co?

– Nie to miałem...

– Zostaw mnie! – Wyminęła go i ruszyła pospiesznie ulicą.

– Monica! – zawołał.

Pies tańczył dokoła jej stóp, skomląc.

– Spieprzaj! – warknęła.

– Poczekaj na mnie! – krzyknął Buffy.

Potykając się o Figa, skręciła w alejkę i zaczęła biec. Słyszała cichnące wołanie Buffy'ego.

Znalazła się w tylnej uliczce, za domami. Jakiś mężczyzna naprawiał samochód, więc się cofnęła i skręciła w lewo. Szła pospiesznie żwirową ścieżką, pies chwycił ją za kostki. I nagle cholerny zwierzak znalazł się pod jej nogami. Potknęła się i upadła.

– Nic ci się nie stało? – Buffy pomógł jej się podnieść.

– Nic mi nie jest!

Strząsnął liście z jej spódnicy.

– Posłuchaj, Monico, nie to chciałem powiedzieć. Wiesz, że nie to.

– Nie chcę o tym rozmawiać – mruknęła, odsuwając się.

Przyciągnął ją z powrotem.

– Po prostu miałem nadzieję, że nie naraziłem cię na swoje pijane awanse, to byłoby zbyt odrażające w przypadku kobiety twojej klasy.

– Chcesz powiedzieć: w moim wieku.

– Nie! Klasy. Miałem potworne wrażenie, że cię wykorzystałem, gdybym był do czegoś takiego zdolny, w co raczej wątpię. – Trzymając ją za rękę, patrzył badawczo w jej twarz. – Zwłaszcza po tym, co przeszłaś.

– Co masz na myśli?

– No, stratę męża.

– Nie jestem wdową – rzuciła. – Nigdy nie byłam mężatką.

Buffy zrobił okrągłe oczy.

– Co?

– Zmyśliłam to. – Wzruszyła ramionami niedbale, z walącym sercem.

– Dlaczego?

– Po prostu miałam ochotę. Jesteś aktorem, sam to robisz. Miałam ochotę spróbować czegoś innego. Nowe miejsce, nowi ludzie. Chciałam być kimś innym.

Dlaczego to powiedziała? Nie miała pojęcia. Buffy patrzył na nią, z unoszącą się miarowo pierśią. Słyszała za murem dźwięk lutni. Nagle poczuła się z nim beznadziejnie, omdlewająco intymnie.

– Chyba lepiej już wrócę – powiedziała.

– Odprowadzę cię.

– Mam na myśli do domu.

Wzdrygnął się, jakby dostał policzek.

– Dlaczego?

– Zrobiłam z siebie skończoną idiotkę.

– Nie, to ja zrobiłem z siebie idiotę.

– Widzisz? Sam myślisz, że to wszystko było śmieszne.

Przyglądał się jej.

– A było? – Potarł w zamyśleniu brodę. – Mnie się wydało raczej miłe.

Monice zamarło serce. Lutnia wyśpiewywała jej własne niewypowiedziane słowa. Może Buffy też tak pomyślał, bo żadne z nich się nie odzywało.

– Kto to gra? – spytała w końcu Monica.

– Simon, mój sąsiad. Długowłosego poczciwiec. Jego żona ma sklepik z ubraniami vintage, w którym pachnie naftaliną.

– Nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego ludzie chcą wyglądać jak swoi dziadkowie.

– Żyjemy tutaj w takiej jakby dziurze czasowej – powiedział Buffy.

– To jeden z uroków Knockton.

Trochę dalej w uliczce włączył się silnik. Słyszeli, jak zwiększa

obroty, raz po raz.

– Nie wracaj do domu – poprosił Buffy. – Usiądź ze mną przy obiedzie.

Penny

– Myślisz, że coś się dzieje między Monicą i Buffym? – spytała Penny. Siedziała z Haroldem w Coffee Cup.

– Nie zdziwiłbym się. – Wskazał młodą kobietę nalewającą herbatę. – Romanse zdają się kwitnąć w pensjonacie Buffy’ego. To Amy, właśnie zaczęła tu pracę. Przygruchała sobie wykładowcę na kursie. A inny gość znalazł miłość w salonie kamperów.

Penny zmrużyła oczy.

– Wiem, że coś się święci, mam szósty zmysł, wyczuwam takie sprawy. W szkole wynajmowałam się jako wykrywacz kłamstw.

– Ile sobie liczyłaś?

– Trzy pensy za usługę. Nigdy się nie pomyliłam.

Uniósł brwi.

– Lepiej będę się miał na baczności.

Penny ją lubiła. Monica miała w sobie coś szorstkiego i defensywnego, ale pod tą skorupą Penny swoim szóstym zmysłem wyczuwała rozdygotany brak pewności siebie. Może Monica nie była w typie Buffy’ego, ale kto był? Gdy chodziło o damy, jej eks miał bardzo pojemne gusta. Tępe, głupawe, zasadnicze, feministki, wytworne, zaniedbane... do wyboru, do koloru, brał wszystkie jak leci, choć trzeba przyznać, pozostawał wierny tej wybranej, dopóki trwał związek. Był beznadziejnym romantykiem. I bez wątpienia czuł się tu samotny, tak daleko od jaskrawych świateł Soho. Któż mógłby mu żałować tej odrobiny miłości?

Penny mogła oczywiście. Była jego ekszoną, na miłość boską! Każdy jego następny związek musiał budzić w niej cały wachlarz emocji. Żal, że ten kolejny raz okaże się bardziej udany. Protekcyjną litość dla kobiety chcącej rozpocząć wątpliwą przygodę zwaną Życiem z Buffym. Ciekawość, naturalnie. Skomplikowaną siostrzaną solidarność zmaconą różnymi odczuciami, których wołała nie analizować. Ale

z pewnością nie zazdrość – z pewnością nie. Penny nie przyjęłaby Buffy’ego z powrotem, nawet gdyby błagał ją na kolanach. To by było jak podrywanie martwego morsa.

– Co cię tak bawi? – spytał Harold.

– Nic. Życzę jej szczęścia, będzie go potrzebować.

– Jak długo trwało wasze małżeństwo?

– Siedem lat.

– Byliście szczęśliwi?

Penny zastanawiała się chwilę.

– Nigdy się nie nudziłam, to muszę przyznać. I nieźle się bawiliśmy.

Nagle zakręciło jej się w głowie od poczucia straty. Jakże go uwielbiała! Przypomniała sobie ich pierwsze lata, fizyczny ból, gdy któreś musiało wyjechać. Przypomniała sobie, że nawet rzeczy Buffy’ego – espadryle, książka, którą czytał – były opromienione jej namiętnością do niego. Rumak to szczęśliwy, gdy Antoniusza ciężar może dźwigać**. Musiała być szalona.

– Naprawdę był beznadziejny – powiedziała. – Pijak, egocentryk... był aktorem, na miłość boską! Żył w totalnym chaosie. No i te dzieci wyskakujące jak spod ziemi.

– No, chyba tylko jedno. O pozostałych wiedział.

– W sumie nie powinnam się dziwić, to takie do niego podobne – dodała. – Zawsze zapominał, gdzie co wsadził.

– Cóż, wydaje się, że z pensjonatem całkiem nieźle sobie radzi. – Harold mieszał piankę w kubku.

– Tak, bo dwie kobiety odwalają za niego robotę.

– Ale to jednak dosyć sprytne: sprawić, by ludzie płacili ci za naprawianie twojego auta, pielenie ogrodu i co tam jeszcze. Teraz zamierza wprowadzić kurs majsterkowania, żeby kursanci dokonali niezbędnych napraw w domu.

Penny przetrawiała to chwilę w zamyśleniu.

– Czyli taki miał pomysł? I z gotowaniem obiadów też? Cholernie genialne.

Łyzeczka Harolda znieruchomiała.

– Nawet się nie waż – powiedział. – Buffy mi mówił o tym

spojrzeniu.

– Jakim spojrzeniu?

– „Czy jest w tym materiał na artykuł”. Cóż, tego nie możesz ruszyć. Zaklepałem to dla swojej powieści.

Penny się zaczerwieniła.

– W życiu bym tego nie tknęła – skłamała.

Harold zmrużył oczy.

– Trzy pensy proszę.

Penny się roześmiała. Na zewnątrz lało, ale w kafejce, z jej zaparowanymi szybami i syczącym ekspresem, panowała przytulna kameralna atmosfera. Harold był świetnym towarzyszem, musiała mu to oddać. Colin był wspaniały w łóżku, ale nie miał za grosz poczucia humoru. Trochę trwało, zanim to przyznała, podobnie jak trochę trwało, zanim przyznała, że przeprowadzka na wieś była katastrofą. Czy naprawdę jest w stanie znieść tam sama drugą zimę?

Harold popijał kawę i spoglądał z zaciekawieniem na innych klientów. Pod naruszonym przez mole kardiganem miał koszulkę z napisem Fudge Factory. Musiał ją dostać od byłej żony. Penny wiedziała już teraz co nieco o Pii. Przez chwilę, ku swojemu zdumieniu, poczuła to samo ukłucie zazdrości, jakie budziła w niej Jacquetta. Obie kobiety wydawały się takie podobne – artystowskie, egocentryczne. Pia kiedyś była tancerką. Na pewno miała płaski brzuch i silne mięśnie pochwy. Aż strach pomyśleć.

– O czym myślisz? – spytał Harold.

– O niczym.

Na szczęście wyratowała ją Amy. Mijała ich stolik i przystanęła, by pogawędzić z Haroldem.

– Mama Nolana wybiera się dziś wieczorem na multirandkę – powiedziała. – Zrobię jej taki makijaż, że będzie wyglądała nieziemsko.

– Kiedy zaczęła się ta moda na multirandki, zapisałam się na jedną – oznajmiła Penny. Zamierzałam napisać o tym artykuł. Wtedy odkryłam, że wszyscy pozostali randkowicze mieli dokładnie ten sam zamiar. Kupa dziennikarzy multirandkowała z innymi.

Harold się roześmiał. Potem w jego oku pojawił się błysk, który rozpoznała.

– Nie waż się tego wykorzystać – ostrzegła. – To moje.

Harold westchnął.

– Lepiej zawrzyjmy układ. Ty nie wykorzystujesz tego, co moje, ja nie wykorzystuję tego, co twoje.

– W porządku.

Uścisnęli sobie dłonie. Jego ręka była sucha i ciepła, tej samej wielkości co jej. Ścisnęło ją w brzuchu. Zabrała rękę i wbiła wzrok w cukiernicę.

Amy oddaliła się obsłużyć kolejnego klienta. Harold patrzył, jak zapisuje zamówienie w notesiku.

– Jaka byłaś w jej wieku? – spytał.

– Ambitna – odpowiedziała Penny. – Uciekłabym stąd w te pędy.

– Amy postąpiła przeciwnie. Rzuciła pracę, wszystko rzuciła, by tu zamieszkać. Twierdzi, że nigdy nie była taka szczęśliwa.

Miasteczko bez perspektyw. Dziura zabita deskami. Takie było pierwsze wrażenie Penny. Teraz nie była już taka pewna. Obserwowała ludzi w kafejce, rozpartych na krzeselkach i gawędzących, widziała, jak ktoś pozdrowił wchodzącą kobietę. Jeszcze nigdy nie należała do żadnej społeczności.

Odwróciła się z powrotem do Harolda.

– A jaki ty byłeś w jej wieku?

– Miły żydowski chłopiec żonaty z miłą żydowską dziewczyną.

– No tak. Z Doris.

– Rzucaczką talerzami, jak się okazało, ale pewnie na to zasługiwałem. – Podrapał się po głowie. – Teraz jestem znacznie łatwiejszy we współżyciu. Podobnie jak, podejrzewam, ona.

Oboje pograżyli się w pełnym zadumy milczeniu. Penny skierowała uwagę z powrotem na cukiernicę, ubijając na płasko łyżeczką cukier.

– I co z tym zrobić? – odezwał się w końcu Harold. – Z tą przeszłością?

– Nie wiem – odrzekła.

– Masz czasem wrażenie, że ogromne połacie twojego życia przydarzyły się komuś, kogo z trudem poznajesz?

Penny skinęła głową.

– To się chyba nazywa syndrom sześćdziesiątki. – Urwała. –
O rany, ty jeszcze jej nie skończyłeś, prawda?
Uniósł brwi.
– Czym jest kilka lat między przyjaciółmi?
– Bo nimi właśnie jesteśmy, prawda? – powiedziała. – Co za ulga,
że nie wpadliśmy sobie w oko.
Skinął głową.
– Prawdziwa ulga.
Wstała.
– Wracaj zatem do swojej książki.
– A ty do gotowania. – Podniósł się. – O tej samej porze jutro?
Skinęła głową.
– Naprawdę powinieneś coś zrobić z tym kardiganem.

Monica

Monica darowała sobie przedobiedni aperitif, żeby się wykapać, to była jedyna pora, kiedy łazienka na bank była wolna. Wcześniej kupiła sobie wino w zakręcanej butelce, nalała sobie trochę do kubka do mycia zębów i sączyła teraz, leżąc w kąpielni z mizerną pianą wyciśniętą z jej przydziałowej saszetki.

„Usiądź ze mną przy obiedzie”. Było coś zaskakująco erotycznego w tym zdaniu. Trochę jak w „Mogę prosić do tańca?”. Wiedziała, że zachowuje się niemądrze. Buffy prawdopodobnie po prostu chciał być uprzejmy. Poza tym nie był w jej typie – miał kaprawe oczy i popękane naczynka na nosie. I tak czy siak, był aktorem – a jak takiemu zaufać?

Ale kto był w jej typie? Ostatnio, mówiąc zupełnie szczerze, każdy, kto ją chciał. Wystarczył najdrobniejszy przejaw zainteresowania ze strony mężczyzny, a już była jego. Czy też raczej byłaby, gdyby podobne przejawy się zdarzały. Obserwowała, jak samotna osa, relikwiarz, wlecze się po parapecie. Jestem po prostu wyposzczonym, zgłodniałym seksu starym pudłem, pomyślała.

A mimo to... mimo to. Coś w Buffym dodawało jej animuszu. Tamten wspólny lunch był taki zabawny, przypominał jej czas spędzany w towarzystwie Malcolma – te żarciki, to poczucie bliskości.

Ile kobiet zabawiał już Buffy przy lunchu? Przy wannie znajdowała się poręcz zainstalowana przez poprzednią właścicielkę, która ponoć dożyła bardzo zaawansowanego wieku. Musiała być szaleńczo zakochana w Buffym, skoro zostawiła mu swój dom. A nie była nawet jedną z jego żon.

Monica wygramoliła się z wanny bez pomocy poręczy, tego była w stanie dokonać. Lustro, litościwie zaparowane, nie pokazało jej nagiego ciała. Wytarła się, wróciła do sypialni i wyłowiła komplet bielizny od Janet Reger. Tym razem będzie przygotowana – jeśli, rzecz jasna, do czegoś dojdzie, w co wątpiła. Ale jej głupie serce waliło. „Gdybym był zdolny do czegoś takiego”, powiedział. Jednak porażka mogłaby ich do siebie zbliżyć. Nadzy w swoich ramionach, zachichotaliby. Była doświadczoną kobietą, zrozumiałaby. Może żadna z jego żon czy kochanek go nie rozumiała. Może jego życie było serią falstartów. Gardziła literaturą romansową, ale taki był jej sens, prawda? Odpowiednia osoba, która pojawia się, gdy człowiek się tego najmniej spodziewa.

To wszystko czyste szaleństwo. Ona jest szalona, puszczając wodze fantazji po kilku lampkach wina. Siedziała na łóżku z rajstopami zwiniętymi w dłoni i gładziła piętę. Taka popękana i sucha, taka zaniedbana! Jak pięty jej matki w ostatnich latach życia. Monica przypomniała sobie zdesperowany uścisk dłoni – szponu – na swoim ramieniu, jakby matka tonęła, i pomyślała: Nie chcę zestarzeć się w samotności. Chcę siedzieć przy kominku, zjadać się racuszkami w towarzystwie Buffy’ego. Nie przeszkadzają mi te wszystkie kobiety, które go miały, gdy był młody, szczupły i u szczytu sławy, śmigające z nim na premiery i gdzie tam jeszcze. Zadowolę się tym, co dostanę.

Zeszła ostrożnie po schodach, nie na skutek wypitego wina – uchowaj Boże – ale z powodu szpilek, które miała na nogach. Z baru dochodził pogwar rozmów, jednak gdy tam zajrzała, nie zobaczyła Buffy’ego.

W tym momencie usłyszała ryk śmiechu dobiegający z kuchni. Przeszła przez korytarz i zajrzała tam.

Buffy siedział na krześle z szyją owiniętą ręcznikiem. Penny siedziała obok i przystrzygała mu brodę.

Zobaczyła Monicę i zawołała:

– Nie mogłam już dłużej tego znieść. Lada moment kawałki jedzenia zaczęłyby mu się w nią wplątywać.

Buffy usiłował się odwrócić, ale Penny szarpnęła jego głowę z powrotem na miejsce. Wzniósł oczy do nieba.

Voda stała przy piecu, mieszając bouillabaisse.

– Świetny moment sobie wybraliście – sarknęła. – Właśnie podaję.

– Wyglądał jak Staruszek Czas. – Penny wstała, cofnęła się i przyglądała swojemu dziełu z przechyloną głową. – No, zrobione. – Zwinęła ręcznik. – Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale kiedyś zadawał szyku. Był z niego prawdziwy lew salonowy.

– Trudno nim być w mieście, w którym nie ma salonów – powiedział Buffy, strzepując włosy ze swetra.

– Czy ja wiem – rzuciła Penny w zamyśleniu. – Zaczynam coraz bardziej lubić Knockton.

– Zamierzasz się tu przenieść, co? – zgadywał. – Witaj w klubie.

– Wszyscy się tu znają – ciągnęła Penny. – Miejsce nie jest wymarłe jak to, gdzie mieszkam, i człowiek nie czuje się tu tak samotny jak w Londynie. Życie w małym miasteczku ma swoje plusy.

Buffy się roześmiał.

– W najdzikszych snach bym się nie spodziewał, że usłyszę te słowa akurat z twoich ust.

– Po prawdzie to chyba nawet zaczynam się w nim zakochiwać. – Penny strzepnęła ręcznik nad zlewem. – Nigdy nie jest za późno na miłość, nie sądzisz, Monico?

Nie miała szans usiąść obok Buffy'ego przy obiedzie. Tess i inna kursantka poklepały puste miejsce między nimi i Buffy je zajął, nawet nie spojrzawszy na Monicę. Najwyraźniej zapomniał, co wcześniej mówił.

No i dobrze. Przystrzyżona broda czyniła z niego obcą osobę. Wyglądał elegancko, bez dwóch zdań, i szczuplej, jednak w musztardowym kardiganie i koszuli w paski przypominał jazzmana doby Ackera Bilka. Monica nigdy nie szalała za takim stylem. Poza tym tamta scena rodzinnej zażyłości wytrąciła ją z równowagi. Sprawiali z Penny wrażenie, jakby nadal byli małżeństwem: przekomarzali się

i dogryzali sobie, w najlepszej komitywie, której głębi nie mógł pojąć ktoś z boku, taki jak ona. Stara panna, poza nawiasem. Była przegrana. A na domiar złego majtki wrzynały jej się w krocze; nie mogła przenieść ciężaru ciała na jeden pośladek i ich wyciągnąć.

Jej sąsiadki – Hinduska, której imienia nie dosłyszała, i inna kursantka, której imię też jej umknęło, komentowały zapiekankę i swój udział w jej powstaniu. Każde zdanie kończyły znakiem zapytania jak Australijki. Skąd się wzięła u młodych ta maniera? Czy nie zdają sobie sprawy, jak bardzo jest irytująca? Po drugiej stronie Moniki siedział Harold, ale rozmawiał z Penny. Już drugi wieczór siedzieli obok siebie. Dwie kobiety naprzeciwko wieszały psy na swoich eks.

– Wasze towarzystwo jest dla mnie ogromnym wsparciem? – powiedziała jedna. Chryste, one też. – Panuje tu taka atmosfera kobiecej solidarności, no bo przecież wszystkie jedziemy na tym samym wózku?

– Powinni nazwać to miejsce Hotelem Złamanych Serc? – dorzuciła druga. – Przyjechałyśmy tu lizać rany?

Najwyraźniej Monica wydawała im się zbyt stara, by włączyć ją do rozmowy. Wyjęła ość z ust. Kolejny urok starzenia się: wchodzące między zęby jedzenie. Teraz już rozumiała, dlaczego seniorzy w restauracjach grzebią sobie w nich wykałaczkami, czasami zakrywając sękatą dłonią usta, a czasami nie.

Jeszcze tylko trzy dni do piątku. Wytrzyma do końca kursu przez wzgląd na swoją dumę. Gdyby wyjechała wcześniej, Buffy mógłby pomyśleć, że to przez niego, a ona nie da mu tej satysfakcji. Będzie dla niego bardzo miła, naturalnie, ale ogólnie postara się trzymać od niego z daleka. Co zresztą nie powinno być trudne, jako że nieodmiennie otaczały go kobiety. Kto wie? Może pokaże się kolejna z jego byłych żon.

Buffy

Przez cały wieczór Buffy próbował nawiązać z Monicą kontakt wzrokowy. Próbował dać jej znać spojrzeniem: „Wybacz, nie mogę się stąd ruszyć”. Po obiedzie próbował spytać oczyma: „Oglądasz film?”. Zignorowała go i odmaszerowała do baru z resztą. Usiadł w rzędzie

z tyłu, widok na ekran, na którym leciała *Julie i Julia*, częściowo zasłaniały mu gęste włosy Denise, jednej z jego bardziej wymagających klientek (żadnego glutenu, żadnego jedzenia z twarzą). Monica siedziała w pierwszym rzędzie, lekko na lewo od niego. Wydawała się pochłonięta filmem, który jemu wydał się sentymentalny i dziewczynski, zupełnie nie w jej guście. Może udawała. Obok niego siedziały ze splecionymi dłońmi India i Voda. Od czasu do czasu rozłączały ręce i głaskały się nawzajem po udach. Penny i Harold w rzędzie na przedzie poszeptywali i chichotali. Ktoś się nachylił w ich stronę i kazał im się przymknąć.

Obecność Penny przyprawiała Buffy'ego o pewne pomieszanie – jej cielesna obecność w jego nowym domu, zmieniająca układ cząsteczek w powietrzu, wywołująca wspomnienia. Powinien już się z nią oswoić, ale nadal przeżywał wstrząs, ilekroć Penny pojawiała się w swetrze, który kupił jej, gdy byli jeszcze małżeństwem. Oczywiście widywał ją po rozwodzie, wpadali na siebie na ulicy, spotykali się na przyjęciach, gdzie jej towarzyszył ten chłoptys, Colin, teraz oddelegowany do przeszłości. Jednak od siedmiu lat lub nawet dłużej nie przebywali pod jednym dachem. Dziwnie było oglądać ją w domowej scenerii – jak wychodzi spod prysznic z mokrymi włosami owiniętymi turbanem, jak ładuje na grzankę wielką jak zwykle porcję masła (dostanie zawału? Teraz to już nie jego problem). Było to niesamowite, a jednocześnie osobliwie znajome. Na niej jakby nie robiło to wrażenia, osunęli się z powrotem w coś w rodzaju swojej dawnej relacji albo jej bliskiej paraleli. Zapomniał już tę czułą, lekko rozbawioną manierę, z jaką się do niego odnosiła, jakby był kanapowym pieskiem.

Czy plotkowała o nim z innymi kursantkami? Na tę myśl krew się w nim ścięła. A konkretnie, czy rozmawiała o nim z Monicą? Jak dotąd nie zauważył niczego, co by o tym świadczyło, jednak Penny miała niesamowitego nosa i mogła się zorientować, że coś jest między nimi.

Jeśli istotnie było. Naprawdę zrobił z siebie kompletnego idiotę tamtej nocy. Zalewały go wspomnienia, każde kolejne bardziej żenujące od poprzedniego. To, jak się nad sobą użalał, bredząc o *Uczcie Babette*, jak potem rozplęwał się nad urodą Stéphane Audran, co było wyjątkowo niegrzeczne w zaistniałych okolicznościach. A później jeszcze ta sentymentalna gadka o tym, jak słodkie były jego pociechy

w dzieciństwie, równie nietaktowna, jako że Monica była bezdzietna. Przypomnił sobie mgliście, że w pewnej chwili – dobry Boże! – położył głowę na jej kolanach. A potem ta beznadziejna macanka na podeście, jego pijackie błagania, by nie zostawiała go samego. Czy próbował rozpiąć jej bluzkę, czy sama to zrobiła? Przypomnił sobie jakąś próbę pocałunku, ale reszta miłosiernie ginęła w niepamięci.

Nic dziwnego, że Monica od tego czasu prawie się do niego nie odzywała. Nie mógł jej winić. Chociaż sama też była wtedy zawiana, zapewne pamiętała wszystko z odrażającymi szczegółami. Jakim był głupkiem, sądząc, że podoba jej się tak samo jak ona jemu! Teraz, gdy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że pewnie sfabrykowała tego nieżyjącego męża tylko po to, by powstrzymać umizgi z jego strony. Wtedy tego nie rozumiał, ale teraz trzymało się to kupy.

Bo naprawdę mu się podobała. Była zachwycającą kobietą – ciemną, wiotką jak trzcina, o interesującej twarzy, która przypominała mu trochę Dorothy Parker. Pod eleganckim ubraniem i szykowną fryzurą wyczuwał jednak brak pewności siebie i mnóstwo zagubienia. Po latach spędzonych z Penny znowu był gotów na neurotyczkę. No i go rozśmieszała.

Żałował, że nie może poradzić się Penny, z pewnością powiedziała by coś, co by go otrzeźwiło, otwierając szeroko okno na cuchnący pokój jego duszy. Ale Penny była ostatnią osobą, której mógł się zwierzyć.

Następnego ranka nigdzie nie widział Moniki. Brakowało mu jej przy śniadaniu, a gdy potem wszedł do kuchni, gdzie zebrały się kursantki, też jej tam nie znalazł. Poczul ukłucie zawodu. Późnym rankiem nadal nie było jej śladu. Zakradł się więc na górę i zastukał do jej drzwi. Nie doczekał się odpowiedzi, ale gdy zajrzał do środka, jej rzeczy nadal były na miejscu. Zatem nie spakowała się i nie wyjechała, ale gdzie w takim razie się podziewa?

Monica

Praca była odskocznią Moniki. Po zerwaniu z Malcolmem rzuciła się w jej wir, biorąc na siebie kolejne zadania i tyrając po godzinach.

Wszystko, byleby tylko odwlec w czasie powrót do pustego mieszkania, gdzie czaiły się rozpacz i szaleństwo.

Teraz stała przy pojemnikach na śmieci, z twarzą smaganą wiatrem, i dzwoniła do Ruperta, swojego asystenta.

– Jakież wiadomości? – spytała.

– Nic, z czym bym sobie nie poradził – odpowiedział. – Masz urlop, pamiętasz?

– Jesteś pewien?

– Nie martw się, panuję nad sytuacją. Ty baw się dobrze, gdziekolwiek jesteś. – Nie wiedział nawet, że wyjechała na kurs gotowania.

Wyłączyła komórkę. I co teraz? Wybiegła myślami do biura, do czerwonych krzesełek ustawionych dokoła stołu konferencyjnego, do widoku na Leadenhall Market, do swojego biurka przy oknie, i zatęskniła za tym wszystkim niemal z fizycznym bólem.

Obok przejeżdżały z łoskotem samochody. Przy kontenerach wznosiły się góry czarnych plastikowych toreb, na skutek cięć wywóz śmieci wstrzymano do odwołania. Monica dowiedziała się tego z lokalnej gazety, razem z informacją o antykapitalistycznym wiecu w Cardiff. Wyczuwała już od jakiegoś czasu narastający pomruk niezadowolenia, nadciągającą burzę. Ostatnie przyjęcie dla dyrektorów naczelnych, które organizowała, zostało zakłócone przez protestujących. Acme Motivation rozważała nawet zwiększenie środków bezpieczeństwa i ochrony w hotelach, z których usług korzystała, miano to omawiać po jej powrocie.

Stół konferencyjny. Długopisy i podkładki przy każdym krzesełku. Butelki z wodą. Problemy do rozwiązania w ich zwykłej złożoności. Praca była pełnym światła miastem, otoczonym przez ciemny, splątany las, w którym roiło się od węży.

Co teraz? W Myrtle House reszta kursantek już się ze sobą zżyła, pewnie gotują teraz w kuchni i nawet nie zauważyły jej nieobecności. Zupełnie jakby znalazła się w szkole, znowu poza nawiasem. Z pewnością wszystkie już znają swoje imiona, podczas gdy ją zajmowała ta upokarzająca afera z Buffym. O, Boże.

W tym momencie zatrzymała się przy niej zdezelowana

furgonetka. Kierowca nachylił się przez siedzenie pasażera i opuścił szybę.

– Ile bierzesz, złotko? – spytał ze śpiewnym walijskim akcentem.

Monica przy obiedzie za dużo piła. Miała tego świadomość, nawet gdy nalewała sobie kolejny kieliszek. A czemu nie, do licha? Jej związek z alkoholem przetrwał dłużej niż jakikolwiek związek z mężczyzną. Nie był to romans ani nawet nie miłość pomieszana z nienawiścią, to byłoby zbyt wielkim uproszczeniem. A jednak w gruncie rzeczy było to proste jak drut: ludzie pojawiali się i znikali, a butelka zawsze była. No i lubiła ten smak, na miłość boską!

Buffy nie odezwał się do niej przez cały wieczór. Nawet jej nie unikał. Po prostu o niej zapomniał. Poza tym pojawiła się jego córka, Nyange.

Monica oczywiście nie miała pojęcia, że to jego córka. Dziewczyna była czarna, na Boga. Grubokoścista, atrakcyjna, z wojowniczym, zadziornym wyrazem twarzy. Dopiero gdy Penny z okrzykiem radości ją przytuliła, Monica się dowiedziała, że to produkt lędźwi Buffy'ego.

– Miał romansik z tancerką – szepnęła jej Penny.

To właśnie wtedy Monica ostatecznie się poddała. Buffy był jak wielopiętrowy parking, zastawiony pojazdami, z napisem „Brak miejsc”. Okrążywszy go kilka razy, musiała uznać swoją porażkę i wrócić do domu. Poza tym całe to romansowanie – z Buffym, zresztą z kimkolwiek, było zbyt wyczerpujące emocjonalnie, nawet jej internetowe randki przypominały małe śmierci łóżeczkowe. Postanowiła dać sobie z tym wszystkim spokój i skoncentrować się na pracy.

Wieczorem w barze leciało *Przyjęcie weselne*. Gdy Monica zasiadła przed ekranem, nigdzie nie było widać ani Buffy'ego, ani jego córki. Wypite wino sprawiło, że zrobiła się śpiąca. Po jakimś czasie uświadomiła sobie, że oparła głowę na ramieniu sąsiadki. Może nawet chrapała!

Wymruczała przeprosiny, wstała i wyszła z pokoju, zderzając się z framugą. W głowie jej się kręciło, musiała się położyć.

Poszła do salonu po torebkę. Tam, nad dokumentami rozłożonymi na stoliku, siedzieli Buffy, Nyange, Voda i India. Monica znowu wybąkała przeprosiny i rozejrzała się. Gdzie, do licha, zostawiła to

cholerstwo?

– Omawiamy właśnie przeraźliwy stan moich finansów – powiedział Buffy. – Nyange przyjechała na pomoc. Jest księgową.

– To ładnie – odpowiedziała głupio Monica.

– Od miesiący wierci mi dziurę w brzuchu, żebym wyremontował pensjonat i zamienił go w zwykły hotel.

– Nie wiercę ci dziury w brzuchu – zaproponowała Nyange. – Po prostu mówię z sensem.

Monica wypatrzyła torebkę na miejscu przy oknie, pod stosem gazet. Podniosła ją i przycisnęła do piersi niczym tarczę.

– Często współpracuję z hotelami – rzuciła nagle.

– Naprawdę? – Brwi Buffy’ego wystrzeliły do góry.

Teraz ją zauważył! W rdzawoczerwonej aksamitnej marynarce wyglądał tego wieczoru jak podstarzały krupier z podupadłego nadmorskiego kurortu. Beznadziejnie. Poczowała przyływ siły.

– Chcesz wiedzieć, co myślę? – spytała.

Buffy przesunął się na sofie.

– No chodź, powiedz. – Poklepał poduszkę.

Zignorowała zaproszenie. Oparła się o kominek w autorytatywnej pozie.

– To miejsce ma potencjał, którego zupełnie nie wykorzystujesz. Mam być szczerą?

– Tak, tak – zapewnił.

A niech to. Niedługo i tak wyjedzie. Zanim jednak to się stanie, sprawi, że ją zapamięta.

– Po co ludzie płacą ciężko zarobione pieniądze za hotel? – ciągnęła. – Bo chcą się znaleźć w innym świecie, chcą, żeby im dogadzano, chcą się oderwać na chwilę od prozy życia. Oczekują od takiego miejsca pewnych rzeczy, odpowiedniego standardu, a twój pensjonat go nie zapewnia. Myrtle House nie jest uroczo staroświecki, jest po prostu stary. I w ruinie. O mały włos nie rozbiłam sobie wczoraj głowy, potykając się o dziurę w dywanie. Pominę już kwestię łazienek. – Ogień parzył ją w tył nóg. Odsunęła się i usiadła na poręczy sofy, niczym nauczycielka przemawiająca do grupki dzieci. – Jakich gości chcesz przyciągnąć? Tych zamożnych? Ja pracuję z bogatymi. Nawet

w czasach największego kryzysu oni zawsze spadają na cztery łapy. A nawet jeszcze się bogacą. I chcą czegoś, czego nie można kupić za pieniądze. Wy macie tu tego pod dostatkiem: piękną okolicę i zupełnie unikatową społeczność z duchem wspólnoty, którego nigdzie już się nie uświadczy. Przy odpowiednich inwestycjach to miejsce mogłoby stanąć na nogi i zacząć się rozwijać, nie tylko twój pensjonat, ale całe miasteczko. – Mówiła coraz szybciej: – Ja widzę w Knockton nowe Hay-on-Wye. Mekkę zamożnych turystów! Sprowadźcie tu kilku celebrytów, twórców z górnej półki, speców od reklamy, zróbcie sesję zdjęciową w jednym z tych sklepików retro, powiedzmy, w tym śmiesznym sklepie z konfekcją męską, zamieście w dodatku o nieruchomościach „Sunday Timesa” artykuł wychwalający uroki miasteczka, puśćcie w obieg info o jakiejś aktorce hodującej świnie, a turyści się zlecą. Obiecuję.

Monica urwała, żeby wziąć oddech. W kominku z sykiem osiadło polano.

– I zatrzymają się tutaj – powiedziała. – W twoim butikowym hotelu.

– Butikowym? – powiedział słabo Buffy.

– Myrtle House aż się prosi o rozbudowę i mam pewien pomysł. Znajdź inwestorów i wykup gmach Starego Sądu obok.

– Co? – Buffy wpatrywał się w nią przerażony.

– Zerknęłam na szczegóły w ogłoszeniu agenta – ciągnęła Monica.

– To bajeczny budynek z ogromnym potencjałem. Połącz go z Myrtle House i rozbuduj. Stwórz nowe sypialnie. Zamień cele na spa...

– Cele? – spytała India.

– ...gabinety zabiegowe, do masażu, terapii. Zamień salę posiedzeń na centrum konferencyjne. Z różnych powodów moi klienci szukają lokalizacji na uboczu. Potrzebują teraz miejsc dyskretnych i bezpiecznych.

– Kim oni są, członkami mafii? – zapytał Buffy.

– A Knockton jest idealne, bo nikt o nim nie słyszał.

Posłała Buffy’emu wyzywające spojrzenie, podniosła torebkę i opuściła pokój.

Penny

W nocy bardzo się ochłodziło. Gdy Penny wyjrzała rano przez okno, ogród był biały od szronu. Przez nieszczelne ramy wpadało lodowate powietrze, czuła je nawet przez szlafrok z hotelu Cipriani.

Rozległ się odgłos spuszczonej wody w toalecie. Penny wybiegła na korytarz z kosmetyczką, ale drzwi łazienki zamknęły jej się przed nosem. Ktoś ją ubiegł. Wyczuwała przez ściany innych gości gotowych do biegu. Zupełnie jakby wróciła do czasów dzieciństwa, gdy na całą rodzinę przypadała tylko jedna łazienka, jak to wtedy bywało, nawet w Godalming.

„...najnowsze szacunki rządowe ujawniają, że bezrobocie wśród młodych przekroczyło już milion osób” – donosiło radio.

Jakże pełna nadziei sama była na początku swojej kariery jako reporterka w „Surrey Gazette”. I jak łatwo było wtedy znaleźć pracę zaraz po szkole, wtedy traktowano to jako coś oczywistego. Nie po raz pierwszy ucieszyła się, że nie ma dzieci. Młodzi musieli się teraz mierzyć z okrutnym światem, i to za sprawą tak zwanych mądrzejszych od siebie i starszych. W latach jej młodości bankierzy byli dobrodusznymi facetami, którzy grywali w golfa z twoim ojcem. Służyli wsparciem i pokrzepieniem.

Przez ostatnich kilka dni Penny ku swojemu zaskoczeniu często wracała myślą do przeszłości, a nie było to coś, czemu zwykle się oddawała. Winny był ten dom najeżony pamiątkami z jej dawnego życia – co rusz się na jakąś nadziewała, a to na pasiasty chodnik, który kupili z Buffym w Grecji, a to na różne obrazy, które już miał, zanim się poznali, w tym jeden okropny bohomas pędzla Jacquetty. Na kominku stał posążek Ozyrysa, który przywiozła mu z darmowej wycieczki do Egiptu i który, jak podejrzewała, nigdy mu się nie podobał, kupiła go za dietę, ach, to były czasy! A teraz to wszystko przepadło: tamto życie na wysokiej stopie, życie z Buffym. Teraz on stał się pełnym galanterii starym prykiem z nosem pijaka. Musiała go podziwiać za to, że tak późno w życiu zdecydował się zacząć wszystko od nowa – sama też to zrobiła – ale dzisiaj miała wrażenie, że te ich poczynania noszą znamiona desperacji. Jak potoczyłoby się ich życie, gdyby nadal byli

razem? Czy zamieniliby się w parę niewymagających towarzyszy? Czy byłoby im ze sobą dobrze, czy trwałoby tak tylko z braku laku? Bo jedno musiała przyznać: przerażała ją perspektywa powrotu do Suffolk i zimnego, ciemnego domu, który tam na nią czekał.

Właśnie wtedy ujrzała przez okno Monicę. Szła ogrodową ścieżką, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Brama w murze prowadziła na uliczkę na tyłach, pewnie zaparkowała tam samochód.

Penny wyszła z pokoju i zbiegła po schodach. Z kuchni dolatywała woń smażonego bekonu. Gdy otworzyła frontowe drzwi i ruszyła ścieżką, uderzył ją lodowaty podmuch. Chwilę później znalazła się na uliczce na tyłach, gdzie samochód Moniki stał z pracującym silnikiem, tonąc w chmurze spalin.

Monica zeszkrobywała szron z przedniej szyby. Kiedy Penny zawołała ją po imieniu, wzdrygnęła się i odwróciła.

– Co ty tutaj robisz? – Wpatrywała się w Penny ubraną jedynie w szlafrok i papcie.

– Dokąd się wybierasz?

– Z powrotem do Londynu – odpowiedziała. – Poinformowałam Vodę.

– Ale dlaczego?

– Jestem potrzebna w pracy.

– Naprawdę?

Monica odwróciła się i na nowo zaatakowała szybę. Penny postukała ją w ramię.

– Możemy usiąść w samochodzie? Przemarzałam na śmierć.

Monica posłała jej zdziwione spojrzenie. Skinęła jednak głową i otworzyła drzwiczki od strony pasażera. Usiadły w środku obok siebie. Silnik nadal pracował.

– Nie wyjeżdżaj – poprosiła Penny.

– Już mówiłam. W biurze jest kryzys.

Penny zapatrzyła się na oszronioną szybę. Część po stronie kierowcy była czysta. Penny przywodziło to na myśl okulary noszone przez uczennicę, która zezuje na jedno oko – jedno szkło zasłonięte, drugie przezroczyste.

– Widziałam, jak patrzysz na Buffy’ego – powiedziała. – Sposób,

w jaki na niego patrzysz.

Monica siedziała nieruchomo.

– Nie wiem, co masz na myśli.

Penny wzięła oddech.

– Poznaję to spojrzenie, rozumiesz, bo sama kiedyś tak na niego patrzyłam.

Monica trzymała ręce na kolanach. Było coś wzruszającego w jej rękawiczkach – pastelowoniebieskich, dzianinowych, z rodzaju tych, jakie noszą dzieci.

– Wcale nie jest taki zły, wiesz – ciągnęła Penny. – Gdybyś chciała, mogę dać ci referencje. Po prawdzie czasami żałuję, że uciekłam z innym.

– Do niczego między nami nie doszło. – Monica zeszywniała. – A może coś ci mówił?

– Nie. – Penny pokręciła głową. – Ale wiem, że mu się podobasz.

– Bzdura.

– Widzę to w jego oczach – zapewniła Penny. – Możesz mi wierzyć. Bo widzisz, kiedyś patrzył tak na mnie.

– Nie wątpię – rzuciła Monica ostro. – I na wszystkie inne. Zapadło milczenie.

– Nie możesz oczekiwać, że nie będzie miał przeszłości – powiedziała Penny. – Ty jakąś masz, ja mam. Wszyscy mamy.

– Ale nie taką barwną jak on.

– Jesteś o mnie zazdrosna? – rzuciła Penny. – Spójrz, dotknij mnie. Jestem zwykłym człowiekiem. – Wsunęła dłoń w rękę Moniki i ją uścisnęła. – Po prostu ciało i kości. – Monica nie odpowiedziała. Penny spróbowała jeszcze raz. – Nie robiliśmy tego na okrągło, jeśli o tym właśnie myślisz. To znaczy, owszem, mieliśmy dobre chwile, ale to był bardziej układ koleżeński. Wiesz, jak wyglądała nasza pierwsza randka? Kupowaliśmy materac ortopedyczny z uwagi na jego plecy. – Urwała. Dłoń Moniki spoczywała nieruchomo w jej dłoni. – Posłuchaj, Monica. Kiedyś sama się tak czułam. Torturowałam się myślami o wszystkich kobietach, z którymi spał. Zastanawiałam się, czy były lepsze ode mnie. Czy robiły rzeczy, których ja nie umiem? Czy uważał je za bardziej podniecające? Może on snuł podobne rozmyślenia na mój temat. Nie

wiem, nigdy nie spytałam. – Zabrała dłoń. – I nie chodziło tylko o seks. Zazdrościłam im, że go znały, gdy był młodszy, szczuplejszy i pełen życia. Z Popsi jeździł nawet na motocyklu, wyobraź sobie, ona miała dla siebie całkowicie nieznanego mi Buffy’ego: odważnego, szczupłego chłopca na motorze! Zazdrościłam jej tego tak bardzo, że robiło mi się niedobrze. – Penny mówiła coraz głośniej, teraz, gdy już zaczęła, nie mogła przestać, choć pęcherz jej pękał. – No i jak mógł kochać kogoś o takim głupim imieniu? Spytałam go kiedyś o to. Wyjaśnił, że to zdrobnienie, a wzięło się z tego, że Popsi nienawidziła swojego prawdziwego imienia. „Jak brzmiało?”, spytałam. A on na to: Penelope. Ja mam tak na imię! Czyli nawet spał już wcześniej z moim imieniem! – Zaniósł się histerycznym śmiechem. – A potem ją poznałam i okazała się wesołą babką w średnim wieku ze szminką na zębach. Poznałam też Jacquettę i kilka innych jego byłych i uświadomiłam sobie, że to zwykłe kobiety, takie jak my obie. A on kochał je, tak jak ja kochałam całe mnóstwo innych mężczyzn przed nim, a tym, co naprawdę mnie gryzło, było wspomnienie młodości i świadomość, że już nigdy nie będziemy tamtymi ludźmi, żadne z nas.

Urwała, żeby zaczerpnąć tchu. Monica także ciężko oddychała. Pomimo włączonego ogrzewania, z ich ust wydobywała się para.

– Ja mu się nie podobam, a on nie podoba się mnie – powiedziała Monica bezbarwnym głosem. – A nawet gdyby było inaczej, to mnie przerasta. Nie zniosłabym zranienia. Mężczyzna, którego znałam... był żonaty, ale kochałam go tak, że odchodziłam od zmysłów. Ukradł mi najlepsze lata, ukradł mi dzieci, których nigdy nie miałam, i nie jestem w stanie znowu się w coś takiego wpakować. I to kończy sprawę.

– Nie obwiniaj Buffy’ego o coś, co ci się przydarzyło. Sam też zebrał cięgi, ale widzę, że jest gotowy znowu spróbować. Dlaczego nie zaryzykujesz?

Monica odwróciła się do niej.

– A dlaczego ty nie zaryzykujesz?

– Czego?

– Z Haroldem?

Penny żywiej zabiło serce. Zaczęła skubać szlafrok.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Widziałam to spojrzenie. Też potrafię je rozpoznać, wiesz?
Ogrzewanie szumiało w ciszy.

– Naprawdę muszę iść do kibelka – rzuciła Penny. – Pęcherz mi pęka.

Monica się uśmiechnęła.

– Cieszę się, że cię poznałam. – Pocałowała ją w policzek. – Powodzenia z łazienką.

Penny wysiadła. Gdy szła do domu, usłyszała, że samochód odjeżdża.

Buffy

Buffy miał potworną noc. Bezsensowność, palpacje. W plecach go łupało, ruszający się ząb bolał. Rozpadał się na kawałki, działo się to wprawdzie już od lat, ale w ciemności tej nocy miał wrażenie, że znalazł się nagle w stanie całkowitego rozpadu. Nawet pies, zepchnięty na podłogę jego przewracaniem się z boku na bok, opuścił go i skomlał pod drzwiami, żeby go wypuścić z pokoju. Buffy został całkowicie sam w swoim rozpadającym się domu. Oczywiście dokoła pełno było ludzi, ale niedługo wyjadą. Przepęlniony litością dla samego siebie pomyślał: Dla nikogo nie jestem najważniejszy.

Monica spała piętro wyżej. Za dwa dni na zawsze zniknie z jego życia. Jej przemowa poprzedniego wieczoru wprawiła go w stan konsternacji. Ten jej chłodny, rzeczowy ton był ostatecznym dowodem, jeśli Buffy takiego potrzebował, że nie czuje do niego nic oprócz pogardy. Jednak jej radykalny plan pokazywał, że zastanawiała się wcześniej nad jego sytuacją. Czemu, u licha, zawracała sobie tym głowę? Czy to tylko jej zawodowy instykt zareagował na wyzwanie, czy naprawdę obchodziło ją, co się stanie z nim i jego pensjonatem? Sprawiała wrażenie wzburzonej, ale to mógł być po prostu skutek alkoholu. Jednak jak atrakcyjnie wyglądała, stojąc tam w swoim granatowym spodniem i metaforycznie wymachując batem!

Buffy ocknął się gwałtownie. Był nieziemsko piękny dzień, choć zimny. O tej porze roku ogród tonął w cieniu, tylko górne konary cisu łapały trochę słońca. Z dołu, gdzie zaczęły się już poranne zajęcia –

puddingi i desery – dochodziły stłumione śmiechy.

Nie chcąc nikogo spotkać, Buffy wymknął się z domu i ruszył do Coffee Cup. Amy przyniosła mu croissanta i zauważyła:

– Jeśli się pan nie obrazi, to powiem, że wygląda pan jak półtora nieszczęścia.

– Powiedziałaś mi to już kiedyś, gdy kręciliśmy *Pannę Marple*.

– Tak, ale wtedy mogłam z tym coś zrobić.

Buffy skinął głową.

– Ty i ta twoja sprawdzona szpachla.

Amy się roześmiała. Była zakochana. Wydawało się, że wszyscy dokoła są zakochani. Andy gwizdał, roznosząc pocztę, jak tamten listonosz, którego Buffy widział w dniu swojego przyjazdu do Knockton, przygruchał sobie dziewczynę z salonu kamperów. Rosemary i Dougie tchnęli pod jego dachem nowego ducha w swoje małżeństwo. India i Voda zabujały się w sobie. Nawet Des i Bella wskoczyli do wyrka. Buffy był częściowo odpowiedzialny za te romanse. Ale co z jego własnym happy endem? Z posępną miną oderwał kawałek croissanta i zanurzył w kawie.

Wtedy właśnie postanowił udać się na spacer. Pojedzie na wzgórze i przejdzie się Wałem Offy. To właśnie robią ludzie w tym zakątku świata. Wracali potem do Myrtle House z zaczerwienionymi policzkami i okrzykiem: Wielkie nieba, to mi przewietrzyło myśli! Śmieszne, doprawdy, że przez te wszystkie miesiące w zasadzie nie zabierał psa dalej niż na plac zabaw. Chromolić haluksy. Może jemu także wiatr przewietrzy w głowie i odsłoni prawdę, gdy Buffy stanie na tym czy innym szczycie z trzema hrabstwami rozciągającymi się poniżej.

Podjechał autem dwie mile, zaparkował pod tablicą z oznaczeniem szlaku i spuścił psa ze smyczy. Szczekając histerycznie, Fig zniknął w zaroślach kolcolistu. Wystrzelił z nich królik. Zakutany w zimowy płaszcz Buffy ruszył ścieżką. Słońce świeciło na oszronione, ogołoczone z liści żywopłoty po obu jej stronach. Przed nim na zboczu wzgórza pasły się owce. Buffy zastanawiał się mimochodem, gdzie jest chatka Vody, przez te wszystkie miesiące ani razu go tam nie zaprosiła, może uznała, że widują się wystarczająco często w Myrtle House. India także nie wystosowała zaproszenia. Jednakże Nyange u nich nocowała, a teraz

pewnie jest już w drodze powrotnej do Londynu. Naszło go dobrze znane uczucie wykluczenia. Dla nikogo nie jestem najważniejszy. Był jak głaz w wodzie, fala ludzi obmywała go, a potem, gdy zaczynał się odpływ, cofała się i zostawiała go samego. Czy Bridie też tak się czuła? Zawsze sprawiała wrażenie takiej pogodnej, takiej wielkodusznej i życzliwej, ale czy w środku nocy nie paraliżowała jej panika?!

– Śliczny dzień!

Jakaś siwowłosa para minęła go, trzymając się za ręce. Mężczyzna, o zgrozo, miał na sobie szorty. „Powystrzelać ich!”, powiedziała Monica. „Powybijać wszystkich po kolei!”

Ciężko dysząc, Buffy oparł się o bramę. Plecy go bolały, w śródstopiu rwało. Zdecydowanie nie miał formy na takie wyprawy. Ale widok zapierał dech w piersiach: wzgórza wznosiły się coraz wyżej w mlecznej dali, słońce świeciło na ich zbocza. Nie było wiatru, panowała absolutna cisza. Cisza tak wielka, że niemal przygniatała.

Buffy’emu przypomniał się zalany staruszek z pubu. Na nogach miał worki po nawozie przewiązane sznurkiem i z zaskakującą erudycją rozprawiał o Marchiach. Mówił, że przez stulecia ludzie tu uciekali i nikt ich więcej nie widział, że od wieków była to dzika kraina bezprawia. Określił ją mianem Pustej Cwiartki.

Buffy stał i nasłuchiwał. Żaden ptak nie śpiewał, było cicho jak makiem zasiał. I nagle, gdzieś w tej ciszy, usłyszał głos Bridie. Bridie, tej, którą przegapił. Bridie, tego wolnego ducha, który o nic go nie prosił, a tyle mu dał. Była tutaj, w tych wzgórzach, w tym pejzażu, który musiała kochać, wiedziałby o tym, gdyby tylko zadał sobie trud utrzymywania z nią kontaktu. „Po prostu spróbuj, ty głupia cipo. Najwyżej okaże się to katastrofą. I co z tego? Życie jest cholernie krótkie, możesz mi wierzyć na słowo”.

Właśnie wtedy w cudowny sposób rozjaśniło mu się w głowie i już wiedział, co musi zrobić.

– Fig! – zawołał.

Ale nigdzie nie było śladu Figa.

Zrobiło się już popołudnie, kiedy Buffy wrócił do Knockton. Dobrą godzinę zajęło mu szukanie psa. Zwabiony szczekaniem, zdybał go w końcu w siedzibie królików pośród zarośli kolcolistu. Wreszcie Fig

wysunął się tyłem z króliczej nory, cały uwalany ziemią. Przywitał Buffy'ego z roztargnieniem, bez ceremonii, jakby był pochłonięty niezwykle istotnym zadaniem. Była już czternasta i Buffy przegapił lunch.

Czy Monica zauważyła jego nieobecność? Teraz, gdy się już zdecydował, czuł się z nią bardzo związany i zakładał, że ona czuje to samo – na pewno także sobie uświadomiła, że są swoją ostatnią szansą na szczęście, i na pewno ją także zalała nagła, pozbawiająca tchu czułość. To było absurdalne oczywiście – zwykła solipsystyczna projekcja. Teraz jednak, gdy postanowił działać, potrzebował całej odwagi, jaką mógł z siebie wykrzesać. Czas uciekał.

Zjadł kanapkę w pubie, wjechał do Knockton i zaparkował przed sklepem z konfekcją męską. Chciał kupić nowe bokserki – czy Monica widziała jego rozciągnięte gatki? – i może nawet nową koszulę, w paski na przykład. Gdy przechodził przez chodnik, zerknął w okna pierwszego piętra. Harold niewątpliwie ciężko pracował, inaczej Buffy zaszedłby do niego na górę, żeby się poradzić. Dlaczego miłość zamienia dorosłego mężczyznę – po prawdzie matuzalema – w trzęsącego się młodzika? Bo to właśnie miłość, albo jej pierwsze oznaki, czuł do Moniki. Był jak człowiek, który od lat nie mając apetytu, mija otwarte okno, czuje woń smażonego boczku i nagle ogarnia go niespodziewany głód, uczucie, które, jak sądził, dawno i na zawsze go opuściło.

Chromolić gości. Voda i India mogą się nimi zająć. On zabierze Monicę do miasta na obiad i poprosi, by została na weekend, gdy inni już wyjadą. Będą wtedy mieli cały dom dla siebie... huczący w kominku ogień, babeczki z masłem. Będą gośćmi w jego hotelu, będą jak dzieci pod nieobecność rodziców. Może wybiorą się na sobotni targ do Ludlow i będą przechadzać się ramię przy ramieniu, popijając grzane wino i śmiać się ze zniekształconych warzyw. Może, tylko może... tutaj go ponosiło... widmo Bożego Narodzenia nie będzie już spędzać mu snu z powiek, obciążone brzemieniem samotności i wykluczenia, bycia tolerowanym gościem na różnych przyjęciach u swoich różnych tak jakby rodzin...

Gdy wchodził do sklepu, odlatywał już do Wenecji... nie, do jakiegoś miasta, w którym nigdy nie był z żadną kobietą. Do Caracas na

przykład. Siedzieli z Monicą w samolocie z przewodnikiem na kolanach i popijali szampana z plastikowych kubków. W bagażu, zawinięte w bibułę, leżały ich gwiazdkowe podarki dla siebie – trochę nietrafione, bo przecież jeszcze się dobrze nie znali, ale kto by się przejmował? Lecą razem nad oceanem. Życie jest krótkie, a oni nie robią się coraz młodszy – choć tę uwagę zachowałby rozsądnie dla siebie. „Najwyżej okaże się to katastrofą. I co z tego?”

Sklep z konfekcją męską jak zwykle świecił pustkami. Sprzedawca za ladą wisiał na komórce i wyklócał się o ubezpieczenie samochodu. Buffy lustrował oszklone regały z koszulami, szukając swojego rozmiaru.

Właśnie wtedy z tyłu sklepu wychynęła Penny. Pojawiła się jak, nie przymierzając, duch. Buffy się wzdrygnął. Przecisnęła się obok ubranego w strój przeciwdeszczowy manekina i ruszyła w kierunku drzwi. Na widok Buffy’ego stanęła jak wryta.

– Co ty tu robisz? – Gapiała się na niego z rumieńcem na twarzy.
– Nie zauważyłem cię – odpowiedział. – Byłaś tu przez cały czas?
– Oczywiście, że tak! – rzuciła ostro. – Szukałam prezentów gwiazdkowych, szalika, może jakiejś pary ładnych rękawiczek. To cudowny sklep, prawda, ten cały mahoń, atmosfera rodem z *Are You Beeing Served?* Dzięki Bogu, nikt nie zamienił tego na jakiś Gap. – Trajkotała, a pąs na jej policzkach się pogłębiał. – Tak naprawdę to mogłabym załatwić tutaj wszystkie swoje gwiazdkowe sprawunki, w tym twoim uroczym miasteczku, uwielbiam ten hipisowsko-artystowski klimat, widziałeś, że nadal sprzedają tu łapacze snów? Łapacze snów! Pamiętasz tę moją znajomą, jak jej tam było, tę, której nie znosiłeś? Hodującą koty i zielistki? Wszędzie w jej domu wisiały łapacze snów, pamiętasz?

Penny urwała z falującą piersią. Buffy patrzył na nią z zaciekawieniem. Ten zalew słów oznaczał tylko jedno: coś ukrywała! Jak dobrze ją znał! Doskonale pamiętał jej rozwlekłe wyjaśnienia, gdzie to niby była, gdy wracała ze schadzki z Colinem! Kiepscy łgarze zawsze mówią za dużo.

Oczywiście Buffy powinien był skojarzyć fakty. Zrobił to później, gdy przypomniał sobie, że na górze mieszka Harold. W tamtej chwili

jednakże, gdy spoglądał na zaczerwienioną twarz swojej byłej żony, na jej beczelną minę – „No, już, śmiało, zaprzecz mi” – w tamtej chwili nagle te wszystkie lata od rozvodu szlag trafił i znowu znaleźli się w Blomfield Mansions: Penny wypakowywała torbę z zakupami z Selfridges Food Hall, odwijiała szynkę parmeńską, on muskał nosem jej kark, wciągał biszkoptową woń jej skóry, a ona w roztargnieniu gładziła go po głowie wolną ręką. Wspomnienie ich małżeństwa zalało go z taką siłą, że zakręciło mu się w głowie. Jakże ją wtedy kochał! Jaką świetną towarzyszką była Penny – zabawną, zajmującą i, dziw nad dziwy, kobietą całkowicie pozbawioną nerwic. Po prawdzie jedną z większych przyjemności ostatnich dni było znalezienie się na powrót w jej towarzystwie.

Penny odzyskała już chyba równowagę. Odgarnęła włosy. Po nadgarstku zsunęła jej się bransoletka, którą wieki temu podarował jej na urodziny.

– A ty co kupujesz? – spytała.

– Tylko koszulę. Może mi pomożesz?

Popatrzyła na niego zmrużonymi oczyma.

– Jeśli chcesz się odstawić dla Moniki, to już za późno.

– Co masz na myśli?

– Rano wyjechała do Londynu.

– C o? – Buffy poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Bardzo mi przykro. – Położyła mu dłoń na ramieniu. –

Usiłowałam ją zatrzymać, naprawdę próbowałam, ale wyjechała.

Harold

Harold, nadal jeszcze w stanie szoku, leżał w skotłowanej pościeli. Jak powiedział Balzac, kolejna powieść poszła się pieprzyć***.

Jak, na Boga, do tego doszło? Penny tylko przyniosła mu szarlotkę. Upiekła ją rano i pomyślała, że Harold z chęcią zje trochę na lunch. Od słowa do słowa, jak to mówią, przeszli do czynów, ale teraz wydawało się to nierzeczywiste jak sen, zwłaszcza po jej nagłym zniknięciu. „Mam zajęcia o trzeciej”, wymruczała niczym uczennica na wagarach, wciągając majtki.

Później musiał chyba zasnąć, bo teraz się już ściemniło. Owinął się szlafrokiem i poszedł do pokoju frontowego. Na stole spoczywały resztki ich porzuconego posiłku, upiorne w blasku latarni. Zaciągnął zasłony i zapalił światło. Wielkie nieba, wpół do szóstej! Miał mdłości, jakby obudził się w Singapurze i doskwierał mu jetlag.

Wynosząc naczynia do kuchni, usiłował sobie przypomnieć, co to były za słowa, od których przeszli do czynów. Najwyraźniej wypili butelkę wina, choć szarlotka została na wpół niedojedzona. Ciągłe skołowany, pomyślał: Muszę pamiętać, żeby odnieść talerz, gdy skończę. W końcu należy do Buffy'ego.

Podobnie jak, w pewnym sensie, Penny. No, kiedyś należała. Ścisnęło go w dołku. Jak, na Boga, spojrz w oczy jedynemu przyjacielowi, jakiego miał w Knockton, teraz, gdy kochał się z jego żoną? Ekszoną wprawdzie, jednak nadal było w tym coś niepokojącego, coś mgliście cudzołożnego, z więcej niż odrobiną homoerotyzmu. W końcu te same nagie nogi oplatały ich obu. W jakiś dziwaczny sposób, którego wolał nie analizować, zbliżyło to ich do siebie. A jednocześnie oddaliło, bo teraz Harold będzie miał przed Buffym tajemnicę.

A może wcale nie? Może – zgroza nad zgrozami – Penny wszystko powie Buffy'emu. Jak na rozwodników wydawali się w całkiem niezłej komitywie. Może nawet Penny poszła z Haroldem do łóżka w ramach jakiejś ponurej prowokacji, żeby wzbudzić w Buffym zazdrość!

Zamarł z talerzem w dłoni. Teraz sobie przypomniął: to ona wykonała pierwszy ruch, niemal jakby wszystko zaplanowała. Jedli szarlotkę, w pewnym momencie Harold wstał, by przynieść laptop i pokazać jej na YouTube *Old Jews Telling Jokes*. Gdy siedzieli obok siebie przed ekranem, powiedziała: „Czyż to nie smutne, że jutro zobaczymy się ostatni raz?”. I nagle odwróciła się do niego. Ich nosy znalazły się tak blisko siebie, że było niemal niemożliwością nie pocałować się. I całując się z nim, tuliła w dłoniach jego twarz, jakby to było coś cennego, jeszcze nigdy żadna kobieta tak się nie zachowała i Harold był tak wzruszony, że niemal cały się w środku rozpląnął. Był jej.

Cisnął talerz na ociekacz. Może – jeszcze większa zgroza – ona

i Buffy byli w zмовie! Buffy litował się nad porzuconym Haroldem i niczym alfons podstawił mu swoją byłą żonę w ramach pocieszenia. Penny lubiła się zabawić. Miała także, jak Harold się już przekonał, niemały apetyt seksualny. To by wyjaśniało jej nagłe pojawienie się i równie nagłe zniknięcie. Robota wykonana.

Nie, to było zbyt perwersyjne. Naprawdę miał mętlik w głowie. Penny zmyła się po prostu dlatego, że żałowała tego, co się stało. Niewątpliwie zraziły ją jego zmierzwióne włosy na kłacie i brzuszek, przypominał sobie mgliście, jak jej badawcze palce zatrzymywały się w zamyśleniu na różnych częściach jego ciała. W pewnej chwili rozmawiali o upokarzających jednorazowych numerkach i on był po prostu kolejnym dodatkiem do jej listy, razem z obwisłymi pośladkami do kompletu.

Zmywał pogrążony w myślach. Może najlepiej byłoby nie pokazywać się w Myrtle House aż do soboty, gdy Penny już wyjedzie. Pomysł miał w sobie pewien tchórzliwy wabik, jednak czy Harold aby na pewno jest w stanie znieść myśl, że już jej nie zobaczy?

Bo za nią szalał. Szalał.

Penny

Penny wzięła przed obiadem kąpiel. Znalazła w kredensie zapas saszetek z płynem do kąpieli i wycisnąwszy trzy do wody, zdołała wygenerować przyzwoitą ilość piany. Co jakiś czas na korytarzu rozlegały się kroki i gałka w drzwiach łazienki obracała się niepewnie. „Już wychodzę!”, wołała Penny i zanurzała się z powrotem w wodzie. W końcu nikt inny tutaj nie uprawiał seksu tego dnia.

Cała ta sprawa była zbyt śmieszna, żeby mogła być prawdziwa, może w ogóle się nie zdarzyła! Wyśniła sobie to beżowe, anonimowe mieszkanie nad sklepem z konfekcją męską. Wyobrażając je sobie tyle razy w ciągu ostatnich kilku dni, powołała je do życia.

Bo teraz już mogła się przyznać. Zastanawiała się wcześniej, jak by to było pójść do łóżka z Haroldem. Czy to dlatego, że przypominał jej młodszą wersję Buffy’ego, dni, kiedy była szczęśliwa? Obaj mieli ze sobą wiele wspólnego, zwłaszcza gadatliwość w trakcie seksu. Colin,

ostatni mężczyzna, z którym się kochała, milczał w łóżku jak grób, z wyjątkiem stęknąć, gdy dochodził.

Dziwnie jednak było dotykać miękkiego ciała starszego mężczyzny. Harold nie był w formie – kolejna wspólna cecha z Buffym. Jednak niewątpliwie wszyscy panowie w jego wieku robili się coraz bardziej obwiśli. I oczywiście ona także. Żałowała, że rozebrali się w pełnym świetle. Jej próbę wsunięcia się pod pościel jeszcze w bieliźnie pokrzyżowało pragnienie Harolda, by odpiąć jej biustonosz – powiedział, że od lat tego nie robił i chce sprawdzić, czy nadal da radę jedną ręką. Może Pia, jego eks, była lesbijką albo zbyt płaska, by nosić coś takiego.

Naturalnie w przypadku par z długim stażem podobne zmartwienia nie stanowią problemu. Gdy ludzie starzeją się razem, ich ciała noszą wspomnienia swoich młodszych, jędrniejszych wersji. Jednakże dwoje starszych ludzi zupełnie sobie obcych staje na wprost swojej śmiertelności, odbitej w zmarszczkach tego drugiego. Jeśli Harolda zszokował jej wygląd, był zbyt dobrze wychowany, by to po sobie pokazać, a poza tym naprawdę przyjemnie było się przekonać, że nadal jeszcze potrafi rozbudzić mężczyznę. Ale gdy było już po wszystkim – szybko i niezdarnie – pewność siebie opuściła Penny. Jakże mogła sobie tak śmiało poczynać? Niemal zgwałciła biedaka. Śmiali się razem później, gdy leżeli spoceni ramię przy ramieniu, zaskoczeni własnymi wygibasami, ale może on po prostu był nią zażenowany. Niewątpliwie żałował, że to się stało, dlatego tak szybko się zmyła.

Wyszła z wanny. Gdy się wycierała, popatrzyła na reprodukcję na ścianie. Pożółkła ze starości, ukazywała ruiny ogromnej katedry – ziejące otwory okien, kruszejące łuki, nie była w stanie odczytać nazwy miejsca bez okularów. Czy Harold zauważył pajęczki na jej nogach, czy też potrzebowałyby okularów? I, co ważniejsze, czy pojawi się jak zwykle na obiedzie?

Penny ubrała się i z bijącym sercem zeszła na dół. Z baru dochodził gwar rozmów. Usłyszała ryk śmiechu Soni, zabawnej i zgorzkniałej rozwódki.

India wyłoniła się z kuchni z naręczem butelek.

– Widziałaś Buffy’ego? – spytała. – Był z tobą na górze?

– Dlaczego miałyby być ze mną na górze?
– Chcę się z nim podzielić nowiną. – India rozejrzała się i ściszyła głos. – Zamierzamy z Vodą się pobrać.

– Pobrać się?

– No wiesz, wstąpić w związek partnerski. – Podrapała się po kolczyku w nosie. – Jeszcze nikomu nie powiedziałyśmy, ale ty jakby należysz do rodziny.

Penny ją ucałowała.

– To cudownie!

– Jestem taka szczęśliwa. Chciałabym, żeby wszyscy byli tak szczęśliwi. Żebyś ty była taka szczęśliwa i żeby Buffy był taki szczęśliwy. Nauczę się doglądać kocących się owiec i w ogóle wszystkiego. – Zrzuciła jej ręce na szyję, butelki zabrzęczały na plecach Penny. – To miejsce ma w sobie coś niezwykłego. Tobias nazwał je Hotelem Złamanych Serc, ale to nieprawda. Może i tobie coś się przydarzy.

– Co, z tą zgrają bab?

India się odsunęła.

– Nie ma nic złego w babach.

– Nie. Przepraszam.

– Z kobietami...

Urwała. Voda wyszła z kuchni, machając kartką.

– Buffy zostawił liścik – powiedziała. – Na kredensie, idiota.

Dopiero go znalazłam. Pisze, że pojechał do Londynu, i prosi, żeby ktoś wyprowadził psa.

Czy Buffy pojechał odnaleźć Monicę? – zastanawiała się Penny, ale tylko przelotnie. Miała inne, pilniejsze zmartwienia na głowie.

Weszła do baru i stanęła jak wryta. Harold rozmawiał z Sonią. Choć miał na sobie swoją starą sztruksową marynarkę, wystroił się w białą koszulę. Musiał dopiero co wziąć prysznic, bo włosy miał mokre.

Serce Penny podskoczyło w piersi. Powiedział coś zabawnego. Sonia ryknęła śmiechem i położyła mu dłoń na ramieniu.

Właśnie wtedy się odwrócił i zobaczył Penny. Bąknął coś do Soni i podszedł.

– Dzięki Bogu, jesteś – powiedział.
– A gdzie miałabym być? – W gardle jej zaschło.
– Miałem taką szaloną wizję, że uciekłaś.
Pokręciła głową.

– Nie.

Popatrzył na nią i ściągnął ciemne brwi.

– Ale to by i tak nic nie zmieniło.

– Dlaczego?

Powiedział po prostu:

– Bobym cię znalazł.

* Brytyjska sieć luksusowych domów towarowych.

** William Szekspir, *Antoniusz i Kleopatra*, akt 1, sc. 5, przekł.
Jerzy Limon, Władysław Zawistowski.

*** Parafraza stwierdzenia Honore de Balzaca po ekscesach erotycznych, *J'ai perdu un livre, ce matin!* – „Dziś rano straciłem całą książkę!” odnotowanego w *Dzienniku* Edmonda i Jules'a Goncourtów, 30 marca 1878.

Buffy

Buffy jechał w ciemnościach i łzy płynęły mu po twarzy. Włączył CD z kantatą 82 Bacha w wykonaniu Lorraine Hunt Lieberson.

*Schlummert ein, ihr matten Augen
Fallet sanft und selig zu!
Zamknijcie się, oczy znękane,
I zapadnijcie w błogi sen!*

Jechał M40 w ogromnym ruchu. Była godzina szczytu i z Birmingham wylewał się sznur samochodów.

Welt, ich bleibe nicht mehr hier...

Za plecami zamrugały mu światła jakiegoś auta. Otarł nos i zjechał na środkowy pas.

*Świecie, już tu nie zostanę!
Nie daje przecież mi świat ten,
Nic, co by duszy mej służyło...**

Pani Nawigacja zamilkła na odcinku autostrady. Nie mógł powiedzieć, by za nią tęsknił, nie przy tej muzyce, ale w jakiś sposób była równie kojąca jak Bach. „Na drugim rondzie skręć w prawo”. Nolan, świadom jego kiepskiej orientacji w terenie, zainstalował mu to ustrojstwo w ramach podziękowania za zatrudnienie go jako wykładowcy. „Na następnym skrzyżowaniu skręć w lewo”. Pani Nawigacja wydawała instrukcje głosem Kordelii, delikatnym i niskim, wspaniała rzecz u kobiety. A najlepsze, że wiedziała, dokąd jadą. Czyli więcej niż Buffy.

Chyba oszalał. Co powie, gdy już dotrze do domu Moniki? A co, jeśli jej nie będzie? Albo jeśli zatrzaśnie mu drzwi przed nosem? Na pewno oszalał.

Jednak upajał się dramatyzmem sytuacji. Grał w końcu filmu, pędząc po autostradzie i ścigając się z czasem. Kamera obejmowała jego lepszy (lewy) profil, oczy zmrużone w blasku światła nadjeżdżających aut, jak u Johna Wayne'a w teksańskim słońcu. Monica jest jego kobietą. Ona o tym wiedziała, on o tym wiedział. Przy narastających dźwiękach muzyki otworzy mu drzwi, oświetlona od tyłu i w negliżu. Niczym mąż w *Spotkaniu* powie swoim głosem wyższych sfer: „Dziękuję, że do mnie wróciłeś”.

Rozległ się klakson. Buffy się ocknął. Chryste, o mały włos nie przysnął. Czy Monica by się przejęła? Wyobraził sobie, jak włącza wiadomości i widzi pogruchotane resztki jego auta. „Uwielbiany aktor ginie w wypadku na autostradzie”.

Teraz był już w Londynie i Pani Nawigacja kierowała go w tę nieznaną krainę, zwaną Londynem Lewobrzeżnym. „Na drugim skrzyżowaniu skręć w lewo”. Jak Monica może mieszkać w Clapham? Buffy poczuł lekką irytację. Czemu nie kupiła sobie lokum w jakiejś bardziej dogodnej lokalizacji? Wiedział, że to reakcja obronna uprzedzająca ewentualne odrzucenie, ale to była prawda. Clapham zawsze wydawało mu się bez sensu: te niekończące się ulice, proste jak linijki, pełne lśniących młodych bankierów, mnożących się jak króliki. Najbrzydszy park w całym Londynie. Nie ma gdzie zaparkować.

Była za kwadrans dziewiąta, jechał niemal cztery godziny. Bolały go plecy, hemoroidy dawały się we znaki. Pożądanie – jeśli to było pożądanie – opuściło go gdzieś niedaleko Droitwich. Teraz był zbyt wyczerpany, nawet by się denerwować. Naprawdę jest za stary na tego typu bzdury. Marzył już tylko o tym, żeby się położyć. Może powinien dać sobie spokój i przenocować w Klubie Artysty w Chelsea.

„Na następnym skrzyżowaniu skręć w prawo”. Albo coś sobie roił, albo głos Pani Nawigacji zabrzmiał surowiej: „Skręć w prawo i nie bądź takim mięczakiem. Jesteś facetem czy nie?”. I teraz jechał już ulicą, przy której mieszkała Monica, Denning Street. „Dojechałeś na miejsce”, ale oczywiście miejsce było zastawione ścianą samochodów. Przy końcu ulicy wjechał na jednokierunkową. „Przeoczyłeś skręt!” – warknęła Nawigacja, tracąc cierpliwość. Droga rozciągała się przed nim niemiłosiernie długa i upiorna w świetle latarni.

Buffy zwolnił, ale zaraz rozległ się klakson samochodu za nim. Jak człowiek ma znaleźć swoje szczęście, skoro nie jest w stanie znaleźć nawet cholernego miejsca do zaparkowania? Jak ludzie dają sobie radę na tym świecie? Oczy wezbrały mu łzami i tym razem nie za sprawą Bacha, tylko beznadziejności wszystkiego. „Skręć w prawo! Skręć w lewo! Skręć w lewo! Skręć w prawo!” Co za różnica. I tak wszystko stracone. Dla nikogo nie jest najważniejszy, nawet dla swojego psa. Fig rozpływałyby się nad każdym, kto dałby mu żarcie, a niedługo i tak umrą i będzie po nich.

Nagle znalazł się z powrotem na Denning Street, czystym przypadkiem, a z przodu jakiś samochód odjeżdżał. Zaparkował na jego miejscu, wyłączył silnik i wysiadł. Było przerażająco zimno, pozostałe auta pokrywała już warstewka szronu. Plecy miał takie sztywne, że z trudem się wyprostował. Numer 73 znajdował się kilka jardów dalej, jakiś mężczyzna zbierał w plastikowy woreczek odchody swojego psa. Buffy poczekał, aż tamten się oddalił, i podszedł sztywno do bramy.

Dom był kropka w kropkę taki sam jak wszystkie na tej ulicy, ciągnące się w nieskończoność. Buffy spisał sobie wcześniej adres z komputera Vody, ale teraz, gdy już tu przybył i stał ze świadomością, że Monica kryje się gdzieś tam za tymi oknami, nie bardzo rozumiał, co robi. Pomyślał: Tłukłem się aż z Walii do kobiety, której może wcale się nie podobam. Ale to dopiero byłaby porażka uciec teraz z podkulonym ogonem!

Z walącym sercem podszedł do frontowych drzwi. Założył okulary i spojrzał na rząderek nazwisk. 2: M. Kennedy. Nacisnął dzwonek.

Mijały minuty. Obok przejechała karetka na sygnale. W końcu za mleczną szybą pojawiła się jakaś postać. Otworzyły się drzwi i na progu stanęła Monica w niebieskim szlafroku frotté i z twarzą bez makijażu.

Zrobiła okrągłe oczy.

– Skąd, na Boga, się tu wzięłeś?

– Chciałem sprawdzić, czy nadal mogę to zrobić.

Twarz jej stężała.

– A robiłeś już często, prawda?

– Nie! Nie to chciałem powiedzieć. Boże, czuję się taki stary. –

Westchnął. – Nie patrz tak na mnie. Nie agituję za Brytyjską Partią

Narodową.

– Przepraszam. – Przycisnęła się do ściany. – Wejdz.

Buffy ruszył za nią po schodach. Miała na nogach klapki.

W okularach był w stanie dostrzec popękaną skórę na jej piętach. Nagle zalała go fala czułości – dla niej, dla nich dwojga.

A teraz siedział w jej bawialni. Czyściutka, kilka roślin, plakat z reprodukcją Matisse’a na ścianie. Pokój starej panny. Na stoliku stała taca z na wpół zjedzonym posiłkiem. Obok leżał otwarty laptop. Monica wyminęła go i zamknęła urządzenie.

– Co oglądałaś? – spytał Buffy. – Przepraszam, że przeszkodziłem.

– Coś na iPlayer. I tak się ciągle zawiesza.

– W Walii jest gorzej. Człowiek jest gotowy, już-już ma wsadzić łyżkę do ust i nagle gapi się na to kręcące się bez końca kółeczko.

– Proszę, siadaj. Napijesz się czegoś?

Buffy wskazał butelkę.

– To wygląda smakowicie.

– Nie jest. To z Tesco.

– Wszystko się nada.

Przyniosła mu kieliszek.

– Posłuchaj, przepraszam. Nie chciałem tak tu wparować.

Monica obróciła się na pięcie.

– Nie chciałeś? Przecież po to przejechałeś dwieście mil.

– Dwieście siedemdziesiąt sześć dokładnie.

Uśmiechnął się do niej, ale się odwróciła. Zerknęła w lustro.

– Wyglądasz ślicznie – powiedział.

– Nieprawda. Wyglądam koszmarne.

Mówił do jej odbicia.

– Przepraszam, nie powinienem był. Żałuję, że przyjechałem.

– Nie dziwię się, skoro widzisz mnie w takim stanie.

– Przestań, Monica!

– Nie mogę cię niczym poczęstować. To porcja jednoosobowa. Nie mam nic więcej do jedzenia.

– Nieważne. – Wyciągnął rękę. – Chodź tutaj.

Zawahała się.

– Proszę – dodał.

Usiadła obok i naląła mu wina.

– Po prostu chciałem cię zobaczyć.

– Nie bardzo rozumiem dlaczego.

– A dlaczego nie?

Poprawiła szlafrok na kolanach.

– Szkoda, że mnie nie uprzedziłeś.

– Dlaczego uciekłaś? Nawet się nie pożegnałaś.

Wzruszyła ramionami.

– Nie było sensu.

– Dlaczego, na Boga?

– Bo oboje zachowaliśmy się jak idioci. Jak para nastolatków.

I lepiej o tym zapomnieć.

– Ale przecież jesteśmy nastolatkami, tam, w środku. Nadal nimi jesteśmy, prawda?

Oboje spoglądali na resztki zapiekanki wiejskiej. Obok znajdowała się porcja keczupu. Ten widok bardzo poruszył Buffy'ego. Nie sądził, że Monica jada keczup. Tyle musiał się jeszcze dowiedzieć.

– Nie mogę znieść bólu – powiedziała wreszcie. – Jestem na to za stara.

– Ty jesteś za stara?

– Nawet gdybyśmy się polubili, co nie jest wykluczone...

– Polubiliśmy się, prawda?

– Nawet jeśli się polubiliśmy i jeśli się sobie podobamy, musielibyśmy znowu przechodzić przez te wszystkie korowody.

– Jakie korowody?

Westchnęła.

– Poznawanie się, odkrywanie swoich dziwactw, tego, że któreś jest skąpe albo wydziera się na kelnerów, albo rozwodzi nad swoimi szkolnymi latami...

– Nie jestem skąpy.

– I ta świadomość, że to wszystko już odkrywali przed tobą inni ludzie, wiele, wiele osób, miłe rzeczy i te mniej miłe, już się nimi wszystkimi zachwycano albo na nie narzekano... to jak eksplorowanie lasu pełnego śladów stóp i śmieci.

– Jasny gwint – mruknął. – Naprawdę tak to widzisz? – Ta jej leśna

wizja go zaskoczyła. Zachwyciła nawet. Monica okazywała się kobietą o żywej wyobraźni. To było odkrycie, ale co w nim złego? Niewątpliwie inni mężczyźni też to wcześniej odkrywali, ale teraz jego kolej.

– Gdy człowiek jest młody, to wygląda inaczej – ciągnęła Monica. – Ktoś łamie mu serce, a on bierze się w garść i zakochuje znowu, ma z czego wybierać, przebierać nawet, a w naszym wieku, mówiąc szczerze, nie ma wyboru. Nie dla kogoś takiego jak ja. A ci nieliczni, którzy są dostępni, mają już ugruntowane nawyki, wszyscy mamy, wszyscy dźwigamy za dużo cholernego bagażu. – Osuszyła kieliszek. – Lepiej nawet nie próbować. Oszczędzimy sobie mnóstwo żalu.

Nagle Buffy sposepniał. Patrzył na jej kostki pokryte siateczką żył w puszystych klapkach. Nie szło zgodnie z jego planem. Ale, z drugiej strony, czego się spodziewał?

– Wydaje się nam, że możemy zmienić ludzi, jednak to niemożliwe, nie w naszym wieku – mówiła Monica. – Widziałam twoją minę wczoraj wieczorem, gdy tłumaczyłam ci, co powinienes zrobić z hotelem.

– To, co proponowałeś, zupełnie nie jest w moim stylu. Nawet gdybym miał pieniądze, a nie mam.

– Próbowałam tylko pomóc.

– Poza tym podoba mi się tak, jak jest. Dlatego tam mieszkam. – Wziął oddech. – Wszyscy próbują na siłę coś zmieniać. Nawet Marmite. A może lepiej zaakceptować rzeczy i ludzi takimi, jakimi są. Ze wszystkimi wadami i śmiesznościami. Znam każdą spróchniałą deskę w tamtym domu, ale nie chcę go rozwalać i zmieniać na czyjaś modłę. Wszyscy teraz coś rozwalają, przemianowują i Bóg jeden wie co jeszcze, ale czy to nie szkoda? Dom przechowuje w sobie wspomnienia osób, które w nim żyły, i tych poprzednich, i jeszcze wcześniejszych. To czyni go właśnie takim. Wiem, że to stara ruina, ale go kocham.

Monica wpatrywała się w swój gazowy kominek. Buffy popatrzył na jej profil – ostry nos, cienkie usta. Ludzie z profilu wyglądają tak obco, trzeba się do nich ciągle od nowa przyzwyczajać. Oczywiście nikt nie ogląda siebie z tej strony.

Chciał jej to powiedzieć i jeszcze tyle innych rzeczy, ale bał się, że już ją stracił. W jakiś sposób był dumny, że zachował się tak

impulsywnie, ale Monice się to nie spodobało. Poprosi o filiżankę kawy i wróci do domu.

– Czyli nie sądzisz, żeby w którymś z nas dwojga było miejsce na poprawki? – spytała.

– Na pewno nie w moim przypadku. To wbrew przepisom. Ja jestem wpisanym na listę zabytkiem drugiej klasy.

Monica wybuchła śmiechem.

– A nie pierwszej? Jesteś taki skromny. – Popatrzyła na niego z przechyloną głową. – O, tego może nikt wcześniej ci nie mówił.

Skinął głową.

– Proszę bardzo. Dowiodłaś swego, cokolwiek to było. – Westchnął. – Wygadujemy straszne bzdury, co?

– Mów za siebie.

Zrobiła nadętą minę. Patrzył na jej pozbawioną makijażu twarz, błyszczącą od kremu nawilżającego, na jej, głodne usta. Boże, kochał ją.

– Masz papierosa? – spytała.

– Chryste! Nie wiedziałem, że palisz.

– Rzuciłam lata temu.

Wstała, żeby przynieść popielniczkę. Buffy siedział, umierając z pożądania. Pod ścianą stało antyczne biurko ze zdjęciami w ramkach. Na niektórych były dzieci – siostrzeńcy i siostrzenice? Myśl, że nigdy się tego nie dowie, tego i wielu innych rzeczy, że jej życie potoczy się dalej bez niego, napawała go beznadziejnym smutkiem.

Monica wróciła z popielniczką i kolejną butelką.

– Napijmy się tego wina. Dostałam je w biurze i jakoś nigdy nie było okazji, żeby je otworzyć.

Buffy popatrzył na etykietę.

– Cholercia. Léoville-Las-Cases 1996. – Wziął korkociąg i zawahał się. – Jeśli je wypijemy, nie będę w stanie się stąd ruszyć.

– Myślę, że zasługuje na świeże kieliszki. – Przeszła przez pokój i otworzyła kredens. – A poza tym, gdzie byś się miał ruszać?

– Pojęcia nie mam. Nie mogę jechać z powrotem do Walii.

– Nie.

– Kręgosłup by mi pękł. Musieliby mnie wyciągać z auta za pomocą dźwigu.

– A tego nie chcemy – powiedziała.

– Nie.

Usiadła obok niego. Buffy nalał wina. Zapalił dwa papierosy i podał jej jednego. Jakże zmysłowe to było, takie à la Bogey i Bacall! Od wieków czegoś podobnego nie robił.

Monica zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym nozdrzami. Napili się wina.

– Powinniśmy dać mu pooddychać – stwierdziła.

– Pieprzyć to.

Przez chwilę palili w milczeniu. Z mieszkania na górze dochodził słaby głos telewizora.

– Mogę zrobić ci grzanekę – zaproponowała Monica. – Albo możemy poszukać czegoś w zamrażarce. Wróciłam w porze lunchu. Nie byłam jeszcze na zakupach.

– Nie przejmuj się. Zjadłem kanapkę na Warwick Services.

– Jaką?

– Rak z rakieta. Nigdy wcześniej takiej nie próbowałem.

– Smaczna?

– Pyszna. – Wzruszył ramionami. – Sama widzisz, zostały jeszcze jakieś rzeczy do odkrycia.

– Co poza tym zjadłeś? Kawalek ciasta? Herbatnika?

Zgasił papierosa.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Monica zmrużyła oczy w dymie. A potem się uśmiechnęła.

– Chcę wiedzieć wszystko.

Buffy obudził się następnego ranka w niebieskiej sypialni bez ciężaru na nogach. Żadnego czworonoga. Zamiast psa obok spała Monica. Słońce wpadało przez prześwit w zasłonach. Pokój wychodził na ulicę, słyhać było pojazdy w dole.

Monica leżała plecami do niego. Oddychała bardzo cicho, możliwe, że nie spała, tylko leżała, sparaliżowana myślą o tym, co zrobili. Miała porozsiewane na ciele pieprzyki, w ciemnych, potarganych włosach widoczne były siwe odrosty. Zerknął na szafkę nocną: opakowanie soczewek kontaktowych, stos czasopism „Condé Nast. Traveller”. Butelka wody.

Buffy'emu zaschło w gardle. Usiłował sięgnąć nad jej ramieniem po butelkę, ale po kręgosłupie przebiegł mu paroksyzm bólu. Jęcząc, opadł z powrotem na poduszkę.

– Co się stało? – wymruczała.

– Plecy mi wysiadły – jęknął. – To przez tę jazdę.

Odwróciła się twarzą do niego.

– Możesz się ruszać?

– Jest bardzo sztywny. – Spróbował usiąść, ale krzyknął z bólu.

Opadł delikatnie na poduszki i leżał ze wzrokiem wbitym w sufit.

– Czy coś takiego już wcześniej się zdarzało? – spytała.

Skinął głową.

– Muszę tylko dać mu trochę odpocząć.

– Jak długo?

– Nie wiem. Różnie to bywa.

– Biedaku – rzuciła bez entuzjazmu. – Muszę cię ostrzec, że jestem okropną pielęgniarką.

– Tak, wyobrażam sobie.

Wstała z łóżka.

– Zrobię nam po filiżance herbaty.

Gdyby byli na scenie, jednym płynnym ruchem zarzuciłaby na siebie jedwabną podomkę. A ponieważ nie byli, to musiała przejść naga przez pokój, by podnieść swój szlafrok. Dla osób w dojrzałym wieku nawet sączące się przez zasłony światło jest bezlitosne. Buffy odwrócił głowę i popatrzył na reprodukcję *Narodzin Wenus* Botticellego.

Oslaniając dłonią swoje narządy płciowe, Wenus odpowiedziała na jego spojrzenie półuśmiechem.

Nagle Monica krzyknęła:

– O, Boże. Będą tu za minutę!

– Kto, twoi rodzice?

– Nie, parkingowi! Jest za dziesięć dziewiąta. – Wypadła z pokoju.

Słyszał, jak otwiera jakąś szufladę i czegoś szuka. – Jaki dzisiaj dzień? – zawołała.

– Piątek.

– Ale którego? – Wbiegła do sypialni z kartą pozwolenia dla gościa w dłoni. – Nie robiłam tego od wieków.

– Nie wiem – powiedział Buffy. – Któregoś listopada. Masz dzisiejszą gazetę?

– Jasne, że nie. Siedemnasty? Osiemnasty? – Muszę to czymś zdrapać. – Rozglądała się w panice po pokoju. – To jedna z tych kart-zdrapek.

– Już wiem: osiemnasty. Ostatni dzień kursu gotowania. – Jak odległe to mu się nagle wydało, jakby z innego świata! Miał nadzieję, że ktoś wyprowadził Figa.

– Tu jest napisane: zdrap monetą. Gdzie moja torebka? – Wybiegła znowu.

– Właśnie dlatego wyprowadziłem się z Londynu – zawołał za nią Buffy. – Cholerne parkingowe sępy.

– Gdzie są kluczyki od twojego auta? – krzyknęła.

– W kieszeni marynarki!

– A gdzie ono stoi i jak wygląda?

– Nie możesz wyjść w szlafroku!

Ale już po chwili jej nie było. Wyczerpany Buffy osunął się na poduszki. Dopiero dziewiąta, a on już czuł się skonany.

Teraz, gdy został sam, usiłował przypomnieć sobie wydarzenia poprzedniej nocy. Ponownie nie doszło do seksu. Oboje zignorowali jego słabą erekcję, z rzadka zapuszczając się dłońmi poniżej pasa. A mimo to, mimo to... kochali się. Całymi godzinami całowali się, głęboko i czule. Monica wspaniale całowała, te jej miękkie usta. I powoli wstyd wywietrzył im z głowy. Podobnie jak alkohol. Niepewnie badali swoje ciała, poznawali je z tą rozkoszną powściągliwością, tą obietnicą czegoś lepszego w zanadrzu, której nie czuł, odkąd przestał być nastolatkiem. Nic dziwnego, że był przekonany, że zaraz wejdą jej rodzice.

Monica wróciła z dwoma kubkami herbaty i wyszcotkowanymi włosami.

– Ubiegłam go o mały włos – powiedziała.

– Mały triumf, ale zawsze.

Pokiwała głową i usiadła na łóżku.

– Na zewnątrz ziąb jak cholera.

– A tutaj ciepłutko i miło – powiedział. – Właż.

Zrzuciła szlafrok i wsunęła się pod kołdrę. Buffy odstawił kubek na swoją pustą szafkę nocną. Kto przed nim zajmował tę stronę łóżka? Jak dawno temu? On nie spędził nocy z kobietą od rozvodu z Penny.

– A co z ubikacją? – spytała. – Dasz radę dojść? Nie mam nocnika.

– Spróbuję stanąć na nogi za jakiś czas. – Odchrząknął. – A skoro mowa o staniu...

– Ciii. – Oparła się o niego i musnęła twarzą jego brodę. – Nawet nie wiesz, jak dobrze mi było.

Pili herbatę w milczeniu. Pod kołdrą jej stopa zahaczyła o jego stopę. Przytrzymał ją nogami.

– Nie powinnaś iść do pracy? – spytał.

Pokręciła głową.

– Myślałem, że macie tam jakiś kryzys.

– Skłamałam – powiedziała.

– I dobrze. – Popatrzył na jej twarz. – Zmieniłaś się, wiesz. Gdy się poznaliśmy, wydawałaś się taka sztywna i spięta. – Przesunął palcem po jej policzku. – Teraz twoja twarz jakby nabrała życia... jest całkowicie zrelaksowana.

– Myślisz, że to dzięki tobie?

Buffy skromnie wzruszył ramionami.

– Mówiąc zupełnie szczerze, to botoks przestaje działać – oznajmiła.

* Alfred Durr, *Kantaty Jana Sebastiana Bacha*, przeł. A.A. Teske, t. II, wydawnictwo Polihymnia, Lublin 2004.

Buffy

Minęły cztery miesiące. Buffy leżał i nasłuchiwał szeptów i westchnień domu oraz jego lokatorów. Monica, jego czas terażniejszy, spała obok niego, ale hotel wypełniony był jego przeszłością. Jacquetta i Leon spali w sypialni nad nimi, Nyange i jej matka Carmella w pokoju obok. Celeste i jej matka zajmowały pokój błękitny, Quentin i James różowy, po drugiej stronie podestu. India na tę noc rozlokowała się w służbówce na strychu, to była wigilia jej zaślubin i postanowiła dość osobliwie uczynić tradycji zadość i nie dzielić w tę noc łoża ze swoją wybranką.

Nic dziwnego, że Buffy nie mógł zasnąć. Słuchał wiatru podzwaniającego szybami. Korciło go, by wstać i sprawdzić, czy wszyscy są w swoich łózkach. Przez tyle lat żyli tak intensywnie tylko w jego pamięci, że ich nagła fizyczna obecność była niemal nierzeczywista, jakby to wszystko mu się przyśniło. A jedynym, co ich wszystkich łączyło, był on sam. Pełne obłożenie. Hotel trzeszczał w posadach od ciężaru jego przeszłości. W jakiś dziwny sposób umarli byli tak samo namacalnie obecni jak ludzie, którzy spali teraz pod jego dachem. Wszyscy zamieszkiwali jego pamięć – Popsi ze swoimi boskimi piersiami i gardłowym śmiechem, Bridie z henną na włosach i szklaneczkami whisky, Bridie, która dała mu klucz do swojego życia. I goście, których ten klucz do jego życia sprowadził, nocujący tu przez ostatnie dwa lata: Pritchardowie, tamten nieśmiały geolog, Rosemary, stoicka, porzucona żona... a jeszcze wcześniej, całe lata przed nimi, duchy wszystkich przelotnych lokatorów tego zniszczonego, starego domu, którego był tymczasowym kasztelanem.

Zegar na dole wybił trzecią. Za kilka godzin zbierze się ze swoją wielopokoleniową rodziną w chatce Vody na uroczystość. Tobias i Bruno już się tam rozlokowali ze swoimi dziewczynami i dzieckiem. Penny i Harold dołączą do nich z mieszkania nad sklepikiem z konfekcją

męską. Serce Buffy'ego biło w oczekiwaniu. To była noc przed eksperymentalną produkcją z udziałem całej menażerii aktorów, niektórzy z nich znali się już wcześniej w pełnych napięcia i upokarzających okolicznościach, i z sercem walącym jak u niego, leżeli teraz w łóżku, przygotowując się do roli, której partii sami się nie nauczyli, roli, która mogła zamienić się w strindbergowską tragedię albo farsę Ayckbourn. No, ale tak to już jest z weselami.

– Tato, kiełbaski się przypalają! – Nyange usiłowała wziąć od niego łyżkę, ale odepchnął jej dłoń.

Przygotowywał śniadanie. Jego goście pojawiali się w odstępach czasu, niczym duchy przeszłości wylaniające się zza dymu z patelni.

Jacquetta zajrzała do lodówki.

– Macie mleko sojowe?

Miała króciutkie włosy. Buffy widział już je podczas odwiedzin u wnuczki w Londynie – niedawno przeszła chemioterapię – ale ich widok nadal go szokował. Odkąd tylko ją znał, zawsze miała długie włosy, choć zebrane w najróżniejszych artystowskich upięciach. Teraz nosiła tylko różowe pasemka. Wyglądała jak podstarzała bogini punka.

– Mogę wyskoczyć do marketu – zaproponował.

– Nie trzeba. – Westchnęła. – Wzięłam ze sobą zieloną herbatę.

Zapomniał już o najróżniejszych alergiach Jacquetty, w tym wypadku na nabiał. Wyjmowała teraz naręcza lekarstw z torebki. Zalała go nostalgia. Hipochondria należała do nielicznych rzeczy, które ich łączyły w trakcie małżeństwa. Była w tym też nutka rywalizacji o to, które z nich jest bardziej chore. To się jednak dawno skończyło oczywiście, a tak czy siak, Jacquetta wygrała. Miała raka piersi!

Teraz zza dymu wyłonił się jej mąż, nadal wysoki i przystojny, nadal ze wspaniałą grzywą włosów. Po prawdzie, to jakby nawet ich przybyło. Leon miał wymuskany i zadbany wygląd telewizyjnego celebryty, choć lata temu zrezygnował ze szklanego ekranu, by pisać swoje bestsellery. Jakże Buffy kiedyś go nienawidził! I trudno się dziwić – gość posuwał mu żonę. Gdy była na etapie nerwicy przeniesieniowej. A Buffy jeszcze mu za to płacił. Oczywiście tamta nienawiść już dawno zniknęła. Teraz, gdy spotykali się przy różnych okazjach, to bardziej jak siwowłosi weterani, nie tylko małżeństwa z Jacquettą, ale także

ojczymowie Indii, która była pyskata w wieku dojrzewania, a teraz obierała bekon.

Leon zmierzwił jej włosy. Buffy wiedział, że ona tego nie cierpi.

– Wielki dzień, kochanie – powiedział. – Jestem z ciebie taki dumny.

Z jakiego powodu? Bo jest lesbijką? Bo dokonała coming outu? Leon ewidentnie był zachwycony własną tolerancją. Niewątpliwie przez cały czas wyczuwał, jak się sprawy mają, dzięki swojej intuicji psychoanalityka. Buffy podejrzewał jednakże, że uważa wybrankę pasierbicy za diament cokolwiek nieoszlifowany.

Jacquetta odwróciła się do córki.

– Ależ ci się poszczęściło – stwierdziła. – Zawsze chciałam zamieszkać w tej części Walii.

Buffy się zdziwił. Pierwsze słyszał.

– Tu panuje taka dzikość i swoboda – ciągnęła Jacquetta. – Takie pogańskie wibracje. Kiedyś nawet brałam udział w happeningu na polu, gdy byłam z tobą w ciąży. Może to odcisnęło na tobie piętno, gdy byłaś jeszcze w macicy. Ale Alan był zdecydowanie za wielkim heterykiem, by tu zamieszkać. – Jacquetta się uśmiechnęła. – Ciekawa jestem, jak by zniósł dzisiejszy dzień. – Ojciec Indii, zagadkowa postać, zmarł w Australii rok wcześniej. – Nie za dobrze, podejrzewam. Homoseksualna córka byłaby zagrożeniem dla jego męskości. Nic dziwnego, że wyemigrował do najbardziej machistowskiego kraju na świecie.

Dym się już przerzedzał, gdy pojawiła się Lorna.

– Mam potwornego kaca – poskarżyła się. – Nie jestem przyzwyczajona do takiej ilości alkoholu, jaka lała się wczoraj wieczorem.

Lorna, jego zaginiona miłość, była teraz małą staruszką. Buffy z trudem rozpoznawał w niej tę aktorkę, z którą kiedyś występował na deskach, niewątpliwie ona to samo myślała o nim. W końcu oboje mieli siedemdziesiąt dwa lata. Powykręcana artretyzmem, chodziła o lasce. Wieczór wcześniej odbyła długą rozmowę z Monicą. Czyżby dzieliły się wrażeniami? Minęło czterdzieści lat, jakiegokolwiek wrażenia Lorny zdezaktualizowały się niczym stare arkusze egzaminacyjne. Celeste,

córka, którą razem spłodzili, kroїła teraz chleb i wkładała kromki do tosteru.

Pojawiły się Nyange i jej matka, narzekając, że ciepła woda się skończyła. Nawet w szlafrokach wyglądały zaskakująco egzotycznie. Buffy wyłożył kiełbaski na talerz. Jakie to dziwne, że się tu tak gromadnie zebrali! A jednak wcale nie dziwniejsze od tej zbieraniny gości, którzy wcześniej tu nocowali. Wszyscy mieli jakieś własne historie. Był pod tym dachem świadkiem łez i rewelacji, zwierzeń, wywołanych przelotnym pobytem w miejscu, z którym człowieka nic nie wiązało. Na tym polega urok hoteli.

Pamiętał, jaki obraz samego siebie przyszedł mu do głowy, gdy po raz pierwszy zobaczył ten dom: gospodarz pensjonatu, emanujący serdecznością, z policzkami czerwonymi od bordo. Nie potrzebował żadnych próbnych przesłuchań. A teraz w zasadzie nie musiał już nawet wcielać się w tę postać, po prostu się nią stał.

Weszła Monica, a za nią Quentin i James. Miała na sobie elegancki zielony kostium. Patrząc mu w oczy, uśmiechnęła się niepewnie.

– Dobrze, kto chce jajka? – spytał rozpromieniony.

Monica

– Ale to bankierzy doprowadzili ten kraj do zapaści – powiedział Bruno. – Jak możesz z nimi pracować?

– Ktoś musi – odpowiedziała Monica.

– Jaka przyszłość czeka moje maleństwo? – denerwował się Bruno.

– To wszystko ich wina, . Pieprzonych chciwych gnoi.

– Na miłość boską, daj spokój biedaczce! – Buffy przyszedł jej na ratunek. – To ma być wesele.

– I żadnego z nich nie spotkała kara, jeszcze wszyscy dostali tłuste premie.

– A skoro o bankach mowa – wtrącił pospiesznie Buffy. – Conor został właśnie aresztowany za napad na bank w Llandrod. Nie wiedział, że sześć lat temu go zamknięto i przerobiono na salon refleksoterapii. Usiłował wydębić pieniądze od klientów, ale byli tacy otumanieni, że nie wiedzieli, o co mu chodzi, a potem zjawiała się policja. Poza tym okazało

się, że groził im pistoletem zabawką.

Monica się roześmiała. Napięcie zostało rozładowane. Bruno odwrócił się do niej.

– Przepraszam – powiedział. – Ale mam wrażenie, że mogę być wobec ciebie niegrzeczny, bo jesteś jakby członkiem rodziny.

Monica spoglądała na tłum gości. Przyjęcie odbywało się w chatce Vody. Pokój był jasno oświetlony i obwieszony lampkami, ktoś grał na skrzypcach. To była dla niej taka nowość, owo bycie członkiem rodziny. Podczas lat z Malcolmem z tego właśnie została wykluczona. Kąsek na boku. Sama nie miała dzieci ani rodzeństwa i aż do tej chwili wiodła samotne życie kobiety skupionej na pracy. Teraz wyczuwała między zebranymi prądy, ciągnące we wszystkich kierunkach, zbyt głębokie, by mogła je pojąć. Penny miała rację, jej zazdrość wyparowała bez śladu, gdy zetknęła się z żyjącymi, oddychającymi ekszonami Buffy'ego, z których wszystkie były mocno w latach. To, co zostało, było znacznie bardziej skomplikowane.

Bo pomimo starań Buffy'ego, by się zintegrowała, miała wrażenie, że jest przedstawicielką obcego gatunku w tej rozpadającej się chatce wysoko na wzgórzach. Czy naprawdę czuła się swobodniej w pokoju pełnym bankierów? Nie potrafiła połączyć tych dwóch części swojego życia – weekendów spędzanych z Buffym, ich chaosu i bałaganu, i dni powszednich spędzanych w hotelach, gdzie sufit nie przeciekał, a w kranie zawsze była ciepła woda. Obserwowała, jak India i Voda tańczą, wpadając na ludzi, gubiąc z włosów żonkile, i pomyślała: Obie połowy łączy jedno – wszyscy upijają się jak świnie.

Ponownie wzniesiono kieliszki za młodą parę. Pomimo mętliku w głowie Monica zaczynała ich wszystkich lubić. Byli przeszłością Buffy'ego, historią jego życia. A jaką rolę ona w nim odegra? Ogromnie go kochała, ale nie widziała tu dla siebie miejsca. Czy naprawdę będzie miała dość odwagi, by rzucić wszystko i przeprowadzić się do Knockton, jak Harold, jak Penny? Jak Andy i Amy, którzy także gdzieś się tu kręcili?

Gdzie oni są? Monica usiłowała ich wypatrzeć, ale nagle pociemniało jej w oczach. Przez chwilę myślała, że wzrok jej szwankuje. Abażury na stolikach przygasły, lampki zamieniły się w punkciki

światła, a potem zniknęły.

Pokój pogrzyżył się w ciemności. Rozległ się ogólny pomruk zaskoczenia.

A potem głos Vody:

– Kurwa, kurwa, ożeż kurwa!

– Co się stało? – spytał ktoś.

– Prąd się skończył. To te kurewskie panele słoneczne Conora.

Monica oparła się o kredens. Cieszyła się, że nie musi rozmawiać. Oczy miała szeroko otwarte, ale nic nie widziała. Było to dziwnie wyzwalające uczucie i po raz pierwszy się zrelaksowała.

Buffy i jego rodzina zapadli się w ciemność. Na ich miejscu pojawił się obraz – tak wyraźny, tak jasny w każdym szczególe, że Monica o mały włos nie roześmiała się w głos. Wszystko ułożyło się w logiczną całość. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? To naprawdę nie mogło być bardziej oczywiste. Kiedy zapalono świece, miała już w głowie gotowy plan.

Buffy przepchnął się przez tłum z dzieckiem na rękę.

– Tutaj jesteś – powiedział. – Myślałem, że zginęłaś.

– Jestem tutaj.

– W książce, którą czytałem, światła zgasły, a gdy się zapaliły, ktoś nie żył.

– Nie zamierzam umierać – odpowiedziała Monica.

Wpatrywał się w nią.

– Boże, jesteś piękna. Proszę, nigdy mnie nie opuszczaj.

Miał na sobie swoją niebieską aksamitną kamizelkę. Nawet w blasku świec widać było bladą plamę wymiocin z przodu. Nigdy nie przepadała za dziećmi, ale z jakiegoś powodu ten widok poruszył jej serce.

– Mam pomysł co do twojego hotelu – powiedziała.

– Tylko nie żadne butikowe wymysły. Wiem, że dom się rozpada, ale, błagam, tylko nie to.

– Nie, nie o to chodzi. To coś zupełnie innego.

Acme Motivation z dumą ogłasza swoje nowe przedsięwzięcie: weekendy rekreacyjne „Niespodzianka” dla szczebla kierowniczego! Miejsce: hotel Myrtle House. Usytuowany wśród walijskich wzgórz i słynący z kuchni opartej na lokalnych produktach oraz przyjaznego personelu, Myrtle House mieści się z dala od głównych turystycznych szlaków i tym samym zapewnia odosobnienie i bezpieczeństwo. Rekreacyjne pobyty weekendowe dla głównych graczy rynku finansowego oferują przygotowaną indywidualnie serię wyzwań i zadań integracyjnych. Po przyjeździe każdy z uczestników otrzyma zagadkowe zadanie, które z pewnością okaże się niezapomnianym przeżyciem.

„Doświadczenie, które wywróci wasze życie do góry nogami”.

(sir Barry Jones, Goldman Sachs)

W ciągu tego lata mieszkańcy Knockton przyzwyczaili się do widoku szeregu pojazdów zaparkowanych przed Myrtle House. Ferrari, bmw 7, range rovery z najwyższej półki, ochlapane błotem przez przejeżdżające traktory.

Przyzwyczaili się także do ich właścicieli. Bankierzy łatwo rzucają się w oczy w miasteczku takim jak Knockton. Poza tym wszyscy chodzili w zielonych kombinezonach, niczym grupa skazańców skuta łańcuchem, jak zauważyła Connie z supermarketu.

I jak więźniowie harowali od świtu do zmierzchu. W pocie czoła i trudzie zasypywali dziury na głównej ulicy, naprawiali huštawki na placu zabaw, zbierali śmieci, odnawiali wiatę autobusową, malowali i otwierali miejskie szalety, zakładali rabatki w gminnym parku. Jill z „Jill oferuje” powiedziała do męża: „Uratowaliśmy ich, więc chyba to sprawiedliwe, prawda, że teraz oni robią to samo dla nas?”.

Gdy wieść się rozniosła, zewsząd zjechali się gapie, by przyglądać się spektaklowi. To było zabawniejsze niż pokazy moreski. W weekendy Coffee Cup pękała w szwach od klientów, miejscowe sklepy zbijały kokosy. „Oglądanie bankierów” uczyniło z Knockton, jak powiedziała

Monica, turystyczną mekkę. Ale co dokładnie oglądano? Akt pokuty? Kabaret?

Dla niektórych harujący ludzie byli przedmiotem drwin, dla innych obiektem gniewu. „Daj nam pan kredyt hipoteczny!” – krzyknął jakiś młodzieniec, gdy przechodzili obok.

Inni zachowywali się uprzejmie i nawet z nimi gawędzili. Stara pani Bevan-Jones poczęstowała filiżanką herbaty dyrektora z RBS, który naprawiał płyty chodnikowe przed jej domem. Jej wnuczek filmował rozmowę przez komórkę. *Gdzie się podziała moja emerytura?* stało się potem sensacją na YouTube.

I po raz pierwszy Myrtle House przynosił zysk. Brak udogodnień był częścią pakietu. Ojej, czekacie w kolejce do toalety! Witamy w prawdziwym świecie! Gdy Buffy patrzył na swoich gości, jak obolali i wyczerpani odjeżdżali któregoś niedzielnego wieczoru, powiedział do Moniki:

– Moje dzieci nazwały to miejsce Hotelem Złamanych Serc. Porzuceni i nieszczęśliwie zakochani mieli tu przyjeżdżać i uczyć się tego, w czym wcześniej wyręczali ich byli partnerzy. Ale niezupełnie tak się to potoczyło.

– Teraz to bardziej hotel-galery.

Objął ją.

– Kochasz mnie?

Monica musnęła twarzą jego brodę.

– Oczywiście – powiedziała. – Poza tym w naszym wieku człowiek nie może być wybredny.

Od Autorki

Chcecie naprawdę nauczyć się czegoś z jednego z tych kursów? Zajrzyjcie na moją stronę www.deborahmoggach.com, kliknijcie nagłówek *Books*, następnie książkę *Heartbreak Hotel*, a znajdziecie *Courses for Divorces*, krótkie, ale bardzo pouczające filmiki. Być może nawet spotkacie tam kogoś ze stron tej powieści.

Tytuł oryginału: *Heartbreak Hotel*

Copyright © Deborah Moggach, 2013
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing
House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska
Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Urszula Gireń

Fotografie na okładce
© Alamy/BE&W
© Jen Grantham/Stocksy.com

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Hotel Złamanych Serc, wyd. I, Poznań 2016)

ISBN 978-83-8062-731-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com

